DZWONEK.

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Tom XVI.



LWÓW.

Nakład i druk E. Winiarza.


BIBLIOTH. UNIV.


JAGELLONICA
BIBLIOTHECA

SPIS RZECZY

zawartych w tomie XVI.

I. Żywoty Świętych, legendy, podania o cudownych miejscach i rozmaite historje święte:

Stronica:

II. Powiastki, gawędy, opowiadania i obrazki z historji polskiej:

III. Wiersze:

Stronica:

IV. Piękne przykłady:

V. Sprawy gromadzkie, rady, przestrogi i rozmaite nauki:

VI. Różności:

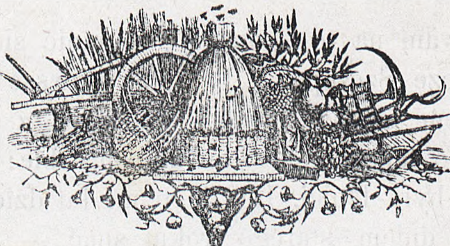
VII. Dawne przysłowia i przypowieści:

Tom XVI.

1. stycznia

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.





Nr. 1.

1867.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

NOWY ROK.

Było to w sam dzień nowego roku. Po nabożeństwie wracali do swych chat dwaj sąsiedzi, Szczepan i Stanisław. Idąc życzyli sobie najpierw serdecznie nowego roku a potem poczęli gawędzić z sobą.

— Nowy rok! Now yrok! — rzecze Stanisław — każdy się nim cieszy, każdy się lepszego spodziewa, a tu tymczasem inna wola Boża! Żyję już lat czterdzieści, toć i czterdzieści nowych roków przeżyłem, a jak zapamiętam, to zawsze mówiono: „Ot może lepiej będzie z tym Nowym rokiem!“ — a tymczasem bieda była po staremu.

— Prawda i to, mój sąsiedzie -- mówi na to Szczepan — ale jak dla kogo. Ja myślę sobie zawsze, że byle człowiek chciał szczerze, z każdym Nowym rokiem lepiej mu się dziać powinno.

— Ej co też mówicie sąsiedzie, toć gdyby to prawda, tobym był teraz już bogaczem i szczęśliwym człowiekiem, bo już chwała Bogu na własnem gospodarstwie ośmnaście nowych lat

przebyłem, a ja tymczasem jak widzicie zamiast się wzmagać w szczęściu i dobytku, idę jakby na dół ciągle, bo ciągle mi gorzej i ciężej.

— A ja wam na to opowiem, co mnie się samemu przydarzyło — rzecze Szczepan. I ja tak zawsze mówiłem, i ja ciągle skarżyłem się na biedę. Więc też z każdym rokiem prosiłem Boga o lepszą dolę i myślałem sobie: Ot może będzie lepiej! Ale nie było lepiej. Będzie temu lat dziesięć, położyłem się z ostatnim dniem starego roku spać — ale sen mi nie przychodził na powieki. Myślałem o własnej biedzie i ciężko mi było na sercu. Byłem biedny, w chacie były pustki, w oborze także, w kieszeni ani grosza. I począłem rozmyślać nad biedną dolą moją i łzy mi się zakręciły w oczach. Jak tu rok nowy przeżyć, jak go poprawić, aby nie był taki, jak stary? I wtedy mi przyszły słowa na myśl, które raz słyszałem od jednego pobożnego kapłana, że jeźli człek sam zmieni się na lepsze w człowieka nowego, to i rok nowy będzie nowy i lepszy. Myślę więc sobie: „żyjesz po staremu, a chcesz mieć rok nowy i lepszy!“ Więc począłem sam myśleć i gadać o sobie, tak jakby o zupełnie obcym człowieku. I oto przekonałem się, że sam najwięcej byłem winien mojej biedzie.

— Gospodarstwo moje liche, ziemia nie dobrze uprawiona — rzekłem sam do siebie.

I oto zaraz mi przyszła na myśl moja własna wina i sam sobie odpowiedziałem:

— A czyś dbał dobrze o to gospodarstwo? Ileżeś to dni zmarnował niepotrzebnie, ileż to razy nie chciało ci się robić, ileż to razy oddawałeś się lenistwu! Więc trzeba to zmienić, byłeś leniwym w starym roku, bądź pracowitym w nowym.

Potem przyszło mi na myśl, że niema grosza w domu i niema czem rozpocząć nowego roku. I znowu myślałem nad sobą i przekonałem się, że byłem nieoszczędny, że niejeden grosz marnie i bez pożytku przetrwoniłem. Rzekłem więc sam do siebie:

— Byłem nieoszczędnym z starym rokiem, będę więc oszczędnym z nowym.

I tak dalej myślałem nad sobą i zawsze dochodziłem, że mojej biedy pierwszą przyczyną byłem ja sam. Tym sposobem przekonałem się, że aby nowy rok był lepszy, trzeba aby się sam człowiek odnowił w umyśle i sercu swojem i był także lepszy.

— Co to wszystko znaczy — odezwał się na to Stanisław — jeżli Bóg człeka nie błogosławi w niczem!

— A pewnie że nic nie znaczy bez błogosławieństwa Boga — mówi na to Szczepan — ani praca, ani oszczędność, ani żadne zabiegi. Ale w tym właśnie ludzie błądzą najwięcej, że nie rozumieją dobrze, co potrzebne od Boga, a co sami zrobić powinni. Bóg nikogo nie uszczęśliwi, jeżeli człowiek sam się o szczęście nie stara i na powodzenie nie zasługuje. A w czemże chcesz, żeby ci Bóg błogosławił? Czy w lenistwie, czy w niezgodzie, czy w ciemnocie, albo czy może w pijaństwie? Bądź pracowity, trzeźwy, cnotliwy i wtedy proś Boga aby ci błogosławił. Zarabiaj sam swoją głową i własną siłą na byt dobry, a Boga proś tylko, aby cię świętą swoją opieką wspierał i strzegł od nieszczęść takich, których uniknienie nie od ciebie zależy. Żądaj od Boga tego, czego sam sobie uczynić nie zdołasz — a co leży w twej sile własnej, to czyń z własnej siły, bo Bóg cię na to z rozumem i wolą stworzył i opieką swoją nie będzie czuwał nad nikim, co ręki i głowy do dzieła przyłożyć nie chce.

Tak mówił Szczepan a Stanisław zamyślał się mocno i rzekł:

— Ha może to i prawda, będę i ja tak robił!

Otoż widzicie, tym Stanisławem byłem ja, co wam teraz to opowiadam. Wziąłem sobie słowa Szczepana do serca i począłem robić według jego rady. Poprawiłem siebie — i oto poprawił się dla mnie i rok. Stałem się całkiem nowym człowiekiem i miałem też prawdziwy Nowy rok.

Dzisiaj już stary Szczepan nie żyje — ale jego słowa w mojem sercu żyją zawsze. Dziś wam powtarzam moją rozmowę z nim, bo wiem, że ja przez tę rozmowę przyszedłem do opamiętania i teraz już na biedę się nie skarżę, bo ją pracą zwyciężyłem. A Bóg pracy nigdy błogosławieństwa nie odmówi.

Od tego czasu każdemu, co się na zły rok skarzy i po Nowym roku lepszej doli się spodziewa, mówię to samo, co mi niegdyś stary Szczepan mówił. Tak też i na ten Nowy rok takie wam słowa piszę:

Niech ten Nowy rok

1867

będzie nowym rokiem pracy i pilności.

Niech będzie nowym rokiem trzeźwości.

Niech będzie nowym rokiem cnoty.

Niech będzie nowym rokiem oświaty.

Niech będzie nowym rokiem miłości i zgody.

Niech będzie nowym rokiem oszczędności.

A wtedy będzie ten rok także

Nowym rokiem szczęścia,

którego wszystkim życzę z serca.

Stanisław z pod Krosna.

Stach kosynier na warcie.

Ułożył Teofil Lenartowicz.

Na około las poszyty
Głuchusieńki, cichuteńki,
Dzięcioł kuje w suche pieńki,
Kowal pracowity!

Pokrzykują żółny,
Poświstują krasne gile,
A po Narwi mkną oryle,
I retmanów płyną czołny.

A ja stoję pod pagórkiem,
Już na samym skraju lasa,
Czapeczkę mam z pawiem piórkem,
Korki u obcasa!

Jestem sobie strojny,
Bo wesoło na kraj cały,
Będąż dziewki nas kochały,
Jak się zrobi koniec wojny!

Stoję, słucham, nic nie słyszę,
Słońce jeszcze dobrze świeci,
To wiatr sosną zakołysze,
To gałązka zleci!

A gdzie moja chata?
Kiedy to ja do dom wrócę,
Czy tatusia nie zasmucę,
Na te jego stare lata?

Ojcu, matce zadam biedy,
Siostra woła na wieczerzę,
A ja w polu martwy leżę,
A co będzie wtedy?

Ludzie wiodą pługi,
Szumią nasze sosny duże,
Gada sobie jeden drugi,
Ot i Staśkowe podwórze!

Ej! to rzucę to kosisko,
Straszna mnie ochota bierze,
Siostra woła na wiecerzę,
A wioszczyna blisko.

Nie kuś poganinie,
Nasi siedzą w ciemnym borze,
I Moskal się przywlec może,
I niewinna krew popłynie!

Nie kuś diable stary
Słońce zasło, puszcza głucha,
Złego ducha nie posłucha
Człowiek polskiej wiary!

Zdalekiej dąbrowy,
Jak te brzozki zagajniki,
Czy to krzyczą kruki, sowy,
Czy kozaki rozbójniki?

Na jednego, na dwa, na trzy,
Gdyby przyszli tak na drogę,
I na czterech mi się patrzy,
Na pięciu nie mogę!

Dajże Matko Boska,
Niech tu jeden, dwóch przyjedzie,
Pocieszy się cała wioska,
Jak Staśkowi się powiedzie.

Słońce zaszło w głuchym borze,
Leci, leci kozak stary,
Pod kulbaką ma talary,
Zrabowane w polskim dworze.

Jedzie, jedzie bokiem,
Już przy brzozie, już przy sośnie,
Kosa w ręku rośnie, rośnie,
Stasiek skoczył jednym skokiem.

Brzękło, jękło w lesie,
Poczciwemu się powiodło,
Trup kozacki spadł pod siodło,
Trzos i szablę Stasiek niesie!

Judasz polski.

Niemasz szkaradniejszego występku na świecie nad zdradę. W innych występkach powoduje ludźmi często tylko złość, namiętność, chciwość — w zdradzie są wszystkie djabelskie sztuki zbrodni: i fałsz i obłuda i podłość nikczemna. Hańba to nad wszystkie hańby, podłość nad wszystkie podłości, ta zdrada!

Bóg też srogo karze zdrajców nie tylko na tamtym świecie ale i na ziemi. Zdrajca nigdzie między ludźmi nie znajdzie spokoju, bo wszyscy brzydzić się nim i pogardzać będą, nawet ci, którzy go do zdrady przekupili. Plugawe sumienie zdrajcy nie znajdzie nigdzie pociechy i spokoju, wszędzie będzie gonił za nim straszny upior jego zbrodni. Ów straszny zdrajca Judasz,

co zaprzedał Zbawiciela naszego za trzydzieści srebrników, i pocałunkiem wydał go na srogie męki i śmierć na krzyżu — obwiesił się potem wraz z swojemi pieniądzmi, i sromotnem samobójstwem zakończył swe podłe życie.

I nasza ojczyzna, Polska, miała swoich zdrajców Judaszów, którzy ją zdradzili i zaprzedali w ręce nieprzyjacioł i wrzucili ją w niewolę. Pierwszym z tych zdrajców okrutnych był pewien pan, nazwiskiem Adam Poniński. On to pierwszy wraz swymi wspólnikami zaprzedał Polskę i wtedy to nastąpił pierwszy rozbiór naszej ojczyzny, kiedy to Moskwa, Prusy i Austrja zabrały po raz pierwszy części naszej ziemi polskiej. Był wtenczas Poniński marszałkiem sejmu, na którym zapadł pierwszy rozbiór Polski, a był nim nie z woli Polaków, ale przez przemoc moskali, którzy go podkupili.

Myślał Poniński, że choć hańbę wieczną na siebie ściągnął, to przecież przynajmniej będzie opływał w złocie i żył w obfitości dostatków. Ale i w tem się zawiódł, bo Bóg straszny zgotował mu koniec. Poniński wziąwszy od wrogów Polski ogromne pieniądze za zdradę, pomnożył jeszcze swe skarby zdzierstwem i rozmaitemi oszustwami. Tym sposobem nazbierał on razem w gotowych pieniądzach miljon dukatów, to jest tysiąc tysięcy dukatów, albo sześć miljonów reńskich. A oprócz tego miał ogromne dobra, wsie i miasta, które blizko sześć miljonów warte były.

Z tym workiem judaszowym wyjechał Poniński za granicę, bo w Polsce ścigała go wszędzie hańba, sromota i przekleństwo Polaków zdradzonych. Nie mógł bawić w Polsce, bo on zaprzedał tę Polskę, matkę swoją. Zabrał więc swoje skarby i pojechał w obce kraje. Ale wszędzie za nim w ślad szła hańba i gniew Boży. Gdziekolwiek przyjechał, wszędzie pogardzali nim cudzoziemcy nawet, Francuzi, Anglicy, Niemcy, jako niegodziwcem. Nigdzie nie miał spokoju, żaden poczciwy cudzoziemiec nie chciał mu podać ręki – nawet moskale sami brzydzili się nim.

Tymczasem i skarby jego poszły marnie. Co djabeł dał, to djabeł na wiatr puścił. Był Poniński jakiś czas za granicą a straciwszy gotówkę wrócił do Polski. Ale tu czekała go

jeszcze inna kara. W Polsce, która jeszcze była wolna, choć jej wprawdzie za zdradę Ponińskiego poodbierali wiele ziemi, był właśnie ów sejm pamiętny i sławny z roku 1790, na którym to dano dla narodu polskiego ową sławną konstytucję z 3 maja. Wówczas ten sejm polski zaczął sądzić zdradę Ponińskiego. Wzięto zdrajcę do więzienia i skazano go na utratę majątku, godności i imienia, na wieczną hańbę. Poniński bojąc się spełnienia wyroku przekupił jakoś swą wartę i uciekł z więzienia przez wykuty otwor w murze, siadł na czółno na Wiśle i chciał zemknąć do Gdańska. Ale oddział wojska polskiego poleciał w tej chwili w pogoń i złapał Ponińskiego na samej granicy.

Zaraz też wykonano wyrok. Wyprowadzono go na publiczne miejsce, zdarto z niego ordery i szaty dygnitarskie, a potem wziął go hycel na swój psi wózek i wywiózł go tak z Warszawy. Tąk ten zdrajca, niegdyś wielki dostojnik korony polskiej i pan ogromny, co dawniej w złoconych jeździł karetach, teraz na hyclowskim wózku jechał wśród hańby okropnej. Na śmierć go nie skazali Polacy, bo cóżby była za kara dla zdrajcy, odebrać mu życie? Dla zdrajcy właśnie największą jest karą zostawić go przy jego plugawem życiu, aby wiecznie ścigała go hańba, aby tem plugawem życiem świadczył sam o swej zbrodni i wreście z rozpaczy sam się powiesił, tak jak Judasz Iskarjota. Ale Poniński nie powiesił się sam — Bóg nie dał mu umrzeć, aby dać na nim przykład, jaki koniec czeka zdrajców.

Wałęsał się po kraju, nie mając nigdzie kąta spokojnego, a gdy lud warszawski podczas powstania Kościuszki w roku 1794 wywieszał innych zdrajców na rynku, on potrafił zemknąć znowu. Wrócił dopiero wtedy, kiedy już Polska cała była w niewoli, a w Warszawie stali Prusacy. Wtedy Poniński zeszedł był już na ostatniego dziada i szubrawca. On co dawniej był panem ogromnym, co posiadał nieprzeliczone skarby w złocie i dyamentach, co miał kilkaset wsi swoich, tak zeszedł na nędzę, że chodził za żebranym chlebem po domach. W plugawej nędzy żyjąc, w łachmanach, pił gorzałkę po najnędzniejszych szynkach, a sypiał w karczmie pod ławami żydowskiemi.

Tak żyjąc nędznie chodził jako żywy przykład gniewu Bożego, który każdego zdrajcę czeka. Razu jednego Poniński spity bez opamiętania wpadł w gnój smrodliwy i tam w tym gnoju obrzydłym wyzionął swoją podłą duszę.

Tak to Bóg zdrajców karze!

Karol M.

Piękne przykłady.

I.

Mikołaj z Cybłowa.

We Lwowie żyje jeden malarz sławny, co się nazywa Franciszek Tepa. Sławny to majster malarski na Polskę całą! Jak namaluje jaki obrazek, to ci się zdaje, że ty nie na obraz patrzysz, jeno na prawdę szczerą. takie to piękne i szykowne, a kiedy kogo na papierze albo na płótnie odmaluje, to ci się widzi, że na żywego człeka patrzysz i czekasz jeno, aby się ruszył.

Otoż ten pan malarz Tepa co roku prawie latem wyjeżdża ze Lwowa na wieś, w rozmaite strony, hen między ludek wiejski, i jak mu się który wieśniak z osoby lub z rozumu i cnoty podoba, to go zaraz namaluje na papier żywcem i wiezie do Lwowa i tu go panom rozmaitym pokazuje. Panom się te obrazki bardzo podobają, kupują je za drogie pieniądze i wieszają w złocistych ramach w swych pokojach.

Tamtego roku jeździł ten pan Tepa także po naszej ziemi i malował różnych ludzi, a namalowawszy dużo obrazków przywiózł z sobą prawdziwe śliczności, przeróżne malunki ludzi wiejskich z stron rozmaitych, z Rusi, z pod Krakowa i hen z pod gór karpackich, z pod naszych Tatr wysokich.

Wiecie pewnie, że w wielkich miastach dużo jest rozmaitego biedactwa, więcej pewno niż po wsiach. Jak nadejdzie zima, to to biedactwo ani w co się obuć, ani co jeść niema, a nawet na polanko drzewa mu nie staje. Otoż ten pan malarz Tepa, który jest bardzo miłosierny człowiek, tak sobie pomyślał:

— Ot chyba ja tak zrobię! Wezmę ja wszystkie moje obrazki i powywieszam w dużej izbie w ratuszu, i ogłoszę

gazetami, aby je ludzie oglądali. Kto będzie chciał oglądnąć, ten zapłaci dziesiątaczka, a te wszystkie dziesiątaczki pójdą na miejskich ubogich i na tych, co się w ostatniem polskiem powstaniu bili z Moskalami i zostali kalekami!

Jak pomyślał tak zrobił a wyraźnie Bóg natchnął tą myślą jego miłosierne serce! Jak się tylko dowiedzieli ludzie, że można oglądać za szóstaczka obrazy pana Tepy, wnet się hurmami cisnęli do ratusza. Sypały się szóstaczki jak groch i ot za lada cztery dni coś ze trzysta reńskich uzbierało się dla ubogich.

Poszedłem i ja do izby ratuszowej, zapłaciłem szóstaczka i oglądałem. Patrzę i patrzę i oczu oderwać nie mogę, takie tu są śliczne rzeczy, bo to na jednym obrazie namalowany jest jako staruszek ten sławny uczony polski Joachim Lelewel, o którym wam niedawno pisaliśmy, dalej znowu jenerał polski, Załuski, co służył jeszcze pod francuzkim cesarzem Napoleonem, a znowu dalej mnóstwo obrazków ludu wiejskiego w rozmaitych ubiorach z rozmaitych okolic, to sędziwych gazdów, to starych matek, to ślicznych urodziwych dziewoji, to chwackich parobczaków, to smukłych górali tatrzańskich!

— Miły Boże! — pomyślałem sobie — jaki też to piękny lud nasz wiejski i jak też to on dzielnie wygląda. Gdyby to odmalować naprzykład chłopa Szwaba, jakby on śmiesznie i niepokaźnie wyglądał przy naszym wieśniaku!

Był tam między temi obrazami także i obraz jednego wieśniaka krakowskiego, staruszka, dawnego wojaka polskiego, co jeszcze się bił za ojczyznę pod panem Kościuszką, a dotąd żyje sobie starowina pod Krakowem i ludziom opowiada o starych dziejach. Pan malarz Tepa umyślnie jeździł aż pod Kraków, aby odmalować tego starego kościuszkowskiego wojaka, a jeden hrabia lwowski zaraz sobie ten obrazek kupił za drogie pieniądze!

Aż mi się łzy z oczu puściły, kiedym się patrzył na obraz tego wojaka, bo to mi się zaraz przypomniał i pan naczelnik Kościuszko, i waleczny Bartek Głowacki, i chłopi kosyniery, co tak pokropili Moskali pod Racławicami! I powtórzyłem sobie piosenkę:

Nieprzywrócić co minęło, mój ty mocny Boże,
Pług przeorał ludzkie kości, a serca nie może!

Kiedym tak oglądał te prześliczne obrazki, wpadł mi także w oko obraz jednego wieśniaka ruskiego w słomianym kapeluszu, z torbą przez plecy, z krzyżykiem na piersiach, z kijem pielgrzymim w ręku i z kluczem u pasa. Przypatruję się ciekawie temu obrazkowi i zaraz poznaję, że to jakiś niezwykły wieśniak, bo mu to z twarzy pobożnej i mądrej już tak patrzało — ale nie mogłem się domyśleć, coby to był za jeden.

W tem na moje szczęście wchodzi do sali i sam pan malarz Tepa i wita się ze mną grzecznie, jak to już jego zwyczaj, że choćby i z najmizerniejszym chudziną, to zawsze uprzejmy i serdeczny. Ja też zaraz chwytam go za rękę i pytam:

— Panie mistrzu Franciszku, a kto też jest ten wieśniak z poważną twarzą i kluczem przy pasie, co go tu na tym obrazku namalowaliście?

A pan Franciszek Tepa na to:

— To jest sławny na całą swoją okolicę Mikołaj z Cybłowa.

— A co to za jeden, ten Mikołaj z Cybłowa? — pytam ja dalej.

— O! to cała historja z tym Mikołajem! — rzecze mi pan Franciszek — i począł mi opowiadać, a ja wam to wszystko tu powtarzam.

Niedaleko Żółkwi, tego miasta gdzie to jest sławny kościoł z grobami królewiczów Sobieskich, leży wioska Cybłów. Otoż w tej wiosce był ten Mikołaj zamożnym gospodarzem. Miał gruntu dosyć i chudoby — ale niedostawało mu cnoty i statku. Ożenił się, ale z żoną nie żył zgodnie i przykładnie; zawsze były kłótnie, zawsze bitki i obraza Boska. Przytem Mikołaj pił gorzałkę ogromnie, hulał dniem i nocą, a gospodarstwa nie pilnował. Nie dziw tedy, że mienie jego poszło marnie na pastwę żydów. Wkrótce umarła Mikołajowi i żona. Mikołaj już jako wdowiec hulał i próżnował dalej, aż stracił majątek do reszty. Ale na tem nie koniec; Mikołaj nabawił się choroby ciężkiej i obrzydliwej, tak, że mu się ciało psuć poczęło.

Straszna teraz była dola Mikołaja. Bez grosza, bez zdrowia, opuszczony był całkiem, bo ludzie stronili od niego i nikt mu dobrego słowa nawet nie dał. Tymczasem Mikołaj zapadał na zdrowiu coraz bardziej, a choć się ratował jak mógł, nic mu to nie pomagało. Lekarze w mieście mówili mu już nawet, że nigdy do zdrowia nie wróci.

W tym opłakanym stanie począł Mikołaj rozmyślać nad sobą. Przypomniały mu się nauki religijne, że Bóg nieraz zséła na grzeszników cierpienia i nieszczęścia straszne, aby się poprawili i wstąpili na drogę lepszego żywota. Wszedł w siebie Mikołaj, skruszyło mu się serce, począł żałować swojej rozpusty i gorszącego życia i począł modlić się gorąco do Boga, ślubując, że jeźli żyć dłużej będzie, to całe życie poświęci służbie Bożej i cnotliwym uczynkom.

Bóg nie opuszcza nikogo, nawet największych grzeszników, skoro się nawrócą i szczerze żałują — więc też i Mikołaja nie opuścił. Za pomocą Bożą ozdrowiał Mikołaj z niemocy i nabrał sił nowych. Z wdzięczności dla Stwórcy poprawił się Mikołaj zupełnie i jak to św. Paweł mówi, oblókł się zupełnie w nowego człowieka. Nikt go już teraz nie poznał. Z hulaki zrobił się człowiek poważny, z pijaka i rozpustnika pobożny chrześcianin.

Odtąd Mikołaj począł żyć cnotliwie i zupełnie oddał się religji. A odkąd zaczął rozmyślać nad sobą i poprawiać swe serce, dusza i umysł rozjaśniły mu się i oto począł składać rozmaite pieśni nabożne z własnej głowy i temi pieśniami czcił Wszechmocnego. Mnóstwo on takich pobożnych pieśni sam poskładał i wszędzie po dworach pańskich i chatach wieśniaczych głosił ludziom ku zbudowaniu i nauce.

Chodząc od wsi do wsi, od dworu do dworu, zbierał Mikołaj datki i postanowił z tych datków postawić kaplicę. I dopóty zbierał i zbierał, choć sam z czego żyć nie miał, aż uzbierał tyle, że wymurował w Cybłowie kaplicę prześliczną. Kiedy już tego dokazał, to znowu o głodzie i chłodzie zbierał dalej grosz do grosza od pobożnych ludzi, aby tę swoją kapliczkę ustroić i ozdobić pięknie i szykownie. Więc też zakupił piękne obrazy i światło, i lichtarze, i krucyfix, a wszystko to ze składek i jałmużny.

Kaplica ta jest zawsze pod opieką Mikołaja a on klucz od niej nosi przy sobie. Pamięta zaś o niej ciągle i w każdą niedzielę i w każde święto nanosi Mikołaj kwiatów do swej kapliczki i pozapala światło i sam się w niej modli i ludzie i podróżni mają gdzie westchnąć do Boga. Żyje ten Mikołaj ciągle i chodzi wszędy po okolicy i składa pieśni nabożne, a wszędzie mu radzi, bo jak dawniej, kiedy był rozpustnikiem i pijakiem, każdy nim pogardzał, tak teraz znowu każdy go szanuje i czci i kocha, jako człowieka cnotliwego i pobożnego. I sławny też on jest z swej pobożności na okolicę całą.

Zawsze on opowiada swoją historję ku nauce i przestrodze drugich i powiada, jaki to on był nędzarz dawniej, póki się nie poprawił, jak go gryzło sumienie, jaki był nieszczęśliwy okrutnie, a teraz kiedy się z Bogiem pojednał i cnotliwie żyje, jest szczęśliwy i wesoły, żadna go troska nie zasmuci i żadne mu cierpienie nie dolega.

Takto każdemu grzesznikowi otwartą jest droga do poprawy i szczęścia. Każdy grzesznik, choćby najzatwardzialszy, ma w życiu takie chwile, kiedy mu się sumienie odzywa, a cała sztuka w tem, aby zaraz usłuchać sumienia i pójść za jego głosem. Oby wszyscy pijacy, zdrożnicy i lekkomyślni ludzie szli za przykładem Mikołaja z Cybłowa!

Wojtek ze Smolnicy.

II.

Wierny sługa.

Pamiętnym jest w historji naszego kraju rok 1683, kiedy Jan Sobieski król polski na czele trzydziesto-tysięcznego dobranego rycerstwa, podążył na odsiecz miasta Wiednia, oblężonego przez Turków.

Do tej rycerskiej wyprawy biegła z ochotą młodzież, jednoczyła się sercem jakby dzieci z ojcem, z ukochanym swoim królem, i spieszyła z obroną w sprawie uciśnionych chrześcian.

Pomiędzy ochotnikami znajdował się także młody książę Lubomirski, mając obok siebie sługę, Pawła Kostrzewskiego.

Kostrzewski pożegnawszy żonę i troje małych dziatek, z chęcią podążył za swoim panem, wypełniając najsumienniej obowiązki sługi, kuchmistrza a nawet koniuszego i na krok nie odstępując księcia.

Nadszedł dzień bitwy. Książę Lubomirski, wówczas chorąży, na czele swojego pułku już w kilku bitwach odznaczył się mężnie, i dziś oczekiwał tylko hasła do boju, a obok niego stał tuż na swym koniu Paweł Kostrzewski.

Pół godziny nie upłynęło, gdy przybył król — powitał rycerzy jak ojciec swoje dzieci i zawołał: Bracia najprzód Bogu cześć, a potem rękę z szablą naprzód — musimy dzisiaj zakończyć te matackie tańce i wracać do siebie.

— Niech żyje król nasz! — ozwał się głos trzydziestotysięcznego rycerstwa jakby z jednej piersi wydobyty, i za chwilę dano znak do boju.

Zagrały trąby, szykują się roty, wzniosły się piasku tumany od pędzących na koniach rycerzy — wnet powstała bitwa: szczęk szabel, świst kul, huk dział, jęki rannych i ginących z obu stron. Wijące się dymy gęstemi kłęby zasłoniły słońce, co w purpurowym odblasku drgało światłem, przezierając czasem z poza domów białych.

Zacięta była walka przez kilka godzin — wiele odznaczających się męztwem poległo, a jeszcze zwycięztwo na żadną nie przechylało się stronę. Młody książę Lubomirski spostrzegłszy jakiś groźny nacisk, zagrzany męztwem krzyknął: za mną wiara! Uderzyli rycerze, rozbili wprawdzie nieprzebyty mur ustawiony z wrogów, połamali porządek, lecz Lubomirski nie mogąc powstrzymać rozpędzonego konia, wpadł sam jeden w środek tysięcy nieprzyjaciół; ze wszech stron oskoczony, torując sobie mieczem drogę i ratując życie, utracił konia i byłby nieochybnie śmierć poniósł. Lecz w tej chwili wierny koniuszy Paweł Kostrzewski choć w zamięszaniu ogólnem i przy ciągłej uwijatyce z Turkami, ujrzawszy księcia w niebezpieczeństwie, wpadł między wrogów, dostał się aż do Lubomirskiego, a zeskoczywszy z swego konia, dając go księciu, zawołał: Na koń i dalej do swoich mości książę, a ja tu miejsce twoje zastąpię!

Z rozrzewnieniem spojrzał Lubomirski na wiernego koniuszego, i odrzekł: nie przyjmuję od ciebie tej ofiary; masz żonę i dzieci, żyj dla nich.

— Na Boga książę zaklinam cię, nie trać ani chwili czasu; ja spełniam powinność serca, wdzięczność tylko! — i domawiając tych słów, porwał w pół księcia, wsadził na koń, dając bodźca biegunowi. Koń rozdrażniony, tęskniący do swoich, dzielny, jakby czuł, że niesie rycerza użytecznego ojczyźnie, poleciał jak strzała i Lubomirski wśród okrzyków towarzyszy i swego pułku wrócił od nieprzyjaciół, otrzymawszy zaledwie kilka cięć pałaszowych.

Choć przywitany serdecznie tysiącznemi okrzykami, nie czuł się jednak szczęśliwym tyle, jak należało. Na młodzieńczem jego obliczu malowała się jakby boleść, że przyjął poświęcenie wiernego sługi, mającego żonę i dzieci.

Bitwa z południem się skończyła; widocznie Bóg spojrzał na walczących za wiarę i swobodę uciśnionych, uczynił ich zwycięzcami i oswobodzicielami Wiednia. Z radością też wszystek naród biegł na powitanie króla i jego rycerzy, zdawało się, że miasto Wiedeń nowo odrodziło się i wzrosło życiem pełnem wiary i nadziei. Najznakomitsze dziewice słały kwiaty po drodze jadącym zwycięzcom. Szczęście było zbyt wielkie, bo Turków w połowie na miazgę pobito, reszta pierzchła, a nie żądano nawet nagrody za tę pomoc prawdziwie chrześciańską.

Gdy tak dzwonią pieśni dziękczynne i wesele powszechne, jeden tylko książę Lubomirski, pomimo że otrzymał stopień dowódzcy za odwagę, nie mógł się pojednać z tą wesołością ogólną, bo myślał ciągle o Pawle Kostrzewskim, dowiadywał się o nim wszędzie, ale daremnie. Wierny koniuszy poniósł śmierć, która jego pana spotkać miała.

Za powrotem rycerzy z pod Wiednia, książę Lubomirski uwiadomił żonę i dzieci o śmierci Pawła Kostrzewskiego, udarował ich sowitą nagrodą, która podniosła rodzinę zmarłego do dobrego bytu i zamożności, a stawiając na cmentarzu w swej parafji pomnik Pawłowi Kostrzewskiemu, umieścił na nim napis:

Książę Lubomirski
Przyjacielowi wiernemu,
Pawłowi Kostrzewskiemu,
Co poniósł śmierć za niego, pod Wiedniem w r. 1683,
Stawię tę z serca Pamiątkę.

Po upływie wielu lat, gdy książę Lubomirski, starzec sędziwy, otoczony liczną rodziną opowiadał często swoją wyprawę pod Wiedniem, z łzą w oku wspominał zawsze Pawła Kostrzewskiego, mówiąc:

— Wierny sługa jest najlepszym przyjacielem w każdej potrzebie; doznałem tego na moim Pawle Kostrzewskim!

A potem?

Większa połowa ludzi na świecie nie troszczy się nigdy o jutro, jeno żyje z dnia na dzień. Nie myślą, co ich czeka na przyszłość, a tem mniej, co ich czeka po śmierci, byle tylko życie spędzić wesoło i wygodnie. Są tacy ludzie, którzy zapominają, że życie nie jest wieczne i że przyjdzie chwila, w której trzeba się będzie pożegnać z tym światem. Tacy ludzie zawsze o wszystko dbają, co do ziemskiego życia należy, ale nie troszczą się o wieczność i o duszę swą nieśmiertelną. A tymczasem śmierć ich zaskoczy nieprzygotowanych i schodzą z tej ziemi bez cnót, bez Boga, bez dobrych uczynków.

W pewnem mieście żyło uczciwe małżeństwo, które miało syna jedynaka. Ten syn był już studentem w wyższych szkołach i uczył się bardzo pilnie i dobrze. Ale rodziców to nie ze wszystkiem cieszyło, bo widzieli, że syn ich myśli tylko o honorach i dostojeństwach, że popada w wielką dumę i dla mocnego honoru zapomina o Bogu, o miłosierdziu i o obowiązkach chrześcijańskich.

Dowiedział się o tem proboszcz tego miasteczka, pobożny i cnotliwy kapłan staruszek i razu jednego zaprosił do siebie hardego studenta na rozmowę.

— Co teraz czynić zamyślasz? — zapytał go pleban staruszek.

— Ukończę szkoły — odpowieda student.

— A potem? — pyta dalej kapłan.

— Potem wstąpię do urzędu.

— A potem?

— Potem będę zadziwiał ludzi moim rozumem i zdolnościami i pozyskam sobie sławę.

— A potem?

— Potem dadzą mi wysoki urząd i będę wielkim panem i dostojnikiem.

— A potem?

— Potem zebrawszy honory i pieniądze będę żył spokojnie i wygodnie w starości.

— A potem? — pyta dalej kapłan.

— Potem.. potem — począł się jąkać student — potem umrę.

— A potem?

Młodzieniec nic na to odpowiedzieć nie umiał, ale to słowo „a potem" przejęło go do głębi serca. Zamyślił się i pojął, że człowiek nie tylko o byt doczesny ale i wieczny dbać powinien i że ani nauka ani zaszczyty nie powinny człowieka wzbijać w dumę. Od tego czasu poprawił się ów student — uczył się tak pilnie jak wprzódy, ale serce jego było skromniejsze i pobożniejsze. Nie żałował też tego, bo go w życiu nie minęły ani zaszczyty ani szczęście prawdziwe.

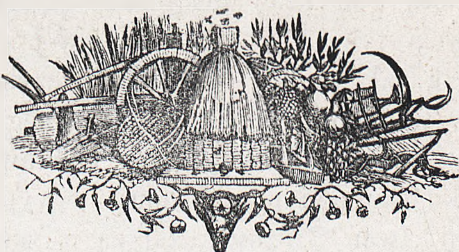
Przypowieści.

Niechaj cudze cierpienie śmiechu nie wywodzi.
Chcesz li komu dopomódz, niechaj chęć nie zwleka,
Wszak wiesz, że nieszczęście jedną drogą chodzi,
Co jego dziś spotkało, ciebie jutro czeka.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XVI. Nr. 2.
11. stycznia 1867.





Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Okrutnik moskiewski.

Słyszeliście pewnie nieraz, jak to bezbożnie i ciężko uciskają Moskale tę część polskiej ziemi, która jest pod ich panowaniem Tysiące Polaków prawych i cnotliwych zgniło tam w ciemnych lochach i więzieniach, tysiące rozstrzelano lub powywieszano na szubienicach, a znowu niezliczoną ich ilość wysłano i wysełają w kraj zimny i lodowaty, w którym prawie słonko Boże nie świeci, ale zawsze tylko sroga, mroźna zima panuje, to jest na Sybir! A za cóż katowano tam biednych Polaków, za co zgładzano ich śmiercią okrutną? Oto za to, że kochali swoją ojczyznę i wiarę ojców swoich!

Otoż widzicie nie od dziś to w Moskwie panuje takie okrucieństwo. Opowiemy wam o jednym carze moskiewskim, co żył wtedy, kiedy w Polsce rządził król Zygmunt August a potem Stefan Batory. Car ten nazywał się Iwan Groźny, a to z tego powodu, że był dziki i zajadły jak zwierz krwawy. Okropne są zbrodnie tego okrutnika, na sam opis włosy stawają na głowie i serce ludzkie się oburza! Opiszemy wam tu niektóre z jego strasznych czynów.

Iwan Groźny wstąpiwszy na tron moskiewski, zaczaił się i udawał jakiś czas dobrotliwego monarchę, ale naraz począł jak wściekły mordować swój lud, katować niewinnych i pastwić się nad wszystkimi bez najmniejszej przyczyny. Zaczął od tego, że nakazał wielką rzeź ludu, czyli tak zwane po moskiewsku *opały*. Jednego starego i pobożnego xięcia, że nie chciał raz tańczyć na balu, który Iwan wyprawiał, a to z tego powodu, że jako starcowi poważnemu nie wypadało mu jakoś hulać z młodymi, Iwan Groźny kazał za to zamordować. Inny xiążę nie chciał pić trunków nad miarę i za to skazał go Iwan na śmierć okrutną. Kazał związać nieszczęśliwego i lać mu przez lejek do gęby miód dopóty, dopóki się nie udusił. Innego znowu rzucił do lochu podziemnego i zamorzył go na śmierć głodem. Mnóstwo wtenczas panów moskiewskich wyginęło okrutną śmiercią na rozkaz dzikiego Iwana. Ci, którzy mogli, ratowali się ucieczką do Polski, w której zawsze była wolność i ludzkość, i udawali się pod miłosierną opiekę króla polskiego

Między innemi okrutnemi zwyczajami miał Iwan Groźny i taki. Oto miał on laskę z słoniowej kości, a laska ta okuta była żelazem i wyostrzona tak, jakby gwódź duży. Kiedy który z poddanych stawać musiał przed nim, wtedy on wpychał mu tę laskę w nogę, dziurawił ją na wskróś i wiercił w kościach tym gwoździem, a przytem patrzył na twarz tego nieszczęśliwego. Gdy ten, którego tak okrutnie ranił, zrobił twarzą znak bolu, zaraz kazał go brać siepaczom, męczyć jeszcze w okrutniejszy sposób i potem zamordować.

Podczas pierwszej rzezi czyli tak zwanych opałów, kazał. Iwan Groźny wymordować 300 ludzi.

Myślałby kto, że tem się jego krwawa wściekłość już uspokoiła. Gdzie tam! oto wybudował on sobie zamek w dzikim gęstym lesie, zebrał sobie kilka tysięcy rabusiów i nazwał ich *strelicami*, to jest po naszemu strzelcami, a to dla tego, że mieli na ludzi polować Z tymi rozbójnikami wypadał Iwan Groźny od czasu do czasu jak zwierz rozwścieczony z ciemnych lasów i mordował dalej lud niewinny.

Tym swoim strzelcom dał Iwan Groźny chorągiew, a na tej chorągwi namalowana była psia głowa i miotła, a to na

znak, aby gryźli niewinnych jak psy i aby jak miotłą wymiatali lud biedny z tego świata. Jakoż ci rozbójnicy na rozkaz cara jakby dla zabawki wypędzali biednych chłopów z ich chat i roli, gonili ich w lasy i puszcze i pilnowali, aby tam z głodu i zimna ginęli. Tym sposobem wypędził Iwan Groźny w lasy dwanaście tysięcy ludzi i ci wszyscy zginęli od głodu i zimna.

Potem znowu inna myśl przyszła do głowy strasznemu temu okrutnikowi. Zebrał 300 co najbezbożniejszych rabusiów i złoczyńców i poprzebierał ich w duchowne szaty, jakby zakonników. Zaraz z tymi łotrami, poprzebieranemi za xięży jakby na urągowisko Bogu, zaczął nowe mordy. Codziennie mordowano po 20 ludzi i to w najstraszniejszy sposób. Jednych siekano żywcem w drobne kawałki, drugich smażono i smolono, innym znowu zapuszczano gwoździe za paznogcie itd. Niedość było ludzi, nawet zwierzęta zabijał Iwan Groźny, gdziekolwiek co przydybał. W końcu jeszcze okrutniejsze myśli opanowały dzikiego Iwana i zebrawszy swe wojsko, wybrał się mordować i palić miasta własnych swoich poddanych. Najpierw spalił i wyrznął całe miasto Klin, potem wymordował mieszkańców miasta Twer. Następnie przyszedł do miasta Nowogrodu, kazał obstawić straże do koła, aby nikt nie uciekł, wymordował xięży, mieszczan i lud ubogi, pozwalając na najokrutniejsze pastwienie się nad nieszczęśliwymi. W tem mieście Nowogrodzie zatrzymał się z swem łotrowskiem wojskiem Iwan Groźny i zapowiedział, że będzie sądzić lud. I taki to był sąd, że codziennie po pięćset ludzi niewinnych kazał mordować! Żeby prędzej skończyć, rzucano biednych do wody i hurtem ich zatapiano, a żołnierze żerdziami i widłami pchali pod wodę tych, co chcieli wypłynąć. Sam zaś Iwan był zawsze obecny wraz z swym synem podczas tych strasznych morderstw. Przez pięć tygodni mordowano tak lud w Nowogrodzie i wymordowano przez ten czas razem sto tysięcy ludzi!

Kiedy już nie było kogo mordować więcej, poszedł car Iwan Groźny dalej! Wymyślał coraz nowe okrucieństwa. Rzucał ludzi do pożarcia trzymanym na to umyślnie wilkom i niedźwiedziom. Potem pobudował umyślnie kuźnie wielkie, w których

kowale nic nie robili, tylko kleszcze, haki i gwoździe do katowania ludzi. Kazał także wymurować osobne ogromne piece do palenia ludzi żywcem. Wielu niewinnych biedaków kazał ten straszny okrutnik odzierać żywcem ze skóry, piłować sznurem na połowę, albo ucinać powoli członek po członku. Lud biedny błagał Boga o ratunek i ginął — a tymczasem Iwan Groźny pił, hulał i rozpustował.

Potem po raz trzeci, czwarty, piąty i szósty nakazał rzeź w narodzie. I znowu ginęło tysiące ludzi wszelkiego stanu, mieszczan i chłopów. Razu jednego wystawił Iwan Groźny na polu szubienicę i postawił kotły z wodą, ogłaszając że będzie wieszał i topił ludzi — co też i uczynił, wywlekając z domów nieszczęsne ofiary. Największą rozrywką Iwana Groźnego było trzymać sobie niedźwiedzie, uczone umyślnie do polowania na ludzi. Kiedy widział, że szła gromada wieśniaków, wypuszczał na nich niedźwiedzi i szczuł niemi, dopóki nie pozagryzały niewinnych. Nieraz znowu kazał zaszywać ludzi żywcem w skórę niedźwiedzią i rzucał między psy zajadłe, które rozszarpywały ich na kawałki.

Otoż widzicie, takich miała Moskwa carów! Czy możecie sobie wystawić większego okrutnika, łotra i krwiożercę, jak ten car Iwan Groźny! Ale przyszła kryska na Matyska. Była i wówczas sprawiedliwość na świecie i był Bóg na niebie. A wybrał sobie Bóg za narzędzie do pokarania Iwana Groźnego naród polski, który zawsze był miłosierny i pobożny i jego królów, którzy byli zawsze ojcami dobrotliwymi dla swych poddanych.

Kiedy w Moskwie wyprawiał car Iwan takie okropne okrucieństwa, kiedy tam działy się rozboje, gwałty i niewola, i nikt nie był pewny swojego życia — to tymczasem w Polsce panowały porządek, ludzkość, spokój i wolność. Rządził podówczas w Polsce naszej król Stefan Batory, monarcha dzielny i śmiały, król nad króle, którego Polacy nigdy nie zapomną! Gdyby to takich królów było więcej w naszej Polsce, lub gdyby przynajmniej sam ten król Stefan żył był dłużej, oj! nie bylibyśmy my biedni Polacy dziś w takiej niedoli!

Ale wracam do mego opowiadania. Otoż król polski widząc gwałty i mordy Iwana, a spostrzegając także, że on czycha na wolność innych narodów i dla Polski też jest wrogiem nienawistnym, postanowił wyprawić się na tego okrutnika i pokarać go za jego zbrodnie i bezbożności. Zebrał tedy wojsko i niedługo czekając poszedł na Moskwę. Król Batory mógł na prędce zebrać tylko czterdzieści tysięcy żołnierza a tymczasem Iwan Groźny pospędzał z jakich trzysta tysięcy Moskali na wojnę — ale się nie troskał nasz król Batory, bo wiedział, że choć mniej ma wojska, to przecież Moskala rozumu nauczy.

Wojsko moskiewskie wpadło tymczasem z wielką siłą do kraju inflandzkiego. Ze strony polskiej rozpoczął pierwszy wojnę xiążę Andrzej Sapieha. Miał on pod swojem dowództwem zaledwie dwa tysiący wojska, a mimo to rzucił się pod miastem Wenden na Moskali, których tam było dziesięć razy więcej. Polacy jak uderzyli piorunem na Moskalów, w proch ich rozbili i do szczętu całe wojsko znieśli.

Iwan Groźny zrazu niby nie tracił odwagi i srożył się jeno i przechwalał mówiąc, że króla polskiego wnet zwycięży i upokorzy. Król Batory śmiał się z tych pogróżek okrutnego Moskala, a raz gdy mu się to sprzykrzyło, napisał list do cara, że kiedy taki zuch wielki, to niechaj nawet stanie z nim do pojedynku i niech się z nim sam na sam bije na szable. Oto taki list napisał król Batory do Iwana Groźnego:

„Ale ukaż się nam nakoniec ty Boże moskiewski, jak tam każesz siebie nazywać podłym swym niewolnikom! Nie widzieliśmy dotąd ani twej osoby, ani twej chorągwi, o której ciągle nam prawisz. Chorągiew twoja straszy tylko Moskali a nie nas Polaków! Jeżeli istotnie chcesz oszczędzić krew chrześciańską, człowiecze niby litościwy, dzielny rycerzu Iwanie, gotów jestem rozprawić się z tobą sam na sam. Wybierz sobie czas i miejsce, przybądź konno, a zakończym rzecz pojedynkiem!“

Tak to waleczny król polski Batory pisał do Iwana. Ale Iwan miał tylko odwagę do mordowania i katowania bezbronnych poddanych, a gdzie chodziło o własną jego skórę, to tchórz był wielki i bał się szabli jak baba. Więc też nie wy-

jechał na pojedynek, jakoby był powinien, gdyby był miał odwagę w sercu.

Tymczasem Batory ruszył z wojskiem w kraje moskiewskie i ciągle szedł naprzód jako zwycięzca, bijąc i rozpędzając wojska moskiewskie. Było to właśnie w r. 1579. Król Stefan przyszedł pod moskiewską fortecę Połock. Tam się ogromna mnogość Moskali zamknęła, i chcieli bronić się w murach, ale to nic nie pomogło. Wnet wojownicy polscy zdobyli połocką twierdzę. W tej to okazji odznaczył się walecznością pewien kmieć, co się zwał Walenty Wąs. Ten dzielny chłop Walenty Wąs, choć mu kula rękę zgruchotała, pierwszy wdarł się w mury fortecy i ogień w nią podrzucił. Za to został szlachcicem, a król mu dał w darze dwadzieścia łanów pola i nadał mu nazwisko Połotyński, a to od miasta Połocka.

Z pod Połocka poszedł król Stefan na drugą moskiewską fortecę, która się zwała Wielkie Łuki. Przysłał car Iwan tej fortecy huk wojska na pomoc, ale król Batory wojsko pobił i na wszystkie cztery strony rozpędził a fortecę szturmem zdobył. Przy tym szturmie znowu bardzo się wyszczególnił inny wieśniak polski, Grześ Wieloch z Miastkowa, który nie dbając na kule moskiewskie — podpalił był jeden parkan pod samemi murami fortecy, czem wielką szkodę Moskalom a wielki pożytek swoim sprawił. Za ten czyn waleczny zaraz na miejscu król Stefan zrobił tego dzielnego wieśniaka szlachcicem i panem.

Kiedy tak król Stefan bije Moskali i zabiera miasta, inni wodzowie Polacy też nie próżnują, ale odnoszą zwycięztwo po zwycieztwie i tłuką wroga na wsze boki. Teraz dopiero trach wielki ogarnął Iwana Groźnego! Poznał, że to nie przelewki bić się z Polakami. Przeląkł się okrutnie i jak dawniej przechwalał się i groził, tak teraz słał pokorne pisania do Batorego, prosząc o pokój. Ale król Stefan nie chciał na to przystać.

Cóż tedy robi Iwan Groźny? Oto fałszywiec wziął się do chytrych wykrętów i oszustwa i pisze błagalne pisanie do samego Ojca świętego, że on nie chce, aby się krew chrześciańska przelewała i prosi, aby się Ojciec św. wstawił za nim u króla polskiego. Za to zaś obiecywał Ojcu św., że jak mu

spokój u króla polskiego wyrobi, to on za to z moskiewskiej heretyckiej wiary przejdzie na katolicką z całym swym narodem.

Papież świątobliwy uwierzył, choć to widoczne było oszustwo, i posłał do króla Stefana i jak zaczął prosić i nalegać, tak król Stefan dał się uprosić i pokój zawarł z Iwanem Grożnym. W tej zgodzie musiał car Iwan Grożny odstąpić Polakom cały kraj Inflanty, fortecę Połock, ze sto miast rozmaitych i osiemdziesiąt zamków obronnych. A byłby jeszcze więcej stracił, gdyby nie prośba Ojca św., który wnet tego żałował, że za nim prosił, bo Iwan Grożny ani myślał dotrzymać tego co przyrzekł, a Moskwa jak była heretycką, tak nią jest i po dziś dzień.

Taka jest historja tej wojny z Moskalami. A cóż potem porabiał Iwan Grożny? Mordował i zabijał jak dawniej, ożenił się po raz ósmy i własnego syna zamordował, rozbiwszy mu głowę swą laską. Otoż wiecie teraz co to za cary byli w Moskwie i jaka to różnica, jak niebo między ziemią, jest między pobożną Polską a dziką i okrutną Moskwą!

Wojtek ze Smolnicy.

Przechadzka wieczorna.

Dzień rumiany spuścił oczy,
Cień kwitnące krzewy mroczy,
Po wsi ścigają się dziatki,
Niosąc jagody i kwiatki.

Tam pasterka w głębi sioła
Błędne krówki na noc woła,
Słońce za lasy odchodzi,
Bramy złocone odwodzi.

Koń opuszcza złote łany
Wraca miedzą popętany,
Grusze co w polu się bielą,
Długi ku drodze cień ścielą

Już zaporą skrzypła chatka
Gdzie przy dziatwie sama matka,
Skowronek zniża się w łany,
Żegnając dzień przespiewany.

Na głos dzwonka wstał ubogi,
Który siedział koło drogi,
Nucąc nabożnie przez gaje,
Na spoczynek się udaje.

Na kościółku krzyż blaszany
Błyszczy blaskiem zórz oblany,
Ptaszki ruszyły się z wieży,
Zkąd wołanie dzwonek szerzy.

Z pola idąc z wiązką siana
Pada matka na kolana,
Z dzwonkiem pod nieba sklepienie,
Marji szle pozdrowienie.

Na pagórku po nad łany
Stoi prosty krzyż drewniany.
Na nim w cierniowej koronie
Zbawca świata schylił skronie.

Tam pobożnych ojców dziatki
Ustawiły w dzbankach kwiatki,
Pod nim okropna mogiła
Grób samobójcy przykryła.

Od przechodniów w noc stroniona
Choinami przywalona —
Człowiek z wiarą poważniony
Szukał w śmierci tu ochrony.

Nie chciał w smutku ufać Bogu
Nie spi przy kościółka progu,
W nocy bez pieśni kapłana
Jego mogiła sypana!

Wiatry tylko między skały
Między bory zaszumiały,
Kiędy na ziemię rzucona
Biedna płakała go żona...

Kazimierz Brodziński.

Dokąd prowadzi nauka z cnotą *).

Opowiedział Tadeusz Korwin.

I.

Dwaj przyjaciele.

W części Podola, którą ograniczyła kręto się wijąca sina wstęga Dniestru i wpadająca weń mętna Strypa — leży wieś Nadstrypie. Położona u brzegów tej rzeki, od której wzięła nazwę, szeroko rozłożyła się na uboczy – umajonej u wierzchołku cienistym lasem. Na jednym krańcu wioski rozsiadły się przestronno zabudowania dworskie, w około obsadzone smukłemi topolami, na drugim sterczą krzyże starodawnej cerkwi.

Snać czarna ziemia obficie rodzi, bo koło każdej prawie chaty widne brogi i sterty rozmaitego zboża.

Słońce miało się już z południa. Ulicą wiodącą ku cerkwi szło dwóch wiejskich chłopaków.

Pierwszy miał jasne włosy, a niebieskie jego oko smutnie jakoś poglądało; drugi, włosów i oczu czarnych był buńdziuczny i wesoły. Na jednego twarzy malowała się dobroduszność i rozwaga — u drugiego spryt i lekkomyślność.

*) Ta powieść wzięta jest z życia ludu ruskiego, co jest także poczciwym ludem polskim, a te imiona, które się niejednemu Mazurowi dziwnie wydadzą, są to imiona używane na Rusi.

Widocznie równi byli wiekiem, a książki, które gnietli pod pachami okazywały cel ich przechadzki. Idąc rozmawiali.

— Zgadnij Semeńku, co za nowina u nas? — pytał Iwaś o czarnych włosach.

— Może Kaśkę waszą wydają za mąż starsi?

— Ej gdzie tam!

— To może wasza siwula się ocieliła?

— Nie.

— To już i nie wiem, co u was ma być nowego, mój Iwasiu!

— Oto dziaduś...

— Czekaj, czekaj, hołubku! — przerwał mu Semeńko. — Ja zgadnę, pewno dziaduś jadą do Wiednia o ten proces z panem.

— Otoż i teraz nie odgadłeś mądralu; jadą dziaduś, ale nie do Wiednia, lecz do Buczacza tylko i biorą mię z sobą.

— Ciebie, Iwasiu?

— Ta mnie, bo dziaduś z matulą uradzili, by mnie do szkół oddać do xx. Bazyljanów, abym się rozumu uczył. O bo dziaduś mówią, że dzisiaj, to trza mieć rozum, aby się nie dać ocyganić ni panu, ni żydowi, a umieć każdemu postawić się siekierką

— Ot pleciesz Iwasiu, kiedy kto spokojny a uczciwy — mówili mój tatusio, to i bez tego będzie mu dobrze, a ludzie poszanują. Ale mieć rozum — powiada xiądz proboszcz — toć wielkie szczęście, więc i ja radbym pójść do szkoły — lecz gdzie nam myśleć o tem, u was to co innego, jest zboże i dobytek — u nas...

— Co tam wiele rozprawiać — przerwał mu Iwaś — jakbyś starszych poprosił, to by się może i zrobiło, a we dwóch byłoby jakoś raźniej między cudzymi.

Właśnie mijali cerkiew. Semeńko z pokorą zdjął kapelusz i krzyżem świętym naznaczył piersi. Iwaś jakby od niechcenia a ze zwyczaju kiwnął czapką.

— A wiesz ty Semeńku, że miasto to nie wioszczyna nasza, tam się człek napatrzy na rozmaite dziwa, a żydom napłata figli co niemiara. Ot jedź, jedź ze mną!

— Już to mnie nie trzebaby wiele namawiać, ale jak tatuś nie pozwolą?

— Oj pozwolą, pozwolą! Jak pójdziem oba, a będziem prosić, a prosić, to i pozwolą, choć się niby nasrożą.

— Daj Boże! — dokończył z westchnieniem Semeńko, bo w tej chwili stanęli u progu chaty, w której wrzało, jak w ulu. W tem zadzwięczał dzwonek, naraz ucichła wrzawa, a z przyległej stancyjki wszedł nauczyciel, aby rozpocząć naukę.

Więc nie będziemy im przeszkadzać.

II.

Rodzice Semeńka.

Był wieczór. Na przyzbie pod chatą siedział gospodarz, człek miernego wzrostu, szerokich ramion, a roztropnej i poczciwej twarzy. Z miski, którą co tylko przyniosła mu żona, zajadał kartofle z maślanką.

Dzień cały pracował ciężko, więc jadł smaczno. Praca to najlepsza do strawy omasta.

Obok u płota dziewczę doiło jedynaką krowę, a znajomy nam Semeńko podawał jej po garstce pokrzyw i trawy, które ona chwytała skwapliwie.

Na całem obejściu widne były ubóstwo i porządek. Jeden tylko stożek zboża stał na podwórku, a chata choć stareńka ze strzechą mchem obrosłą, miała ściany wybielone jaśniutko, szyby wytarte czysto i komin nad dachem sterczący.

Obok stał chlew, zapewne mieszkanie krówki, która żywiła całą rodzinę i maleńka stodółka. Więcej nie było budynków.

Gospodarz Hnat, tak było mu na imię, jeść skończył, otarł usta rękawem koszuli i przeżegnał się dziękując Bogu za jego dary.

Kobieta resztę wieczerzy dała dzieciom, a w dodatku ukroiła im kromkę czarnego żytnego chleba. Chłopiec i dziewczyna z miską i chlebem weszli do chaty.

Hnat powstał z przyzby, przeciągnął ramiona, aż wszystkie stawy chrząknęły i ziewnął szeroko.

— Oj namordowałeś się biedaku, namordował! — rzekła Hafja, bo tak się nazywała żona.

— Ta jużci, bom skosił za dobry sznur pańskiej hreczki. a hreczka, jak szuwar, tak się udała.

— Chwała Bogu, niech się im rodzi, bo to z kościami poczciwi ci nasi państwo.

— Prawda, święta prawda Hafjo! — niech tam inni szczekają sobie, to uczciwe ludziska, niejednego poratują: chorego lekami, biednego strawą, głupiego radą! Ale po pracy czas spocząć, a na rozhowor coś mi nie składno. Dobra noc wam Hafjo!

— Dobra noc mój serdeńku!

I Hnat poszedł do stodółki, odmawiając wieczorne pacierze.

III.

Narady.

Ledwie Hnat wszedł do stodoły, Semeńko wyśliznął się z chaty i przybiegł do matki.

— Czy słyszeliście matulo, stary Hawryło — i palcem wskazał na przeciwną chatę — oddają Iwasia do szkoły do Buczacza?

— Słyszałam synaczku — odrzekła Hafja gładząc chłopaka po rumianej twarzy — tak słyszałam. Choć Naści to nie w głowie, lecz staremu ułożyło się uczyć wnuka, więc posyłają go.

— A ja matulo? — pytał chłopak.

— Oj synku, oni bogaci, ich stać na to! Hawryło ruble garncem mierzy. Patrzaj, co u nich chleba, stożków, jak gwiazd na pogodnem niebie! Gdzie nam do nich!

— Ależ matuniu, pan profesor mówił — że i w mieście są poczciwi ludzie, co biednemu dopomogą. Ot byle na początek kilka cwancygierów!

— Dobrze ci mówić kilka cwancygierów! Gdzie to znaleść u biednego? Co człek zapracuje, ledwie na sól i przyodziewek starczy!

— Oj matulu, jabym tak się chciał uczyć! — prosił dalej Semeńko.

— Toć i ja radabym, abyś miał rozum, ale trudno. Muru głową nie przebije.

— A gdyby się poradzić państwa? — dorzucił chłopak. — Oni swą mądrą głową możeby znaleźli jaki sposób?

— Ktoby się też wiecznie im naprzykrzał! I oni mają swoje kłopoty! Ot i tak nie dawno chodziłam za lekami dla naszej Doci.

— Ale oni tacy dobrzy, oni nie wypędzą nigdy biednego człowieka. A jak pogadają z xiędzem proboszczem, to może się i zrobi, że pójdę do szkoły. Idźcie do nich jutro, matusiu, idźcie! — prosił chłopczyna i całował matkę w kolana.

— A tatusio? — spytała Hafja.

— Tatunio, i na to słowo Semeńko poskrobał się w głowę. — Oj prawda matulu, tatunio nie radzi, by chłop był uczonym, oni mówią, że innym trzeba rozumu, a nam Boga w sercu.

— Ale wiecie co matusiu — mówił dalej — jak nasz pan zechce, to go namówią, boć oni w słowa pańskie wierzą jak w świętą Ewanielję, a jak dorzucą słówko i xiądz proboszcz i pan profesor, to go taki na swoje przerobią. A już tak się będę uczył, że aż mi oczy zapuchną!

— Panie odpuść, durny chłopak! Daj go na to do szkoły, aby jeszcze oślepł, uchowaj Boże!

— Oj pozwólcie matusiu, matusieńko!

I długo jeszcze Semeńko prosił matkę i nie poszedł spać aż wtedy, gdy mu obiecała pójść nazajutrz rano do dworu po radę.

Gdy obok ojca usnął na twardej żytniej słomie, marzyło mu się o Buczaczu, książkach i Iwasiu. (Ciąg dalszy nast.)

Jeszcze o Mikołaju z Cybłowa.

Pisaliśmy wam w zeszłym numerze o Mikołaju z Cybłowa — a teraz to takie o nim odebraliśmy pisanie:

Rok temu mija właśnie jak był u mnie gościną ów znany po całym kraju z gładkich wierszyków, pobożny, zacny chłopek, Mikołaj z Cybłowa. Pokój jakiś święty i miły zawitał z nim w moje ściany, taki to dziwnie czysty i mądry prostaczek. W czarnej świcie, z skórzaną torbą przez plecy, gdzie ma swoje

wiersze, obrazki święte i krzyż drewniany, z uśmiechem słodyczy na ustach, obszedł on o proszonym chlebie większą część naszej ziemi, i zna go ta ziemia i rada mu sercem u Mazurów i u Rusinów i błogosławi kroki jego — a on idzie błogosławiąc jej groby, jej dawne dzieje, jej krwawe pamiątki, jej cudowne krzyże, jej lud biały — idzie płacząc nad złem co się rozkorzeniło po tym kraju, nad jego grzechami i smutkiem, idzie wyciągając ramiona do braci w siermiędze i do braci w pałacach, chcąc ich w swoim uścisku połączyć, idzie modląc się gorąco — a wierząc gorąco i co krok spotykając cuda Bożej miłości i łaski, o których ani się śniło ludziom niemającej takiej wiary, takiej czystości żywota.

Przed dwunastą laty dopiero Mikołaj dawno już owdowiały i straciwszy dziecię i maleńkie mienie, po długiej i ciężkiej chorobie wstał innym człowiekiem. Opowiada ze łzami, że Bóg z nim cud uczynił i wtedy dał mu osobliwy dar składania wierszy, aby go użył na chwałę Boską i pożytek ludzi — i od tego czasu umiłował Boga bardzo gorąco — postanowił żyć świątobliwie i miewa dziwne z Bogiem duszne rozmowy, sny i widzenia; a wszystkie niewinne jak u dziecięcia; Mikołaj nie wie o własnej mądrości, pełen jest rozrzewniającej prostoty i jakiejś wewnętrznej łaski, która go oświeca w wielu rzeczach, chociaż nie umie czytać, nie wie o żadnej nauce

Z grosza wyproszonego wystawił sobie kapliczkę w Cybłowie z obrazem Matki najświętszej, który także cudownie odszukał i z poniewierki dobył. Koło tej kapliczki mieszka, i strzeże jej z wielkiem przywiązaniem, kocha bardzo Matkę najświętszą, co wyprosi to obraca na ozdoby, na firanki, na światło dla Matki Boskiej. Naucza ludzi gdzie się obróci, i ogromnie karci pijaństwo i rozpustę, czasem gdy zacznie mówić wierszami lub nie, to tak się rozpali, tak się uniesie, że ze czcią każden słucha wielkich prawd z ust świątobliwego chłopka.

Wie o dawnych rzeczach, o dawnych królach, o Tatarach, o Sobieskim, o niezgodzie bratniej, i boli go serdecznie dola nasza, i widzi bardzo jasno winy nasze a modli się o zmiłowanie. Zna miejsca cudowne nasze — wszędzie doznał cudu

Bożej łaski, to na duszy, to na ciele. Sokal, Leżajsk, Milatyn i Kalwarję zna doskonale i opisał składnie wierszami; co mówię, opisał? wszak pisać nie umie, tylko składa bardzo szybko a kto łaskaw to spisuje. Pismo św. i Ewanielję zna z kazań i katechizacji tak dobrze, że zadziwić się trzeba jaką tam Bóg daje pamięć swojemu słudze. W klasztorach rad bardzo czasem przebywa, a kocha się równie w kościołach jak w cerkwiach; robi wiersze po polsku i po rusku, a gdzie przyjdzie, najpierw chwali Boga i szuka jakiego obrazka świętego w kąciku, aby przed nim uklęknąć i pomodlić się. Nigdy się nie dotyka żadnego trunku i nienawidzi tę zgubę ludzką.

Taki dobry a osobliwy człowiek musi mieć nieprzyjaciół między niepoczciwymi; nieraz ofukną się na niego i słyszałem jak złośliwie mówią mu:

— Cóż chcecie Mikołaju, nie będziemy przecie tak żyć jak wy, nie rzucimy gospodarstwa i chaty i nie pójdziemy w świat jak wy modlić się pod krzyżami!

Mikołaj im raz ślicznie odpowiedział:

— Było dwie siostry, jedna krzątała się i gospodarowała, druga siedziała przy nogach Chrystusowych i słuchała słów jego. Obie Chrystus Pan kochał i obie błogosławił, bo obie dobrze czyniły — a nie dał krzywdy zrobić tej co siedziała i słuchala — a dobrą radę dał tej co biegała i troskała się. Wy tamta siostra co gospodarowała, a ja ta co słuchała. Wy dobrze gospodarzcie, pracujcie uczciwie, żyjcie po Bożemu, Bóg będzie z wami i będzie wam dopomagał, bo Bóg nic innego nie chce od was; a mnie dajcie pokój, ja muszę przy nogach Pańskich siedzieć i nie podchodźcie mnie jak Faryzeusze, a lepiej czyńcie co wam mówię.

Ba — żebym potrafił tak opowiedzieć jak Mikołaj!

Lubi się cieszyć swoim krzyżem drewnianym, który urobił po prostu i ozdobił paciorkami bursztynowemi, między któremi dwie czerwone, i pieszcząc się z nim powiada, że te paciorki to łzy Chrystusowe, a te czerwone, to krwi jego kropelki dane nam za napój — i tak po tych paciorkach rozmyśla całą Mękę krzyżową. Raz w Milatynie u Pana Jezusa cudownego, kupił za jałmużnę swoją ładne wstążeczki i zawiesił Panu Jezusowi

u stóp, i zdało mu się, że się uśmiechnął do niego — a gdy ztamtąd uczuł się słabym, dostał kolkę w piersiach; ciężko mu było, uciekł się jeszcze do obrazu, ale w duszy jego jakby głos jaki powiedział mu:

— Mikołaju wieszasz wstążki i kochasz Boga gdy ci dobrze i nic nie dolega, ale zobaczę, czy wstążkę powiesisz i kochać będziesz, gdy ci niebo ześle boleść i chorobę. Tamto nie wielka miłość twoja, potrzeba większej.

I zrozumiał Mikołaj, że i cierpienie jest wielką łaską, i zapragnął pokazać Panu Jezusowi, że Go kocha. I nie prosił już o zdrowie, ale o cierpliwość. Odchorował wtedy cały rok, w biedzie, w głodzie; ludzie mu raili doktorów i lekarstwa, leczyli nawet, ale on wiedział, że mu nie pomoże; modlił się i cierpiał, aż po roku ozdrowiał Bożą łaską. Nie można bez łez słuchać, gdy stary Mikołaj opowiada:

— A ja się tak cieszyłem, że mnie bolało, że taką łaskę wielką daje Pan Jezus!

Inną razą strudzony wędrówką, spoczywał Mikołaj w lesie pod drzewem; w tem widzi zdala: dwoje białych dzieci zbliża się do niego. Przyszła mu myśl niedobra ułożyć coś bardzo składnie na ich powitanie, i gdy tak myślał — białe dzieci zniknęły. Dobry Mikołaj żali się smutnie na siebie, że próżność go skusiła i przez to stracił widzenie anielskie, bo to pewnie byli anieli.

Znowu spotkał raz biedną sierotę kalekę w drodze, i złote serce jego użaliło się nad nią; miał chléb w torbie i choć sam głodny a do wsi daleko bardzo, dał wszystek chléb sierocie i grosz z kalety.

— Ja wiedziałem - mówił Mikołaj — że mi Matka najświętsza postara się o posilną wieczerzę, i ledwiem wyszedł z lasu, ludzie grabią siano proboszcza, a organista wziął mnie do chaty i uczęstował dobrą wieczerzą. Bóg cudowny, Bóg wszystko cudownie kieruje!

Mikołaj zostawił mi na pamiątkę obrazek św. Pawła, a że to właśnie był dzień św. Pawła a on o tem nie wiedział, ucieszył się jak dziecko, że znowu tak cudownie się stało —

pobiogosławił mi dziecinę, ładne wierszyki złożył na to wszystko i poszedł do Lwowa. Z powrotem przyniósł mi znowu gościńca od OO. Bernardynów, św. Jana z Dukli, zanocował, i z Bogiem, z krzyżem, z wierszykami odszedł do swej kochanej kapliczki w Cybłowie.

Może jeszcze kiedy napiszę wam o Mikołaju, gdy go się lepiej nasłucham. *B. E.*

RÓŻNOŚCI.

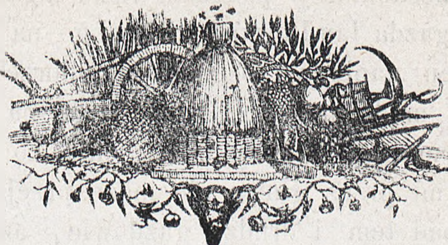
Doktor Cygan. Nastka Mielnikowa młoda kobieta, niedawno zamężna leżała śmiertelnie chora w świetlicy. Smutny mąż i zapłakana matka nie wiedzieli już co począć i przewidywali śmierć niedaleką. Wozili ją po babach, robili co kto przepowiedział, nic nie pomagało; na doktora ich nie stać było, czy też sami nie chcieli. Po wsi szła banda obdartych cyganów, krzykliwie prosząc jałmużny i nie przestając nigdy na jednem. Do sąsiedniej chaty zaszło dwóch cyganów co się oddzielili od gromady i śmiało sobie poczynając wypytywali, czy kto nie chory we wsi, bo jeden z cyganów sławny doktor na cały kraj, i nie dziesięć, nie sto ludzi już winno mu życie. W chałupie leżała babina trochę słaba, ale nie w ciemię bita, wyparła się słabości choć cygan skwapliwie ją szarpał i gwałtem chciał leczyć. Z rozmowy dowiedział się zręcznie o chorej Nastce Mielnikowej i nuż do chaty strzelił. Po grzecznych przywitaniach, gdzie często Pan Jezus i Matka Boska Częstochowska była na języku, choć ani w Pana Jezusa, ani w Matkę Boską nie wierzył, zaczął cygan składać cześć i honor temu domowi, a widząc smutne i poważne twarze, jął się wypytywać o chorą, a nie dosłuchawszy i połowy zaśmiał się głośno jacy to głupi ludzie, że kobieta jeszcze chora, że on wie wszystko, że on ją w lot uleczy, że będzie zdrowa jak ryba, że przysięgnie i da szyję, jeżeli za tydzień ją będzie co bolało. I zabrał się do roboty, kazał podać białą, lnianą nową koszulę i chustkę dużą, bo to koniecznie potrzebne do p r z e m o w y — kazał położyć 6 srebrnych szóstaków, bo i tego trzeba, aby przemowa miała moc, postawić wódki i chleba, zakasał ręce, nawarzył baniak ziela, zwiódł biedną Nastkę do góry, obnażył, obmył zielem, przemawiał, zażegnał i spluwał — aż lęk brał w chałupie, a skończywszy wszystko, kazał sobie zapłacić 2 reńskie, a co było potrzebne do przemowy, jemu się należało. Młody mąż i matka pogłupieli, trochę się drożyli, ale tyle usłyszeli nadziei i zaręczeń o zdrowie biednej Nastki, że na prawdę ucieszyli się i uwierzyli. Cygan udarowany poszedł światami, a w tydzień jak powiedział tak się stało, Nastkę już nic nie bolało, bo biedaczka leżała żółta jak wosk, martwa, dwie świece paliło się w głowach, a dziadek odmawiał pacierze.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XVI. Nr. 3.
21. stycznia 1867.



Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK
PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Józef Muczkowski

syn kmiecy, uczony Polak.

W Krakowie jest wielki cmentarz, a na tym cmentarzu stoją to krzyże poświęcane, to kamienne nadgrobki, to znowu z kamienia wyrabiane osoby prawie na każdym grobie nieboszczyków katolików, a potem stoją napisy nabożne, gdzie wypisane imię i nazwisko i zasługi nieboszczyków. A kto ciekawy dowiedzieć się, gdzie i jaki tam umarły pochowany, to ma jeno przejść się po cmentarzu, ma sobie te napisy przeczytać, a dowie się o każdym nieboszczyku. A zaś grabarze tamci to znają doskonale grób każdy i potrafią opowiedzieć każdemu ciekawemu o życiu i śmierci nieboszczyka, którego zapamiętali i grób mu kopali.

Otoż razu jednego zaszło tam na ten cmentarz kilku gazdów od Krakowa i zmówili pacierz za dusze zmarłych, czapki pozdejmowali i chodzili z poszanowaniem od grobu do grobu, a jeden z nich piśmienny czytał głośno napisy i opowiadał to drugim, a potem odmawiali przy każdym grobie: Wieczne odpoczywanie racz mu dać Panie!

Aż natrafili także na jeden grób, gdzie był napis na krzyżu taki: „Tu leży Józef Muczkowski, bibliotekarz i uczony Polak; prosi przechodnia o pobożne westchnienie.“

Piśmienny gazda Jan Boruń, odczytał go na głos i powiada:

— Cały ten napis wyrozumiałem dobrze, że ten Józef Muczkowski był mądrym i znał widać dużo na książkach, bo tu stoi powiedziane, że uczony Polak; ale co to ma znaczyć bibliotekarz, to mi przez głowę nie może przejść.

Podumali nad tem i drudzy gazdowie, aż jeden powiada na to:

— Co tu sobie główę niepotrzebnie łamać, lepiej zapytać kogo, co się na tem rozumie, a on nam tu wyłoży wszystko od A do Z jak potrzeba. Ot może grobarz to zgadnie.

I poszli do grobarza staruszka, który znał Krakowian, bo się między niemi wychował, a znał i gróby na cmentarzu, bo od dziadka jeszcze nasłuchał się różności o tych grobach, a znowu sam wykopał niejednemu znajomemu grób swoją ręką i płakał z drugimi, jak mu wypadło kłaść kogo do grobu i pamiętał sobie, co też xiądz w kazaniu o nieboszczyku na cmentarzu mówił, albo co też opowiadali inni panowie.

Jak przyszli ci gazdowie do niego, powitali się po katolicku i po polsku, a Jan Boruń zagadał tak:

— Mój panie grobarzu! wy się tu zestarzeli między temi krzyżami na cmentarzu, i znacie doskonale każdy grób i napis; otoż bądźcie łaskawi opowiedzieć nam o Józefie Muczkowskim, którego grób niedaleko stoi.

— Aha! — rzecze grobarz stary — to ja już wiem, bo ja za życia znałem tego dobrego pana, on tu chodził po cmentarzu nie raz i odpisywał sobie te napisy, i dużo mi opowiadał ciekawości o niejednym nieboszczyku. Otoż ja wam tu opowiem całe jego życie od początku do końca, a nawet wiem, zkąd on pochodzi, jakich miał ojców, gdzie chodził do szkoły, kiedy tu osiadł w Krakowie, co tu robił dobrego i na co umarł.

Gazdowie stali, a grobarz usiadł na grobie i tak jął opowiadać:

— Widzicie gazdowie, że to i z chłopa na wsi może dziecko jedno i drugie zostać ezemś dobrem i znacznem między

ludźmi, jak jeno ojcowie podbają o dziecko i dopomogą mu wedle sił i możności — bo to każdemu daje Bóg pomoc do dobrego, jak jeno kto chce go się nauczyć.

Na to powiada Jan Boruń:

— A czy to ten Muczkowski nieboszczyk pochodził z chłopskiego stanu? bo jakoś mi się nie zdaje, aby mógł chłop kiedy aż do tego doprowadzić, żeby został takim mądrym, jak on był.

— A co wy też pleciecie! — powiada grobarz — toć każdy chłop ma ciało i duszę od Boga, jak wszyscy ludzie, toć i chłop polski jest katolikiem i ma pomoc od Boga, jak wszyscy; toć i jemu stoją szkoły otwarte wszędzie jak na ten przykład każdy kościoł, jakby jeno się chciał uczyć i uczyć, toby się wyuczył jak wszyscy — bo uważacie! wszak już nieraz z chłopskiego rodu byli biskupi, jenerały, urzędniki i Bóg wie, jacy ludzie; toż i ten Muczkowski był także z chłopa rodem. On mi to sam opowiadał i nie wstydził się tego, owszem cieszył się, że i jemu dopomógł Bóg i ludzie dobrzy do takiego stanu.

— A zkądże to on pochodził? — pytali gazdy.

— Zkąd pochodził? — rzecze grobarz — toć nie z miasta ani dworu jakiego bogatego, ale z prostej kmiecej chałupy. Ojciec jego Marcin Muczkowski, a matka Kaśka, byli kmieciami we wsi polskiej Maszki, niedaleko miasta Lublina, co to teraz trzyma Moskal w swych pazurach i trapi tamtych biedaków. Toć pewnie wiecie, gdzie leży miasto Lublin, bo to nie tak daleko od granicy z Galicji. Otóż widzicie! ten pobożny kmieć Marcin miał grunt, ale co to znaczy grunt, jak gazda nie mądry, albo nie sztuder; jak nie chodził do szkoły i nie robi koło gruntu tak, jak to teraz zaczynają robić, a grunt wyda dwa razy tyle, co dawniej — toż takim mądrym był Marcin, a kobiecina jego to poszukać gospodyni, i było widać gospodarstwo dobre; był tam u nich dobry rozum, kiedy każde ich dziecko wyuczyło się na wsi czytać, pisać; a ten Józef umiał najlepiej na każdej książce i on uczył drugie dzieci.

— To prawda! — mówili na to gazdowie — że jak się uda które i chłopskie dziecko, to mu nie wyrówna kto bądź z miasta, albo i z dworu; ale trza to i na to dużo nakładu i nauki.

— A wy jak myśleli — rzecze grobarz — toć nic a nic nie wlezie darmo do kieszeni nikomu, a chyba złodziejowi jednemu; a do głowy aby co dobrego wlazło i tam zostało, to trza bardziej pracować niż pługiem na zagonie. Otóż i ten Józef Muczkowski, kiedy był chłopakiem wiejskim, to się wyuczył na wsi na książkach; a jak mądry ojciec pouważał, że szkoda chłopca obrócić na pastucha albo parobka, toż ubrał go trochę z pańska, wsadził na wóz i w jesieni zawiózł go do Lublina; tam mu wyszukał stancję, zostawił jedzenie i nakazał chłopcu, aby nie pilnował figlów, ale książki, i słuchał profesora i xiędza, którzy go uczyli na książkach i katechizmu.

— No! a jakże się uczył w szkole? — pytali gazdy.

— Co się uczył, to się naprawdę uczył — rzecze grobarz — nie marnował pracy ojca, co rok szedł do wyższej szkoły; pokończył szkoły niemieckie, poszedł do szkół łacińskich i za dziewięć roczków, znał wszystko, czego się uczył w tych szkołach. A ojciec mądry nie przerywał mu szkoły, ale pomagał i płacił do ostatniego krajcarka. Ale urwało się biednemu szkolarzowi Józkowi, i to naraz wszystko.

— A to co takiego było? może się ojciec zubożył przez te szkoły? — pytali gazdy dalej.

— Ale, ale — mówi grobarz — jeszcze się żaden ojciec nie zubożył dla dobrego dziecka; jeno to się stało, że stary ojciec Marcin umarł, i zostawił wdowę z dziećmi w chałupie, a znowu tego Józka szkolarza zostawił w szkołach, które trza było kończyć. Józek szkolarz pochował ojca, napłakał się na pogrzebie za cały czas, a potem porobił matce porządek w domu, przyjął parobka do roboty w gospodarstwie i tak powiada matce:

— Otoż matko dobra! ja nie zostanę w domu, ale idę do szkoły, abym ci potem odpłacił, coście na mnie wydali.

I zostawił matkę i poszedł. Ale jeszcze gorsza bieda druga na niego czekała, bo niedługo umarła matka i dopiero teraz kłopot wielki dla szkolarza Józka.

— No! i cóż on też teraz zrobił? — pytali gazdy.

— Ha! — powiada grobarz — zrobił jak najlepiej! Wrócił jak dobre dziecko na pogrzeb matki, sprawił jej pogrzeb, uci-

szył płacz w domu, najstarszego brata zrobił gospodarzem, dał mu stryka za opiekuna i tak mu gadał:

— No, pamiętajże bracie! abyś siostrom nie robił krzywdy, abyś z sąsiadami żył w zgodzie i miłości, abyś się Boga bał i starszych słuchał i pilnował pracy ojcowskiej — ale możeby ci było za ciężko robić na tyle sierót, to ja wezmę brata najmłodszego z sobą do Lublina, tam go okryję i będzie ze mną do szkoły chodził; a Bóg pomoże, że i on na co dobrego wyjdzie. I zabrał brata małego i odjechał.

Gazdowie podumani na to, mówili:

— A to dopiero dobra dusza ten Józek! ale jakże on żywił sam siebie i brata?

— Jak żywił? — rzecze grobarz — to robił Bóg, ludzie i dobry Józek; onci uczył po domach pańskie i mieszczańskie dzieci, brał za to dukaciki, a z tego zarobku żyli razem z bratem i chodzili oba do szkoły. Ale umarł mu i ten brat; a on napłakał się za nim, kupił mu trumnę, sprawił pogrzeb, a sam poszedł do Krakowa jeszcze na ostatnie szkoły,

— A czy mu też pomagał co brat? — pytali gazdy.

— Jakiżby to był brat — mówi grabarz — żeby bratu do dobrego ręki nie podał? Ale Józek miał głowę na karku, a w tej głowie siedziała tam już nie jedna mądra cała książka, toż ożenił brata w domu, siostrę jedną wywianował, a sam dalej do Krakowa między dobrych panów i księży, i zaraz podybał tu jednego dobrego profesora Czapskiego, co mu dopomógł do nauki, i uczył się dobrze. Ale myśli on sobie w swojej głowie tak: Dopomagał mi ojciec, ludzie i Bóg do szkół, toż wypada za to krajowi polskiemu odsłużyć. A była wtedy u nas gwardja, toż zapisał się do gwardji, i był 2 roki wojakiem. A jak wysłużył w wojsku, znowu wrócił do szkoły, i dobry jeden xiądz profesor Jaroński ratował go w biedzie i pomagał mu w nauce. Otóż widzicie, że nigdy dobry człowiek nie ginie między ludźmi, i dopnie swego na końcu. I chłopskie dziecko wychodzi z czasem na mądrego człowieka.

— No — spytali gazdy — czemże ten Józek biedny potem został?

— Ha! — rzecze grobarz — mógł on być xiędzem i jakim profesorem albo urzędnikiem, bo miał do tego dobrą głowę. Ale on jeszcze oprócz szkoły chodził sobie w wolnym czasie do domu jednego, gdzie jest dużo starych i nowych książek, i tam sobie wybierał różne książki i uczył się z ochoty własnej. A widzicie ten dom z książkami, co go fundował król polski Jagiełło, zowie się biblioteką Jagiellońską, i taki dom stoi do dziś w Krakowie, a taki znowu mądry Polak, co to doziera tego budynku z książkami, zowie się u nas bibliotekarzem i ma za to płacę roczną.

— Aha! odezwał się gazda Jan Boruń, to może ten Józef Muczkowski był kiedy takim dozorcą nad tym budynkiem z książkami, ta dla tego stoi napis na jego grobie, że był uczonym polakiem i bibliotekarzem.

— A trafiliście doskonale, rzecze grobarz, bo tak było naprawdę! Jak on tam do tej biblioteki krakowskiej chodził, jak wyrozumiał tam wszystkie książki i wiedział gdzie jaka książka stoi po wielkich szafach, toż jak pomarł taki bibliotekarz mądry Bandtkie, to tego Józefa Muczkowskiego, choć on z chłopa pochodził, obrali zaraz profesorowie w Krakowie na takiego bibliotekarza i był on takim sobie mądrym panem przy tych książkach i w tym budynku jakie 25 lat brał za to pieniądze, pomagał krewniakom we wsi Maszkach, gdzie się urodził; i jak kto przychodził do niego i prosił go, aby mu opowiedział co o tych książkach, to mu zaraz opowiadał a do tego jeszcze sam pisał, co tam w tych książkach stoi, aby każdy Polak o tem wiedział.

— A na cóż on umarł? pytali gazdy.

— Umarł na to, czem zarabiał, rzecze grobarz, był on bardzo ciekawy do wszystkiego, co to robili króle, pany i xięża w polskim kraju, a gdzie jeno podybał jakie ciekawości po starych kościołach, dworach, wsiach to zaraz wypisywał i i drugim to opowiadał. Otoż raz wypisywał on w Katedrze na Wawelu stare obrazy i podniósł bardzo głowę do góry, aby zobaczyć i wtedy zalała mu krew mózg i skonał, i tu pochowany. Przeżył 63 lat.

Gazdy pomodlili się za jego duszę.

Xiądz Wojciech z Medyki.

Na cmentarzu.

Kogo nadzieja zwodziła,
Kto nie miał szczęścia do ludzi,
Kogo wyczerpana siła
Próżną już walką nie łudzi,
Ten wreście idzie ku tobie
Pod opiekę cichy grobie!

Tobie znosi król korony,
Pęta więzień uwolniony,
Torbę żebraczą ubogi,
A skąpiec pieniądz swój drogi
Wszystko to złoży pospołu
Ręka grabarza u dołu.

* * *

Nic nie gubi nasza ziemia
Nieustanna jest jej praca,
Ziarno znikłe w proch rozplemia,
Znowu bierze, znowu wraca.

Gdy jest cnota na tym świecie,
Gdy przyjmuje z nas ofiary,
Zmartwychwstaniem wszyscy przecie,
Tak jak głosi słowo wiary!

Nic nie idzie do zatraty,
Co przed naszem okiem ginie,
Z drzewa opadają kwiaty,
Z drzewa owoc się wywinie!

Żółtym liściem wiatr powieje
Bo go życie opuściło,
Ach nie życie w niem żółcieje,
Ale miejsce kędy było.

Więc kto ludzką godność ceni,
Z męztwem żal pojednać trzeba,
W grób patrzymy zasmuceni,
Lecz wesoło patrzmy w Niebo!

K. B.

Dokąd prowadzi nauka z cnotą.

Opowiedział Tadeusz Korwin.

(Ciąg dalszy.)

VI.

We dworze.

We dworze w pokoiku ogrzanym południowem słońcem, przed stolikiem, nad którym wisiały obrazy Świętych i na krzyżu rozpięty Odkupiciel, klęczała pani domu.

Mogła mieć wzwyż czterdziestki a ubior jej czarny był tak skromnym, że ani jedna błyskotka nie świeciła na nim. Na twarzy jej przebijały się: pokora chrześciańska, łagodność anielska i miłość bliźniego.

Dziewczyna pokojowa weszła i powiedziała, że jakaś kobieta chce mówić z panią. Wstała więc, zamknęła książkę nabożną, z której się modliła, i kazała ją przyprowadzić.

Tą kobietą była Hafja, matka Semeńka.

— A jak się macie Hafjo? — zapytała pani — czy może córka wasza znów chora?

— Nie Wielmożna pani — odpowiedziała Hafja całując rękę pani — ta woda coście jej dali, jakby cudem pomogła.

— Łaska to pana Boga, moja Hafjo.

— Toć pewnie Wielmożna pani i dobroć wasza, że biednych ratujecie w chorobie. Dziewczyna zdrowa jak rybka, wczora brała konopie, dziś kartofle kopie.

— Tylko nie dawajcie jej zanadto pracować moi drodzy! Wiem, że to dziewczę robocze, a po chorobie sił jeszcze nie ma!

— Gdzie to nam biednym się pieścić, jak nie zapracuje, jeść co nie będzie. Bóg wielki doda sił do pracy!

— Dobrze to i chwalebnie ufać Bogu — dodała pani — lecz znowu grzechem to, spuszczać się zupełnie na jego łaskę i miłosierdzie. Nieprawdaż że jest powiedziano: „Módl się i pracuj.“ Toć znaczy: ufaj Bogu a pamiętaj o sobie!

— Ot, kłopot nowy Wielmożna pani, stary Hawryło oddaje do Buczacza wnuka, taj mojemu Semeńkowi ta nauka tak zajechała w głowę, że się gwałtem napiera do szkoły. Wprawdzie szkoda tego, co się nauczył u naszego profesora, bo to choć mój syn, ale po prawdzie chłopak sprytny a do nauki się nie poleni. Ale my ubodzy.

— Wiem ja moja Hafjo, lecz przy Bożej a dobrych ludzi pomocy możeby dało się to zrobić.

— Otoż ja zatem przyszłam do Wielmożnej Pani, bo mój Semeńko ciągle a ciągle mi mówił, że Wielmożna pani jakoś w tem poradzą.

— Bóg widzi, że radabym wam dopomódz i w głowę nad tem zachodzę. Lecz oto pan idzie, on nam da swoją radę.

Z drugiego pokoju wszedł dziedzic wioski, a z uśmiechem zadowolenia rzekł:

— Słyszałem ja o co wam idzie, i jest właśnie na to rada. Kwiatkowska, która to w Buczaczu studentów trzyma, potrzebuje chłopca do usług. Ostatnim razem kiedy tam byłem, mówiła o tem mojemu Janowi, więc może zechce wziąć wa-

szego Semeńka. Napiszę do niej. Chłopak wraz ze studentami mógłby chodzić do szkoły, a jak się rozglądnie w mieście, to może lepiej sobą rozrządzi. Na początek i to dobre.

— Ależ mężu kochany, Semeńko nie zna usługi; Kwiatkowska nie będzie miała zeń wygody i trzymać go nie zechce.

— I na to jest rada moja duszko. Szkoły rozpoczynają się aż za miesiąc, niech Hnat da syna do nas, a przy starym Janie wyuczy się trochę, bo to chłopak przytomny a rozgarniony. Zresztą nie Święci garnki lepią. Cóż wy na to Hafjo?

— Dziękuję ja Wielmożnemu panu za jego łaskę dla nas, jak się rozgadam z moim, przyprowadzę chłopca i oddam go już państwu.

— A ja — dodała pani — za ten miesiąc co będzie u nas, sprawię mu obuwie i każę mu uszyć bieliznę z mego płótna.

Hafja ucałowała kolana państwa za ich dobroć i pobiegła do chaty rozmówić się z Hnatem.

V.

Hawryłowa chata.

Naprzeciwko starej chaty ojców Semeńka, stała sadyba Hawryły, Iwasiowego dziada.

Oj był to bogacz nie lada: po cudzych wsiach znali jego kare koniki, co jak wiatr pędziły z wozem. Sześć wołów siwych orało grunt jego i pomiarki sąsiadów, które od nich brał w procent Bo stary Hawryło miał sporo grosza; a komu go dawał to pewnie nie darmo, nie od tak z przyjaźnej chęci lub ku poratowaniu biednego, lecz dla własnego a dobrego zysku.

Nie daremnie to Hafja mówiła, że u niego stogów jak gwiazd na niebie, bo gumno pełne, a na oborze cztery krase krówki porykują gładkie i niegłodne.

Rozmaicie ludzie opowiadali o początku bogactw Hawryłowych, lecz to pewna, że będąc przez lat kilkanaście gazdą u miejscowego proboszcza, człeka nader pobożnego, ztąd zbytnie ufającego drugim a do gospodarki niezdarnego, Hawryło w sposób mniej uczciwy sporo uciułał grosza, nakupił dobytku i z księżego drzewa chatę postawił.

Powiadano, że nie jeden korczyk zboża, nie jedna skóra z padłej jegomościnej krowy przenosiły się na obejście Hawryłowa. W lat dopiero wiela Jegomość się opamiętał, kazał przywołać do siebie Hawryłę, we cztery oczy wypalił mu kazanie, że aż się sam spłakał, a twardego grzesznika nie poruszył. Więc się rozłączyli.

Otąd Hawryło rozpożyczając pieniądze w przednowku, biorąc za to w procencie pola, coraz to bogaciał, a ożeniwszy jedynaka syna z córką bogacza sąsiedniej wioski przymnożył jeszcze majątku.

Syn wkrótce po ożenieniu umarł, została mu tylko synowa, kobieta młoda, przystojna, a lubiąca hulać i umizgać się. Więc roje młodych parobczaków cięło do niej koperczaki, a Hawryło, który cudzą wódkę za kołnierz wylewać nie był zwykły, przyzwalał na częste traktamenta i hulatyki.

W wiosce nie lubiano Hawryłę, już to że biednych zdzierał, fantował — i pomiatał niemi jak nie Bożem stworzeniem, już to choć mądry dla siebie, rady nikomu nie udzielił, a rad kpinkował i drwił sobie z wszystkich i ze wszystkiego.

Do cerkwi zazierał rzadko, chociaż rok w rok woskowe świece z własnej pasieki kładł na ofiarę; z dworem darł koty, od wspólnych gromadzkich powinności wykręcał się sianem. Więc nie miał miru u panów gromady — a wójtostwo zawsze go mijało.

Dzisiaj pozostał mu tylko wnuk Iwaś, tego do szkół oddać zamierzył. W jakim celu? To już Iwaś wygadał w rozmowie swojej z Semeńkiem — oto, aby się nauczyć używać grosza, a nie dać się okpić ni panu, ni żydowi.

Wszystko więc szło tam nie po Bożemu, więc i nauka miała chłopca prowadzić raczej ku złemu, a nie ku dobremu. Ale poczekajcie moi mili, wnet ujrzymy, czyśmy odgadli prawdę.

VI.

Semeńko terminuje.

Hafja przyszedłszy do chaty zastała swego spoczywającego na ławie. Więc z kopyta opowiedziała mu o co ją prosił Semeńko i co jej radzono we dworze.

Hnat małomowny ale uparty jak prawowierny Rusin, nie tak łatwo dał się przekonać o potrzebie oddania syna do szkoły. Lecz gdy poczciwa kobiecina, któraby dziecku swemu rada przychylić nieba, zawiodła go do xiędza plebana, a potem do dworu; a Jegomość i dziedzic nakładli mu w uszy, co to za pożytek dla sprytnego chłopaka, jak się uczyć będzie na większą chwałę Boga: to choć pomrukiwał swoje dawne, że nie dla chłopa książka, przecie przyzwolił.

Oddano więc Semeńka do dworu, a choć stary zrzęda, Jan lokaj, pomrukiwał z razu na nowego terminatora, wnet jak cały dwór polubił chłopca, który myśli jego chciałby odgadywać. Nawet kucharz co zwykł szturkańcami obdzielać hojnie kuchcików i niezdarne kredensowe chłopaki, a często gęsto, chociaż od pani strofowany, tłuc garnki na głowach garderobiannych dziewek, które mu żelazkami wystudzały kuchnię — nawet kucharz ni jednem słówkiem nie połajał usłużnego i grzecznego Semeńka.

Przy sprycie a dobrych chęciach wkrótce poduczył się usługi, a wieczorami gdy Jan stary odmawiał różańce, odczytywał swoje szkolne książeczki.

Pan i pani im więcej poznawali, tem więcej polubili Semeńka, więc jak się miesiąc skończył a czas już było do szkoły — pani obdarowała go obuwiem i bielizną, pan zaś dał mu stary surdut do przerobienia. Semeńko podziękował państwu za ich dobroć, lecz surduta nie wziął, bo jak mówił, żalby mu było porzucać opończę. Więc pan odebrał napowrót dar swój, a z ukontentowaniem poklepał Semeńka po twarzy.

VII.

Wyjazd do szkoły.

Wieczorem wilją wyjazdu naszych chłopaków do Buczacza ludno i głośno było w Hawryłowej chacie. Z całej wsi parobczacy zeszli się, by Hawryle powinszować pociechy z wnuka. Stary nawet tym razem postawił im wódkę, dał miodu na krupniczek i wesoło łykał wraz z biesiadnikami. Naścia, Iwasiowa matka, mrużyła oczęta do chłopców, szczerzyła śmiejąc się białe ząbki, a stół raz na raz zastawiała pierogami lub gołąbkami.

Zabawa szła więc ochoczo i gwarnie aż do bialuśkiego rana. Skoro świt parobek zaprzągł do wozu kare koniki, matka rzuciła weń synowskie zawiniątko i woreczek pierogów — i wśród wrzasku pijanej rzeszy wyruszyli dziad z wnukiem.

W chałupie rodziców Semeńka nie widno było żadnych przygotowań, nikt z obcych nie przychodził żegnać, prócz nauczyciela wiejskiej szkółki, szczerze przywiązanego do Semeńka.

Z rana poczciwa macierz uściskała syna — a ojciec, zasunąwszy na uszy baranią czapkę, wziął go za rękę i powiódł za sobą. Po drodze wstąpili do cerkwi, klęcząc wysłuchali na tę intencję służby Bożej, a po skończonej mszy, gdy sędziwy pleban pobłogosławił chłopaka, i ukradkiem wsunął mu w kieszeń kilka szóstaków — piechotą ruszyli do miasta.

Dzionek, choć jesienny, był cudownie pięknym; mgła zwolna opadała na dół, jakby osnuwając ziemię srebrną tkanką,, którą zdało się pozłacać słoneczko przyświecające z góry.

Idąc spotykali sąsiadów, kumów i znajomych, a słowami „niech będzie pochwalony“ i „na wieki“ witano się i żegnano.

VIII.

Opiekun Iwasia.

Imci pan Jan Kanty Szymon Zbik, sławetny majster szewski miasta Buczacza usiadł po środku warsztatu, rozparty w zydlu jak król na tronie. Na okrągluśkiej a pełnej, gdyby harbuz twarzy, dwoje drobniutkich niby krecich oczu tuliło się koło czerwonego nosa, który jak pagórek sterczał wśród nich. Spodem gęba szeroko rozpięta od ucha do ucha, jaby stworzona na to, by jeść wiele, a pić jeszcze więcej. Na łbie łysym, gdyby kolano, pozostały tylko dwa długie cieniuśkie kosmyki, które pan majster wiązał w składny węzeł na środku czoła, niby jak dziewczęta pod szyją wstążki.

Na około pana Szymona stała lub siedziała na zydlach lub ławkach liczna czeladź i terminujące chłopaki, a tuż przed nim stał znajomy nam Iwaś.

Pan majster srodze się rozgadał, bo sporo już nadpita butelczyna z wódeczką, która stała przed nim na stoliczku, rozwiązała mu język. Łgał więc co mu ślina na język przyniosła.

— Ho, ho, mosterdziejku! — prawił — i jam nie z jednego pieca chleb jadał; było się tedy i w szkole, ot tu u nas. Świętej pamięci mój dziad, co u pana Kaniowskiego był prawą ręką, golił go, buty mu czyścił i nagniotki wyrzynał, oddał mię do szkoły, wyłoiwszy już naprzód skórę, aby mi nauka szła do łba. Więc człek rady nie rady musiał ślęczyć nad księgami i nocami nie dosypiać. Ale tedy, mosterdziejku, kiedym już kończyć miał szkoły, a byłem sobie chłopiec żwawy i do figlów skory, jakieś licho mię skusiło spłatać figiel panu profesorowi, panie świeć nad jego duszą! Otoż mosaneńku nieboszczyk pan profesor był tak sobie nieprzymierzając tłuściutki a pulchniutki, ot zwyczajnie dobrze mu się działo. Nie wiele tedy myślący pcham igłę w krzesło, na którem w szkole siadywał, tak że ostrym końcem z pół cala wylazła na wierzch, a igła była mocna i gruba, niby szewskie szydło. Pan profesor nie wiedząc mosterdzieju o niczem przyszedł do szkoły, taj buch w krzesło, a tu naraz ból jakiś i jakby odrzuciło go w górę, aż krzyknął! Po nici do kłębka figiel się wydał, więc pan profesor własną ręką — świeć panie duszy jego, rękę miał djable ciężką — wytatarował mi skórę i napędził ze szkoły. Więc tedy mosterdziejku przystałem do rzemiosła i jestem sobie szewc, mospanie i kwita!

Śmiech głośny towarzyszył opowiadaniu, choć często powtarzanemu przez pana majstra, który łyknąwszy sporo okowitki ciągnął dalej:

— Otoż tedy więc, mosterdzieju, ztąd taki ja wyciągam sens moralny, że nie dla psa kiełbasa, nie dla chłopa nauka! Bo proszę Mosaneńku, na cóż zdać mu się mogą te jeometryje, jeografiji, arytmetyki i fizyki? A dopieroż nie mówić o łacinie i grece! Ki djabli mu po tem, lepszy cep lub dratwa — nieprawdaż dziatwa! Jak masz grosze, to i rozum będzie; bo dzisiaj nastały czasy, że człek kłania przed cwancygierem, a przed rublem zdejmuje kapelusz. Dzisiaj kto bogaty, ten mądry — kto biedny, ten głupi; więc gdy pierwszy zmiele, na drugim się skrupi. Dzisiaj to i sprawiedliwość za pieniążki kupi, a bogaty jak zechce to złupi! Powiadam mosterdzieju złupi, z ostatniej

skóry złupi! Więc cała w tem sztuka, aby kieszeń nie była pusta, aby było czem zakropić i brzuszek i usta!

I pan majster jakby na potwierdzenie tego łyknął wódeczki, nos z czerwonego stawał się sinym, a oczka robiły się coraz to mniejszemi.

Iwaś wybałuszył nań oczy, a każde słowo połykał chciwie.

— Więc tedy mosterdzieju, ciebie panie Janie oddają do szkoły — i każą daremniusieńku czas tracić nad książkami. A ja powiadam tobie, że lepiej w młode lata używać świata, a nie szkolnego bata; bo już to nasi Ojcowie Bazyljanie, nie raz jeden wygarbują ci skórę na miękko!

I byłby pan majster prawił do północy, gdy w tem ukazała się na progu majstrow, długa i chuda, jak tyczka od chmielu. Przy lubym małżonku, wyglądała ona kubek w kubek, jak smyczek przy basetli.

Pan Szymon prędziuchno schował niedopitą wódkę pod zydelek, lecz pani majstrowa dojrzała niebieski nos męża najdroższego i piskliwym głosikiem, jak gdyby kto nożem po misce skrobał, zawołała:

— Widzisz no trutnia tego! Św. Józefie, znowu spił się jak cztery dziewki, a te przeklęte gamonie zamiast kończyć robotę, słuchają łgarstwa jego! Dam ja tobie, nicponiu! i podsunęła się bliżej ku milczącemu majstrowi, wysuwając przed siebie dwa kościste kułaki.

— Ruszajcie mi zaraz do wieczerzy! — wrzasła, aż Iwasiowi zapiszczało w uszach. A ty darmojadzie, poczekaj! Rozmówię ja się z tobą, baranku!

Czeladź tłumem jak trzoda owiec, ruszyła do drugiej izby, z niemi Iwaś, a gdy się drzwi przymknęły, słychać było, jakby kłótnię jaką i piskliwy głosik pani majstrowej i pokorne tłumaczenia się pana majstra.

IX.

Dobrodziejka Semeńka.

Tuż obok klasztoru xięży Bazyljanów stał dworek pani Kwiatkowskiej. Widocznie zrazu szczuplutki, z czasem przybudowaniami rozszerzył się i rozprzestrzenił. Dach jego słomiany

miał podobieństwo do starego, połatanego i wymiętego kapelusza, tyle nań było łat, przyczepek i załomów.

W domku tym mieszkała pani Kwiatkowska, utrzymująca u siebie liczną rzeszę studencików starszych i młodszych, a pan dyrektor, zwykle student z wyższej klasy, utrzymywał rygor i porządek między niemi.

Sama pani była to sobie staruszeczka lat z górą siedemdziesięciu, włosów siwych jak piórka gołębicy, a twarzy pomarszczonej nakształt zmiętej bibuły. Lecz nad wiek swój była żwawą i czynną, bo owdowiawszy od lat dwudziestu, zostawiona sama sobie, umiała też sobie dawać radę. Od świtu do późnego zmroku w pokojach, kuchni i na podwórku było jej pełno, wszystkiem zarządzała sama, i dobrze jej z tem było, bo „oko pańskie konia tuczy“, a „kto nie dojrzy okiem, ten dołoży workiem“.

Z wrodzoną sobie dobrocią i łagodnością, z twarzą zawsze uśmiechniętą jakby pogodny dzionek jesienny, umiała godzić często spory swoich malców; dogadzać nie zbytecznym ich zachceniom, wymierzać i odważać ich podwieczorki i śniadania, aby jedna kromka chleb nie była większą od drugiej, albo grubiej nasmarowaną masłem lub powidłem.

Oj miałaż biedna staruszka dosyć roboty i kłopotu, lecz zmartwienia i frasunki ofiarując Bogu i Najświętszej Panience, nie brała ich nader do serca.

Do niej udał się Hnat z synem, niosąc zanadrzem pismo pana wioski, polecające jej Semenka. Staruszka założyła na nos dubeltowe okulary, a przepatrzywszy się wprzódy pieczęci, list przeczytała. Potem bacznie oglądnęła Semenka, i widocznie z pierwszego wejrzenia musiał jej się podobać chłopczyna, bo nie robiąc wiele korowodów, powiedziała, że go bierze do siebie, że za służbę jego da mu strawę i przyodziewek, i w wolnych chwilach pozwoli mu chodzić do szkoły.

Hnat dziękując, staruszeczkę pocałował w rękę, co u niego była rzecz rzadka — bo zwykł był starszym tylko do kolan się kłaniać, i pożegnawszy syna a upomniawszy go, ruszył do domu.

Semeńko po raz pierwszy został sam między obcymi ludźmi — i z razu było mu smutno i tęskno za rodzinną wioską, za matusią, nawet za gruszą dziczką w ojcowskim sadzie. Lecz niebawem polubiony przez staruszkę, nie łajany przez poczciwego pana Michała, dyrektora nad malcami, nie czuł się więcej obcym w obczyźnie.

Nie daremnie to powiada przysłowie nasze: „Dobremu wszędzie dobrze“. (C. d. n.)

RÓŻNOŚCI.

Nauka gromadzka. Wiecie już przecie, że gromady teraz już całkiem inaczej będą się rządzić i sądzić — tak jak cesarz i sejm nakazał. Otoż trzeba koniecznie, aby z was każdy to nowe prawo gromadzkie znał dobrze. Dla tego też donosimy wam, że wyszła taka książeczka co się nazywa: „*Nauka gromadzka, co ją każdy porządny gospodarz dobrze znać powinien.*“ Ta książeczka kosztuje tylko 25 centów, a kupić ją sobie można w każdem mieście, gdzie jest księgarnia. Radzę wam bardzo dostać tę książeczkę, bo bez niej ani rusz zrozumieć nowego prawa gromadzkiego. A kto ją uważnie przeczyta, ten będzie znał nowe prawo dokumentnie.

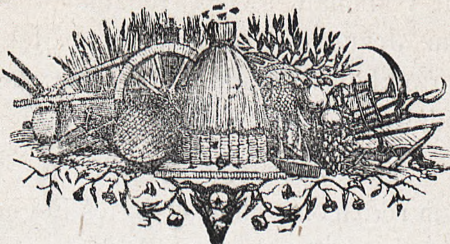
Skutki nieostrożności. We wsi Lubczy blisko Strzyżowa, w sam dzień św. Szczepana zeszłego roku wśród dnia białego, bo podczas sumy spaliła się stajnia gospodarza z całym jego dobytkiem. Dzięki Bogu czas był spokojny a stajnia o jakie 15 kroków od budynku oddalona. W innym bowiem razie niebezpieczeństwo byłoby o wiele większem i w swych skutkach nierównie szkodliwszem. Podczas wiatru nie tylko tego gospodarza, lecz i sąsiadów jego zabudowania mogły się były stać ofiarą nieubłaganych płomieni. Szkodę obrachowano na 200 złr. Całego nieszczęścia przyczyna była nieostrożność dziewki jak się pokazało, która rano ze świecą w ręku dnia tego do stajni weszła i przez nieuwagę przy objaśnieniu gnot żarzący w słomę rzuciła. Domyślicie się łatwo, że z tego wybuchł pożar. Lecz ku waszej niech to będzie nauce i przestrodze, jak dalece nie tylko z fajkami lecz i ze świecami a więcej jeszcze ze szczypami palącemi nigdy nie należy chodzić do stajen, stodół, komor i t. p., gdyż człowiek ustrzedz się z tem wszystkiem nie potrafi. Najlepsze są latarki dla każdego gospodarza; bardzo mało kosztują a są nieocenione. Najbezpieczniej możesz sobie chodzić z latarką w ręku świeczką oświetloną, i po strychu nawet, i którędy chcesz bez obawy podobnego przypadku.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XVI. Nr. 4.
1. lutego 1867.



Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK
PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Dziécię Jezus.

Jutrzenka zabłysła nad Nazaretem — nad domkiem Marji i Józefa dziwne modlitwy i cudowne pieśni nieśli zdumiali Anieli do tronu Bożego, bo modlitwy Matki Boga, pieśń Piastuna Bożego... A modlitwa samotna dwunastoletniego Jezusa wielbiła Ojca Niebieskiego — a Ojciec wielbił Syna. Po modlitwie nastąpiła praca. — Józef św. już siekierą się odzywa, Marja przeczysta bierze wiaderka i idzie po wodę. I ktoż jej drogę zastępuje? Chłopczyna piękniejszy jak maj i jutrzenka, słodszy jak Anieli — a prześwięta pogoda bije od oblicza. To dziécię Jezus — miłe targi wszczyna z ukochaną Matką, bierze jej wiaderka i bieży po wodę. Patrzyła za nim Marja z łzą niepojętej miłości, na swego Syna i Boga, i stała cicha, pokorna przyjmując pokorę, posłuszna przyjmując posłuszeństwo, służebnica pańska przyjmując usługi świętego Syna. Dla czegoż nie przyniosła Marja sama wody, kiedy tak zawsze skora i pracowita, tak rada wszelki ciężar ująć sama i ująć Jezusowi? Czemu nie wyręczył jej Józef, Józef taki uprzejmy, miłujący?

Czemu tej usługi nie wyrządzili jej Anieli, którzy gotowi byli na rozkaz swej królowej? Czemu nie uczynili tego ludzie, którzy tak czcili i kochali świętą rodzinę w Nazarecie? Oto dlatego, bo sam Jezus chciał uczynić to Matce swej ukochanej, aby dać przykład wszystkim dzieciom, jak mają kochać, służyć swym rodzicom.

O słodkie dziécię Jezus! tak posłuszne, tak wdzięczne, tak usłużne twym rodzicom, chociaż byłeś Bogiem i Panem, czy widziałeś już wtedy wszechwidzącym Twym wzrokiem i w Twoich snach krzyżowych, wyrodną niewdzięczność tych dzieci co dotychczas depcą Twój przykład i przykazania? Czy słyszało już wtedy święte ucho Twoje te bluźnierstwa, waśnie, swary i obrazy dzieci ludzkich?... O zaprawdę głęboko w świętą głowę Twoją wnikał ten cierń niewdzięczności i nieuszanowania dzieci ludzkich!

Ileż dzieci dzisiaj zamiast służyć rodzicom starym, wymagają jeszcze ich pracy i wypominają chleb; zamiast szanować i kochać, poniewierają, znieważają! Biada już — jeżli człowiek najpierwszy obowiązek depce — matki, matki swej nieszanuje! Jakie to słodkie Imię Matka! jak je uświęciły jeszcze usta Jezusowe, wymawiając z czcią i miłością! Biada kto matki nie szanuje! Do dziesiątego pokolenia ciężki odwet oddawany mu będzie!

Dziatki chrześcijańskie! patrzcie na Jezusa z wiaderkami i uczcie się od Niego szanować i kochać rodziców!

B. E.

Spiewka.

Karczmareczko nasza!
Jeszcze jedna flasza;
A my dziś w gospodzie,
Cieszmy się przy miodzie.

Kiedy ucieszony
Idę przez zagony,
Nie zapłaczę sobie,
Że tak ciężko robię.

Rosłego jak trzcina,
Mam na wojnie syna,
Twarz młodego wieku,
Gdyby róża w mleku.

Jeśli on po boju,
Wróci mi w pokoju,
Zapomnę o miodzie,
I naszej gospodzie.

Już ja po niewoli
Wezmę się do roli;
Wszystko nasze zboże,
Opłacić nam może.

Sprawię mu sukmanę;
Pasiki kowane;
Będą o nim dziewki
Wykrzykiwać spiewki.

Chłopek.

Rycerz to nie wielki,
Krajowi ubliża,
Który nad stan wszelki
Wieśniaka poniża.

Pracowity chłopek,
I żywi i broni,
Żywi jego snopek,
I strzecha osłoni.

Ostrzem jego kosy
Ozłaca się ziemia,
On na niej wnet kłosy,
Wnet wawrzyw rozplemia.

Pługiem on w pokoju,
Uprawia nam błonie,
Na koniku w boju
Pospiesza w obronie.

Te błyszczące grody,
Te wielkie pałace,
Jego to zachody,
I jego są prace.

Jego jest ciężarem,
Co drugi roztrwoni,
On na to pod skwarem
Z bydlęciem pot roni.

Z dziećmi on głodnemi
Te ziarneczka zgania,
Co uzyska z ziemi
Marnie nie roztrwania.

W pomoc kraju bieży,
Za pańskiemi syny,
Wszędzie on należy,
Prócz zysku i winy.

Sam po każdej stracie
Od nędzy nas chroni,
W swojej tylko chacie
Jej mieszkać nie wzbroni.

Rycerz to nie wielki,
Krajowi ubliża,
Który nad stan wszelki
Rolnika poniża.

Kazimierz Brodziński.

*

Dokąd prowadzi nauka z cnotą.

Opowiedział Tadeusz Korwin.

(Ciąg dalszy.)

X.

X. Prefekt.

W sklepionej, zaciemnionej izbie, gdzie w okoluśko po pod ściany stały szafy pełne książek, przed stolikiem nakrytym zielonym suknem, siedział x. prefekt. Był to przełożony szkoły, niby wójt studenckiej gromady.

Przed nim leżało mnogo drobniutko zapisanych papierów, on w nich czytał. Od czasu do czasu wchodzili profesorowie, lub wsuwali się jeden po drugim studenciki. Właśnie nie było nikogo, ostatni z uczniów wymknął się cichaczem, otrzymawszy tęgą burę za jakiś tam spłatany psikus, a na łagodnej twarzy x. prefekta jaśniał jeszcze rumieniec gniewu.

Wtem drzwi się rozwarły i wszedł pan dyrektor prawie ciągnąc za sobą bladego i trzęsącego się Semenka.

X. prefekt zwolna podniósł oczy od papierów, w których coś szukał, i spytał:

— Cóż tam powiesz, kochany panie Michale?

Pan dyrektor skłonił się niziutko, a wlokąc bliżej wystraszonego Semenka, odpowiedział, że przyszedł wpisać do szkoły to tego nowego studenta.

Po kilku w takim razie zwykłych zapytaniach jak się nazywa, gdzie i jak się dotąd uczył, x. prefekt orzekł, że Semenka przyjąć można do drugiej klasy; a dowiedziawszy się; że tenże własną pracą ma się utrzymywać w szkole, pochwalił mu ten szlachetny jego zamiar i przedstawił dobrodziejstwa nauki. Przykazywał mieć w sercu Boga, pracować szczerze a ochoczo, i starszym być posłusznym.

Wkrótce po odejściu Semenka z p. dyrektorem weszli do kancelaryi x. prefekta majster Szymon z swoim wychowańcem, Iwasiem.

Pan majster tym razem był trzeźwy; choć sądzę, że na kuraż musiał łyknąć naparsteczek okowitki, bo oczęta uśmiechały mu się figlarnie, a na nosie się czerwieniło.

Iwaś wszedł nieśmiało, lecz wnet się opamiętał i na pytania x. prefekta odpowiadał wyraźnie i jasno.

I on został przyjętym do drugiej klasy, byli więc znów kolegami Semeńko i Iwaś.

XI.

W szkole.

Darujecie mi, moi mili, że miasto wam opowiadać dzień po dniu, co w szkołach porabiali nasi chłopacy — przeskoczę od razu o kilka lat naprzód. Bo już to, moiściewy, znudziłoby was, gdybym chciał spisywać wszystkie drobnostki, a ja życzę sobie zachować aż do końca waszą uwagę. Więc tak pokrótce powiem wam, że oto już i czwarty rok się zaczął ich pobytu w mieście, a przez ten czas chłopcy podrośli w parobczaków.

Semeńko, pokorne i dobre chłopię — mający miłość i cześć u wszystkich, którzy go znali, nie był już więcej u pani Kwiatkowskiej. Starowinka, zaziębiwszy się przy robieniu powideł, zaniemogła, a chyrlając kilka miesięcy Bogu ducha oddała.

Semeńko, płacząc rzewnemi łzami, odprowadził dobrodziejkę do grobu, a z jej utratą utracił nadzieję utrzymania się dalej w szkole. Lecz Bóg opiekuje się biednymi, którzy mu zaufali, ta i ludzi miłosiernych dość na tem świecie. Doznał tego Semeńko, bo pewien stolarz przyjął go w komorne, XX. Bazylianie żywili go, a terminując zarazem w warsztacie zarabiał sobie jako tako na przyodziewek.

Inaczej działo się z Iwasiem, który już od roku kazał się nazywać panem Johanem, przebrał się z szlachecka i za namową pana Szymona używał świata. Nie potrzebował on, jak nasz Semeńko, pracować w pocie czoła na kawałek chleba, a lenistwo i próżniactwo są zwykle rodzicami wszystkiego złego.

Zkąd pan Johan brał pieniądze na rozmaite wydatki, na częstowania kolegów i karteczki (bo i tego już się był przyuczył) nikt nie wiedział i nikt odgadnąć nie potrafił.

Domyślali się tylko ludzie, że stary Hawryło musiał dawać wnukowi, a widać dawał dużo, więc było z czego hulać. My zaś, którzy znamy skąpstwo i chciwość grosza Hawryły, my nie łatwo możem uwierzyć, żeby to było prawdą. Wprawdzie Iwaś odwiedzał często dziadusia i matkę, która wydawszy się za drugiego, do jego gruntu przystała, i przywoził ztamtąd papierki i białe cwancygiery — lecz jakim sposobem on je nabywał — wnet się dowiemy, moi mili.

Z Semeńkiem Iwaś rzadko się już widywał po za szkołą, a spotkawszy się ledwie raczył doń zagadać, bo Semen szanując wolę ojca, nosił jak przedtem ubior chłopski, a włosy przystrzygał krótko nad czołem.

Zresztą Iwaś strofowany często od nauczyciela za rozpustne życie, a mając sobie stawiany za przykład Semeńka, zniechęcił się do tegoż, kpił z jego ubioru, przezywał chamem i prostakiem. Bolało serce Semeńka, gdy widział, że oni swojacy, przyjaciele od kolebki, mający wspierać się nawzajem radą i uczynkiem, tak daleko się rozeszli; cierpiał na tem, że Iwaś poszedł na tak złą i niebezpieczną drogę. Raz nawet spróbował go łagodnie upomnieć, lecz kiedy Iwaś srodze się nań ofuknął i lżyć począł, umilkł z pokorą.

Od tego czasu rok już mijał i nie widywali się już nigdy. Semeńko ślęczał nad nauką, która nie szła mu nader łatwo, uczył za kilka krajcarów młodszych studentów, i pracował w stolarskim warstacie; Iwaś hulał sobie i bankietował po miasteczku, żydom figle płatał, a do szkoły rzadko już zaglądał.

XII.

Śmierć dziadusia.

Na obejściu i w chacie Hawryłowej tłum kobiet i dzieci. Kto nie mógł przepchać się do środka, staje na przyzbie i zagląda w okno. A wszyscy naraz wrzeszczą i piszczą, że się zrozumieć nie mogą.

Chrzciny to czy wesele‘ czy jaka biesiada będzie?

Oj nie wesele, nie biesiada, lecz będzie stypa!

Bo na środku izby leży stary Hawryło, twarz mu sina, oczy białkiem zaszłe, ciało jak lód zimne. W jednej ręce sko-

stniałej zacisnął spory worek, na którego spodzie leży kilka cwancygierów; a drugą chwycił się za serce, jakby chciał przydusić jego boleść. Obok rzucony wala się rozwarty, a próżniusienki worek, snać stary Hawryłów kum i przyjaciel.

Najbliżej trupa stoją dwie kobiety — pierwsza to Hafija, Semeńkowa matka; druga Maryna, służąca Hawryły.

Maryna z płaczem opowiada otaczającym, jak stary wysłał ją w pole na robotę, nie każąc nawet warzyć obiadu; jak ona wróciwszy koło południa, zastała chatę zapartą, więc siadła na przyzbie czekając, bo myślała, że Hawryło do karczmy poszli. Lecz potem z ciekawości zaglądnęła przez okno, i, o wielki Boże, zobaczyła Hawryłę, leżącego na środku świetlicy. Więc narobiła krzyku, przybiegła Hafija, co chatę swą bieliła, zbiegli się i drudzy — drzwi odbito przemocą, lecz ratunku już nie było — bo Hawryło już nie żyli.

W tych prostych słowach opowiedziała poczciwa sługa. Lecz cóż było przyczyną tak nagłej śmierci? Co miał oznaczać ten worek w Hawryły ręku i kaléta obok leżąca?

Rozpatrzywszy się uważnie, wnet możemy dójść przyczyny. Oto wprost nad głową leżącego Hawryły widno w belku, wyżłobiona dłutem spora jamka, dająca się z wierzchu przymknąć tak szczelnie przypasowaną deszczułeczką, że ani szparki nie zostawiała. Tam zapewne chować musiał Hawryło pieniądze zaoszczędzone skąpstwem lub wyduszone lichwą; z tamtąd i teraz wyciągnął worek, bo dziura stała otworem, a ława pod belek przystawioną, po której wyłaził.

Lecz zamiast swoich ukochanych pieniędzy, Hawryło znalazł szczere pustki, a boleść skąpca za utraconym groszem była tak wielką, że z żalu serce mu pękało i padł trupem odrazu.

Bóg wielki a niedościgły w swoich sądach, ukarał grzesznika tem właśnie, czem za żywota przewinił, i zesłał nań śmierć raptowną bez żalu i skruchy za popełnione grzechy, bez pociechy kapłana, bez pożegnania ostatniego tych, których ukochał sercem a pozostawiał na ziemi!

Kiedy wieść o Hawryłowym końcu i o zakradzionych pieniądzach rozeszła się po wiosce — każdy, choć na pewne nie wiedział o sprawcy tej kradzieży — odgadywał go.

XIII.

Co porabia Iwaś?

Naprzeciw ratusza w samym rynku miasta Buczacza, stało brudne i obszarpane, żydowskie domostwo, a nad drzwiami obok sosnowej wiechy, wisiała tablica. Na niej stał jakiś wymalowany figlas, co to niby miał być karpiem czy karasiem, tuż pod nim napis:

„*Pod zlotym rybiem Wiszyng trunkuf rozmaitego*“.

W tem to szynku u czcigodnego pana Moszka Gugla, który wszystkich swoich gości, noszących surduty i kapoty, nazywał Jaśnie Wielmożnemi, niziuteńko im się kłaniał a rachuneczki robił podwójną kredką — w wieczór dnia, w którym skończył Hawryło, zgromadziło się dużo ludzi. Żyd nie mógł nastarczyć wódki, piwa i miodu, tak gęsto zasiedli stoły mieszczanie i chłopi; zwijał się podkasawszy żupan, a żydowica i młode żydziuki odbierali pieniądze stojąc za szynkfasem. Prócz tego pan Moszko musiał często gęsto zaglądać do alkierza, gdzie się usadowili jego rarytni goście.

Tu rozparł się na ławie pan Szymon Źbik, sławetny majster szewski miasta Buczacza, a drobniuśkie jego oczka i potężny nosio uśmiechał się słodziuchno do stojącego na stole miodku. Dalej siedziało dwóch strażników, co to soli i tytoniu pilnują; przy nich jakiś obszarpaniec z tych, którzy jako podróżni żebrzą po dworach i chatach, a daną jałmużnę przepijają w najbliższej karczmie; naprzeciw włóczęga z jednej z okolicznych wiosek, człek chudy i długi, jak drabina, i znajomy nam Iwaś, czyli nie ubliżając mu jego honoru, pan Johan, ubrany w niebieski surdut, białą kamizelę i żółtą chustkę pod szyją.

Snadno odgadnąć jak się ci pankowie zabawiali, bo na stole obok szklanek z miodem, wódki w zielonej flaszczynie i żydowskich szabasowych guglów, leżą brudne karciska i pieniądze.

Lecz nie wszyscy grają w karty — oprócz Iwasia i obydwóch strażników, inni przyglądają się tylko, a sławetny pan Szymon, któremu wódka i miodek milsze nad wszystkie inne

zabawy, trąbi siarczyście ze szklanicy, pogłaskuje łysinę i rozwesela towarzyszów swojemi żartami.

Naprzeciwko strażników siedzi Iwaś, w ręku trzyma karty, a za plecami jego włóczęga z uśmiechem lisa na twarzy, daje od czasu do czasu jakieś znaki rękami i głowę grającym naprzeciw. I raźnie a bez ustanku pieniądze leżące przed Iwasiem przenoszą się przed jego przeciwników. Iwaś rzuca się gniewny, drze karty, lecz gra dalej, bo żal mu przegranej i wstyd fałszywy przestać, gdyż dobrzy koledzy gotowi pomówić o brak lub skąpstwo. Gra więc dalej, przegrywa coraz więcej i gniewa się z każdą chwilą gorzej.

— Mosterdzieju, panie Janie, padam tobie, nie grywaj w te przeklęte karty, bo łeb będziesz miał obdarty — a łysiną i dziurawą kieszenią będziesz ludziom baki świecił! — odezwał się pan Szymon, a obydwaj strażnicy i włóczęga takim zyzem pópatrzyli na niego, że umilkł biedaczysko i oczy schował w szklanicy z miodem.

Właśnie strażnicy zmieniali Iwasiowi ostatniego ryńskiego.

— Lepsza za rynia, choćby też dynia — jak figa! Szepnął pan majster i palcami pokazał Iwasiowi figę.

Wtem ktoś nowy wszedł do alkierza, i nieśmiałym głosikiem spytał, czy tu jest Iwaś?

Wszystkich oczy podniosły się naraz ku pytającemu, a obszarpany podróżny, korzystając z tej przerwy, tak jakoś przypadkowo sprzątnął jednego śrebrnego szóstaka z przed panów strażników i spuścił gładko do kieszeni.

— Djable w niebie, w szynku Ciebie, panie Semenie, dalipan nie spodziewałem się obaczyć! — zawołał pierwszy pan Szymon.

— Ho! ho gapiu, to i ty, co się w świętoszka bawisz, zaglądasz koło północka do Moszka wódeczki! Ciągnął dalej Iwaś drwiąc z przybyłego.

— Snać nabywa dobrego gustu i poleruje się w mieście — dogadywał majster No, no serdeńko, nie wstydź się żeś zastał znajomych, my cię z sekretu nie wydamy. Ot siadaj tu blizko koło mnie i mów co wolisz: Wódeczkę co rozgrzewa,

czy miodek co słodkim bywa? Boś przecie nie klecha, żebyś pił piwo i spasał się na nim!

Semeńko tak na razie obsypany drwinkami, jeszcze bardziej się zmięszał, chciał mówić, lecz język nieposłuszny bełkotał tylko w gębie, a słów nie było słychać.

— Patrzcię ciurę, który w lisa się bawi! Jak się przestraszył, to i języka w pysku zapomniał — zawołał Iwaś i potrząsł nim silnie za ramię.

Na teraz Semeńko jakby cudem przyszedł do siebie i głosem, w którym słychać było i żal nad temi zepsutemi ludźmi i jakąś boleść serca, przemówił:

— Nie żartowałbyś Iwasiu; Bóg z tobą! Nieszczęście stało się wielkie — Hawryło nie żyje!

Z Iwasia twarzy krew uciekła naraz, pobladł jak chustka a ręką chwycił się stołu, aby nie upaść.

Jeszcze miłość do dziada, który go wypiastował i wyniańczył, nie wygasła ze wszystkiem w jego sercu.

— Wiwat dziadek nad dziadkami, krzyknął pan Szymon, o toż to mi w sam raz zadarł nogi, aby tobie panie Janie zostawić swoje pieniążki, mosaneńku!

I jeden po drugim wszyscy koledzy zaczęli winszować Iwasiowi bogatego dziedzictwa.

— Wódki, miodu! Niech za dziadka zdrowie, zaszumi w mej głowie — wołał pan Szymon, a we łbie już mu tęgo szumiało.

Iwaś jakby zimną wodą oblany, pomiarkował się już w pierwszej boleści — oprócz pomięszania, które widocznem było na jego twarzy, wstyd mu było, że w smutku swoim dał się przydybać kolegom.

— Kto ci to powiedział — Semeńku? spytał łagodnie.

— Parobek Hrynio, który za tobą przyjechał. I opowiadał dalej o nagłej śmierci Hawryłowej, o zakradzionych pieniądzach. Opowiadał długo i szczegółowo.

Na Iwasiu znać było coraz większe pomięszanie, nogi pod nim dygotały, a zębami dzwonił jak we febrze.

Podczas opowiadania Semeńka, koledzy wynieśli się cichaczem z alkierza. Pozostał tylko pan Szymon, któremu miodek tak poszedł w nogi, że wstać nie mógł z ławy.

— Jedź, jedź, Iwasiu, wóz czeka przed domem — kończył Semeńko.

— A ty?

— Ja jadę z tobą! I obydwaj wyszli, lecz w drugiej izbie czatował na nich Moszko, który widocznie podsłuchiwał pod drzwiami.

— Nu panie Johan, a mój pieniądz?

— Później zapłacę!

— Tfu, co to później? Ja już dosyć borgował, płać Wacpan! szwargotał Moszko, a za połę od surduta trzymał Iwasia.

— Ależ ja nie mam teraz — słyszysz żydzie!

— Mam, cy ni mam — to nie wielki dla mnie frasunek! Płać dwa ryńskie, albo zostaw surdut. Co to łapserdakowi udawać pana.

Iwaś poczerwieniał ze wstydu.

Wtem poczciwy Semeńko wybawił go z tak niemiłego kłopotu, bo mając właśnie przy sobie ciężko zapracowany pieniądz, zapłacił nim dług kolegi i przyjaciela lat dziecinnych.

Nad rankiem dojechali do Nadstrypia, lecz Iwaś nie chciał z razu zajechać przed swoją chatę, dopiero Semeńko zdołał go do tego namówić.

Weszli więc obaj do chaty, w której środku leżał trup Hawryłów pośród licznie gorejących świec. Widok dziada na nowo obudził boleść w sercu Iwasia; załamał ręce i srodze się rozpłakał. Semeńko klęknąwszy u nóg zmarłego, odmawiał pacierze za spokój duszy jego.

W kilka godzin później odbył się pogrzeb, szedł xiądz proboszcz, niesiono chorągwie, a para czarnych wołów, wiozła trumnę ze zwłokami Hawryły.

Po pogrzebie miała być stypa, lecz prócz kilku pijaków, którzy byle gdzie lezą za kieliszkiem wódki, i paru bab żebralnych, nikt nie zagościł do chaty Iwasia.

W całej gromadzie był jeden głos, że Iwaś był sprawcą kradzieży, że Iwaś okradł własnego dziada.

XIV.

Kłopoty Semeńkowe.

I naszego Semeńka, który z przyjaźni towarzyszył Iwasiowi, czekały kłopoty w rodzinnej wiosce, bo Hnat wydawszy córkę, a więc czując się osamotnionym, zapragnął mieć przy sobie syna, któryby był mu pomocą w gospodarce, tem bardziej, że Semeńko był już nateraz zdolnym choćby i do najcięższej pracy.

Jeźli sobie przypomniecie moi mili, to Semeńka ojciec już od samego początku nie był wielce przychylnym nauce szkolnej syna — bo będąc dumnym ze stanu swego, który w krwawym pocie zarabia na utrzymanie reszty ludzi, obawiał się uczynić go niezdolnym do wieśniaczego życia. Sądził że nabierając coraz więcej potrzeb, nie potrafi się ostać w tym tak szlachetnym stanie, że z czasem przywykłszy do kapoty, zrzuci ze siebie opończę, ze wzgardą odepchnie misę barszczu, która uczciwie żywiła jego ojców.

I miał roztropny Hnat trochę słuszność, chociaż mógł się w tym razie mylić; bo nic łatwiejszego, jak dobre porzucić dla lepszego, jak odwyknąć od biedy a przylgnąć do zbytku.

O Semeńka płonną była takowa obawa, bo on w szkole nie stąpał po różach, raczej po cierniach. Łamiąc i szamocząc się z nędzą, nauczył się cenić grosz zapracowany własną pracą, skąpany w pocie uznojonego czoła; a chociaż chęć do nabywania coraz więcej wiadomości, nie dozwalała mu rąk opuszczać, toć czuł, że gdyby jej się wyrzekł jak wielu innych, mógłby w chacie ojca znaleść zawsze chleb codzienny bez kłopotów i frasunku o jutro.

Lecz widząc na Iwasiu świeży przyklad zepsucia, Hnat silnie obstawał przy swojem mimo próźb syna i wstawiającej się za nim matki.

Nie było innej rady, jak udać się znów do xiędza probszcza i pana wioski, gdyż ci tylko mądrem słowem potrafiliby może przeprzeć upór ojca i namówić go ku lepszemu.

Ale i ten środek chybił; Hnat mimo namów pana i kazań Jegomości, uparł się na swojem i Semen musiał pozostać w domu, musiał się wyrzec dalszych nauk.

Nie potrzebuję wam mówić, jak boleśnem było to dla Semena, lecz jako dobry syn, bez szemrania uległ woli i rozkazowi ojca i jął się pracy.

Z razu odwykłemu od ręcznej pracy rolnika, robota nie szła składnie, lecz nie zniechęcając się a dołożywszy starania, wnet szło mu raźnie, a gdy w sześć niedziel nadeszły żniwa, Semen, który w początku więcej sobie nakaleczył rąk niż naciął zboża, wkrótce nabył wprawy i przyspiewując żeńcom nabożne i światowe pieśni przodował między najlepszymi.

Tu przytoczę wam piosnkę, którą Semen po całodziennej pracy do domu wracając, zwykł był nucić:

Już słoneczko się schowało
Za zielony las,
Skowroneczka spiew umilknął
Z pola wracać czas!

Potem zrosił nasze czoła
Znużył ręce trud,
W domu czeka nas wieczerza,
Zaspokoi głód.

Niech więc Panu pieśń wesoła
Zabrzmi z piersi wraz,
Dzienna praca już skończona,
Z Bogiem spocząć czas!

Ta ochota Semena do pracy pogodziła po troszę Hnata ze szkołami, przejrzał, że można umieć i składnie pisać i prędziuchno rachować, a być oraz rolnikiem i pracownikiem do roboty skorym.

Jak wszystko na tym ludzkim świecie przemija, tak przeminęło skwarne lato a nadeszła jesień, ta najpiękniejsza u nas pora roku, obfitująca w zebrane plony, a rzucająca ziarno posiewu do przyszłych, daj Boże, zbiorów!

Semen w coraz to nowej pracy, wnet młócąc, kosząc lub orząc pługiem chlebodajne skiby, tracił z każdym dniem nadzieję powrotu do szkoły.

XV.

Iwaś gazdą.

Wola ojca, która święta być powinna dobremu dziecku, przytrzymała Semena w domu; śmierć dziada i osierocenie ojcowszczyzny zmusiły do tegoż samego Iwasia. Przerwanie

nauk nie osmuciło Iwasia, nawet gazdowanie nader przypadło mu do smaku, bo dogadzało ono jego chęci starszowania, a czyniło niezależnym od nikogo. Tak w swym rozumie sądził Iwaś i mylił się, bo gdzież nam znaleść człeka niezawisłego zupełnie od nikogo? Zapominał, że należał do Pana, który króluje na niebiesiech a rządzi światem, że zawisł od swoich bliźnich, bo każdy winien zarabiać sobie na ich cześć i miłość, a nie na wzgardę i obojętność.

Lecz Iwasiowi wychowanemu przez matkę i dziada, u których święta nasza wiara była w poniewierce, już z młodu brakło Boga w sercu, a postępkami swemi nie zyskał sobie dotychczas ani współczucia bliźnich, ani ich szacunku. Wprawdzie Bóg w nieograniczonem swem miłosierdziu mógłby mu przebaczyć jego winę i wybaczyliby mu ją ludzie, ale ta tylko wina bywa zmazaną, ktorą obmywają łzy szczerego żalu, po której następuje poprawa. Do niej otwierała się teraz droga Iwasiowi w nowym dla siebie stanie gospodarza-rolnika, mógł zatrzeć winy niedbałego studenta i lekkomyślnego hulaki. Ale jego bawił tylko ten nowy zawód, więc z razu zajął się szczerze, cieszył tłustem bydełkiem i dojrzewającą, pozłocistą pszeniczką, lecz w robocie chciał się wyręczać drugimi, a pracy rąk własnych wstyd mu było. Pożądał zatem zbierać owoce zasiewu obcej ręki, aby ich użyć; a zapomniał o tem przykazie Bożem:

„*W pocie czoła twego pracować będziesz.*“ (D. n.)

Pożegnanie kapłana.

Znacie wy moi ludzie kochani, miasteczko Sokal w Żółkiewskiem? Nie wielkać to mieścina i tyle jeno ma ładnego, że płynie tam sina woda naszej polskiej rzeki Bug; na najwyższym wzgórku stoi biała cerkiewka, po jednej stronie Buga klasztor OO. Bernardynów z cudownym obrazem Najświętszej Panienki, a po drugiej za miasteczkiem kościółek farny, gdzie mnóstwo pobożnego ludu zgina kolana przed Panem nieba i ziemi.

Otóż przy tym kościółku, obok dobrego i czcigodnego xiędza plebana, był wikarym xiądz Michał Lic — istny anioł ziemi. Bóg zesłał go w miłosierdziu swojem nieskończonem, biednemu ludowi co pracuje i cierpi, żeby mu otarł łzę, nauczył jak żyć poczciwie, oświecił jego dziatwę, pobłogosławił konających na drogę wieczności, a wszystkim przyniósł pomoc i pociechę.

Xiądz Michał w Sokalu odbył premicję, co ma się znaczyć pierwszą mszę świętą, którą kapłan odprawia; i przez siedm lat pracował tu niezmordowanie. Nie widziano ani razu, żeby kto przyszedł do niego z prośbą o pomoc i radę, a on go puścił z niczem; nie było łoża chorego, przy któremby z anielską pociechą nie stanął xiądz Michał, ani jednego pogrzebu, za którymby on nie szedł z gorącą, serdeczną modlitwą na ustach.

Przy szkółce był katechetą, a gdy mówił onym dobrym dziatkom o Bogu i cnocie, to głos jego stawał się wzruszony i rzewny, a twarz jaśniała jakimś blaskiem z nieba, i dzieci garnęły się do niego, całowały jego ręce, a każde sobie mówiło, że jego nauki będzie pamiętać całe życie.

Kto poszedł do niego, odchodził lepszym człowiekiem. W dnie odpustne, u kratek jego konfesjonału bywał taki nacisk, że po kilka godzin xiądz Michał nie wstawał z swego miejsca. Ale jemu praca poczciwa nigdy nie była ciężką, bo kochał Boga i ludek i każdą chwilkę swego życia im poświęcał. Z ubogimi dzielił się ostatnim groszem, w modlitwie, czuwaniu, postach przewodniczył wszystkim, choć słabego był zdrowia. To też go wszyscy czcili i kochali jak ojca, a kiedy przed czterma laty xiądz arcybiskup lwowski chciał go przenieść na inne miejsce, Sokalanie tak prosili i błagali, żeby ich nie opuszczał, że nie miał serca odmówić i został.

Teraz dopiero przyjął miejsce kapelana w Jazłowcu, co to tam jest klasztor dziewic poświęconych Najświętszej Pannie. O! dopierożto trzeba było widzieć moi ludkowie kochani co się to działo w Sokalu! Jak się ludzie o tem dowiedzieli, jak zaczęli chodzić a prosić a płakać: „zostań ojcze, zostań z nami! bo co my bez ciebie poczniemy!“ — tak biednemu xiędzu Michałowi

aż się rozpływało serce od żalu, ale taki już teraz nie mógł ich posłuchać, bo miał wyższy rozkaz iść do Jazłowca. Więc z owej ambony gdzie przez kilka lat tak ślicznie lud nauczał, przemówił jeszcze raz do niego, żeby go pożegnać!...

Jego słowa proste, miłe a rzewne, zagłuszyły płacz i głośne szlochanie w całym kościele.... I patrzył Bóg z nieba na swego wiernego sługę i na ten ludek co go tak wdzięcznie pokochał i aniołowie uśmiechnęli się do nich, a kościółek rozjaśnił się światłem miłości, wiary i pociechy.

Przez trzy dni ostatnie u xiędza wikarego drzwi się nie zamykały, bo kto żył szedł jeszcze po radę i błogosławieństwo jego. Bylić tu ludzie każdego stanu i wieku od pana do żebraka, od małego dziecka do starca, i Rusini i Polacy, boć to jedno przed Bogiem. Zebrał się też wszystek lud z Sokala, gdy już xiądz Michał odjeżdżał, bo wszyscy chcieli go odprowadzić. A każdy z gospodarzy dobijał się o to szczęście, żeby wieźć swojemi końmi i wózkiem ukochanego kapłana. On do każdego uśmiechnął się słodko, przemówił poczciwe słówka od serca, dziatwę przytulił jeszcze i pobłogosławił.

W sąsiedniej wiosce Zawiszni dopiero rozstali się pod figurą. — Xiądz wikary ze łzami w oczach odjechał a ludek się skupił na wzgórku i długo, długo tak jeszcze stali, patrząc za ukochanym najmilszym ojcem, aż póki nie zniknął im z oczu.

Napisaliśmy wam to w tym „Dzwonku“ dlatego, abyście to i wy, co go nie znacie, wiedzieli trocha o tym dobrym kapłanie i westchnęli za nim do Boga — a podrugie też dla tego, abyście mieli piękny przykład z ludu Sokalskiego, jak szanować i kochać umie swoich pasterzy.

Od pisarza „Dzwonka.“

Panu wójtowi z Rokitnicy! Piszecie do mnie list panie wójcie i żalicie się w nim bardzo, że przy tych nowych ustanowach dla gromad mają ludzie wiele kłopotu, bo nowego prawa gromadzkiego nic nie rozumieją. Otoż ja wam radzę kupić sobie książeczkę: „*Nauka gromadzka, co ją każdy porządny gospodarz dobrze znać powinien*“, bo w tej książeczce jest całe to nowe prawo gromadzkie tak jasno jak na dłoni wyłożone — więc kupcie ją sobie za 25 grajcarów w mieście, gdzie jest księgarnia, a będziecie mi potem dziękować!

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XVI. **Nr. 5.**

11. lutego **1867.**





Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK
PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Kościół św. Anny w Zakrzowie.

Będzie temu więcej jak sto lat. Był dzień niedzielny, dzień świąteczny lipcowy. Słoneczko już wybiegło nad dzwonnicę, kłos się kłaniał na łanach jak morze falujące — w górze wisiał skowronek wdzięcznie spiewając Bogu — dołem strumyk szemrał łąkami, a cisza była w polu, cisza u boru, cisza niedzielna taka luba, taka znana, że gdybyś nie wiedział i spał dni kilka a przebudził się w niedzielę, poznałbyś że dzień Pański!

W kościele w Zakrzowie przegrały już dzwony a z wszech stron drużynami spłynął tłum ludu do kościoła, a spiew i organy płyną znowu do nieba z modlitwą ludu. Daleko, lasem i górą obiegł głos dzwonu, a echo go zaniosło i tam, gdzie płakała krzywda.

W ustroniu pod borem stała chatka stara, a w progu siedziała młoda dziewczyna i płakała. Biedna! to sierota. Matka jej dawno już spi pod zieloną mogiłą, już bardzo dawno nie widziała i nie całowała swej matki — pamięta jak na jej łonie usypiała, pamięta pacierz, którego jej uczyła i słodkie słowa

matki, aby zawsze dobrą była — i pamięta martwą twarz matki i zimne ręce, które jej otulić nie mogły... A teraz sierota biedna! Macocha nie lubi i krzywdzi sierotę; zgrzebnej koszuli i czarnego chleba żałuje, dobrego słowa skąpi — i sierotka biedna, sama jedna, nie ma nikogo... tylko Boga miłego!

I dzisiaj płacze sierota a nikt nie pyta o jej łzy. Nie szat, nie korali, nie doli ona płacze, ale niedziela to święta, wszyscy na mszą św. poszli, sierotce pójść nie dali, kazali zostać w czarnej koszuli i zbierać zioła — sierotka mszy świętej nie słyszy i dlatego płacze rzewnie.

— Jaki tam śliczny kościół — mówiła sobie sierota, a słyszały ją drzewka i słyszeli anieli — jaka śliczna w ołtarzu św. Anna z maleńką Maryą! jakbym ja rada do tego obrazu pomodlić się! Ach do kościoła daleko! Boże mój, Boże! Ty mnie daj i ołtarz i obraz! Ja dziecko bez matki... Ty mi daj matkę!... Ja nie mogę mszy św. słuchać, tu ja sierota modlę się do Ciebie!

I uklękła dziewczynka, złożyła ręce a łzy padały kroplami z jej oczu. W tem o dziwny cudzie, w wielkiem świetle złoty obraz św. Anny ukazał się na drzewie, a od światła tego cały cień lasu wyjaśniał, a z obrazu twarz św. Anny patronki sierot słodka patrzy na sierotę. Krople rosy jak lampeczki zamigotały w koło a zarazem las cały i strumyk i ptaszki grają jakąś dziwną pieśń, jakiemi nie grały nigdy, a mgła słoneczna niby kadzidło wije się u obrazu!...

Dziécię drząc schyla czoło do ziemi, bo nie śmie poglądać w te cuda, i paciorek serdeczny szepce u ziemi. Tej samej chwili w kościele w Zakrzowie spadła zasłona na obraz świętej Anny, a lud struchlał i wybiegł zlękniony.

Na to miejsce gdzie się pokazał cud sierocie, przeniesiono poźniej kościół i stoi do dziś dnia, a pobożny lud w nim klęczy, pomnąc o sierotce co tyle łaski miała u Boga.

Zaprawdę i my możemy mieć podobną łaskę u Boga, bo kto ma serce czyste i niewinne jak owa sierotka, kto nie życzy źle swoim nieprzyjaciołom, znosi cierpliwie krzyżyki od Boga, kto serdecznie kocha Pana Boga, kto pociechy szuka u Stwórcy, to choćby i na mszą św. pójść nie mógł, jak owa

sierotka, Bóg mu do serca wleje taką pociechę, takie nabożeństwo, że niby cudem Jego łaski zbuduje sobie kościół w sercu i ujrzy tam słodkie oblicze Zbawiciela!

Przeciwnie kto pójdzie do kościoła bez myśli o Bogu, bez uszanowania i modlitwy — kto pozostanie w domu przez lenistwo i grzechy — zasłona mu spadnie na duszę i smutek w pustem zamieszka sercu. *B. E.*

Krótkie przypowieści.

Rachunek ziemski.

Życie ziemskie pożyczane
A niebieskie obiecane,
Coś ta winien, oddaj pracą,
Dług niebieski ci wypłacą.

Wiara.

Rozum stępieje, szczęście się odmieni,
Męztwo się z czasem zachwieje,
Najmilsze zwiędną nadzieje,
Sama wiara niespożyta,
W śmierci zbawienie czyta,
Jej tylko jednej przyszłość się zieleni!

Nasza kolej.

Wnet na wierzchu, wnet na dole,
Wszystko krąży, co jest w kole!
Ale kołem wóz ciągniony,
Coraz w dalsze idzie strony —
Czy cię poniża, czy wznosi,
Trzymaj się każdy swej osi!

Dokąd prowadzi nauka z cnotą.

Opowiedział Tadeusz Korwin.

(Dokończenie.)

XVI.

Rozmowa.

— Wy bo, kumie Dmytrze, taki zawsze nakręcacie na swoje, jak ta szkapa, co to jak się nauczy chodzić na podsobku, to zawsze hejta ściąga. Mówicie, że nie dla nas nauka, i zaraz wam na oczy przychodzi ten niby panicz Iwaś. Toć jak wam się zboże nie uda, to nie jest winne ziarno, coście go w rolę rzucili, ale albo ziemia że jałowa, albo wiatry i mrozy na wiosnę, które zasiew uszkodziły. Ja sobie myślę, że z nauką jak ze siewem. Jak padnie na chłopaka, któremu rodzice nie zaszczepili w sercu świętej wiary, któremu dzieckiem nie ganili co złe, a nie chwalili co dobre — to jak jeszcze na dobitkę popadnie potem między złych ludzi, nauka na nic się nie przyda — i na złe wyjdzie. Ale jak grunt dobry, to nauka pójdzie na pożytek.

— Ta może to i prawda — odpowiedział kum Dmytro — ale mnie się widzi, że bez niej możnaby się obchodzić.

— Pewnie że możnaby, jak możnaby się obejść bez koszuli, a chodzić gołym i dzwonić zębami — jak możnaby się obejść się bez chleba, a żyć tylko barszczem; to pewna. Ale jakeście dobrzy mój kumie, powiedzcież mi, czy nie lepiej papiery co do nas z urzędu przychodzą, przeczytać samemu, jak iść z niemi do djaka i dopraszać się o to pokornie, lub nieść je do dworu i kłaniać się za to.

— Jużcić lepiej przeczytać samemu.

— A nie lepiej byłoby napisać samemu prośbę lub podanie, jak płacić za to żydka w miasteczku, który wam nabazgrze Bóg wie co. Zresztą na tem jeszcze nie koniec, bo tam w szkole uczą innych rozmaitych rzeczy, które chrześcianinowi mogą się przydać — i człek nie chodzi po świecie jakby z zawiązanemi oczyma.

— Taj łazi od xiędza do pana — dodał Hryć urlopnik, który właśnie co nadszedł.

— To jeszczeby w tem dużo złego nie było, bo rada mądrych ludzi nigdy nie zaszkodzi. Ale u was, coście tam w Italii cudzego rozumu nachwytali, to zaraz pan, to wróg! Wam się zdaje, że pan wszystko złe i na przekor wam robi!

— A zrobiłże kiedy co dobrego? — dogadywał Hryć.

— Ot pożal się Boże, głupie gadanie! A co on to powinien robić wam? czy ma was wspomagać chlebem, jak wy na niego kamieniem rzucacie! Ale i to wierutne łgarstwo, bo choć ty gadasz na pana, gdzie pójdziesz, jak ci trzeba będzie grosza na podatki, jak trzeba będzie lekarstwa dla chorej żony? Choć na dwór ujadasz, taki tam pójdziesz! Jeśli ci tam dadzą o co będziesz prosił, to ich łaska — jak ci nie dadzą, to dobrze zrobią, boś tego nie wart! A jak tobie ojciec umrze, to może do żyda pójdziesz za drzewem na trumnę?

Hryć spuściwszy nos na dół milczał.

— Ale tfu na urok, ot przerwał nam, bośmy to mówili o nauce, i chciałem wam właśnie wskazać na Semena, Hnatowego syna, bo na nim najlepiej widno, że nauka przydać się może.

— Oj prawda kumie Stefanie, dobry to chłopak, a chociaż rozumu się nauczył, to i nosa nie zadziera i do pracy się nie leni. Patrzcie, choć cztery lata był w Buczaczu, nawet sukmany się nie wstydzi!

— Boć to wielkim grzechem Dmytruniu, zapierać się swego stanu i pracy się wstydzić. Wiecie co kumie, mnie się widzi, że namby trza takiego na wójta, co aby i rozum miał i chłopem pozostał, bo przy takim wójcie, to i porządek będzie i nikt gromady nie zaszachruje. Taki on się lepiej przypilnuje i za gromadą obstanie, jak jakiś tam pisarz ze świata przybłęda.

— A mnie się zdaje kumie, że ten porządek nowy to się u nas nie ostoi. Źle było za mandatarów, bo było dużo złych między nimi, taj biednych ludzi krzywdzili, ale teraz jeszcze gorzej — bo to ni dobremu sprawy, ni złemu kary — a złodziejstwa huk. Tego to się chyba pozbędziemy, jak gromada sama będzie rządzić i sądzić.

— I jak wójtowie będą ludzie słuszni — i sprawy nie w karczmach, ale po trzeźwemu będą robić.

Tak w jedną niedzielę rozprawiali Dmytro i Stefan, dwaj gospodarze z Nadstrypia, siedząc na ławie przed karczmą.

XVII.

Hnat u Pana.

Kiedy człowiek traci nadzieję pomocy, zwykle bywa ona najbliżej. Jest to zaiste wielka prawda.

Gdy Semen utracił już całkiem nadzieję pobierania nauk w szkole, nie przeczuł, nie odgadł, że życzenia jego wnet miały się spełnić.

Oto pan syna swego odsyłał do szkół, a nie chcąc jedynaka puszczać w świat bez pomocy, rozglądał się, kogoby wybrać jemu za sługę i powiernika. A rozpatrzywszy się bacznie, wybór jego padł na Semeńka.

A zatem przywołać kazał Hnata, i jakby o wielką łaskę upraszał go, aby pozwolił Semenowi jechać z paniczem. Przedstawił mu, że syn jego wypieszczony i słabowity potrzebuje pomocy uczciwego a życzliwego sługi, że nie wysełа syna do szkoły gdzie uczą wiela rozumu, lecz gdzie uczą rzeczy niezbędnie potrzebnych rolnikowi — gdzie pouczają gospodarstwa.

Hnat rad z zaufania pana do jego syna podśmiechiwał się z powątpiewaniem słysząc o szkole, gdzie miano uczyć gazdować. Wydało mu się to całkowicie niepotrzebnem, bo któż ojców jego i pradziadów uczył, a wszakci umieli chodzić koło roli i plon jej wystarczał im?

Postrzegł pan niedowierzanie Hnata, a wymownemi słowy wykazał, że ludzie z czasem nabierają coraz więcej potrzeb i że to na dobre im wychodzi. Tu nadmienił, jak to dawniej nikt z włościan nie miał na chacie komina i łuczywem oświetlał izbę — a dzisiaj kurnych chat już nie widać i nafta zastąpiła smolne trzaski. Lecz te potrzeby nowe, choć są dla nas z pożytkiem, ale wymagają więcej kosztu, więc trzeba nam się starać, aby ziemia nasza wydawała jaknajwięcej.

— Otoż tego nauczają tam, ucząc oraz jak leczyć chore bydło, jak chodzić koło pasieki, jak utrzymywać sady, aby

drzewa obficie rodziły, i wielu innych jeszcze wiadomości wielce przydatnych dla rolnika.

— Bo — dodał dalej — nasz rolnik przywykł cały swój dochód, który ma wystarczać na wyżywienie i przyodzianie rodziny, szukać li tylko w ziarnie, a zaniedbał inne boczne zatrudnienia gospodarcze, któreby go dobrze wspomagały, jako to hodowlę i tuczenie bydła, chów nierogacizny i drobiu, utrzymywanie pasieki i tym podobne. Nawet koło roli, która z czasem wycieńcza się i postnieje, nie chodzi starannie, nie uprawia jej, jak potrzeba, bo nie troszczy się o zwrócenie ziemi soków, któremi ona wykarmia zboże. Ztąd to gleba staje się z każdym rokiem coraz jałowszą — i wydaje plony coraz mniejsze.

Długo jeszcze mówił o tem dziedzic naszej wioski, a słowa jego roztropny Hnat należycie pojął, i zezwolił żeby syn jego towarzyszył paniczowi, za co pan serdecznie mu podziękował.

Jak się uradował Semen, gdy mu to ojciec oznajmił, trudnoby opisać lub wypowiedzieć Z radości biegał po całej wiosce, aby każdemu udzielić tę pocieszną dla siebie nowinę, a pierwszym był kolega i sąsiad Iwaś.

Iwaś nie podzielił radości przyjaciela, bo mając u siebie w gościnie woźnego z powiatowego miasteczka i znanych nam już strażników, nie miał ani czasu, ani ochoty wysłuchać jego opowiadania.

We dwie niedziele potem panicz z Semenem błogosławieni przez rodziców, puścili się w drogę.

XVIII.

W Dublanach.

Niedaleko Lwowa, stolicy naszej krainy, leży wioska, nazywająca się Dublany. Tamto założoną została szkoła gospodarcza, która wydaje ze siebie umiejętnych i zdolnych rolników. Pod bacznym dozorem kilkunastu profesorów, sposobi się tamże do stu młodych ludzi, pobierając potrzebne nauki i zastosowując je zarazem do codziennego użytku w polu i oborze, w sadzie i pasiece. Tutaj panicz z Semenem spędzili trzy lata, a obydwaj korzystali ile mogli z nauk i prób odbywanych.

Semeńko usługując paniczowi, pomagając uczniom w doświadczeniach robionych w polu, pracując w stolarskim warsztacie, gdzie wyrabiano nowe skrzynkowe ule, a przytem czytając książki darowane mu przez panicza; dzień po dniu spędzał w ustawicznem zajęciu.

Będąc od najmłodszych lat ciekawym wszystkiego, czego nie umiał, Semeńko rad zaglądał w każdy kącik, przypatrywał się i pomagał do każdej roboty, która była mu nową.

Jakże się zdziwił, widząc pszenicę sadzoną niby kukurudza rządkami i ogartywaną płużkiem, a wydającą mimo rzadkości posiewu znacznie większe zbiory dorodnego i pełnego ziarna; lub nieznane sobie rozmaite rośliny, służące albo na karmę, albo na wydostawanie z nich oleju, potrzebnego do smarowania kółek i trybów rozmaitych maszyn. Jak się dziwował oglądając przeróżne narzędzia, ułatwiające rolnikowi jego pracę; te młocarnie poruszane parą kipiącej wody, wymłacające za stu zmłocków, a zsypujące czyściutko odczyszczone ziarno w podstawiane worki; te żniwiarki tnące zboże jak najlepszy kosarz; siewialnie sadzące zboże rządkami; wialnie do czyszczenia ziarna, rozmaite radła, walce, brony i pługi!

Wnet nauczył się poznawać ich skład i użyteczność, a profesorowie dostrzegając w Semenie chęć nabywania tak potrzebnych rolnikowi wiadomości, polubili ciekawego młodzieńca i objaśnili mu czego zrozumieć nie mógł.

Przyuczył się więc starannie chodzić koło roli i dobierać dla różnych rodzajów zboża stosowne pole; szczepić drzewka owocowe i pielęgnować je, robić w skrzynkowych ulach roje i doglądać pszczół, nawet leczyć niektóre choroby bydła i koni.

Prócz stolarki, której już dawniej był się poduczył, zachodząc czasami do bednarskiego warsztatu i majstrując tamże, doszedł do tego, że i rozsypaną konew złożyć i nową zrobić potrafił.

W pośród tych licznych zatrudnień ani spostrzegł Semen, że o trzy lata stał się starszym, że nadszedł czas powrotu do domu i okazania ludziom, którzy go kochali i nim się zajmowali, że nauka nie poszła na opak, lecz że ona wyda w dalszem życiu dostatnie owoce.

XIX.

Iwaś żeni się.

Właśnie skończyłem opowiadać wam moi mili czytelnicy o ostatnich trzech latach z życia Semena, a jeżeli było wam przyjemnie wysłuchać moją opowieść, to wierzajcie mi, że i dla mnie było nader miło opisywać żywot młodzieńca pracowitego, chętnego nabycia rozumu — i pobożnego w Bogu.

Teraz z kolei przypada mi mniej miła powinność zapoznania was z tem, co w tym czasie porabiał Iwaś.

Jeśli sobie przypominacie, to Iwaś już w Buczaczu zrzucił ze siebie strój przystojny i chędogi ojców a przebrał się z pańska. Cóż to miało oznaczać? Oto że Iwaś zaparł się szlachetnego stanu chłopka, że nim wzgardził i że go się wstydził.

Objąwszy po dziadusiu gospodarkę, Iwaś bynajmniej się nie poprawił, pracy rąk własnych się wstydził, z gromadą nie żył i nie bratał się, lecz z ludźmi, niby to lepszymi od chłopa a w rzeczy samej gorszymi od niego.

Chciał używać, lecz grunt, z którego plonów Hawryło żywił siebie, wychowywał wnuka i pieniądze składał, nie wystarczał Iwasiowi, a gotowego dziadusiowego grosza już nie było.

Może to wyda wam się niepodobnem do prawdy, to porachujcież moi mili, że surduty i kamizele Iwasiowe kosztowały znacznie więcej, jak kożuch i sukmana Hawryły, które trzy razy najmniej trwały dłużej niż tamte. Dodajcie do tego inne potrzeby Iwasiowe, których Hawryło nie znał, dalej traktowania nachodzących go z miasteczka gości, a wreszcie odtrącić od dochodu te pieniądze, któremi trzeba było opłacić trzysta dni roboty, które dawniej Hawryło spełniał własną ręką, a które Iwaś wstydzący się pracy musiał najmować u obcych. Jeśli zrachujecie to razem, to przekonacie się, że miałem słuszność mówiąc, że to, co czyniło dziadusia bogatym, nie wystarczało Iwasiowi.

Aby temu zaradzić począł Iwaś wymuszać na sąsiadach długi, wypożyczone im przez Hawryłę a od dawna spłacone już lichwą — to jest zbyt wielkim procentem. Ztąd swary i niesnaski w gromadzie, dalej spory i procesa w sądach. Go-

spodarka zaniedbana, bo zdana zupełnie na sługi, upadała coraz bardziej.

W tym czasie Iwaś ożenił się. Zgadnijcież, jeśli wasza łaska, z kim? Choćbyście długo dumali i głowę suszyli, nie odgadniecie; bo wybyście myśleli, że pewnie z córką równego sobie jakiego poblizkiego bogacza. Otoż nie — posłuchajcie!

Była u naszej pani sługa, które to po dworach nazywają pannami; dworka, jakich mało, co to, jak mówi przysłowie, i strzygła i goliła naraz. Była rok we dworze, lecz po roku poznała się na niej pani i nie chciała trzymać dalej. Powiadano, że jakieś niedobre sprawki pokazały się na imościankę. Będąc tedy bez służby osiadła na wsi, a że lubiła się mizdrzyć, wnet zapoznała się z Iwasiem, i o dziwo, nie wyszło trzy miesiące, kiedy gruchło po wsi, że Iwaś żeni się z panną.

Panna Magdalena, bo tak było jej na imię, umiała wziąć na lep i otumanić młodego a niedoświadczonego parobczaka, odurzyć go dziedzictwem po stryjku, który nigdy się nie rodził, że Iwaś dał na zapowiedzi i ludziom ku zgorszeniu ożenił się z dworką.

Ale panna Magdalena mimo słodkich oczu i bogatego spadku, nie byłaby nigdy została panią Johanową, gdyby nie słabość Iwasia dla wszystkiego, co było niby wyższem od chłopa. Wszak lepiej było mu do twarzy z żoną w rozłożystej krynolinie, w jedwabnej sukni i kapeluszu na głowie, niżli z wiejską poczciwą dziewuchą.

Zapomniał w zaślepieniu swojem, że biorąc taką żonę, obowiązkiem jego było kupować jej na przyszłość te fatałaszki, iż narażał się na to, że podobna żona nie mając wygody, wnet go porzuci.

Tak się stało; nie upłynął i rok a Iwaś w dwudziestym trzecim roku życia mimo woli został wdowcem. Pani Magdalena, której już od początku wszystko się nie podobało, która radaby spijać kawuncię w łóżeczku miękko usłanem, nic nie robić, a co najwięcej umizgać się do gości Iwasiowych, jednego pięknego wieczoru czmychła, nie zapomniawszy zabrać swoje manatki, między które zamięszały się — Bóg wie jakim sposobem — niektóre rzeczy Iwasia i reszta pieniędzy, co były

w domu. Iwaś z karczmy, gdzie się zabawiał, powróciwszy do domu, zastał tylko ciepłe gniazdeczko, ptaszka już nie było. Teraz dopiero poznał swój błąd, wstyd mu było i takiej żony i tej hańby na jaką zeszedł, a ludzie przebąkiwali, że dobrze tak temu, który nos zdziera w zbytniej dumie i stanu ojców swoich zapiera się.

W kilka miesięcy później widywano w pobliskiem miasteczku panią Magdalenę włóczącą się z strażnikami od szynku do szynku.

XX.

Procesa.

Zapewne sami musieliście doświadczyć tej prawdy, że nic nie niszczy tak chłopka jak procesa. Wieluż to zasobnych gospodarzy, zacząwszy się procesować między sobą, opuściło swoje chaty o żebranym kiju, i dziś przeklinają na czem świat stoi dupliki i repliki.

Stemple, opłata tych pokątnych pisarzy, którzy za dobry pieniądz bazgrzą podania i rekursa niewarte i trzech groszy, wreszcie wodzenie się po miasteczkach od sądu do sądu, mogą zniszczyć i najmajętniejszego bogacza. Wie o tem z nas każdy, a temci gorzej, iż wiedząc o tem, nie staramy się zagodzić sprawę w gromadzie, lecz szukamy sądów. Czemuż to panowie, co większe posiadają majątki, nie procesują się, lecz kiedy jest spór jaki, to wybierają z pomiędzy siebie sędziów, a ci załagadzają sprawę. Dlaczegoż oni tak robią, pytam was? Bo zmądrzeli i wiedzą, że przy procesie obiedwie strony chudną!

Dobry to przykład dla nas chłopów, wart aby iść za nim, a nie niszczyć majątków naszych procesami! Wszak ci, którzy są was najbliżej, którzy waszą sprawę najlepiej znają — lepiej potrafią osądzić, jak człek obcy, a często mowy waszej nierozumiejący. Wójt z kilkoma słusznymi gazdami byliby w naszych sprawach najlepszymi, najsprawiedliwszymi sędziami!

Cóż dopiero dziać się musi, jeśli kto, jak Iwaś kilkanaście procesów ma na karku!

Któżby po półtrzecia roku Iwasiowej gospodarki poznał obejście Hawryłowe, tak zamożne i dostatnie, któżby odgadł, że

tam gdzie dzisiaj pustki, w których sowy chyba się wywodzą, stały stodoły pełne zboża, że tam gdzie dzisiaj nędza i bieda była zamożność bogatego kmiecia!

Jak lód w piecu skapał majątek Hawryłów! Za lichwę od pożyczonych na procesa pieniędzy, zabierali żydkowie zaledwo zebrane zboże; na hulatyki i zbytki szły dojne krówki i płużne woły; chata stała niebielona z strzechą obdartą, z oknami powybijanemi, w sadzie najpiękniejsze drzewa wyrąbane, nawet płoty w około popalone!

Iwaś ostatniemi czasy rzadko już przesiadywał w domu, bawił w miasteczku, nudząc i trudząc urzęda swojemi procesami, bankietując ostatkami w kompanii podejrzanych przybłędów. Wreszcie wkrótce przed powrotem panicza i Semena znikł zupełnie z wioski, a na gruncie jego osiadł jakiś mieszczanin, jakiem prawem — nikt nie wiedział i nikt nie pytał.

XXI.

Semen.

Koło Iwana (t. j. we dwie niedziel po św. Janie) panicz z Semenem powrócili do domu, a choć pan chciał go zatrzymać jako gumiennego, Semen podziękował i pospieszył do ojca i matki, pomagać im w ich pracy.

W kilka tygodni potem znów Semen przodował licznej żeńców rzeszy na łanach pszeniczki, kładł sterty w gumnie i siał zboże pod zimę.

Robota szła mu jakby z płatka, a w niedzielę gdy się zeszli gospodarze i Semen jął im opowiadać, czego się wyuczył i co widział, to się do woli nasłuchać nie mogli. Wnet stał się ulubionym od całej gromady, przykładem dla młodych parobczaków i urlopników, co to niby wszystkie rozumy pojedli, a najlepsza i najładniejsza dziewka z całej wioski Docia, córka wdowy po wójcie Ostafiu, tak go sobie upodobała, że przed adwentem odbyło się wesele. Ochoczo a po Bożemu zabawiano się przez trzy dni z rzędu; w kołomyjkach i obertasach parobcy poobijali sobie obcasiki, dziewczęta porozsypywały paciorki — od stuku i huku omal ściel się nie zapadła.

Hafja, poczciwa matczysko, zeszlochała się widząc w takiem szczęściu jedynaka, a Hnat milcząc błogosławił syna idącego na własną gospodarkę.

We cztery lata później na obejściu Semenowym widne były ład i dostatek. Chata jasna z wysoko sterczącym kominem, ustawiona wewnątrz schludnemi a wygodnemi sprzętami i pułeczkami, na których Semen rozłożył swoje książki; obok sadek z drzewkami szczepionemi własną jego ręką, w nim kilkanaście pni pasieki pełnych miodu; na oborze podpasione bydełko, w gumnie chleba obfitość a pod szopką wozy, pługi i brony roboty Semenowej i jego warsztat stolarski.

Tak to Bóg błogosławił uczciwej pracy, którą znać było w każdym kątku!

Lecz Semena zatrudnienia nie ograniczały się na jego gospodarce, bo radą i czynem niósł on pomoc wszystkim, którzy jej zapotrzebowali, a co święta gromadząc w koło siebie dziatki sąsiadów i rozmawiając z niemi, uczył je rozmaitych prac rolniczych. Wiódł je do pasieki pokazując, jak robią się roje, jak się wzmacnia mucha w pniach słabszych kosztem drugich w miód obfitych, jak wypędzają trutnie itp. To znów innym razem wskazywał w swoim sadzie jak szczepieniem uszlachetnia się podłe dziczki, jak je oczyszcza z wilków, które nakształt trutniów, kradną tylko najlepsze soki, lub jak się zaopatruje na zimę, by nie zabolały.

Dzieci ciekawe przysłuchiwały się nowym dla siebie rzeczom, a pojętniejsze powtarzając co słyszały swoim rodzicom rozbudziły również ich ciekawość. Zaczęli więc i starsi gospodarze zaglądać co niedzieli do Semenowej chaty, a Semen umiał zawsze składnie nakręcać rozmowę na takie rzeczy, że mimo ich wiedzy pogadanki te były dla nich nauką. Tym to sposobem pozbywali się przesądnych i złych sposobów uprawy roli, leczenia bydła, a widząc, że pierwsze próby udawały się, uwierzyli w nowe nauki. Odtąd zasięgano często Semena rady, a tenże nie będąc zarozumiałym na swą naukę, radził się nawzajem doświadczenia ludzi starszych.

Wadą to ludzką, że w rzeczach choćby tak jasnych jak to Boże słonko świecące nad nami, rzadko bywa zgoda. Nie było jej i w Nadstrypiu.

Icek który siedział na karczmie wrzeszczał i lamentował, że z winy Semena ludzie w dnie świąteczne nie chodzą do karczmy, że arenda nie wiele już warta, że pejsate jego bachury pójdą z torbami. Rudy żydek lamentując nie mówił szczerej prawdy, jemu nie szło o wódkę, która i teraz mierny miała odbyt, bo po pracy nie jest wzbronionym, ale nawet zdrowym kieliszek wódki, a pijaństwo tylko jest szkaradnym grzechem, poniżającym człowieka stworzonego na podobieństwo Boże.

Jest taka gadka, że gdy djabeł posadził winną latorośl, to podlał ją najpierw krwią pawią, potem lwią posoką, później krwią małpią a nakoniec świńską juchą. Toć i człowiek, kiedy sobie trochę w czubek podleje, to nadyma się jak paw, kiedy doleje jeszcze trochę, to sroży się i ciska jak lew, a potem błaznuje jak małpa przypięta na łańcuszku i przewracająca koziołki, w końcu jak zupełnie się zaleje, to staje się świnią.

Lecz wróćmy do Icka. Otoż temu szło najbardziej o zyski, które w niegodziwy sposób ciągnął z gromady tak przez lichwę, jak przez zakupno zboża za byle co.

Z przyczyny Semena żyd utracał te obydwa środki bogacenia się pracą i potem chłopków, gdyż za Semena namową założono spichlerz gromadzki, z którego biednych wspierano zapomogami w głodną wiosnę i za jego poradą czyszcząc staranniej zboże i zbierając się razem po kilkunastu gospodarzy, sprzedawano je lepiej i bez oszukaństwa na miarze kupcom z większych miasteczek.

Mimo krzyków arendarza cała gromada miała cześć i poszanowanie dla Semena, a stary Hnat niańcząc wnuki, z dumą uśmiechał się, gdy chwalono jego syna.

Rok rocznie po ukończonych zasiewach Semen ładownym wozem wymykał się cichaczem z wioski, dokąd jechał, tylko żona wiedziała. Na wózku obok faseczki masła i powideł upakowane były w worze suszone śliwki, rumianych jabłuszek kóp kilka, parę wianków grzybów i w dużej makutrze kilka-

naście plastrów białego lipcowego miodu. Semen raźno zacinał koniki, przyspiewywał im wesołe piosneczki, a kiedy z Fedora góry zobaczył Buczacz, to ptakiem chciałby doń dolecieć. Tu zajeżdżał do starodawnego klasztoru XX. Bazyljanów, a wysłuchawszy mszy świętej, xiędzu gwardjanowi składał swoje dary i z rozrzewnieniem całował jego ręce.

Semen, moi mili, nie zapominał o dobrodziejach swoich, był im wdzięcznym za odebrane nauki — a wdzięczność to cnota wielka, chrześcijańska.

Zakończenie.

Z czasem wszystko się kończy na tym świecie, więc i naszą opowieść musimy zakończyć, przenosząc się znowu o lat kilka naprzód.

Jednej nocy o poźnej już godzinie wielki hałas zrobił się w pańskim dworze. Gdy zapalono światło, ujrzano złodzieja, który wyjąwszy szybę wlazł do pokoju, a gospodarując tam jak we własnym domu, został na uczynku przydybanym. Tymczasem zamknięto śmiałka do spichlerza, a rankiem posłano po wójta, aby go oddać w ręce sprawiedliwości.

Wójtem od niejakiego czasu, to jest od kilku niedziel był Semen. Choć młody wiekiem, bo ledwie trzydziestki dochodził, lecz stary rozumem jednogłośnie przez gromadę został wybrany na tę godność wójtowską a spełniał ją szczerze i gorliwie.

Nadszedł więc Semen do dworu, a gdy otwarto spichlerz, jakież było jego zdziwienie i boleść, kiedy w przytrzymanym poznał przyjaciela lat dziecinnych, kolegę z ławy szkolnej, Iwasia, Hawryłowego wnuka!

Iwaś poznał Semena, lecz nie tracąc fantazji, z bezczelnym uśmiechem na opiłej twarzy powitał go temi słowy:

— Tfu do czarta, anim się spodziewał dostać w tak znajome ręce! Bierz cię licho wójcie, po starej znajomości każ mi dać choćby naparsteczek wódki, zanim rozpoczniesz te wasze głupie protokoły, bom jak pies zmarzł w tej przeklętej dziurze!

Semenowi łzy zakręciły się w oczach na widok tego zepsucia i bezwstydu. Wartownikowi zdał złoczyńcę, aby go odprowadzili do urzędu, sam dumając szedł do domu.

Przed ganek wyszedł pan wioski, starość śniegiem przypruszyła mu głowę, choć na twarzy mało się zmienił.

— Bóg z wami panie Semenie, a cożeście opuścili tak głowę?

— Boć smutno wielmożny panie, widzieć dawnego przyjaciela w pohańbieniu a sromocie!

— A któż to przez Boga żywego?

— Iwaś, wnuk Hawryłów, który dzisiaj w nocy gospodarował w waszym dworze.

— Wielki Boże! — zawołał dziedzic. — Tyś w sądach twych sprawiedliwym na tych, którzy wygnali cię z serca swego!

— I wzgardzili uczciwą pracą, shańbili swój stan i zaparli się ojców swoich! — dodał Semen.

RÓŻNOŚCI.

Dobra gromada Brzyska. We wsi Brzyskach za Brzostkiem dnia 27. stycznia tego roku o 9 godzinie w wieczór spaliły się gumna dworskie, szkoda wynosi na 10.000 złr. Gospodarze ze wsi zbiegli się z konewkami i osękami i setnie ratowali. Cwierć mili od tej wsi jest miasteczko Kołaczyce. Otoż z tego miasteczka wysłano zaraz sikawkę i ratunek był wielki, inaczej spaliłby się cały dwór, kościół, plebanja i polowa wsi. Dobrzeby było, aby każda gromada miała taką sikawkę i ze dwie beczki na wodę. Dziedzic tamtejszy p. Stanisław Kotarski, zaprosił do siebie wójta gminy Tomasza Reczka i podziękował mu, a przez niego całej gromadzie za ratunek. O bo też to i dobry pan! Niedawno spalila się stajnia i dach na chałupie jednemu gospodarzowi, poszedł do tego pana, pokłonił sie mu, a pan kazał mu pokryć chałupę gontem. Gromada Brzyska niech wam posłuży za przykład, że w nieszczęściu każdego ratować trzeba, czy to chłop, czy pan, czy żyd, bo co jemu dziś, jutro tobie stać się może. Przed kilkunastu laty w pewnej wsi także zapaliły się gumna dworskie. Gospodarz jeden spostrzegłszy przez szybkę okna ogień, wybiegł na podworzec, przypatrzył się zkąd wieje, obszedł zagrodę, a potem założył ręce i przypatrywał się pożarowi. A gdy go ktoś zagadnął aby szedł ratować, odpowiedział zuchwale: „Ej któżby mi tam kazał ratować, pan choć się dziś spali, to jutro znowu odrośnie.“ Ledwie to wyrzekł, aż tu nagle ni ztąd ni z owąd pada iskra na jego strzechę i w momencie całe gospodarstwo z dymem poszło. Widzicie moi kochani, jak to Pan Bóg karze tego, co nie chce ratować w nieszczęściu bliźniego!

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XVI. Nr. 6.

21. lutego 1867.





Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Św. Agata.

W całej Polsce jest z dawien dawna pobożny zwyczaj, że święcą po kościołach w dzień św. Agaty wodę, sól i chleb, i te poświęcone rzeczy chowają sobie w domach na różne przypadki. Otoż tak zrobili gazdowie polscy we wsi Czarnuszce. Poschodziły się tam gospodynie do kościoła z solą i chlebem, xiądz pobożny staruszek poświęcił im te dary Boże podczas mszy świętej, a po nabożeństwie, gdy gospodynie zabierały się do domu, xiądz wyszedł do babińca kościelnego i pytał się matek pobożnych:

— A wiecie wy matki polskie, na co wy to święciły sól i chleb na św. Agatę? i co to za jedna była ta święta, że ją Polacy uważają za patronkę kraju, gromad i prawie każdej chałupy i modlą się do jej przyczyny?

A gospodynie, zwyczajnie jak gospodynie na wsi, patrzały na xiędza i żadna ani słowa na to nie powiedziała. A xiądz pobożny, co dbał o zbawienie gromady i wiele opowiadał ludowi dla jego nauki i dobra, rzekł do nich:

— Otóż ja wam opowiem o św. Agacie, o jej pobożnem życiu, potem o święceniu wody, soli i chleba, abyście to rozumiały.

Wszyscy ludzie stali cicho w babińcu a xiądz tak opowiadał:

— Święta Agata nie żyła ani nie była nigdy stopą swoją w naszym polskim kraju, a kiedy ona żyła pobożnie i świątobliwie na ziemi, to nasi pradziadkowie Polacy byli jeszcze poganami i nie znali Boga, ani p. Jezusa nauki. Po śmierci św. Agaty dali się ochrzcić Polacy jakie 700 lat później. Ale żyła ona w tych krajach, gdzie siedzi Ojciec św. i które dziś należą do króla włoskiego. Widzicie gospodynie! że w krajach Ojca św., ba! i w samym Rzymie byli na początku sami poganie, ale w tych krajach nawracali św. Piotr i Paweł, a potem ich uczniowie — z początku było tam mało ochrzczonych, a dużo pogan, toż niedobrzy poganie trapili strasznie tych ludzi, co uwierzyli w p. Jezusa i dali się ochrzcić; zabijali i męczyli okrutnie chrześcijan, podobnie jak robi dziś niedobry Moskal polskim katolikom. Tak się stało i z św. Agatą. Miała ona bogatych ojców w mieście Katanie, jeszcze daleko za miastem Rzymem, na wyspie Sycylii; mogła była używać świata całą gębą i żyć w wszelkich zbytkach, jak to robili inni; były dukaty, dał jej Bóg urodę taką, że bogacze chcieli się na wyścigi z nią żenić, ale ona miała matkę pobożną, która jej zawsze mówiła:

— Lepiej służyć p. Jezusowi, niż głupiemu światu — wolisz moje dziecko te dukaty obrócić na co dobrego, niż na zbytki — lepiej duszę zbawić, niż ciału dogadzać!

Taką dobrą mowę matki pobożnej brała sobie św. Agata do pamięci i postanowiła tak robić.

Pieniądze dawała na sieroty, na naukę i książki dla ubogich, aby się uczyli — kupowała chleb i sama rozdawała między ubogich — kupowała płótno i szyła koszulki dla sierotek — kupowała lekarstwa i rozdawała biednym, ani jeden krajcarek nie zmarnował się w jej rączkach dobrych.

A znowu zagadała jedna gospodyni:

— To to może dla tego święci się dziś chleb na tę pamiątkę, że św. Agata była bardzo miłosierna i karmiła kupowanym chlebem zgłodniałych ludzi po całem mieście?

— A dobrze uważaliście — rzecze xiądz — święci się chleb dziś na pamiątkę, jakto św. Agata z swoją matką rozdawała ten dar Boży zgłodniałym i biednym, ale i na naukę dla ludzi, aby darów Bożych nie marnowali na głupstwa światowe i na zbytki dla siebie, ale na poratunek drugich, na chwałę Bożą i na swoje zbawienie Toż rodzice św. Agaty radowali się z takiego dobrego dziecka i wiedzieli, że za takie życie daje Bóg błogosławieństwo i niebo po śmierci. Matka zaś gadała znowu do św. Agaty tak:

— Widzisz moje dziecko! u nas tak na świecie, że poganie są mocniejsi od chrześcian — cesarz sam poganin, co to z prostego wojaka został cesarzem, zowie się Deciusz i dokazuje na świecie Bożym — urzędnicy są poganie i wyrabiają straszne rzeczy — wojsko całe to poganie, bogacze wszyscy to poganie, po miastach i po wsiach są poganie, a chrześcijanie to u nich niewolnicy i mało jest nawróconych — ale nie trza się bać pogan, ani ich prześladowania, bo my chrześcijanie zwyciężymy pogan, choćby nas zabijali. Toż pamiętaj, abyś się nie wydała nigdy przenigdy za jakiego poganina, choćby był najbogatszy. I św. Agata usłuchała matki i nie bała się prześladowania pogańskiego. A cesarz Deciusz kazał wtedy okropnie męczyć chrześcian.

— No! — rzecze jedna gospodyni do xiędza — to może ci poganie zamęczyli i św. Agatę!

— Zamęczyli ją niewinnie i strasznie — rzecze xiądz. — Naprzód chciał się koniecznie z nią ożenić jeden bogaty urzędnik pogański, ale św. Agata młodzienka jak fiołek z wiosny, a urodziwa jak róża w ogródku, powiedziała:

— Ja chrześcijanka nie mogę się wydać za poganina, a potem ja ślubowałam żyć Bogu!

Ale ten bogaty poganin kazał ją zabrać przemocą i oddać ją do jednej grzesznicy baby, aby ta namawiała św. Agatę — ale gdzie tam! choć św. Agata patrzała się na straszne grzechy tej baby grzasznicy, choć słyszała jej złe mowy, choć ją

ta baba buntowała i obiecywała złote góry, to św. Agata nie dała się do niczego złego namówić i nawet nie miała na to pomyślenia. Jak ta baba niedobra widziała, że nic nie wskóra z św. Agatą, to poszła do tego bogatego urzędnika i powiada mu:

— Weź sobie tę Agatę i rób sobie z nią co chcesz.

Otoż i ten niedobry urzędnik zawołał św. Agatę do siebie i myślał, że ją nastraszy, ale dla dobrego nie ma strachu żadnego! Jak św. Agata stanęła przed tym urzędnikiem, to on jej powiada:

— A nie wstydzisz ty się Agato, żeś taka bogata i urodliwa i mogłabyś żyć rozkosznie, a ty żyjesz ubogo i wszystko rozdajesz ubogim?

Św. Agata mu mówi:

— Lepsza i milsza Bogu pokora i pobożność, niż wasza pycha i zbytki! Ja chrześcijanka powinnam żyć więcej dla Boga i dla biednych ludzi, niż dla siebie.

A ten urzędnik rzecze w gniewie:

— Jak się nie wyrzeczesz wiary w twego Pana Jezusa, to ja cię zmuszę mękami do tego!

— Rób ze mną – rzecze św. Agata — co chcesz, ja raz ochrzczona, raz żyję i raz umrę za moją wiarę.

A urzędnik rozgniewany nie wiedział co robić, ale zawołał katów i kazał im wydrzeć św. Agacie piersi całe.

— O dla Boga świętego! — zawołały gospodynie — a cóż to za człowiek niedobry! toż musiała święta Agata zaraz umrzeć na to!

A xiądz powiada im:

— Kiedy krew zalała św. Agatę, ona powiada: Tak nie robi nawet wilczątko dzikie, aby wydzierało piersi tej wilczycy, która go karmiła — a ty tyranie każesz mnie niewinnie wydzierać piersi całe żywcem, chociaż matka karmiła cię także piersiami! A gdy była żywą i nic sobie z boleści nie robiła, to urzędnik krzyknął:

— Do więzienia z nią! nie dać jej ani kropli wody, ani okruszynki chleba, aby z głodu umarła! I zaprowadzili ją katy do więzienia.

Na te słowa rozpłakali się wszyscy ludzie, a potem zapytali xiędza:

— A czy też św. Agata wytrzymała tę mękę?

— Kto z Bogiem to z nim Bóg, a kogo Bóg strzeże, temu i kat życia nie odbierze! Toż ledwie zaszła św. Agata do więzienia, znalazła tam pobożnego człowieka, który z pomocą Bożą uratował ją od śmierci. I żyła cicho w więzieniu, na nikogo nie narzekała, nie płakała sama nad swoją złą dolą, ale z wolą Bożą się zgadzała i byłaby nie umarła z głodu, bo miłosierni ludzie przynosili jej ukradkiem pożywienie. A ten urzędnik posyłał co dzień do niej kata, czy też ona żyje i co ona robi? a jak kat mu opowiadał, że św. Agata modli się i żyje cicho, wtedy krzyknął na kata:

— Nagotuj mi rozpalone kawałki żelaza i ogniste węgle, te mi na ziemię nakładź i po tych węglach będziesz ją toczyć, a zobaczymy, kto przemoże.

— A rany Boskie! — ozwały się głosy ludzi i wszyscy na te słowa xiędza oniemieli — aż po chwili rzecze xiądz dalej:

— Na wszystko jest koniec, kara albo nagroda Boża! Otoż jak kat to zrobił św. Agacie, wtedy spuścił Bóg karę straszną na bezbożników w mieście, zatrzęsła się ziemia pod miastem, kamienice się porozwalały i zabiło się dwu krewniaków tego urzędnika, dużo ludzi wyginęło, a urzędnik ten zły został przy życiu, bo dla niego przeznaczył Bóg inną karę, a wtedy sami poganie przylecieli i nie dali piec św. Agaty na węglach ognistych, ale ją zaprowadzili do więzienia. Tu żyła św. Agata jakiś krótki czas, a gdy po tylu mękach miała umierać, nawidzali ją ludzie z miasta, a ona pożegnawszy ich przebaczeniem i modlitwą zakończyła życie.

I umarła jak żyła pobożnie roku Pańskiego 250 po narodzeniu Pana Jezusa, a temu z okładem 1600 lat. Pochowano ją w mieście Katanie w Sycylji. Zamęczona w miesiącu lutym.

Jak potem Polacy przyjęli naukę Pana Jezusa, to sobie uprosili Ojca św., aby im dał św. Agatę za patronkę kraju, i jak św. Florjan i św. Mikołaj, takj samo i św. Agata jest nam patronką, choć oni nie żyli na naszej ziemi. A kto mi zgadnie teraz, dlaczego święci się woda i sól w dzień świętej Agaty?

Ludzie nie mogli tego zgadnąć, toż xiądz mówił tak:

— Raz był straszny przytrafunek dla miasta tego, gdzie żyła i umarła św. Agata. Bo koło miasta stworzył Bóg górę taką, co ją nazywają Etna. A w środku góry są tam takie rzeczy, co się same z siebie zapaliły i pali się tam ogień dzień i noc od niepamiętnych czasów. A jak przez ogień straszny roztopi się tam w środku sól, miedź, żelazo, ołów itd., to potem wylewa się to wszystko dziurami z ziemi i zalewa ogrody, wsie i miasta pobliskie. A dym wielki co się nie może zmieścić w środku, bucha do góry i wyrzuca popioł z spalonych rzeczy, a czasem rzuca kamienie w górę, i te kamienie i popioł lecą na ogrody, wsie i miasta, zabijają ludzi, zapalają domy albo przysypują tak, że nie ma śladu z ogrodów, wsi i miast. Kto zawczasu ucieknie to ma szczęście, a kto nie ucieknie, ginie w gorącym popiele, albo od kamieni, albo od tej gorącej wody, która płynie z góry i zowie się lawą. Otoż raz huczało strasznie w środku tej góry, ziemia się zatrzęsła, a ludzie widząc na co się zanosi, poszli na grób św. Agaty i zaczęli Boga prosić, aby odwrócił od nich tę karę. I Bóg ten ogień uśmierzył w tej górze. Odtąd święcili ludzie wodę, bo woda najlepsza na ogień. A gdy Polacy mieli stodoły, brogi i wsie słomą pokryte i często mieli pożary, toż święcili im xięża wodę, aby nią ogień gasili. Ztąd to zwyczaj u nas starodawny, że kropią ludzie ogień wodą św. Agaty prosząc Boga, aby zagasił tak, jak przygasił ogień w tej górze na prośbę św. Agaty. A znowu sól święci się na to: Sól jak wiecie, potrzebna do jedzenia ludziom i bydłu. Sól znaczyła u starych ludzi tyle, co niewinność życia i mądrość. Otoż święcona sól przypomina nam pobożność i niewinność życia, dobry rozum. A ponieważ św. Agata była, jak słyszeliście całe życie bez wielkich grzechów, ani się nie popsuła między złymi ludźmi; a miała znowu taki dobry rozum, że się nie dała głodem, ogniem i mękami odmówić od nauki Pana Jezusa, toż sól święcona jest dla nas przypomnieniem, abyśmy żyli podobnie jak św. Agata. U nas Polaków jest zwyczaj, że rzucają na ogień święconą sól prosząc Boga, aby go ugasił. Otoż żyjcie tak jak św. Agata żyła zawsze z Bogiem, a chleba i soli nie poniewierajcie w domu, bo to dar Boży i poświęcony.

Xiądz przestał mówić, a ludzie poszli do domu i opowiadali to sługom, dzieciom i tym, co nie słyszeli opowiadania tego w kościele.

X. Wojciech z Medyki.

Modlitwa kmieci.

O przenajświętszy Ojcze nasz na niebie,
Wesprzyj nas łaską swą w każdej potrzebie,
Bo w Tobie mają ufanie biedacy,
Błogosław pracy!

Odwracaj od nas Boże głód straszliwy,
A urodzajem poszczęść nasze niwy.
Niechaj twój rolnik nie zna niedoli,
Błogosław roli!

Nie karz nas Panie deszczami zbytniemi,
Ni zbytnim żarem nie wysuszaj ziemi,
Daj nam czas dobry i w zimie i w lecie,
Błogosław kmiecie!

Niech w naszych chatach mieszka święta zgoda,
Niech je omija ogień, zła przygoda,
A daj nam poznać pożytek oświaty,
Błogosław chaty!

Nie daj nam Panie upadku w oborze,
Niechaj zarazy omijają zboże.
A biednych ludzi omijają troski,
Błogosław wioski!

Tym, co nas często ratują w potrzebie,
Dobrym dziedzicom daj pomoc od siebie,
Zlej swą opiekę na łąki i bory,
Błogosław dwory!

Spraw Panie, byśmy kochali się wszyscy,
Bogaci, biedni i wielcy i niscy:
Od nienawiści ochroń nas pobudek,
Błogosław ludek!

Niech każdy człowiek wielbi imię Twoje,
Do łask nam swoich otwieraj podwoje,
Ty duszo moja od nocy do rana
Błogosław Pana!

Xiądz Adam.

Snać upodobała się nasza ziemia Bogu, bo jeszcze owinięta mgłą pogaństwa spała, a już anieli do Piastowej witali chaty i nieśli jakieś z nieba przesłodkie wonie — a lud rolny, lud orężny, przeczuwał jedynego Boga i tęsknił do Niego. Cóż dopiero gdy z przybyciem Dąbrówki jak z zorzą, śladami św. Wojciecha jak idącem światłem, spłynęły na ten lud prosty zdroje chrztu świętego, a krzyż ubrał i upromienił ziemię chleba, mleka i miodu! Jakże nabożna i chrobra rozsiadła się Polska wśród dzikich jeszcze sąsiadów — jakiego miru u narodów, błogosławieństwa z nieba pełną była! Ileż Świętych zrodziła, jakim murem niezłomnym stanęła potem całemu chrześcijaństwu przeciw potokom pogańskim, tureckim. Ach drogie, święte wspomnienia naszej czystej, złotej przeszłości, naszej wielkości, gdzież jest serce, któreby na nie nie zabiło żywiej czy to pod siermięgą, czy pod jedwabiem!

Z dawnych wieków słynęło polskie Duchowieństwo gorliwością i świętobliwością. Mieliśmy misyonarzy i męczenników, którzy w dalekiej Persyi i Tartaryi głosząc słowo Boże ponieśli śmierć męczeńską, jak Benedykt Franciszkanin; mieliśmy apostołów, którzy szli w lesistą Litwę i dzikie Prusy głosić wiarę Chrystusową jak św. Wit Dominikanin, pierwszy apostoł Litwy i wielu pomęczonych od Prusaków; mieliśmy mistrzów, kaznodziei jak Jan Kanty, Szymon z Lipnicy, Władysław z Gubniewa; mieliśmy uczonych i przywiązanych do kraju i narodu, którzy nam uchowali czysty język polski i obyczaj, gdy nam groziła niemczyzna; mieliśmy prałatów, którzy gdy herezje i różnowierstwa wciskały się do kraju, silnie podtrzymywali świętość i powagę kościoła, a jednak nie dopuścili oni krwawych ucisków ani prześladowań, jak po wszystkich innych

krajach się działo: jak Zbigniew Oleśnicki, wielkie światło kościoła; mieliśmy złotoustego Skargę, który naród cały wołał i ciągnął do pokuty i zbawienia; mieliśmy kapłanów, którzy chowali młodzież dla ojczyzny dzielną — słowem mamy się czem pochlubić tem Duchowieństwem naszem. Owoż z jednym jeszcze zrobić znajomość — bardzo rzecz miła i pożyteczna. A było to już dawno bardzo za Łokietka; Polska już cieszyła się dawno światłem wiary prawdziwej, ale Litwa i Prusy w grubej ciemocie pogaństwa leżały i bałwanom biły pokłony. Boleli nad tem polscy kapłani i za świętą mieli powinność rozkrzewiać wiarę i chrzest między pogany.

Był wówczas w klasztorze Franciszkanów mąż rzadkiej cnoty i słynny z świątobliwego żywota. Lubo ukryty w swej cichej celi skromny i pokorny, znał go jednak naród, cenił sam król, a do naszych czasów i dalej zaniesie wieść tę sławę cichego żywota.

Najzacniejsza to ponoś sława i najdłużej trwa, gdy się o nią człek dobry nie ubiega, a uczynki same zań mówią światu i wiekom. Ten to święty człowiek słysząc o błędach Prusaków, bolał gorzko, modlił się do Boga o światło dla nich i miłosierdzie, i gorącym duchem apostolskim wiedziony, postanowił pójść z słowem Bożem, szukać owieczek Pasterzowi dobremu i łowić dusze niebu.

Uprosił starszego, że mu pozwolił wyjść z samotnej celi, a wielce zaufany w Bożą radę i wielce gorący na służbę apostolską i choćby męczeński wieniec, poszedł na północ w dalekie kraje pruskie.

Na drodze Wisła pościeliła mu się wstęgą jakby prosząc, aby na tamte nieprzyjaźne nie kroczył brzegi, ale Adam z pomocą anielską w bród przeszedł Wisłę i za natchnieniem Bożem poszedł niewstrzymany wodami.

Szedł tak znużony i nie spoczywał, aż wieczór ujrzał miasto, a wstąpiwszy w rynek napotkał mnogi tłum ludu wieńcem zebrany koło ogromnego stosu; rogi dzikie grały piosenki, młodzież koło ognia pląsała a drudzy niecili żar suchemi chrusty.

Był to stos święty a Prusacy pogańskie sprawiali obrzędy: dziki był widok pogańskich kapłanów i wróżbitów — brzydkie ich bożyszcza patrzyły drewnianem i kamiennem obliczem.

— Tyle dusz! ach tyle dusz w błędach djabelskich! — westchnął Adam — a za wszystkich Chrystus umierał, a każda dusza tak mu droga!

I podniósł swój głos do pogan. Gwary i spiewy ucichły, a on mówił natchnionem słowem o jednym Bogu najdobrotliwszym, którego słowem stanęła ziemia i niebo, o upadku ludzi i o pragnieniu, z jakiem czekali Zbawiciela, o Synu Bożym, o Bogu wcielonym dla wielkiej naszej miłości i śmierci jego krzyżowej za nas; mówił o nieśmiertelnej duszy i wiekuistem niebie, o niezmiernej szczęśliwości dobrych, o odrodzeniu nowem przez wody chrztu; mówił o ciemnocie ich błędów, o martwych ich bożyszczach i zapalony żarliwością, plunął na święcony stos Prusaków.

Zgraja osłupiała a wróżbici ryknęli z grozą i wściekłością.

— On bluźni bogom, on nową niesie wiarę! – zawołali.

Najwyższy kapłan świadom już chrześcijańskich spraw i tem nienawistniejszy, poznał sługę Chrystusowego i rozjadły gniewem krzyknął:

— Na ogień, na ogień z nim! Uczynimy godną ofiarę bogom, gdy popioły jego rozniesie dym świętego stosu!

Zaledwie wyrzekł, ciżba ludu, co dopiero słuchał osłupiały, budzi się, kipi, przypada, porywa kapłana i miota nim w okropny żar.

Adam stoi cały w płomieniach, ale wicher z góry powiał osobliwy i przycisnął płomienie, upadły i dołem wiły się jak wąż, a wśród ognia nietknięty stał Adam, mąż Boży!

Wicher znowu zaszumiał i dmuchnął płomieniami tam gdzie stał pogański arcykapłan, iskry buchnęły na niego, w okamgnieniu stał ogniem objęty. Próżno się broni i ucieka, i tłum go obronić chce daremnie, ujął go ogień i pali, a z nim razem się toczy i chciwie pożera. Z głowy Adama nie spłonął ani włos jeden — usta jego chwaliły Pana, spiew wdzięczny wyszedł z jego piersi, lud zdumiony patrzy i słucha, a Adam znowu do niego podniósł głos i znowu mówi o Bogu, o wierze,

o cudach, o miłości, o dusz odrodzeniu, o słodkiem wzywaniu pogan przez Chrystusa, o martwem pogaństwie, co jest bez siły, bez ducha, bez radości, bez wieczności!

Mówi, a słowo jego wnika w ucho ludu, dziw i trwoga przejęła wszystkich, a drugi cud otwiera ich serca — zaprawdę większy cud jak upadłe płomienie. Szczerniał stos ogni, które sycił zły duch na ziemi, noc ciemności pobielała. Tej samej nocy jeszcze u Wisły ścisk ludu pogańskiego czekał na chrzest święty, a skoro zabłysły poranne zorze, nad miastem już zajaśniał krzyż chrześcijański!

I tak niegdyś wiarę nieśliśmy pruskim krainom -- pomoc orężną od wroga i opiekę szczerą, gdy u polskiego płakały tronu, dziś gdy zlutrzały Prusak zalał tę ziemię naszą, to nasi bracia Polacy nad Wisłą mają odeń zabór, ucisk, wynarodowienie! I ta krew naszych męczenników i rycerzy niech woła do Boga o miłosierdzie i łaskę. *B. E.*

Na czem stoi pomyślność gospodarstwa włościańskiego?

Obejrzyjcie się, kochani gospodarze, na lewo i prawo pomiędzy waszych sąsiadów a spostrzeżecie, że ludziom rozmaicie w gospodarstwie idzie. Jednym idzie jak z płatka, drugim jak z kamienia. Jedni mozolą się od świtu do wieczora, w każdy kąt zajrzą, grubej pracy się nie lenią, że aż znój im z czoła kapie — a mimo to nie idzie i nie idzie; w polu się nie rodzi, bydełko liche, w domu bieda. Inni zaś lżej sobie wszystko robią, wygody sobie nie odmówią, gnatów tak nie nadstawią a mimo to idzie im w gospodarstwie gładko; na polu się rodzi, bydełko się świeci, w domu dostatek.

Zkąd to pochodzi? Prosta przyczyna w tem, że jedni mają lepiej w głowie niż drudzy. Kto ma dobrze w głowie, wie jak z czem zacząć, wie co mu zysk przyniesie i nie żałuje na to grosza, a wystrzega się tego, co mu stratę przynieść może. Ciemny człowiek to jak koń z zawiązanemi oczyma, zawsze w koło chodzi i dalej nie zajdzie. To pokazuje się nietylko w gospodarstwie, ale we wszystkich innych stosunkach

ludzkich a wszędzie i zawsze się sprawdza, że czem lepiej kto ma w głowie, tem prędzej sobie da radę, tem lżej mu na świecie i prędzej się chleba dorobi.

Pierwszym więc warunkiem pomyślności w gospodarstwie jest nauka. Skoro będziesz wiedział, jak masz twoje gospodarstwo urządzić, jaki inwentarz chować, jak go utrzymywać, jak w roli robić, jak się z mierzwą obchodzić, jak rolę uprawiać, jak zboże siać — skoro jeszcze potrafisz rozmaity przemysł z gospodarstwem połączyć, jak na przykład pszczelnictwo, ogrodownictwo, hodowanie chmielu i tym podobne — jużcić inaczej ci pójdzie, jak temu, co ciemno ma w głowie i całe życie w ciasnem kółku się obraca!

Ale nauka sama nie wystarcza. Trzeba pracę połączyć z nauką. Jeżli gdzie, to w gospodarstwie włościańskiem trzeba pilnej pracy. W większem gospodarstwie przynoszą większe obszary większy zysk, który na to starczy, aby mieć ludzi do wszystkiego. W małem zaś gospodarstwie trzeba się obyć małą liczbą czeladzi a natomiast powinien koniecznie sam gospodarz z żoną i dziećmi zabiegać i pracować. Gdzie ojciec do miasta jeździć lubi a matka do kumoszek wylata, syn do karczmy zagląda a córka strojami się bawi — tam zamożność nie zakwitnie, choćby nawet nauka była w głowie.

Nareszcie trzeba z nauką i z pracą połączyć oszczędność. Już przysłowie nam powiada: Ziarnko do ziarnka, a będzie miarka. Są ludzie, którzy mają pasję do kupowania, że co tylko zobaczy, choćby malowane drewko, toby kupił. Drogo ten płaci, kto niepotrzebne rzeczy kupuje. A już zbytki i marnotrawstwo nigdy dobrego końca nie sprowadzą. To co córka na stroje przez długie lata traci, niech raczej zbiera się na wiano, które pewniej zwabi dla niej męża i to dobrego, niż szeroka spodnica i kapelusz z kwiatami, bo dobry chłopiec szuka żony pracowitej i oszczędnej a nie strojnisi, wie on albowiem, że tylko dobra żona, to w domu korona. To zaś, co syn albo ojciec przez długie lata straci w karczmie lub w miasteczku, niech raczej się zbiera na zakupienie gospodarstwa dla syna, aby rodzice w starości nie potrzebowali ustępywać mu miejsca a on zazdrośnie nie patrzał na to, że Bóg rodzicom długie lata daje.

A oprócz tego wszystkiego, prócz nauki, pracy i oszczędności, trzeba dla pomyślności w gospodarskiej chacie koniecznie jeszcze cnoty. Kto z Bogiem, to Bóg z nim; gdzie nie ma cnoty, tam Bóg błogosławić nie będzie. Pod cnotą rozumiem to wszystko, co serce człowieka szlachetnie nastraja i umysł jego do nieba unosi, a mianowicie miłość Boga, miłość ojczyzny i miłość bliźniego. Wszystkie inne, co skarbi zasługi u Boga i ludzi, wypływa z tej potrójnej miłości. Taka cnota chwali Boga czynem i całem życiem a nie samemi usty; taka cnota lubi oszczędność ale nienawidzi brudnego skąpstwa i nie pozwoli człowiekowi zagrzęznąć w samolubstwie ale podnieca w nim przyjaźń ludzką i czyni go gotowym do posług i ofiar dla swoich bliźnich i dla swojej ojczyzny. Taką cnotę posiadają ludzie, o których się mówi „że są do Boga i do ludzi“, a ich wartość jest taka, że ich można, jak to mówią „do rany przyłożyć.“

Gdzie nauka radzi
A praca gromadzi —
Oszczędność zachowa,
Tam to — panie bracie,
Jest pomyślność w chacie!

Wypiszcie sobie dla lepszej pamięci tego, co w mojej nauce powiedziałem, na drzwiach waszych ten wierszyk, który co tylko pod mojem piórem się złożył i zostańcie z Bogiem.

Ignacy Łyskowski.

Dwie prawdziwe historje o gorzałce.

I.

Jak Prytuła wygrał zakład?

Był w naszej wsi sierota, Iwaś Prytuła, którego dzieckiem odumarli rodzice, a grunt niewielki sprawował opiekun. Sierota poszedł w świat, robić mu się nie chciało, rozpił się i rozpuścił jak dziadowski bicz; z wódki przeszedł do złodziejstwa, kradł zmyślnie i zręcznie — nie z jednego pieca chleb jadał, nie w jednej karczmie walał się pod ławą — nie w jednym

areszcie przesiedział, mówią że grunt przedał za 24 dutków; w kryminale trzy lata strawił a wyszedłszy włóczył się po wsiach i gdzie przyszedł postrachem był ludzi.

Ostatniemi czasy przyszedł Prytuła do wsi rodzinnej, która aż odetchnęła, że go dawno nie widziała. Nieszczęśliwy! zapomniał już o Bogu i duszy...

W drugi dzień świąt Jordańskich zaszedł do karczmy na muzykę — spił się jak nieboskie stworzenie i przed grajkami przyspiewywał brzydkie piosnki. Rozpasany poszedł jeszcze o zakład z drugimi, że chociaż pijany wypije jeszcze kwartę wódki i kwaterkę okowity. Bezecny zakład na zdrowie i duszę! I nie ma co mówić wypił i wygrał Prytuła!

Koło północy wyszedł z karczmy, nie wiedziano gdzie; gdy wracały dziewki z muzyki mówiły niektóre, że podobno leżał pod płotem a jakaś sina piana szła mu z ust, ale uciekały co tchu do domu.

Nazajutrz do dnia wyszły dwie gospodynie po wodę do studni — patrzą: za ogródkiem koło karczmy leżał Prytuła nieżywy z okrutnie obrzmiałą twarzą, strasznem okiem i śladami krwi koło ust, uszu i nosa.

Wódka się w nim zapaliła i młody, silny chłop zeszedł z tego świata okropną, nagłą śmiercią z pijaństwa.

Wygrał Prytuła!

Nikt go nie żałował, bo wszystkim był zawadą w świecie, ale wszyscy się polękli i niejednego sumienie się ruszyło. Gospodarz co za 24 dutków kupił grunt, dał mu koszulę na śmierć i cztery deski na trumnę i pochowano prędko Prytułę.

Nad świeżym grobem dumał sobie stary gospodarz, który dotąd także był wielki pijak:

— O wygrał Prytuła! Bodaj przepadła przeklęta wódka!

II.

Śmierć pijanicy.

Nie osobliwa i nie rzadka to rzecz na świecie zwłaszcza w naszym biednym kraju, gdzie to tak miłość wódki zatraca dusze, że widzimy pijaka umierającego gdzie pod ławą w karczmie, lub zmarzniętego w drodze, lub nagle ginącego, gdy się wódka

w nim zapali. Często się to trafia a jeszcze się ludzie nie poprawili. Nie puszczę więc i tego przypadku — bo im więcej kropelek na kamień to i dołek się wyżłobi; może też przecie jaki taki obrzydzi sobie to szkaradne wódczysko.

Na dwa dni przed Wszystkiemi Świętemi, zaszedł był do Smerekowa ekonom z pobliskiej wsi, który tam niedawno był w obowiązku, ale słynął już z pijaństwa. Powiadali że miał niegdyś majątek i uczciwych był rodziców, miał żonę, dzieci, ale musieli odjechać go, bo nie mogli z nim wytrzymać; ostatni grosz przepijał, a po pijanemu tak był straszny, że ważyłby się zabić kogo.

Pan, u którego służył chciał się go pozbyć, ale lękał się go prawdziwie, tak nałóg pijaństwa zrobił z tego niegdyś porządnego człowieka, mściwego, złego i bezbożnego. Nie wiem jaka tam przyczyna była, że porzucił obowiązek, dosyć że przyszedł do Smerekowa pijany i pił jeszcze w karczmie zastawiając co miał przy sobie.

Żyd zamiast pozbyć się niebezpiecznego gościa, dawał wódkę za drobiazgi różne.

Dwa dni tak pił nieszczęśliwy ten człowiek i groźnie kilka razy obszedł wieś żądając po chatach pieniędzy. Okropnie wyglądał — nabrzmiała i sina twarz, oczy obłąkane, przekleństwo na ustach. Nic nie jadł tylko pił; widocznie już musiał być słabym, bo zalewał i głuszył okropnie wódką. Wszyscy się go bali.

Na Wszystkich Świętych, zamiast w kościele Bogu, składał szatanowi w karczmie cześć i nie wstawając już z ławy pił — a po wódce krzyczał wody i lał w siebie wodę gasząc ogień. Nareszcie krzyczeć już nie mógł tylko jęczał straszliwie — dopiero wtedy żyd w strach, zwołał ludzi żeby go wyrzucili — ale nim się zebrano, nim wójta odszukali co był w lesie, nieszczęśliwy nieludzkim jęcząc głosem pasował się już z śmiercią.

Wieczór nadszedł, strasznie chyrczał: ratunku — ratunku! Nie było ratunku! ludzie z strachem odstępowali i bali się zbliżyć, żyd klął i łajał. Ratunku! — nie było lekarza, nie było litościwej duszy, nie było ulgi, nie było łoża, nie było rodziny,

nie było xiędza, nie było ratunku! Była noc, było straszliwe konanie, było pełno złych duchów, była rozpacz, śmierć, piekło!

Nieszczęsny męczył się, skonał bez Boga, stężał na ławie w karczmie, siedział z wytrzeszczonemi oczyma i przygryzionym językiem i patrzał: okropny trup! Nie było światła, nie było krzyża; karczma, świątynia djabelska i przekleństwa żydowskie! W dzień Zaduszny przyszli chłopi, z odrazą i strachem ściągnęli trupa siedzącego z ławy, wzięli na wóz i do trupiarni zawieźli; położyli bokiem na słomie i prędko zamknąwszy odeszli. Msze zaduszne prawiły się po świecie; któż westchnął za duszę nieszczęsnego?... *B. E.*

Pisarz „Dzwonka" do swoich dobrych przyjaciół.

Pani B. E. Ślicznie Wam dziękujemy za wszystkie te ładne opowiastki, któreście nam przysłali. Prosimy was bardzo, nie zapominajcie i nadal o *Dzwonku.*

Szanowny Józef z Bochni. Niektóre z powieści i wierszyków, które łaskawie nam nadesłaliście, zamieścimy w pisemku naszem w późniejszym czasie. Innych pism, jak n. p. to o owym uczciwym chłopku, co pożyczył pieniądze i oddal, nie wydrukujemy, bo jużcić smutnoby było na świecie, gdyby rzetelny dłużnik był już taki rzadki, żeby go aż na cały świat ogłaszać i sławić. Proszę was panie Józefie, nie bądźcie nam za to krzywi, ale zachowajcie dawną życzliwość dla nas!

Szanownemu Skoczkowi z Radomyśla, dziękujemy serdecznie, że o nas pamięta. Nadesłane powiastki otrzymaliśmy i w swoim czasie pomieścimy je ku zabawie i nauce naszych czytelników.

Panu nauczycielowi z Słotwiny. Do *Dzwonka* każdemu wolno pisać, kto ma ochotę i co mądrego do powiedzenia. Wasze pisanie odebraliśmy i dziękujemy za nie pięknie, a prosimy was, piszcie do nas także o rozmaitych wiejskich rzeczach i sprawach, coby mogły wyjść na pożytek ludziom.

Panu X. Z. Jak już widzieliście, o tym poczciwym i zacnym kapłanie, wikarym z Sokala, wydrukowaliśmy w *Dzwonku.* Bóg wam zapłać, żeście to nam tak ładnie opisali! A kiedy tak ładnie pisać umiecie, to nie pożałujcie też czasem piórka i głowy i spiszcie nam co więcej do *Dzwonka* — a będzie to zasługą przed Bogiem i ludźmi.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XVI. Nr. 7.

1. marca 1867.





Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Św. Jan Kanty.

Dziwnie to słodkie sercu pamiątki naszych Świętych! Niby rosa chłodzą one smutek naszych dusz, niby gwiazdki świecą na tem naszem łzawem polskiem niebie, niby kwiaty wonieją nam wonią rajską, że radzibyśmy pójść za tą wonią. Mnogo było świętych synów tej naszej drogiej ziemi, mnogo ich tam w ojczyźnie niebieskiej jaśnieje przedziwnem światłem i wstawia się za ojczyzną ziemską i dolą rodaków smutnych lub grzesznych — mnogo też wyproszą nam, jak Bóg żywy! tylko naśladować ich nam trzeba i tak ukochać Pana Boga, bliźnich i kraj, jak oni kochali.

Zastęp to tam nieprzejrzany: królowie, biskupi, kapłani, męczennicy, panienki, żołnierze, a wszyscy to nasi rodzeni Święci! Św. Stanisław biskup wsławiony cudami, co wylał krew swoją za prawdę i miłość; Kunegunda królowa, polskiej soli cudowna dawczyni; Jacek kaznodzieja po wodach jak po suszy chodzący, co słowem Bożem napełnił powietrze na swej ziemi; Bronisława, zakonniczka biała z Bogiem rozmawiająca,

której grób pszczółki wykryły cudownie; Bobola i Józefat umęczeni od szyzmatyckiej dziczy, z których kościół św. świeżą a śliczną przybrał ozdobę; Żurawek, pracownik leśny, co go krzepili anieli; Szymon z Lipnicy, wiejskiej strzechy święte dziecię, i tysiąc ich z Litwy, Rusi, Polski, i tysiące ich, Bogu tylko znanych, za wiarę w bojach poległych, umęczonych po Sybirach, od wieków aż do dni naszych!...

Zaprawdę hufiec mnogi — zda się z nim wszystko przemożem, a wszystko przemożem z modlitwą, z pracą, z ich przykładem, z wielką wiarą, serdeczną miłością, wielką grzechu nienawiścią. Choć nam niekiedy ciężko, smutno, choć niedola nas gniecie, nie traćmy siły, może nam Bóg zsyła doświadczenie, aby nas oczyściło jak ogień złoto!

O wielu już z tych naszych kochanych Świętych czytaliście na tych kartkach, bo po Bożemu poczynamy i do Boga ten nasz żywot z wami skierować byśmy radzi. Czytaliście już i o św. Janie Kantym, co to z ubogiego chłopięcia w miasteczku Kentach, został wielkim sługą Bożym, mistrzem przy akademji krakowskiej, zadziwiał świat i Polskę czystością żywota, nauką i mądrością, umartwieniem i pokorą, a dziś patron uczącej się młodzieży króluje w niebie; czytaliście o wdzięcznych jego dziełach, jako dziewusze pobożnej przemienił swoją modlitwą wodę na mleko, jako odarty od zbójców w lesie zapomniał im wyznać, że ma jeszcze pieniądze przy sobie i nie chcąc kłamać powrócił do nich i oddał, co posiadał. Znacie go już, tego miłego patrona waszych dziatek, miło wam więc będzie jeszcze o nim usłyszeć, a do serca jak do skarbca składać święte pamiątki na przestrogę w życiu i ducha uweselenie.

Weselą się ludzie rozmaicie i przy kieliszku i w swawoli, ale wesołość to fałszywa, bo wtedy płacze ich dusza, co stworzona szlachetnie, płaczą ich anieli, co głosem sumienia odpychają nie raz od złego, płacze ta ojczyzna uciśniona, co synów swych potrzebuje, aby ją dźwigali z grobu i smucą się ci, wielcy święci Patronowie polscy, którzy błagają u Boga o cnotliwe pokolenie polskie.

Weselmy się inaczej — najpierw pokój w sumieniu, łaska z nieba, potem uczciwa praca, miłość rodzinna — a i książka nie lada co — bo to niby zdrowa strawa. Słuchajcież.

Było to w czasie, kiedy na tronie siedział Kazimierz Jagiellończyk, król łagodny i prawy, drogiego Polsce i Litwie rodu. U tronu rosło sześciu królewiczów pod dozorem zacnego Długosza i pięć dzieweczek nadobnych; wszystko śliczna nadzieja dla Ojczyzny, dla kościoła. W tem gronku uchował się liljowy kwiat Jagiellońskiej korony, ów młodzieniaszek święty Kazmierz, co jako najprzedniejsza perła, najpierwszy upodobał się Bogu i Marji przeczystej; ztamtąd wyszli pobożne króle Polsce i okolicznym krajom, a świat cały zazdrościł Polsce Jagiellońskich synów, ztamtąd pochodził ów król Zygmunt przesławny, pod którego berłem zakwitła złota Polski dola; i owe Jagiellonki zakonnej cnoty.

Przy boku króla poważna i kwitnąca królowa, dzieliła trud rządów i dziatkami rządziła. Wówczas to już św. Jan Kanty zasłynął był nauką i cnotą, a Kraków cały czcił słowo jego i przykład święty, lubo sługa Boży nie trzymał o sobie z pokory na włos więcej od najlichszego.

Królowa posłyszawszy o Janie, a skora zawsze poczcić święte osoby, zapragnęła aby jej synowie mali mogli z tak szanownych ust słyszeć wykład Pisma świętego, i pewnego dnia wysłała do niego pacholę, prosząc aby nazajutrz o ósmej godzinie z rana przybył do dworu, albowiem sama z synami czekać będzie na jego święte słowa. Powstydził się tem poselstwem cichy Jan, ale posłuszny wezwaniu przyrzekł przyjść o naznaczonej godzinie.

Nazajutrz wstawszy o świcie, po długiej modlitwie i z Bogiem rozmowie, wyszedł nasz święty nauczyciel krocząc ku Zamku królewskiemu; wszakże mijał kościół, światła zapalone i organ rzewny zatrzymały i serce i kroki Janowe — nie mógł minąć, bo już tam tej duszy do Boga i rzeczy Jego miało się najgoręcej — wszedł i ukląkł, a modlitwa czysta z najświętszą ofiarą leciała do nieba kadzidłem. Zadzwoniono już na Sanctus, i w tem ósma uderzyła z wieży — ale nie wstać było świętemu i zostawić połowę ofiary, łza tylko za-

świeciła w oku, a schyliwszy się do ziemi, mszy św. słuchał do końca. Wiara niewinna, jak u małej dzieciny, była w nim że go msza św. nie opóźni.

Gdy xiądz odspiewał zakończenie, Jan gorąco podziękowawszy Bogu, wyszedł spiesznie i biegnąc na zamek patrzał w wieżycę, czy daleka już godzina. Aleć niebawem u skrętu ulicy spotkał staruszka nędznego i słabego, który drżąc od zimna, a listopadowe było to zimno, w dziurawej kapocie, o kiju i bosy po śniegu i błocie deptał powoli, i drzącym głosem odezwał się z płaczem.

— Ojcze zlitujcie się nademną, dajcie obówie jakie, bo z zimna i bolu iść już nie mogę. Zlitujcie się nademną!...

Stanął Jan św., boleść scisnęła jego serce widząc staruszka w takiej poniewierce, sięgnął do sakwy ale nie miał ani szeląga a tu drzący starzec prosi oczyma i wyciąga skośniałe ręce! O! Jan nie opuścił nigdy biednego, a serce jego rozpływało się nad niedolą bliźniego. Cóż czyni? Oto rozwiązuje szybko rzemyki od swoich trzewików i zdjąwszy je daje biednemu starcowi. Wtem dziewiąta bije z wieży, Jan pożegnał starca i spieszy do zamku. Minął jeden i drugi dziedziniec, wchodzi do przedsionka, ale zdziwione sługi nie chcą wpuszczać bosego księżyny w progi królewskie. Daremnie Jan prosi, aby go do króla zawiedli, gawiedź nie słucha i szydzi z świętego, a niektórzy grożąc kijem wypędzają go za próg. Spokojnie znosi Jan zelżywą zniewagę, jakby zasłużył na nią, a w tem gdy go za drzwi wypchnięto, podwoje królewskie otwarły się z trzaskiem, i weszła w blasku, stroju i urody królowa z córkami i z gronem pokojowców; właśnie z różańcem w ręku szła do kościoła i schylone oko wiodła po ziemi, a myśl gotowała przed oblicze króla niebieskiego.

Usłyszawszy wrzawę stanęła, a widząc w progu obcego człowieka, zrazu niepewną się zdała, a potem zapytała skromnie.

— Może to wy ojcze przychodzicie do mnie?

Jan stwierdził to zapytanie wymawiając się z cicha, że spoźnił się mimowoli i prosi o przebaczenie. Na to królowa wesoło zawołała! „A witajcież mi czcigodny Janie! czekałam was z upragnieniem i dziękuję Bogu, że zagościliście w progi

nasze!“ To mówiąc podała rękę Janowi i wśród zdumiałego dworu prowadziła bosego kapłana do króla przez złote komnaty; z czcią rozstępowali się sługi, król powitał go mile. Natchnione słowa jego padały plennie w serca królewiców, zuchwalcy do nóg bosych skłonili się o przebaczenie, a jasna pokora w słodkim uśmiechu świętego świeciła.

Odtąd już nie szydzono z ubóstwa, a dobroczynne dzieła Kantego czczono w Krakowie i Polsce. Dla nas zaś święta nauka że zasługa, cnota, otwiera ubogim nawet i bosym stopom wstęp u podwoji szlachetnych i poczciwych braci i wzbudza uszanowanie u nich dla ubóstwa i pracy, a i wstęp do Nieba otwiera pokornym między owe wielkie króle i jasne śliczne pany u tronu Króla nad Królami.

Spiewka prawego człeka.

Czegoż trzeba mi na świecie
Nad to, co już mam od Boga?
Mam dziateczki zdrowe przecie,
Przy nich rządna żona droga...

Chatka moja nie uboga,
I o nudach się nie duma —
Prosta do mnie wiedzie droga —
Toć z niejednym człek się kuma.

Biedny znajdzie kąsek chleba,
Toć pomodli się w kościele;
Jest gościnność, jeźli trzeba,
Mam na tyle, że obdzielę.

Dla chorego serca stanie,
Człek odwiedzi, poratuje;
Nad sierotą zmiłowanie...
Bo tak Stwórca nakazuje.

Jest i konik i stodółki
I ogródek koło domu;
W ulach roją się mi pszczółki —
Nie zazdroszczę więc nikomu.

Nie pragnę też zostać panem,
Dla mnie to myśl jakaś zdrożna;
Ja się cieszę moim stanem —
W blasku serce stracić można.

Kto się wznosi za wysoko —
To się bardzo często zdarzy:
Że upada wnet głęboko;
Tak przynajmniej mówią starzy.

Józef z Bochni.

Piękne przykłady.

Syn góralski.

Był niedaleko Sącza w wiosce górskiej Susza, poczciwy i zacny góral Kozik; miał ubogą chatę na końcu wsi, trochę górskiej ziemi i pracował ciężko na kawałek chleba. Pan Bóg postanowił doświadczyć go wielkim smutkiem i zabrał z tego świata jego kochaną żonę, właśnie gdy powiła mu syna.

Biedny ojciec pochowawszy za ostatni grosz tę, co mu była towarzyską pracy, biedny i strapiony łzami skropiwszy świeżą mogiłę, wrócił do pustej chaty, a płacz dziecka rozdarł mu serce. Przytulił je do piersi i płakał rzewnie, powtarzając:

— Biedna sierotko! cóż poczniemy teraz!

Ale ojciec niebieski nie opuszcza nigdy biednego; góral hodował swoje dziecię, brał ze sobą na robotę, kołysał i pracował, aby wyżywić, okryć. Mały Janko chował się zdrowo, powietrze zdrowe naszych gór zahartowało mu siły, wkrótce śmiał się do ojca, niebawem biegał za nim po górach, a góral cieszył się nim, kochał go serdecznie i żyć nie mógł bez swego Janka.

Janko był chłopak dobry, łagodny, usłużny, pracowity, a przytem zmyślny i pojętny. Kozik umiał trochę na książce i wyuczył Janka czytać, a widząc jak chłopak z ochotą bierze się do książki, ciekawie pyta o wszystko, a smakuje nawet więcej w książce jak w czem innem; zapytał go raz wziąwszy na kolana:

— Możeby ty chłopcze chciał pójść do szkoły?

— Oj chciałbym tatulu! — odpowiedziało chłopię przymilając się ojcu.

Góralowi stanęła łza w oku, przycisnął dziecko do siebie, a nazajutrz szedł z Jankiem do Sącza. Biedny był Kozik i nie miał za co uczyć Janka — kochał go tak bardzo, że żal mu było strasznie dać go od siebie, ale ufał w Bogu, nauki się nie bał dla swojego dziecka, bo wierzył, że to dziecko wychowane pobożnie nauczy się rzeczy potrzebnych, że nie będzie się wstydziło swego ojca — uważał zaś za jakiś znak Boży ochotę

dziecka i zabrawszy całego majątku swego 5 złr., szedł do Sącza, aby go do szkół oddać.

W miasteczku przypytał domek, gdzie z wielką prośbą przyjęto Janka za 5 złr., a za miesiąc kazano znowu tyle przynieść. Kozik pożegnał z bolem swojego Janka, pobłogosławił i Bogu oddał w opiekę a sam wrócił do swoich gór. Janek płakał także za ojcem, za chatą, za górami, do których przywykł jak orzeł do gniazda skał, ale uczył się dobrze i lubiono go w domu i szkole.

Podwoił pracę poczciwy Kozik, aby mógł chłopca utrzymać w szkołach, odwiedzał go czasem i przynosił placka i cieszył się z dobrych zaświadczeń; tylko smucił się nieborak, jak też dalej pokieruje chłopca, gdy skończy 3 klasy w Sączu. Czas ten nadszedł, Janko zdał pięknie egzamin i powrócił do chaty ojca, pobujać trochę po swoich kochanych górach. Żal było strasznie ojcu, żeby dalej nie uczyć takiego zmyślnego chłopca i frasował się nie raz długo wieczorami o czem też poprowadzi go dalej, gdy taki biedny.

Jakoś się jednak krzepił zawsze otuchą i ufał w Bogu; woził on często z drugimi góralami deski aż do Krakowa i znał po trosze to nasze stare królewskie miasto.

Pewnego razu nabrawszy desek, wziął ze sobą Janka i wyruszył do Krakowa. Janek dawno wzdychał do Krakowa i rad go był widzieć, ucieszył się też bardzo i poganiał konikami. Przyjechawszy do miasta, chłopiec zgubił oczy i nie mógł się napatrzyć wszystkiego; na targowicę gdy zajechali, odszedł od ojca i ciekawie rozglądał się wszędzie, zaszedł nawet w ulicę myśląc, że tą samą wróci, ale uszedłszy kawałek, zrobiło się kilka ulic, a on przypatrując się na wszystkie strony, szedł i szedł aż obłąd go jakiś chwycił i nie wiedział, którą ulicą wracać.

Chłopczyna zabłądził w Krakowie — nareszcie płakać zaczął i szukał ojca daremnie. Bóg już tak chciał, aby się tego dnia nie znaleźli, bo i ojciec spostrzegłszy się, naszukał się go niemało — nabiegał się zadyszany i napłakał, aż nazajutrz zgryziony biedny góral powrócił próżnym wózkiem modląc się do Boga o znalezienie swojego dziecka.

Tymczasem Janka wieczorem stojącego smutnie pod kamienicą, zauważał stróż z tejże kamienicy Antoni, poczciwego serca człowiek i usłyszawszy od góralskiego dziecka co mu się przytrafiło, zlitował się i zaprowadził go do swej izdebki, gdzie była jeszcze żona i dwa małe chłopaczki i dziecię w kołysce.

Bóg czuwał nad Jankiem! Dobrzy ludzie posilili go i zaczęli się wypytywać o wszystkie szczegóły jego życia, pocieszyli go, że nie ma czego płakać, bo łatwo go ojcu, góralowi z Suchy oddać mogą. Podobało się im chłopiątko, zwłaszcza gdy usłyszeli, że już nie głupie, trzy klasy skończyło, że biedne i sierota!

Janek już nie spał smaczno pod piecem a Antoni ze żoną jeszcze coś radzili. Nazajutrz rano Antoni powiedział Jankowi, że jeżeli chce pomagać mu koło kamienicy i uczyć jego małe bębny, to on mu wyrobi u swego pana, że go przyjmą do szkół wyższych, a u niego mieszkać i jeść będzie.

Janek się ucieszył ogromnie — żal mu było ojca, ale wiedział że i on się ucieszy, napisał więc do niego donosząc o wszystkiem, a Antoni podjął się list wysłać. Dziękował wkrótce Bogu stary Kozik za cud jego opatrzności a Janek cieszył się, że ojciec za niego już płacić nie będzie. Zabrał się do pracy, umiatał podwórze, czyścił buty, dzieciaki uczył, a sam uczył się pilnie i chodził do szkół.

Bóg mu dopomagał, dostał niedługo inne małe lekcje, za które już dostawał małą nagrodę, a co za radość była, gdy pierwszy raz posłał ojcu trochę pieniędzy przez siebie zarobionych! Jak szczęśliwy był, że już nie cięży ojcu, że mu jeszcze pomódz może! O nie dziw, że Bóg błogosławił Janka, bo Janko był dobrym synem! Jak minęło lat kilka — Janko szczerze pracował i o własnych siłach piął się dalej, a Kozik starzał się i modlił za syna.

Janko wyrósł już na młodzeńca — koledzy go kochali i szanowali, profesorowie cenili, bo był obyczajny, skromny, poczciwy, pilny i zdatny. Miewał znaczniejsze lekcje, z których się utrzymywał i ojcu posyłał, i ukończył pięknie szkoły wyższe.

Miał zamiar iść na prawo i sposobić się na urzędnika, ale wkrótce odmieniły się te myśli młodego w dziwny sposób. W jednym domu obywatelskim gdzie uczył synka, była śliczna i dobra jak anioł panienka, siostra tego chłopczyka — ale biedna, bardzo biedna — bo ślepa! Młoda 16letnia dzieweczka, roskosz rodziców, bogata, piękna, była przecie bardzo biedna, bo nie widziała. Niedawno już się to nieszczęście przytrafiło, po niedługiej słabości na oczy oślepła, a najbieglejsi lekarze nic jej pomódz nie mogli.

Wielki smutek był w domu rodzicielskim. Janko często widywał młodą kalekę, a że mieszkał w ich domu za naukę syna, więc i czytywał jej głośno książki, bo wszyscy jak mogli bawili biedaczkę, bolał widocznie nad jej młodością i kalectwem — a nawet serce jego żywe i niewinne, zabiło goręcej do dobrego dziewczęcia.

Panienka chociaż go nie widziała, lubiła głos jego, najmilej jego czytania słuchała i także polubiła młodzieńca. Janko choć syn prostego górala był szacowany i mile widziany w domu państwa, był ich przyjacielem i prawie należał do rodziny; uczuwszy jednak w sercu swojem miłość dla bogatej panienki, posmutniał, bo gdzież mu było myśleć o takiej żonie, a do tego ona była ciemna — dałby pół życia aby jej wrócić wzrok i światło dnia bożego.

Smucił się ciężko Janek — aż coś tam zaświtało w młodej duszy — jednej nocy zebrał wszystkie swoje manatki i opuścił dom swoich zacnych przyjaciół nie mówiąc nikomu, dlaczego i gdzie idzie. W dwa dni był w chacie starego ojca, który już posiwiał jak gołąb, ściskał nogi jego i prosił błogosławieństwa na drogę.

Potem poszedł w świat i znikł. Nikt nie wiedział, gdzie się obraca.

Pięć lat minęło. Nie raz dumał tęskno stary ojciec w chacie, nie raz zatęskniła ciemna panienka w pokojach swoich, Janka jak nie było, tak nie było. Razu jednego przyszły Gazety do Krakowa donosząc z Wiednia, że pan Jan Kozik został doktorem medycyny w Wiedniu, że sławny już jest przez swoje wielkie

praktyki a szczególnie sławnie leczy na oczy i ma powrócić do kraju służyć mu swoją nauką i sławą.

Nie wierzono oczom własnym, rodzice panienki nie posiadali się z radości, że ich młody przyjaciel tak pięknie pokierował się w świecie i może potrafi co pomódz ich córce na oczy. Panienka zaś przeczuła wszystko sercem i domyśliła się odrazu, że poczciwy Janko na to został doktorem, aby jej pomódz. I czekali już wszyscy niecierpliwie przybycia tego sławnego doktora pana Jana Kozika.

Pan Jan Kozik jednak chociaż pan i człowiek poważny i sławny, był zawsze dawnym Jankiem — wróciwszy z Wiednia do kochanej Ojczyzny, do której 5 lat tęsknił, zajechał do Krakowa, a serce jego biło mocno i łzy świeciły w oczach, ludzie go zaczepiali i kłaniali się, wielu znali go już ze sławy, ale on niby nic nie wiedząc szukał, czy nie ma wózka góralskiego, aby się mógł przysiąść i polecieć do starego ojca.

Ciągnęło go ogromnie i do panienki serce i bliżej było do wsi jej rodziców jak do gór Sandeckich, ale dobry syn miał za święty obowiązek powitać najpierwej ojca i bez błogosławieństwa jego nie byłby nigdzie kroku zrobił. Nadybał wózek niedługo i pięknie ubrany pan doktor potrząsł się wózkiem góralskim po kamienistej drodze. Stary Kozik właśnie zaniemógł trochę na nogi i leżał w swojej chacie samotnej. W tem drzwi się otwierają — wpada Janko i z krzykiem radości:

— Mój ojcze, mój kochany ojcze! — ręce i nogi ojcowskie ściska i klęka z łzami przy łóżku staruszka.

Ktoż opisze radość i szczęście szanownego starca? Miał swojego Janka znowu — swojego Janka sierotkę — i już go więcej nie utraci, nie rozłączy się z nim! i ten Janko choć w pańskim stroju i człowiek znaczny, przy nogach ojca!

O jakże dziękował Bogu staruszek, jakże błogosławił syna, jakże mu się przypatrywał, jakże ozdrowiał i odmłodniał prawie, jakież tam było ciche, poczciwe, święte szczęście!

— Jakże mnie to Bóg pocieszył takim synem! — wzdychał dobry ojciec.

Długo nie mogli się ojciec i syn sobą nacieszyć; Janko jako lekarz ulżył prędko ojcu, odwiedził z nim grób matki, kościółek

stary, siwego xiędza proboszcza, sąsiadów dawnych — i góry, te drogie góry, za któremi tęsknił tak serdecznie, wśród których już umierać pragnął!

Nareszcie powiedział ojcu, dlaczego został doktorem i prosił go, aby z nim jechał do rodziców panienki, której spodziewał się wzrok wrócić swoją sztuką i aby o nią poprosił dla Janka swego. Staruszek wszystko by dla syna zrobił, pojechał z nim więc z ochotą w te dziwne swaty, a ludzie w Krakowie stawali się i patrzyli, jak pan doktor wiózł swojego staruszka ojca w góralskiej guni z uszanowaniem i radością.

Ojciec pozostał w Krakowie, a syn pojechał pierwej próbować w imię Boże szczęścia z oczami swojej ulubionej. I tam Bóg błogosławił dobremu synowi; udała mu się trudna kuracja; piękna panienka po 5 latach ciemnej nocy owidziała i najpierwej Bogu a potem Jankowi dziękowała za swoje szczęście.

Gdy już była zupełnie zdrowa — Janko przywiózł swojego siwiutkiego ojca i prosili o panienkę. Rodzice z radością i wdzięcznością dali mu ją a przy ślubie, śliczna panna młoda uklękła u nóg starego górala i ucałowała spracowaną rękę jego, prosząc o błogosławieństwo i nazywając ojcem swoim. Zapłakał staruszek, podniósł drżące dłonie, i na głowy dzieci swoich Boskiej wzywał łaski!

Jan miał sławę i znaczenie, mógł żyć w mieście, wielkie mieć majątki i wielkim być panem, ale Jan nie zapomniał nigdy, że się urodził synem wieśniaka i odrzucił świetne nadzieje wszystkie, wygody i panowania, ale postanowił żyć i poświęcić się dla ludu wiejskiego.

— Oni to — mówił — prawdziwie mnie potrzebują, oni to nieraz opuszczeni, biedni i pomocy potrzebujący, im będę pożyteczny, im służyć będę!

I przeniosł się z poczciwą żoną do rodzinnej wioski swojej, zbudował sobie domek wygodny, biały ale skromny, ojca zabrał do siebie; otoczył wraz z żoną i wnukami czcią i miłością dziecinną — stał się dobroczyńcą i pomocą całej okolicy, dom jego przytułkiem potrzeby i nędzy — a doktorska sztuka wielką opieką wiosek i bliskiego miasteczka.

Lud go błogosławił i kochał, a on wśród gór swoich żył szczęśliwy robiąc, ile mógł dobrego różnemi sposobami. Gdy Bóg powołał do siebie starego Kozika a staruszek na ręku dzieci oddał czystą duszę niebu, tysiące poczciwych górali wyrunęło na pogrzeb błogosławiąc szanownej jego pamięci i dobroci syna, a jaki taki pomyślał sobie, że dobrze jest dziecko swoje dać uczyć, kiedy takiej można się doczekać pociechy.

B. E.

Kilka uwag dla ludu wiejskiego.

Napisał Józef Ignacy Kraszewski.

Nie mało tej ziemi jest, na której Pan Bóg umieścił rodzaj ludzki, wiele jeszcze i niezamieszkanej i pustej; komu ciasno mógłby sobie łatwo kawałek znaleść i na niej pracować — a jednak ze wszystkiej ziemi ta najlepsza i najmilsza, na której się człek urodził, wzrósł i gdzie kości ojców spoczywają.

Gdyby mu kto dał najpiękniejszy raj na drugim końcu świata, zmieniłby się on w pustynię, bo każdy wzrósł sercem do swojego kąta i nigdzie mu lepiej nie będzie, jak tam, gdzie sam Pan Bóg żyć i pracować przeznaczył.

Już to znak natury niedobrej, kiedy człowiek tęskni z domu i rwie się w świat nie wiedzieć czego, sądząc, że się tam łatwiej dorobi..... i prędzej swobodnego życia dobije. Obiecując wprawdzie za górami i morzami śliczne rzeczy, bo im tam ludzi i rąk brak i radziby ściągnąć łatwowiernych, ale uchowaj Boże, aby się kto na ten lep dał złapać! Lepsza chałupa w swoim kraju, niżeli pałace na obczyźnie.....

Prawda, nieraz człowiekowi bywa ciężko, ale między swymi zawsze byle ochota do pracy, znajdzie się ratunek, gdy wśród obcych marnie ginąć można, a nikt litości mieć nie będzie.

Gdyby zresztą w największych tam opływał rozkoszach, czy go to tęsknica nie zje jak rdza? czy to go smutek nie przygnębi? czy on kiedy ojczyznę zapomnieć może? Nie wiele

w istocie człowiekowi potrzeba, byle duszę i sumienie miał spokojne, a kto pracować chce szczerze, wszędzie mu się trud opłaci.

A już jeżeli komu Opatrzność swój własny zagon dała — powinien go strzedz i pielęgnować jak oka w głowie, aby go nie stracił, bo ziemię postradać bardzo łatwo, ale ją nabyć codzień trudniej. Wiedzą to dobrze ci, co na naszą są tak łakomi, że ją gotowi przepłacić, byle do rąk dostać.

I my ten rozum mieć powinniśmy, aby dar ów Boży szanować i zachowywać.

Jakiż na to sposób? spytacie. Bardzo prosty: praca i oszczędność. Co się pierwszą zarobi, to druga zachować powinna. Bogactwo wszelkie niczem innem nie jest, tylko oszczędnością i zachowaną pracą. Gdy człowiek więcej zjada niż zarobi, oczywiście sam siebie, to jest majątek i ziemię spożyje marnie, gdy mniej potrzebuje niż zapracowywa, zostaje mu zapas na jutro.... Wie to każdy, choć nie każdy pilnie na to baczy.

A no powiadają — kiedy mi się nie szczęści! pracuję, bieduję, a nie rodzi się i nie wodzi

I na to też jest rada pierwsza: Kto z Bogiem, to i Bóg z nim, aby na łaskę i opiekę Opatrzności zasłużyć, druga, aby pracować umiejętnie.

Rola i gospodarstwo zdają się rzeczy proste, a wszelakoż trzeba umieć i wiedzieć jak sobie z niemi poczynać.

Dawniej z prosta wszyscy sobie gospodarzyli, ziemia była tańsza, podatki mniejsze, wszystko nie tak drogie, dziś już to staroświeckie gospodarstwo nie starczy. Drudzy z ziemi ciągną wielkie zyski, dlatego drogo gotowi płacić. Musi więc każdy pilno i zabiegle gospodarować, aby tamtym wydołał i nie upadł.

Nie śmiejcie się też, gdy wam powiem, że gospodarstwa i z książki uczyć się potrzeba.

Dawniej tego prawda w książkach nie bywało co dzisiaj, bo uczeni się nie zajmowali ani ziemią, ani ziarnem, ani wodą, ani nawozem i t. p. Dzisiaj kiedy to wszystko poczęto brać na rozum a rozbierać, podochodzono takich rzeczy, które bardzo dla gospodarstwa są przydatne.

Każdego nawet ziarna wiedzą naturę, na jakim ono gruncie siedzieć lubi, jak się ono najlepiej pożywia, co mu szkodzi; dlatego prędzej się człek czego z książki dowie niż sam dojdzie: boby siła czasu na to potrzebował. A tu gotowa rzecz.

To też w Niemczech i po innych krajach nie ma gospodarza i chatki, gdzieby jakiej gazety rolniczej lub pisma nie było..... a gdy przyjdzie wieczór wolny, albo święto i niedziela, czytają wszyscy i uczą się i próbują co napisane, a dobrze im się z tem dzieje.

Tak z pomocą Bożą i u nas być powinno, żeby też wieśniak polski miał każdy nietylko książkę do nabożeństwa i kalendarz, ale też i swoje pismo, któreby mu do domu przynosiło wiadomości, co tam na świecie drudzy rolnicy robią. Z serca też tego życzymy i radzimy wam, abyście przez miłość dla tej ziemi swojej oświecali się i uczyli i nie dawali obcym prześcigać.

Dał Bóg polskiemu rolnikowi taki rozum i takie serce, że gdyby tylko chciał, a Opatrzność pobłogosławiła, żadenby mu nie zrównał. Jeno pracy i wytrwania, a wszystko będzie dobrze!

RÓŻNOŚCI.

Jacy to poczciwi i sumienni byli nasi ojcowie. Koło Sędomirza za naszych lepszych czasów, wieśniak imieniem Franciszek przyszedł wieczorem na łąkę, gdzie kosił Szymon. „Przyjacielu“ rzecze do niego, wiesz dobrze że ta łąka jest między nami w sporze, i nie wiemy jeszcze do kogo będzie należeć. Uwiadomiłem sędziów, aby jutro rano w Sędomirzu roztrzygnęli nasz spór, musimy więc jutro rano pójść razem. — „Widzisz mój Franciszku, odrzekł Szymon, że już większą część łąki skosiłem; muszę jutro gromadzić siano i nie mogę pójść na żaden sposób.“ — „A ja znowu nie mogę odmówić sądu kiedym sobie ten dzień obrał; zresztą trzeba już raz wiedzieć, czyja będzie łąka przed odbiorem siana.“ — Spierali się oba jakiś czas, nakoniec Szymon rzekł do Franciszka: „Wiesz co zrobimy? Idź jutro sam do Sędomierza: przełóż sędziom moje i swoje prawa, a tak uwolnisz mię od drogi.“ Zgodzono się na to; Franciszek stawił się do sądu, mówił za sobą i przeciw sobie; popierał mocno i swoją i sąsiada sprawę, a po zapadłym wyroku powraca do Szymona i mówi: „Są-

siedzie, ta łąka należy do ciebie, tak sąd osądził a ja ci przychodzę powinszować wygranej.“ — Przy dzisiejszych brzydkich procesach, krzywdach, pieniactwach, jakże ma Bóg błogosławić ludziom.

Loterja. Często gęsto zdarza się na wsi, że ktoś lubi na loterję postawić — ze snów wróży sobie różne numera, a czasem i wygra coś. Znałem nawet chłopa, już nieboszczyk, co raz wygrawszy na lotetję, stawiał całe życie po parę i po kilkanaście groszy, ale nigdy nie wygrał więcej a sto razy przegrał to co wygrał, i wielki był biedaczysko. Póki żył, żona i dzieci z głodu ginęli, chociaż to chłop, głowa i podpora w domu, zarabiał dość pracowicie, rzadko kiedy się upił — a przecie nie było nigdy grosza; a on w sekrecie wynosił do miasta i na loterję stawiał; dopiero po śmierci jego, żona się trochę otrzęsła z biedy i żyje sobie teraz ubogo ale nie cierpi głodu i nie ma długów. — Zdaje się to fraszka ta loterja, a tymczasem to także złe wielkie, bo jak pijak do wódki, przywyka nierozważny człowiek do niej i obałamuca rozum; zdaje mu się że koniecznie wygra wielkie sumy i klepie nędzę aby tylko postawić na loterję; tymczasem traci i traci grosz po groszu, sumy nie przychodzą, a on może do nieszczęścia wielkiego przyjść. Grzech też to kusić tak Pana Boga i chcieć bez pracy, bez zasługi dostać pieniędzy i szczęścia; nie podoba się taka chęć Bogu i nie błogosławi takim ludziom. — Można też w świecie widzieć często, co za nieszczęścia sprawia ta loterja. Nie dawnemi laty, pan jeden we Lwowie, znaczny urzędnik przy jednej kasie, człowiek uczciwy i uczony, rzucił się do tej namiętności nieprzymierzając jak pijak, stawiał wielkie pieniądze na loterję, a gdy mu nie stało, zaczął tajemnie brać setki i tysiączki z kasy — a szaleństwo go jakieś opanowało, że koniecznie wygrać musi i wszystko to wtedy odda rzetelnie; ale nie tak się stało, przegrywał zawsze. W kasie postrzeżono wielkie braki, nieszczęśliwy człowiek wykryty był, rodzina w gorżkiej boleści pogrążoną została, niesława i hańba uczciwe nazwisko okryła, a on sam dotychczas w więzieniu pędzi lata młode i siły, które mógł użyć na tyle dobrego.

Teraz niedawno młody jeden człowiek, syn ubogiej ale zacnej bardzo rodziny, ożeniwszy się przed dwoma laty i mając już dziecię jedno, pracował jak mógł na utrzymanie uczciwe, miał powszechnie szacunek i sławę porządnego, prawego człowieka, i z wielką radością rodziny, otrzymał już stałą posadę, objął urząd w małem miasteczku, kupił sobie dworek i ogród i żył sobie spokojnie, a rodzice staruszkowie, którzy dużo młodszych dzieci mają, dziękowali Bogu, że choć jedno dziecko ma chleb. Tymczasem nikt nie wiedział, ani się domyślał, że ów młody człowiek wpadł w nieszczęśliwą namiętność loteryjną; strzegł się bowiem pilnie wydać się przed rodziną i znajomymi; stawiał w ostatnim roku każdego ciągnienia i przegrywając ciągle, zamiast się opamiętać, za-

pałał się coraz więcej, uroiwszy sobie, że musi nakoniec wygrać; napożyczał do tysiąca reńskich, a gdy właśnie ostatniemi czasy wierzyciele nacisnęli, wszystko się wykryło, biedak stracił posadę i dworek, co tylko miał zabrano, żona z dzieckiem musiała odjechać do swoich rodziców bardzo ubogich, gorzko płacząc; staruszkowie zacni rodzice samego szaleńca, w rozpaczy daremnie ściągają co ciężką pracą zapracowali dla swoich córek, daremnie proszą i płaczą a siwe włosy poniewierają, syn ich bez chleba, bez dachu, grozi mu więzienie — a przychodziły mu straszne chwile, że sobie chciał życie odebrać. Otoż skutki nieszczęśliwe loterji. Chłop umarł w nędzy i dopiero śmiercią swoją dobrze zrobił znędzniałym dzieciom; pan jęczy w więzieniu; uczciwy mieszczanin zatruł życie tylu istotom kochającym go i poczciwym — a z Bogiem się jeszcze pojednać mu trudno.

Mądra gęś. Jedna Gazetka pisana dla pań i gospodyń, co się nazywa „*Kalina*“, opowiada pocieszną rzecz: Pewien biedny młynarz aż w Anglji, kraju za morzem, wychował sobie razem gęś i kurę. Jak już dorosły, młynarka nasadziła kurę na kacze jaja, a pozostawiona sama gęś, szukała dla siebie zabawki spacerując po stawie. Gdy się kaczęta wykłuły, kura pyszna z swojej familji prowadziła je na spacer, a widząc zdała na stawie swoją przyjaciółkę, poszła na groblę, aż tu kaczęta zobaczywszy wodę, dalejże na staw. Przestraszona ogromnie troskliwa matka zaniosła się od żalu, na co gęś zbliżyła się do brzegu, poczęła gęgać, jak gdyby uspokoić chciała swą przyjaciółkę, że dziatwę bierze pod swoją opiekę i popłynęła z kaczętami. Tym spodobała się oczywiście wodna wycieczka, a na drugi dzień jak tylko je kura wodzić poczęła, poszły na staw. Biedna kura tak znowu bardzo gdakała, że rozczulona gęś przypłynęła do brzegu, poczęła gęgać i skrzydłami ruszać i namówiła kurę, aby wskoczyła na jej grzbiet; dopiero tak ją za kaczętami powiezła. Tak jezdziła codzień kura po stawie na gęsi, aż póki kaczęta nie podrosły.

Przypowieści.

Najbliższą jest anioła dusza w ludzkiem ciele,
Gdy nieszczęsnym pociechę niesie i wesele!

Prawy człek w swej ojczyźnie kocha Stwórcę świata,
Miłując czystą cnotę — występkiem pomiata!

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XVI.

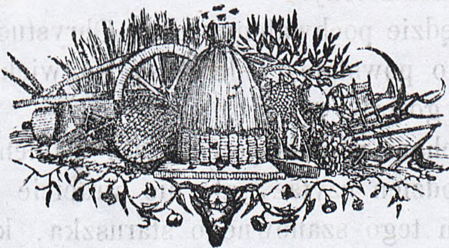
11. marca



Nr. 8.

1867.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Podróż do Ziemi Świętej.

Opowiadanie braciszka klasztornego.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, rzekł wesołym głosem Ignaś fornal, wchodząc do dużej, czystej, ciepłej, jasnym kagankiem oświeconej piekarni.

— Na wieki wieków, odpowiedziały mu kobiety i dziewczęta, które z kądzielą w ręku obsiadły ławy koło pieca.

— Jeszcze niema naszej panienki? — zapytał Ignaś, może i nie przyjdzie dziś do nas, bo tam jacyś goście zajechali do dworu.

— Nie bójcie się nie, rzekła Tekla gospodyni ścierając fartuchem ławy, nasza panienka nie porzuci nas dla żadnych gości; ale jeszcze wcześna godzina, jeszcze się wszyscy nie zeszli, nie musieli pokończyć roboty.

Gdy to mówiła, weszło znów kilkoro ze służby dworskiej dziewczęta schludnie, czysto, choć na dzień powszedni ubrane, każda kądziołkę z sobą przyniosła; chłopcy kładąc fajeczki krótkie na kominie, siadali w rzędzie.

Wtem drzwi się otwarły raz jeszcze i weszła kochana i oczekiwana od całej służby panienka, a za nią cichutko, skromnie, braciszek klasztorny.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! rzekli wchodzący. Całe grono powstało i odrzekło: Na wieki wieków.

— Witamy gości!

— Dziś kochani moji — powiedziała panienka — nie będę wam tak jak codzień czytać, ale nie stracicie na tem, przyprowadziłam wam tego szanownego staruszka, który wam ciekawe rzeczy opowie. Niedawno wspomniałam wam coś o Ziemi Świętej, na której Pan nasz Jezus Chrystus się urodził, żył i dla nas na krzyżu umarł. Pokazało się, że bardzo mało wiecie o tej ziemi, aż mi wstyd było za was, że tacy dobrzy chrześcianie, co tak często o Ziemi Świętej w Ewangielii czytacie, tak mało wiecie gdzie ona jest i jak to tam wygląda. Chciałam wam z książki jakiej przeczytać coś o tej ziemskiej ojczyźnie Chrystusa, ale Bóg łaskaw zesłał nam w osobie tego braciszka księgę żywą. Był on sam w swojej osobie na tej Ziemi Świętej, całował miejsca krwią Chrystusa zbroczone, płakał na górze Kalwaryi, weselił się na górze Tabor; słuchajcie uważnie, on wam to wszystko opowie.

Dziewczęta i chłopcy rzucili się do ucałowania ręki staruszka, a dobra panienka usadowiwszy go wygodnie i nakazawszy milczenie, prosiła żeby zaczął swoje opowiadanie.

Pobożny braciszek odezwał się w te słowa:

— Musicie wiedzieć dzieci kochane, że będąc już wiele lat braciszkiem w zakonie Ojców Bernardynów, dotknięty zostałem długą i uciążliwą chorobą, która mi przeszkadzała w pracy wydzielonej mi z łaski boskiej. Modląc się raz przed obrazem Matki Najświętszej, obiecałem że pójdę do Ziemi Świętej dla uproszenia sobie łaski Bożej i zdrowia. Długo nie mogłem dopełnić obietnicy, aż powoli powoli usunąłem wszystkie trudności i z małym zasobem pieniężnym, bogaty błogosławieństwem Bożem, po komunji świętej puściłem się w drogę.

Ziemia Święta leży bardzo a bardzo daleko od naszego biednego polskiego kraju, nie panuje tam żaden król chrześciański ale cesarz turecki, co się sułtanem nazywa. Naród turecki

nie wierzy w Pana Jezusa, ani w Matkę Bożą, ani w świętych, ale modli się do proroka swego Mahometa, a na kościołach swoich zamiast krzyża umieszcza księżyc z blachy. Droga do Ziemi Świętej czyli Palestyny trudna jest i niebezpieczna. Trza najpierw przejechać ogromny niemiecki kraj, a potem ogromną wodę czyli morze. Wiecie przecie, że tę ziemię naszą Pan Bóg stworzył okrągłą jak kulę i że na niej prócz lądu czyli ziemi suchej jest jeszcze więcej wody słonej, zalewającej ogromne obszary i głębiny — i to się morzem nazywa. Otoż przez morze trza jechać do Ziemi Świętej na bardzo wielkiem czółnie czyli okręcie. Jest to jakby dom duży na czółnie zbudowany, a dach ma płaski tak że po nim chodzić można.

— A jakże takie ogromne czółno, taki okręt płynie? wiosłem nikt by go nie popchnął, choćby dużo ludzi pracowało? zapytał Ignaś.

— Prawda, odrzekł staruszek — ale posłuchaj a dowiesz się. Jak niesiesz rozpuszczoną chorągiew na procesyi a wiatr silny dmie w nią, to tak ciebie wraz z nią naprzód pcha, że musisz się dobrze na nogach trzymać, żeby cię daleko daleko nie poniósł, i musisz dobrze pięście sciskać, aby chorągwi z ręki nie wydarł. Otóż na tym płaskim dachu na okręcie są na grubych słupach mocno przymocowane takie płótna jakby chorągwie rozpięte, wiatr jak w nie podmie, to tak silnie dmie że cały okręt sunie prędko, ludzie nauczeni stoją na tym dachu przy sterze i kierują w którą chcą stronę. Otoż na taki okręt wsiadłem żegnając się krzyżem świętym i oddając się Matce Boskiej Częstochowskiej w opiekę. Często bowiem zdarza się burza na morzu. Musicie z doświadczenia wiedzieć, że zawsze większy wiatr jest nad rzeką lub stawem, cóż dopiero nad taką wielką wodą jak morze, otoż jak taka burza powstanie, to rozbija nieraz okręt cały a ludzie toną w głębokości morza, umierają nie złożywszy kości swoich na święconej ziemi, ale służą za żer rybom ogromnym. Płynąc na takim okręcie przez miesiąc, nie widziałem nic prócz nieba i wody i już tęskniłem bardzo za ziemią, szczególniej za kościołem, kiedy nagle zaczęto wołać: ziemia! ziemia! i zdala z poza mgły sterczała jakaś wysoka góra, był to Karmel pierwsze miejsce, które na

Ziemi Świętej ujrzałom. Serce mi gwałtownie bić zaczęło, oczy zabiegły łzami wdzięczności i miłości ku Bogu. Okręt zatrzymał się, wysiedliśmy na brzeg, gdzie nas czekali ludzie z końmi i osłami, na które wsiedliśmy, żeby się udać na górę Karmel, do klasztoru xięży Karmelitów.

Miejsce to pamiętne cudami, jakie tu prorok Eliasz czynił, chcąc lud żydowski do prawdziwego Boga nawrócić. Tu uprosił on deszcz, który półczwarta roku nie padał, tu na prośby jego spuścił Bóg ogień z nieba, który zapalił ofiarę składaną prawdziwemu Bogu i wiele, wiele innych cudów czynił tu Ojciec Niebieski przez tego świętego Eliasza, który żył dużo lat przed Chrystusem na ziemi i żywcem do nieba był wzięty. Dziś stoi tu klasztor OO. Karmelitów tak od góry Karmelu nazwanych, a przy nim piękny kościoł. W wielkim ołtarzu jest obraz Matki Boskiej z dzieciątkiem trzymającem szkaplerze, bo musicie wiedzieć wy wszyscy, co szkaplerze nosicie, że one mają początek z góry Karmelu. Tu bowiem ukazała się Matka Boska świętemu Szymonowi i dała mu szkaplerz na znak opieki swojej nad klasztorem. Pod podłogą kościoła idzie się do groty św. Eliasza, w której jest łoże jego, gdzie się Msza św. odprawia.

Z Karmelu ruszyliśmy dalej drogą do Nazaretu. Prześliczna i bujna ta ziemia, najlepsze na niej rosną owoce, powietrze nawet w zimie ciepłe. W miesiącach Grudniu i Sierpniu kwitną tu kwiaty najpiękniejsze na polu. Zboża możnaby mieć dużo, ale Turcy leniwi nie uprawiają roli, hodują tylko prześliczne konie, które całemi stadami na łąkach wypasają. Chaty ich nie takie duże i obszerne jak nasze, wyglądają z daleka jak kopce na ziemniaki.

Był już wieczór, kiedyśmy krętą, skalistą drogą dojeżdżali do Nazaretu, modląc się do Najświętszej Panny opiekunki naszej ziemi, żeby odwróciła grożące nam niebezpieczeństwo. Są bowiem w tych górach ludzie żyjący z rabunku; napadają oni podróżnych, okradają, a niekiedy i zabijają.

Smutno to pomyśleć dzieci moje, że takie najświętsze miejsca zostają w rękach niewiernych, nie poszanowane przez nich, ale może Bóg da że się to kiedy zmieni.

Przybywszy do miasteczka Nazaretu, pobiegłem najpierwej tam gdzie mieszkała niegdyś Najświętsza Panienka. Wybudowano tu piękny kościoł, w środku niego znajduje się domek Najświętszej Panny, ten sam w którym ukazał się jej archanioł Gabryel zwiastując narodzenie Boskiego jej Synaczka. W miejscu, na którem taki cud się spełnił, gdzie „słowo stało się ciałem,“ serce mi bić mocno zaczęło, upadłem na kolana całując ziemię, a najgorętszą dziękczynną modlitwą były łzy gorące.

Na miejscu gdzie św. Gabryel okazał się Świętej Dziewicy, postawiła św. Helena na pamiątkę słup wielki, ale go Turcy rozłupali. Jest to ołtarz na którym nieustannie pali się pięć lamp. Obok pokazują komórkę, która miała być mieszkaniem Pana Jezusa, także warsztat ciesielski św. Józefa, tu więc i Chrystus przy nim nieraz pracował i nam przykład zostawił, że człowiek ciągle pracować powinien, jeśli się chce Bogu podobać. Czy moglibyśmy się wstydzić choćby najgrubszej pracy, my ludzie grzeszni, kiedy Bóg, co świat stworzył i zbawił, pracował przy warsztacie strużąc drzewo?

Kawał drogi za miastem jest źródło, do którego Matka Boża po wodę chodzić miała. Przy tem źródle spotykałem wielu ludzi i zauważałem że zupełnie inaczej tu się ubierają jak u nas; mężczyźni noszą płachty czyli chustki w pasy takie, jak żydzi w szabas do pacierzy. Kobiety od głowy do stóp przykryte białem prześcieradłem, najczęściej chodzą boso.

Z Nazaretu udaliśmy się przez Kanę Galilejską koło jeziora Genezaret (sławnego połowem ryb) na górę Tabor. Tu Chrystus w obec Piotra Jakóba i Jana uczynił cud przemienienia, po modlitwie nagle szaty Jego zbielały jak śnieg a twarz jaśniała jak słońce. Eliasz i Mojżesz byli obok niego, a głos z nieba był słyszany. Apostołowie przestraszeni upadli na twarze, dopiero podniósł ich głos Chrystusa, który powrócił do dawnej ludzkiej postawy. Nawet Turcy nazywają tę górę górą światłości. Dziś kryją się na niej drapieżne zwierzęta, dziki, tygrysy, niedźwiedzie i inne w naszym kraju nieznane wcale.

(Dalej będzie w drugim numerze.)

Kapral Terefera i kapitan Szerpentyna.

Gawęda żołnierska.

Ej żołnierka chleb to twardy!
A jak wspomnisz mimo chęci,
Jakbyś łyżkę zjadł musztardy,
Tak na oczach łza się kręci.
Boć to młodość — taka może
Jak dziś widzisz pan dobrodziej?!
Niedopuszczaj, Panie Boże!
Gdzie się podział hart u młodzi!
Bladzi, wątli, ani siły,
Ani w sercu, ani w ręku...
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

Dziś u starca w sercu, w oku,
Jak widzicie, ognia dosyć,
A cóż we dwunastym roku,
Gdy szabelkę przyszło nosić?
Patrz ten krzyżyk — toż go przecie
Wysłużyłem ciężką pracą:
A jeżeli słuchać chcecie,
To opowiem jak i za co?
Ej, to, panie, czasy były!
Głodu, chłodu, jęku, brzęku!
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

Z pod Smoleńska, nasza wiara
Żwawym marszem w odwrót kroczy;
Rzadko który miał suchara,
A gorzałki — ani w oczy!
Pod jakowymś tam folwarkiem
Dano spocząć nam nareszcie,
A kozacy tuż nad karkiem,
A mróz stopni ze trzydzieście!
Zapalono krzyż z mogiły,
Nuż się tłoczyć przy ogieńku!
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

Ostąpiły z każdej strony
Tłumy ludu jakby fale:
I Żmudziny i Gaskony
I Krakusy i Westfale. —
Ot i spłonął stosek drzewa;
Więc chróśniaki zbiera tłuszcza,
I przeklina, piosnki śpiewa,
I z fajeczki dym wypuszcza.
Kto chciał zasnąć, legł bez siły
Na tornistrze albo łęku,
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

Legł i niewstał — chyba wstanie
Na dolinie Józafata!
Na kamrackie pożegnanie
Zmówim pacierz za kamrata,
Śnieg rozkopiem choć pałaszem,
I zasypiem oczy śmiałka!
Boć to, widzisz, w pułku naszym,
Pacierz krzepił — jak gorzałka.
Insze pułki nie wierzyły,
Że jest przyszłość w Bożem ręku,
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

Myśmy mieli kapitana,
Co nas jeszcze trzymał w wierze,
I bywało codzień z rana
Każe mówić trzy pacierze.
Co do postów: gdy golizna
Mimowoli człowiek pości —
Kapitana czci starszyzna,
A kochają strzelcy prości.
Był to sobie dziad pochyły,
Mówił z cicha, pomaleńku...
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

Choć potulna zda się mina,
Licho groźne i uparte;
Miał przezwisko Szerpentyna:
Bo się, panie, rąbał dzielnie!
Dla żołnierza pierś otworzy,
Grosz ostatni wydobędzie,
Po za frontem — człowiek Boży,
Ale szatan na komendzie!
Głos mu bucha, jak z baryły,
Wali płazem mimo jęku,
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

Z pod Smoleńska, uważałem,
Że coś stary idzie chromo,
Czy raniony może strzałem,
Czy się znużył, niewiadomo:
Bo to szatan w nim się mieści!
Tak był twardy w swojej woli,
Choćby skonał od boleści,
Niedopytasz, co go boli!
Przeskakuje śnieżne bryły,
Brnie przez śniegi z bronią w ręku,
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

Gdy ruszano z stanowiska
Stary krzyknął: „broń na ramie!“
Patrzę, tylko brwi naciska,
Chce grać zucha — ale kłamie.
Sprawił wiarę do szeregu,
I sam naprzód w marsz ochoczy;
Ale widzę ślad na śniegu,
Że jegomość krwią się broczy;
Coś się chwieje, jak napiły,
Coś się kurczy, jakby w sęku,
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

Dobył chustki, siadł na drodze,
I obwiązał chorą nogę;
Ja to widzę, więc podchodzę,
Myśląc, że coś dopomogę.

Lecz jak krzyknie stary gdera:
„Co się troszczysz cudzą raną!
Do szeregu, Terefera!“
(Tak mię w pułku nazywano)
Aż się oczy zaiskrzyły,
Aż mu pałasz skrzypnął w ręku,
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

A w Imię Ojca i Syna,
Jakie licho złe i dumne!
Powstał z ziemi Szerpetyna,
I nuż kulać przed kolumnę.
Choć cierpienia nie okaże,
Lecz to widzą wszyscy zdala;
Krwią oblały się bandaże,
A znużenie z nóg obala;
Starzec goni resztką siły,
Lecz nie wyda z piersi jęku,
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

Ot nie wytrwał — jęknął szczerze,
Zachwiał się i padł jak długi!
Przyskoczyli doń żołnierze
Z dziesięć ramion na usługi;
Sam widocznie iść nie może,
Chce go unieść oddział cały:
Bo furgony, żal się Boże,
Gdzieś w Smoleńsku pozostały.
Nosze z płaszczów się zrobiły
I uplotły z chróstów pęku,
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

Le z się stary jak wyźwierzy,
Rzekłbyś tygrys z jego miny:
„Cóż to? cały pułk żołnierzy,
Ma się późnić z mej przyczyny?
Precz odemnie! marsz do szyku!
Rozkazuję tu pod gardłem.
Słuchaj, mości poruczniku!
Podaj raport, że umarłem;

Nie kopajcie mnie mogiły,
Nie potrzeba trąby brzęku!“
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

Pan porucznik westchnął smutnie
I szeregi powiódł w pole.
Myślę sobie: choć łeb utnie,
Ja mu zginąć nie pozwolę!
Więc zostałem — i nie tchórzę,
I powiadam: „Kapitanie!
To się za nic stać nie może,
Pan w tem polu nie zostanie.“
— „Cóż gdy kroczyć niemam siły!“
— „Ja poniosę pomaleńku.“
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

— „Precz mi z radą i pomocą,
A nie przywodź mię do złości:
Mną się trudzić niema poco,
Ty masz swoje powinności.
Uważałem Terefere,
W twym plutonie są rekruci,
Noszą bagnet jak siekierę,
Maszerują jakby skuci;
Trzeba aby się rozwiły
Władze w nogach, zręczność w ręku.“
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

„Jestem ranny — po krwi stracie
Tak mi słabo!.. skończę życie...
Słuchaj, dobry mój kamracie,
Jak do domu powrócicie,
Wiesz zaścianek tam przy Niemnie,
Kędy matka moja żyje,
Schodź, pożegnaj ją odemnie,
Oddaj krzyżyk z mojej szyje;
Opatrz domek mój pochyły
I dwa ule przy okienku...“
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

„W ładownicy cała nędza:
Jest tu mały groszów worek,
To mi zanieś gdzie do xiędza,
Poproś dla mnie o paciorek!
Matce powiedz, niech nie płacze:
Bom nie zginął jako podli;
A do frontu zbierz rębacze,
Niech się każdy z nich pomodli!
Spiesz, bo wojska już się skryły,
Już nie słychać broni szczęku.“
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

— „Dobrze! dobrze! — ja doń mówię,
Nie gadajmy o tem wolej;
Jak da Pan Bóg czas i zdrowie,
Wszystko pójdzie w swoją kolej.
Teraz lepiej, mojem zdaniem,
Kapitana wziąść na plecy,
Do szpitalu się dostaniem,
Kędy leczą się kalecy.
Tu by śniegi was zakryły,
Tu byś skonał na tym pieńku.“
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

Jak ofuknie się z hałasem,
Jak zaiskrzy się, zapłonie:
„Patrz: kolumna już pod lasem!
Twoje miejsce przy plutonie;
Spiesz dopędzić towarzysze:
Za zbiegostwo areszt, kula!“
Ja udając, że nie słyszę,
Sadzę na mój kark dziadula.
On się zwija z całej siły,
Grozi, krzyczy na mym ręku,
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

Myślę sobie: mniejsza o to,
Niech się złości, będę znosić!
Lecz z ciężarem brnąć piechotą,
W śniegowiskach trudno dosyć!

Człowiek spocznie sobie chwilę,
I marsz naprzód aż łeb potnie;
Do wieczora ze trzy mile
Przetrzepaliśmy samotnie.
Stary wparł się w grzbiet pochyły,
Ani słówka... ani stęku!..
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

Po za wojskiem w całej drodze
Tu i owdzie ogień błyska;
Albo trupa gdzie znachodzę,
Albo ślad obozowiska.
Miałem w torbie dwa suchary,
To podróżny zapas cały;
Na popasie zjadł mój stary
I wychylił haust gorzały;
Gdy się płuca pokrzepiły,
Zyskał humor pomaleńku,
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

Już pod wieczór, widzę zdali
Jakieś wojsko ciągnie chmurą,
A konnica naprzód wali.
Szerpentyna rzekł ponuro:
„Widzisz, trutniu, co to czeka,
Kto rozkazy poniewiera;
To kozactwo... nas rozsieka...
Marnie zginiesz, Terefera!
Patrz, swawole co zrobiły,
Byłbyś z braćmi, z bronią w ręku!“
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

„Żal mi ciebie... dziatwy twojej...
Pan Bóg skarał cię wyraźnie!
Lecz poczekaj... wszak to swoi...
Ja ci zaraz sprawię łaźnię!“
Patrzę tedy... aż tu jedzie
Huf porządnie szykowany,
Zdala działa, a na przedzie
Mameluki i hułany;
Aż od śniegu lecą pyły,
Aż powietrze drga od brzęku!
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

Ot na białej, dzielnej szkapce
Jakiś jeździec ku nam kroczy:
W szarej kurtce, w niskiej czapce,
Co mu spada aż na oczy.
Patrzę pilno... i struchlałem...
„Broń prezentuj jak na wartę!“
Krzyknął kapitan z zapałem —
„To sam cesarz Bonaparte!“
Szerpetyna jak odżyły
Na śnieg skoczył z moich ręku,
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

To był cesarz .. nieinaczej;
Wstrzymał konia, spojrzał groźno
I zapytał: „Co to znaczy?
Gdzie wasz oddział? co tak późno?“
Myślę sobie: czym półgłówek,
Żeby tracić zaraz serce?
(A francuzkich kilka słówek
Nauczyłem się w żołnierce).
Więc zdobywam się na siły
I powiadam bez zajęku:
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

Od początku, z tęgą miną
Całą sprawę mu wywodzę:
Co się stało z Szerpetyną,
Jak raniony padł na drodze,
Jakem kwapił się z posługą
By go unieść do szpitalu;
Cesarz słuchał — słuchał długo,
I rzekł: „Brawo, mój kapralu!“
Aż mu oczy zaiskrzyły
Jakimś ogniem pełnym wdzięku; —
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

Potem spytał Szerpetyny,
Jak się zowię, jak prowadzę?
I mój kapitan jedyny
Dał świadectwo mej odwadze.
Już się znaczno, że niedąsa,
W rozrzewnieniu pozbył złości,
Jednak mruknął coś z pod wąsa
O wojskowej niekarności,
Lecz się usta nieruszyły,
Nie wydały głośno dźwięku;
Jezu Chryste Panie miły,
Terefere tatuleńku!

Do swych piersi cesarz sięga —
Dał mi krzyżyk... o rozkosze!
Patrzcie dzieci, to jest wstęga,
A na ciele sam krzyż noszę!
A jak umrze Terefera,
Weń ustrójcie go na mary,
Niechaj moją pierś ubiera,
Niech ozdabia mundur stary;
Poszanujcie u mogiły:
Bo był trzyman w dobrem ręku!
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

Więc potrząsłem hardo czołem,
Aż mi w oczach promieniściej:
„Wiwat cesarz!“ wykrzyknąłem!
Zawtórzyli mi gwardziści.
Nas zabrano na furgony,
Do szpitalów przyszli z rana.
Bóg niech będzie pochwalony,
Wyleczyli kapitana!

Teraz, słyszę, człęk zażyły,
Gospodarzy przy Niemenku —
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

Cóż myślicie o tym gderze?
Gdy do zdrowia przyszedł wreszcie,
Za niekarność Tereferze
Trzy dni kazał być w areszcie.
„Cesarz — mówił — wynagradza:
Bo poczciwym szedłeś torem:
Ale, bratku, moja władza
Naruszona twym uporem;
Choć wyrwałeś mię z mogiły
Nie popuszczę władzy w ręku!“
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

Słusznie mówił — bo Mospanie,
Czy wodzowie, czy to prości,
Kiedy rozkaz człek dostanie,
Pilnuj ściśle powinności!

* *

Tak powiadał Terefera
Siedząc w progu niskiej chaty;
I rękawem łzy ociera,
I wywija kij sękaty,
I łeb siwy, łeb pochyły,
Zadumany wsparł na ręku —
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

Sprawy gromadzkie.

Od kiedy sejm nasz nadał gromadom nowe prawo, a Cesarz prawo to potwierdził — niema ważniejszej sprawy dla ludu naszego, jak sprawa gromadzka. Dla tego też my w Dzwonku naszym od czasu od czasu o tych rozmaitych

sprawach gromadzkich pisać będziemy dla przykładu i nauki, aby ludzie wiejscy wiedzieli, jak i co teraz przy nowem prawie gminnem robić mają. Zaś każde pismo o jakiej rzeczy gromadzkiej, które nam kto będzie łaskaw nadesłać, wydrukujemy zaraz w Dzwonku na pożytek naszych czytelników. Dziś robimy początek i drukujemy taki list, który nam tu do Lwowa przysłali:

List z gromady Brzyski.

Kto z Bogiem, Bóg z nim!

Dnia 1. Marca b. r. po rozwiązaniu urzędów powiatowych, rozpoczęły czynność swoją urzęda gminne. Wielkie to dzieło powinno się od Boga rozpocząć. Wiedzą to dobrze gminy w parafii Brzyskach od swoich pasterzy. Przeto wójci z radnymi poszli dnia tego do kościoła, aby przed rozpoczęciem swoich obowiązków wezwać pomocy Ducha świętego. Po wysłuchaniu Mszy świętej xiądz Józef Radecki, wikary tamtejszy, tak do nich przemówił:

„Z dniem dzisiejszym rozwiązane zostały urzęda powiatowe, a ich miejsca zajęły urzęda gminne, składające się w każdej gminie z wójta i radnych. Mieliśmy różne urzęda dotąd; były mandatarjaty — źle było, były cyrkuły — niedobrze było, były urzęda powiatowe — także nie najlepiej. Przeto Najjaśniejszy Pan zwołał sejmy i tak powiedział do posłów: Źle z tymi urzędami powiatowemi, a nadto dużo pieniędzy kosztują — możeby też lepiej było, gdyby się gminy same rządziły. I zaczęli posłowie radzić, aż nareszcie zgodzili się z Najjaśniejszym Panem i za dobrą radę mu podziękowali.

„Tak więc w każdej gminie rządzić będzie odtąd wójt z radnymi, swój między swoimi.

„Wielka władza oddana w ręce wasze szanowni wójci i radni, wielka też odpowiedzialność przed Bogiem i ludźmi!

Najprzód moi bracia wypełniajcie obowiązki wasze nie dla oka tylko, jeno jak żąda apostoł, dla sumienia, — sprawujcie urząd wasz zawsze w obec Boga, w obec tego świadka i sędziego, który przenika najskrytsze tajniki serca, a który wszystkie sprawy wasze położy na szali sprawiedliwości swojej.

„Sprawując zaś urząd wasz, do którego was gminy powołały, nie zaniedbujcie przedewszystkiem obowiązków prawego katolika, wszak wiecie dobrze, że bojaźń Boża jest początkiem mądrości; a gdzie niema wiadomości Boga, tam i dobra niema. Jako więc mężowie stojący na czele gmin, macie innym przyświecać dobrym wzorem, przeto bądźcie zawsze trzeźwymi, a rady w karczmie nie odprawiajcie, bo tego prawo wyraźnie zakazuje, zachowujcie karność obyczajów i wszelkie obowiązki, które na was religja katolicka wkłada; wtedy to lud uszanuje was i sprawy swoje wam powierzy.

„Bądźcie dla wszystkich — dla bogatych i ubogich sprawiedliwymi; bądźcie opiekunami ubogich, wdów i sierót, obrońcami niesprawiedliwie uciśnionych i gnębionych. W ważniejszych sprawach radźcie się waszego dusz pasterza, radźcie się panów dworskich, bo oni tak samo jak i wy w pocie czoła uprawiają tę świętą ziemię, tym samym co wy językiem Boga chwalą, dzielą z wami dobrą i złą dolę i wraz z wami wszystkie ciężary dźwigają, w tem się tylko różnią od was, że mają więcej rozumu i nauki, dlatego też nie jeden raz dobrej rady udzielić wam mogą. Radźcie się także waszych nauczycieli, co wasze dzieci uczą i do dobrego nawodzą, a i oni wam nie w jednej rzeczy poradzić mogą.

„Wy zaś, którzyście sobie wójtów i radnych obrali, aby wami rządzili, bądźcie im posłuszni we wszystkiem dobrem, bo kto się zwierzchności sprzeciwia, ten się sprzeciwia ustanowieniom boskim. We wszystkich waszych sprawach udawajcie się do urzędów gminnych, nie do pokątnych pisarzy, jak wy nazywacie adwokatów; a tak unikniecie rozlicznych procesów, w zgodzie i miłości wzajemnej zakwitnie pokój, utrwali się szczęście i pomyślność wasza.“

Za przykładem parafii w Brzyskach niech i inne urzęda gminne pójdą, bo „kto z Bogiem, Bóg z nim“; a z prześlicznej mowy x. Józefa Radeckiego niech się nauczą, jak się rządzić mają, aby dobrze było.

Władysław Skarbowski

nauczyciel, pisarz i radca gminny w Brzyskach.

O puszczaniu krwi.

Bardzo zły zwyczaj rozpowszechnił się u nas po wsiach, z którego korzystają tylko żydy ceruliki i szarlatany, a ludzie poczciwi tracą przed czasem zdrowie i siły. Mało gdzie jest taki człowiek albo kobieta wiejska, coby rok rocznie nie puszczali sobie krwi, myśląc że im tego koniecznie potrzeba do zdrowia, a ten zwyczaj pilnie utrzymują owe cyruliki, co tylko umieją krew puszczać, bańki i pijawki stawiać, zęby rwać i brody golić; oni to prawią zawsze ludziom, że im koniecznie trzeba krew puścić, i jakże niemają prawić kiedy tylko z tej krwi ludzkiej żyją, toć jej łakną bodaj za parę groszy.

Wieśniak zwykle w słabości nie pójdzie do doktora dobrego, co lekarstwo zapisze, nakazuje poszanować się i doglądnąć, tylko wierzy babom, znachorom, co nic nie umieją tylko durzą człowieka a Pana Boga obrażają swojemi zabobonami, do szpitalu nie pójdzie, choć Bogiem a prawdą niema w tem nic strasznego, bo tam mają staranie dobre o ludziach słabych, i nareszcie udaje się do tych partaczów, co czychają na słabych i gotowi zaraz na usługi, ale za dobry grosz, ze swemi bańkami i obcęgami.

Czy zakłuje kogo, czy zabolą krzyże, głowa, a łamie coś po kościach i gorączka męczy, zbiera się człowiek i leci piechotą albo trzęsie się wozem do miasteczka, bo powiada że to krew jemu wyrabia, i każe sobie puszczać krew i niežałować i przygląda się kontent, gdy mu cerulik pokaże masę czarnej i spieczonej krwi na miednicy, myśli bowiem że już lepiej i lżej będzie. Zdarzy się wprawdzie że czasem i lżej się zrobi,

ale to tylko chwilowo, a potem znowu człek słaby a bezsilny taki jak nigdy, ale najczęściej i to prawie zawsze, prawda niezaprzeczona, i doktorowie to potwierdzali, że to częste puszczanie krwi, ujmując coraz więcej człowiekowi krwi i siły, sprowadza te częste po wsiach zaduszliwości i ciężkie dychawice na starość, a nawet za młodu, te częste zapalenia płuc, to jest kłucia i bole w piersiach — a w końcu śmierć w skutek bolesnej dychawicy.

Ileż widzieć można ludzi starych zaduszliwych, mizernych i suchych, co ledwie nogi włóczą za sobą a jeszcze przy każdem cięższem cierpieniu piersi idą krew puszczać? Gdzież się ta krew w nich nabierze wreszcie? Wszakże tak prędko nie zrobi się znów raz wypuszczona, wszakże z każdą kroplą tej krwi wychodzi z nich siła i życie.

Ludzie i lekarze przekonali się już, że puszczając regularnie krew bydlęciu można go doprowadzić do zupełnego osłabienia i śmierci, a biedni ludzie tak sobie sami regularnie odbierają to życie! Puszczanie krwi przy pracy naszego ludu, to jest przy częstem jego spoceniu i ochłodzeniu, przy ubóstwie nieraz ciężkiem, a osobliwie przy piciu gorzałki, jest niezawodnie największą zgubą i przyczyną śmierci!

Znam kobietę, co wiele pije wódki i co miesiąca prawie krew puszcza — jest żółta jak glina, słaba, co miesiąca choruje na kłucie i ból krzyżów, i choć nie stara i nie pracuje wiele, pewnie nie długo pożyje.

Nie jednego już słabego udało mi się wyleczyć na kłucie w piersiach, plucie krwią, bolesny kaszel i gorączkę, niczem innem tylko okładami zimną wodą i maleńkiemi pigułeczkami jak proso. Maczam chustę w zimnej wodzie, wykręcam dobrze i owijam piersi na krzyż, albo też bok lub jedną stronę piersi, według tego gdzie kłuje, a po wierzchu owijam wielką chustą albo płachtą suchą, aby słabemu mokro ani zimno nie było, nakrywam go ciepło, nie daję jeść tylko krupniczek, rosół, bułkę, mleko albo juszkę z fruktów, daję owe lekarstwa w wodzie — i zwykle słaby się poci, w kilka dni jeżeli Bóg łaskaw, polepsza się bez krwi, bez pijawek, bez baniek.

Byli to zwykle ludzie jeszcze silni i młodzi; starym, zaduszliwym trudno już pomódz, chyba niekiedy ulżyć trochę. Takich okładów każdy sobie potrafi dostarczyć i przyłożyć, a takie pigułeczki często może dostać w dworze, u xiędza, a tacy doktorowie co je dają często się znajdują po miasteczkach, dają chętnie lekarstwa biednym, a te lekarstwa nic nie kosztują, co bardzo wiele znaczy dla biedaka.

Gdyby nawet i takiego doktora niebyło, to każdy inny pochwali te zimne okłady — a lepiej się do niego udać w razie wielkiego niebezpieczeństwa, a może i więcej kosztować nie będzie jak ów żyd cerulik ssący krew ludzką i nie myślący wcale o wyleczeniu słabego, bo i nie potrafi i nie szczery.

Smutny tu u nas wypadek tej zimy się zdarzył. Panowały jakieś zjadliwe gorączki zwane nerwowe i tyfusy między ludźmi — ale dzięki Bogu, nikt nie umarł, choć się nawracały na dwa nawroty, jedna tylko kobieta dosyć młoda i silna, matka kilkorga drobnych dziatek, co zwykła była często krew puszczać, gdy zasłabła na taką gorączkę, kazała się mężowi zawieść do Żółkwi, aby krew puścić. Trzeba wiedzieć, że w takiej gorączce nie można krwi puszczać bo to śmiertelna rzecz, ale cyrulik czy się nie poznał na słabości, co pokazuje, jak nic nie umie, czy nie dbając na życie kobiety, co pokazuje jak nieuczciwy, puścił jej sporo tej nieszczęsnej krwi i zapewnił że jej dobrze będzie. Biedna kobieta we dwa dni umarła choć wszyscy we wsi wyzdrowieli — a szanowny xiądz proboszcz aż ręce załamał jak się dowiedział, że ta kobieta w gorączce krew puszczała i nakazał surowo, aby nikt we wsi gdy zasłabnie podobnie nie ważył się tego robić To jedna tylko próbka — a ileż się zdarza codziennie!

Czas już aby się ludzie zarzekli grzesznych czarów i zgubnych leków cyrulickich, aby gromady postarały się o swoje szpitale — swoje apteczki. Pieniądze wydane na obrzydłą i zabijającą wódkę gdyby obrócili na pożyteczne rzeczy, przybyłoby im zdrowia i błogosławieństwa z niebios.

Ile to nieszczęścia narobią nieraz przy słabych matkach baby odbierające dzieci! ile już nie zginęło przed czasem takich

biednych matek, w które baba leje mocną wódkę z kanforą i korzeniami? ile dzieci ślicznych i zdrowych pomarło na **ś c i s k i**, obsawszy się po urodzeniu i na chrzcinach z piersi cudzej, napojonej wódką! Czyż nie konieczną byłoby rzeczą obrać z każdej wsi albo przynajmniej na kilka wsi jednę taką kobietę i dać ją uczyć kosztem kilku gromad w porządnej szkole sztuki doktorskiej?

A ile to znowu starszych i młodszych dzieci umiera na to straszne zaduszenie, co się nazywa **a n g i n ą**? Przed parą laty we wsi Butynach, panowała ta słabość zaraźliwie i jednej zimy wymarło 20 dzieci prawie bez ratunku żadnego.

Radzę każdej matce, (bom nieraz te słabości za pomocą Boską wyleczyła) jak tylko jej dziecko dostanie chrypkę, głuchy kaszel, prędki oddech z gorączką i ciężkość wielką na piersiach, aby zaraz położyła zimny okład w formie chusteczki na szyi tak, aby koniec spadał na piersi a to po wierzchu starannie obwinęła suchą chustą, i ten okład niech odmienia co dwie godziny, a gdy się polepszyło, to rzadziej. Często się zdarzyło, że sam taki okład sprawiał poty i wyratował dziecko, ale nie trzeba zaniedbywać nic i pójść do dworu lub xiędza po lekarstwo, jeżeli tam nie ma owych dobrych pigułek co już tysiące dzieci wyratowały, a o których powiedzą im, jak używać, to przynajmniej znajdzie się lekarstwo na womity, a w braku tamtych niezawadzi dać dziecięciu, to przynajmniej flegmę odrzuci. Komu zaś stać, kto nie żałuje na baby, na ceruliki, na wódkę, ten niechże nie żałuje, proszę go na miłość Boga, na dobrego doktora i ratuje swoje dziecko. Zawsze już pierwszy ratunek będzie dany, doskonały ratunek przez zimne okłady.

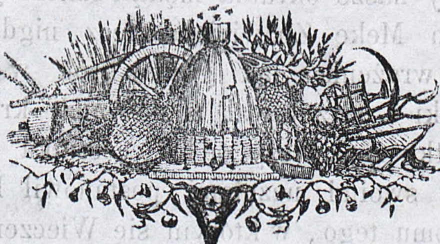
Słyszałam nieraz zawodzące strasznie matki na pogrzebie dzieci, a widziałam je siedzące obojętnie i nie dające żadnego ratunku nad kołyską chorego dziecka. Bóg każe pielęgnować te niewinne istoty, które nam daje i będzie żądał rachunku za nie — podobno niejedna matka zalęknie się tego rachunku. *B. E.*

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XVI. Nr. 9.

21. marca 1867.





Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Podróż do Ziemi Świętej.

Opowiadanie braciszka klasztornego.

(Dokończenie.)

Napatrzywszy się tych miejsc, prosiliśmy przewodnika aby nam zamówił ludzi zbrojnych na wypadek spotkania z rozbójnikami, o których wam już mówiłem, że jest ich dość w górach, na drodze do Jerozolimy, dokąd dążyliśmy. Uciążliwą drogą po górach i skałach dostaliśmy się do Jerozolimy. Ujrzawszy to miasto święte zsiedliśmy z koni a upadłszy na kolana całowaliśmy tę ziemię krwią Chrystusa Pana skropioną, modląc się i łzy wylewając. Bo czy możecie wy pojąć kochani ludzie, wy co słyszycie tylko o Jerozolimie, tem miejscu gdzie Chrystus umarł z miłości dla nas, i myślicie może, że tych miejsc nie ma i śladu, czy możecie to pojąć, powtarzam, jakie szczęście ogarnia człowieka, gdy to miejsce nie tylko widzi namalowane w obrazku, ale na prawdę depce tę ziemię własnemi stopami, i całuje na niej święte ślady. Cud to wielki, że nie tylko to wszystko nie zaginęło, ale że tu wszędzie pobudowane są dla pamiątki kościoły i kaplice.

Najważniejszą rzeczą dla każdego pielgrzyma jest zwiedzić te miejsca, gdzie Chrystus Pan, niewinny baranek, przyjąwszy na siebie grzechy nasze okrutną męką i śmiercią dokonał ofiary. Nie raz czytałem Mękę Zbawiciela, lecz nigdy na mnie nie zrobiła takiego wrażenia, jak gdym krok w krok szedł za pamiątką tej męki i odszukiwał śladów ich krwawych. Zwiedziłem to wszystko zacząwszy od Wieczernika gdzie Chrystus żegnając się ze swoimi uczniami postanowił Przenajświętszy Sakrament. Z domu tego, w którym się Wieczernik znajdował, zrobili Turcy dom modlitwy dla siebie, co się meczetem nazywa. Wpuścili nas do środka za kilkadziesiąt centów — jest to duża ale pusta izba. Tu, także po Wniebowstąpieniu Pańskiem Duch Święty zstąpił na Apostołów; pojmiecie z jakim żalem patrzy się dziś na te świętości w rękach Turków będące. Z Wieczernika udał się Pan nasz do Ogrojca i ja tam w ślad Jego poszedłem.

Ogrojec jest to ogród nie duży; do dziś dnia pokazują w nim te same drzewa oliwne, które rosły jeszcze za życia Chrystusa. W grocie, w której się modlił i krwawym potem oblewał, wołając: „Ojcze nie moja ale Twoja wola niech się stanie“, jest ołtarzyk mały, na którym odprawia się Msza Święta. Przy wyjściu z ogrodu oliwnego jest słup z napisem, że tu zdradzonego Jezusa żołnierze pojmali. Szedłem drogą gdzie płynął potok Cedron do domu Anasza, dziś zamiast niego, stoi tu kościółek mały, również i tam gdzie stał dom Kaifasza, a w ołtarzu jest ten sam kamień, którym był grób Chrystusa przywalony. Obok domu Piłata, tam gdzie stał słup, przy którym Zbawiciela biczowano, wybudowali pobożni także mały kościółek, ztąd idąc na Kalwaryę cierpiał Chrystus najsroższe męki. Droga prowadząca tam pełna pamiątek, każda stacya Chrystusa naznaczona kapliczką lub krzyżem, albo napisem w kamieniu wyrytym. Idąc tą drogą, zdało mi się, że widzę krew Chrystusa płynącą po kamieniach, że słyszę jęki wychodzące z ust jego Boskich, zdało mi się, że widzę Matkę bolesną w łzach całą — Weronikę i wiele innych niewiast jerozolimskich, a między niemi zgraję katów okrutnych. Płakałem nad cierpiącym Jezusem i nad grzechami naszemi, któremi od-

nawiamy mękę Jego. Doszedłszy na samą górę, rozweseliła się dusza moja na widok Golgoty. Ciężkie grzechy nasze, pomyślałem, ale Ty Boże Miłości coś tu umarł za nas, Ty nam je odpuścisz, byleśmy szczerze żałowali i starali się poprawić.

Na miejscu gdzie stał krzyż i gdzie grób był wykuty w skale, zbudowany jest ogromny kościoł. W ołtarzu przechowują relikwie: kawałek drzewa z tego samego krzyża, na którym Chrystus wisiał, i kawałek słupa, przy którym był biczowany. W kościele tym odprawia się codzień wielkie nabożeństwo z procesyą, która obchodzi wszystkie stacye męki. W miejscu gdzie stała Najświętsza Panna w czasie ukrzyżowania Chrystusa, wystawiono kapliczkę Matki Boleśnej. Upadłem w niej na kolana błagając tej Matki o litość dla wszystkich cierpiących, szczególniej dla naszych matek, sióstr i żon cierpiących także tak boleśnie na widok synów, mężów i braci, których męczą okrutnie syzmatycy Moskale. A Matka ta, która zna każdą boleść, nie opuści nas ale się wstawi modłami swemi do Syna swego za nami. W kaplicy grobu Świętego leży do dziś dnia kamień, na którym usiadł Anioł Pański po zmartwychwstaniu Zbawiciela. Pali się tam wielka ilość lamp złotych, dzień i noc trwa tutaj nabożeństwo. Grób służy za mensę w ołtarzu, na którym nieustannie odprawia się Msza święta, katolickiego i greckiego wyznania.

Obejrzawszy wszystkie świętości Jerozolimy, ruszyliśmy z przewodnikiem naszym do Betleemu o 2 godziny drogi odległego. Gromadka nasza wesoło śpiewała kolendy, i z niemi na ustach wjechaliśmy wązką uliczką do tego miasteczka — mieszkańcy jego kolorowo pstrokato ubrani kłaniali nam się uprzejmie. Najprzód pojechaliśmy na pole pastuszków, gdzie ich tak Anioł rozradował oznajmując Boskiego dzieciątka narodzenie. Dziś pole to zasiane bujnym jęczmieniem.

Ztamtąd poszliśmy do groty Narodzenia, gdzie stoi najstarszy kościół w całej Ziemi Świętej fundowany przez Św. Helenę. Wśród kościoła są wschody, po których się wstępuje jak do piwnicy do stajenki; jest tu żłobek gdzie Najświętsza Panna złożyła Boskie dziecię, nad nim jest ołtarz do odprawiania Mszy świętej, kilkanaście lamp pali się tu nieustannie.

Miło mi było zauważać, że lud Betleemski, szczególniej kobiety odznaczają się uczciwością i skromnością; nigdy się tu nie dzieje nic nieprzystojnego. Snać szczególniejsza opieka Matki Przeczystej dziewicy czuwa nad tem miastem szczęśliwem.

Obejrzawszy te wszystkie świętości zabraliśmy się do odwrotu. Z niewypowiedzianym żalem żegnałem Ziemię Świętą tem słowem „n a z a w s z e!“, cichą, serdeczną modlitwą i odśpiewanym hymnem „*Ciebie Boże chwalimy...*“

Żal mi było rzucać te miejsca tak święte jak nigdzie równych nie znajdziesz, spieszyłem jednak do domu, do kraju, do którego mi już bardzo tęskno było. Brakowało mi już wesołych wiosek polskich, spiewów polskich i was, kochani bracia moi; dopiero oddalony o tyle tysięcy mil od kraju poznałem jak to trudno obejść się bez ziemi rodzinnej, i z żalem pomyślałem o tych wszystkich nieszczęśliwych braciach naszych wypędzonych z ojczyzny.

Dziękowałem Bogu za szczęście jakiegom doznał na Ziemi Świętej, za podwójną ku niemu miłość, a obiecałem za to poprawić życie moje, kochać co raz więcej Boga i ludzi Spieszyłem do domu, więc wysiadłszy z okrętu nie zatrzymałem się nigdzie w niemieckim kraju i rozpocząłem dopiero tu na ziemi polskiej w celce klasztornej — witany radośnie od braci zakonnej — i od was ludzie kochani, którym to opowiadanie nie jędną łzę z oka wycisnęło.

O! na łzie nie przestańcie bracia mili, ale niech w sercach waszych rodzi się serdeczniejsza miłość, żywsza wiara, silniejsza nadzieja, niech się zrodzi szczera chęć do dobrego i mocne postanowionie poprawy życia; bo chcecież żeby ten Bóg dobry, który nas tak ukochał aż do śmierci krzyżowej, widząc, że my nie chcemy korzystać z owoców Jego męki zagniewał się na nas i odwrócił twarz swoją?

— Nie! nie chcemy! — zawołali wszyscy — chcemy Go kochać i chwalić, chcemy wszystko dobrze robić, jeno to człek taki, że aby i chciał, to znów się zapomni i źle zrobi.

— Źle robi i zapomina się ciągle — rzekł staruszek — jak pomocy Boskiej nie ma, bo o nią nie prosi, a z Boską pomocą to wszystko potrafi. To żeby Pan Bóg był z wami, ja

wam z serca życzę i żeby za łaską Jego dobrze się wam wiodło, błogosławię wam dzieci w Imię Chrystusa.

I wyciągnął starzec drżące ręce nad głowami wiesniaków, a oni się do kolan jego garnęli i ściskali je i całowali na podziękę i pożegnanie.

A panienka ucieszona przyjemnością, złączoną z użytkiem, jaką czeladzi sprawiła, kiwając im ręką zawołała:

— A teraz spać dzieci, bo już późna godzina, a jutro do żniwa wstać wcześnie musicie. Zabawiliśmy się dziś tak ładnie, trzeba dzień jutrzejszy ładnie przepędzić, chwaląc Pana pracą i spiewem na cześć Jego.

Modlitwa Pańska.

Przejęci wiarą, nadzieją, miłością,
Pod Twoje skrzydła garniem się z ufnością,
I jako dzieci wołamy do Ciebie:
Ojcze nasz! ojcze, który jesteś w niebie!

Wszystko, co z łaski Twej żyje na ziemi,
Winno Cię wielbić usty dziękczynnemi;
Toż głos nasz płynie w niebieskie podwoje:
Święć się o Panie! święć się Imię Twoje!

Nie ma tu dobra na Twym Boże świecie;
Złość nas szatańska i zła wola gniecie;
Toż odwróć od nas klęski, niepokoje,
Złam berło pychy — przyjdź królestwo Twoje!

Tyś na miłości zbudował Twe prawo,
Za miłość Syn Twój poniósł mękę krwawą;
Toż niech Twe prawo rządzi dziećmi Twemi:
Bądź wola Twoja w niebie — i na ziemi!

Błogosław pracy naszej Boże wielki!
Niech nam obfity plon niesie trud wszelki
Na roli serca i na roli chleba;
Daj nam o Panie! czego nam potrzeba!

Choćbyśmy ciągle pokutę czynili,
Nie zmażem tego cośmy przewinili;
Więc w miłosierdziu Twem ufni, wołamy:
Odpuść nam winy, jak my odpuszczamy!

Słabe są siły nasze mocny Boże!
Toż niech nas w dobrem Twa łaska wspomoże!
Nie wódź nas pośród złudzeń świata tego
Na pokuszenie, ale zbaw od złego!
Amen!

Józef F.
Nauczyciel szkoły ludowej.

Ptaszki.

(Rozmowa księdza proboszcza z dwoma chłopcami.)

Już się miało ku jesieni, żniwa się skończyły, w pięknym dniu wrześniowym szedł sobie panicz z dworu przewiesiwszy strzelbę przez plecy, a lubiony od niego chłopak dworski Jaśko biegł koło niego kontent, że wyrwał się od roboty, pies Bryś należał także do kompanji i do spaceru. Szli ścieżką za gumienkami, skryli się za gaik brzozowy, słychać było wystrzał, nie długo drugi i wynurzyli się znowu chłopcy z psem z gaiku, a panicz niekontent dał strzelbę Jaśkowi i zwrócili ku wsi.

Blisko sadów spotkali księdza proboszcza, który mile uśmiechając się do witających zapytał:

— A co tam za polowanie odbywacie? coś nie widać zwierzyny?

— Wyszedłem na ptaszki — odrzekł panicz — ale jak na złość co wypatrzę, zmierzę, już nie ma ani jednego. Mierzyłem już na ostatek w całą chmurę wróbli i rozleciały się wszystkie.

— Na ptaszki więc polujecie? i cóż wam po nich?

— Gdyby więcej nastrzelać, byłby smaczny półmisek.

A Jaśko się oblizał, bo zjadł właśnie rano dwa gniazda małych wróbli, które wybrał w stodole.

— I zkądże wam przyszedł apetyt na te drobne stworzenia, co tak wdzięcznie spiewają, owady niszczą, wesoło gniazdka ścielą i żyją Bożą opatrznością! Stół wasz nie zbogaci się niemi, bo dzięki Bogu mamy mięsiwo, drób, ryby, które służą do naszego pokarmu; a zabić malutkie, niewinne stworzenie, aby sobie zabawkę zrobić i rzucić, to, powiem prawdę, okrutna zabawka. Pocóż odbierać życie, które nam nie jest potrzebne, a tak nam świat Boży umila i cieszy się swoją lichą dolą.

— Gdybyście poznali życie tych stworzeń skrzydlatych, przypatrzyli się ich sprytowi, ich miłości rodzicielskiej i małżeńskiej, ich gospodarstwu i naradom różnym, zrozumielibyście prawie ich głosy, któremi mówią do siebie i spiewają Bogu, i nie zabijalibyście dla zabawki maluczkich spiewaków.

I szedł ksiądz proboszcz polną drogą, słońce chyliło się ku zachodowi, z wierzb przydrożnych gwar ptasząt szumiał dziwnie wesoło swojemu obrońcy, a chłopcy szli koło niego z uszanowaniem i słuchali.

— Widzicie na tej srebrnej topoli kruka — zapytał znowu ksiądz proboszcz wskazując na lśniącą postać czarnego ptaka, kołyszącą się wśród rzęsnych liści wyniosłej starej topoli.

— Widzimy — odpowiedzieli, a Bryś spojrzał obojętnie do góry, jakby znał i nie dbał na takich nic potem.

— On tam siedzi na warcie i czuwa nad bezpieczeństwem całej gromady, która w tej chwili rozleciała się w tej stronie za żerem. To stary ćwik, na jego doświadczeniu polega cału banda. Podziwiajcie jego zmyślność! Oto koło topoli przechodzi dwóch gospodarzy, jeden z kosą świecącą do słońca, drugi z wiązką trawy z łąki dla koni. Kruk zupełnie spokojny, nic sobie z tego nie robi, zaczepia nawet prawie przechodniów, bo spuścił się z swojego stanowiska i porwał z przed nóg pewnie robaka, którego będzie jadł oszczędnie. Oho! już znowu na górze i wartuje.

I w tem zbliżyli się do topoli, krzyk dał się słyszeć, kruk się wzniósł w powietrze, cała gromada się zleciała i kołując niespokojnie wzbiła się i znikła.

— Widzicie — rzekł znowu ksiądz — co za rozum, co za doświadczenie, kruk zna się dobrze na palnej broni i spo-

strzegł między nami strzelhę, narobił krzyku, ostrzegł o niebezpieczeństwie i już kruki Bóg wie gdzie.

Nie mogli się chłopcy nadziwić sprytowi ptasiemu i rozmawiając szli dalej. Koło folwarku spostrzegli znowu chmurę jaskółek, tak wielką, aż poszarzało w powietrzu. Krążyły one w różne koła, krzyżowały się, świegotały, ćwierkały, krzyczały i hałasiły do odurzenia. Zadziwił się panicz szczególnie, co wychowany w mieście nie widział takich ptasich sejmów.

— Dziwisz się Józiu — rzekł ksiądz proboszcz — a wiesz że to jest wielka rada powszechna jaskółek? Chłód się czuć daje, robaczków mniej, trzeba się zabierać! trzeba szukać daleko ciepłego nieba i obfitszej karmy! Oto szwadrony podróżne, szykują się, urządzają. Najmędrsza już dała znak wychodu, ale niektóre się spóźniają, tymczasem rozprawiają, pewnie o drodze co ich czeka, o porządku podróży. Biedaczki! ileż z nich nie doleci do nowej ojczyzny, co ma ich od zimnej pory ochronić! Ileż z nich nie ujrzą już tego okna, tego komina, tej chaty, gdzie wisiały ich kolebki! Szczęście, jeżeli gdzie przyczepione do masztu okrętu będą mogły spocząć zmęczonym skrzydełkom i pewnej śmierci uniknąć! Ach! nie tylko jaskółeczki opuszczają nasz kraj! nasi spiewacy leśni już zmieniają nutę, bywajcie zdrowi malutcy muzykanci, słowiczki, wilgi, kosy, bywajcie zdrowe piosenki wiośniane! O uciekajcie błękitne sikoreczki, różowe gile; bo ani wasze śliczne piórka, ani spiewy wdzięczne nie ubłagają wam litości przed naszą siecią, naszym samotrzaskiem, naszą bronią! Daremnie głosicie waszą niewinność i wasze usługi, co świadczycie ludziom, uciekajcie, już nie będziecie pić dzióbkiem z kieliszka kwiatów, Józio głuchy na wasze prośby!.. Józio strzeli, błyśnie, trafi i spadnie biedna ptaszyna, najlepsza spiewaczka gajów! główka jej przechyli się, oczka zamkną, ani bronić ani mścić się nie będzie...

Spuścił oczy panicz, a dobre serce coś zapukało. Jasiek znowu nie spuścił oczu z twarzy księdza proboszcza i myślał że doprawdy ptaszyna zabita leci i kona, i żal mu się zrobiło dwóch gniazd wróbli, które rano skubał i piekł na kuchni

Uśmiechnął się łagodnie dobry ksiądz i mówił dalej:

— Przed Bogiem najmniejsze stworzeńko ma swoją wartość i swoje prawa. Jaskułki żyją towarzysko, kochają się między sobą i nigdy nadaremnie nie zwołują się w razie niebezpieczeństwa. Nauka to dla ludzi! Powiem wam przykład. Jedna młoda jaskółeczka zamknęła się przypadkiem w jednej wielkiej sali urzędowego budynku, do której zbierano się tylko co miesiąca. Służący, który miał porządek robić, wszedłszy po 3 tygodniach zadziwił się, obaczywszy jaskółkę żywą i zdrową; szukał wszędzie, ale nie mógł sobie wytłómaczyć czem jaskółka żyje. Ciekawy, schował się za szafę i wysiedziawszy cierpliwie godzinę, usłyszał wołanie, na które zaraz odpowiedział mały więzień. Po pierwszem wołaniu nastąpiło świergotanie ciche i czułe, jakby matka dawała jeść dziecięciu; sługa patrzy, a jaskółka wisi uczepiona w kąciku szyby, a z drugiej strony jaskółki przez dziureczkę, którą zrobiły przez kit u okna, dają jej jeść po kolei. Sługa wypuścił ptaszynę, a uczeni ludzie zapisali to w książki. Sikorki co tak w zimie śmiało pukają do okien, choć złe dla innych ptaków, dla siebie bardzo uczynne i grzeczne. Jedna z nich robiąc sobie gniazdo, uplątała się za nóżkę w przędziwo, które przyniosła, i latała biedna motając się, aż osłabła i zawiesiła się szamocząc i krzycząc u gałązki. W jednym momencie zleciały się sikorki wydając krzyki trwogi i zmartwienia, a po długiej naradzie jedna wymyśliła sposób wybawienia przyjaciółki i ażeby go pokazać drugim sama spróbowała pierwsza. Puściła się szybko i w pędzie uderzyła mocno dzióbkiem w przędziwo; wszystkie za nią, to samo robiły, robota szła szybko, przędziwo słabło, a w półgodziny tej poczciwej pracy, przerwało się, i sikorka uratowana siadła dysząc na gałęzi. Cały rój sikorek wtedy do samej nocy gwarzył i rozmawiał winszując sobie i rozpowiadając.

Jasiek się zaśmiał na całe gardło.

— A co tam za miłość dla dzieci! moje chłopcy, aż się człowiek rozczulić musi. Weźmy naprzykład kuropatwę. Robi ona sobie gniazdo na ziemi z kilku ździebeł suchej trawy, i nie tak sztucznie jak inne ptaki. Samiec razem z samiczką wysiaduje jaja, a gdy są już młode, oboje na przemian pilnują i jedzenie noszą. Zdarza się, że czasem strzelec za swoim

psem wytropią gniazdo, wtedy samiec wydaje krzyki i zaczyna biedz kulejąc, jakby był skaleczony wlecze skrzydła za sobą i wyzywa psa aby go gonił; pies też oszukany, myśląc że tuż tuż pochwyci zdobycz, ściga go zajadle i daleko. Tymczasem samiczka ucieka z młodemi w przeciwną stronę. Gdy samiec już miarkuje, że jego familia w bezpieczeństwie, podlatuje raptem, a pies łatwowierny z wielką złością traci go z przed nosa. I któż tego bi dnego ojca nauczył takiego wybiegu, którego by się człowiek nie powstydził? Któż wlał w niego taką czułość rodzicielską? Ja sam miałem raz w sadzie srokosza, który nie dał nigdy przejść spokojnie nikomu w pobliżu swego gniazda; na psa, na kota rzucał się z góry z niesłychaną odwagą i łajaniem i odprowadzał krzycząc aż do miejsca odległego. Pewnego razu usiadłem z książką pod gruszą starą, zkąd niedaleko było gniazdo srokosza: trudno opisać niepokój z jakim krążył nademną, siadał obok i naprzeciwko i krzykiem starał się mnie oddalić, nakoniec w rozpaczy rzucił się na moje ramię i przechylając się do ócz samych, bił skrzydłami i łajał mi, pogłaskałem ptaszynę i chciałem aby we mnie poznał przyjaciela, to też odleciał i usiadł cicho na gnieździe. A gołąbek, ten ptak rodzinnej miłości, jaki tkliwy, jaki pieszczotliwy dla swojej dziatwy! a jak dla parki swojej serdeczny! Miałem białego jak śnieg gołąbka, którego gołębiczka ukochana zginęła jakimś nieszczęśliwym wypadkiem, posmutniał, nie jadł, odął pierze i siedział ponury na pustym gołębniku, to trwało cały miesiąc; aż jednego poranku mój gołąb poleciał ku błoniom; cieszyłem się, że się rozweselił mój sierota, ale wieczór nie wrócił. Całe 3 miesiące nie widziałem go, aż pewnego dnia wiosny ujrzałem na dachu białego gołębia z drugim siwym; nie mógł biedak żyć samotnie i sprowadził sobie towarzyszkę, którą pewnie słodkiemi słowy zaprosił na swoje gospodarstwo.

— I takie to ptasie dzieje! a wszędzie takie przemyślne. W gorących krajach jest ptaszek maluczki jak dobra mucha, o przecudownych kolorach; nazywa się kolibryk, pije jak motyl w kwiatkach, wiesza stucznie delikatne bardzo gniazdeczko wyłożone puchem kwiatów na dwóch gałązeczkach, samczyk

kołysze swoje młode i wraz z matką znosi żywność, przylatuje i odlatuje; ale ma on tam strasznego wroga, ogromnie wielkiego, przebrzydłego pająka, co czycha na gniazdeczko kolibrów. Trzeba widzieć jak odważny kolibryk walczy z tym potworem trzy razy większym od siebie, nigdy nie ucieka, wyzywa go, zaczepia, kole dzióbkiem, rzuca się, chcąc koniecznie odwrócić go od gniazdka, bije się do upadłego, bije się na śmierć! ale cóż, maleństwo nie może nic zrobić, pająпериczysko szponem swoim łapie go za różową nóżkę, przyciąga, obwija silną nicią w koło skrzydełek i dusi w tym powijaczu okrutnym. Kolibryk ginie, a samiczka zamiast uchodzić nakrywa sobą gniazdeczko, ofiarując się na śmierć, aby ratować dzieci!

— A w lodowatej północy jest także ptak szczególnej miłości macierzyńskiej, z której człowiek korzystać umie. Jest to Ejder albo Edredon, gatunek kaczki, która sobie robi gniazdo na ziemi oblewanej wodami morza, pośród kilku kamieni skrytych w trawie. Samiec i samica robią oboje to gniazdo, a gdy skończone, samica wyściela go puchem obfitym, który sobie wydziera z piersi i skrzydeł. Trzeba wiedzieć, że puch tych ptaków jest bardzo poszukiwany i drogi. Samiec nie wysiaduje gniazda, a gdy matka leci po żywność, przykrywa jaja grubo tym puchem. Wtedy to ludzie idą i wybierają z gniazd kosztowny puch. Biedna matka zastawszy takie nieszczęście, obdziera sobie powtórnie pierze z piersi i wyściela puchem gniazdo. Ludzie znowu złość robią i zabierają wszystko pierze, a ptak nagi zupełnie nie ma już czem wyścielić dzieciom łoża. Dopiero wtenczas samiec obdziera swój puch i ścieli na nowo, a że puch jego pośledniejszy, ludzie już nie biorą go i zostawiają, aby młode nie przepadły i aby ród kosztownych dla nich ptaków mógł się rozmnażać i nowe zyski dostarczać. Wykłute młode matka wodzi nad morzem i znika z niemi.

— Ot widzicie dzieci jakie to obyczaje ptaków, jakie kochanie, jaka troskliwość. A któż by nie lubił i nie podziwiał tych spiewaków, tych budowniczych, tych cieśli! te gniazdka ich najrozmaitszej formy i sposobu, które lepią z miłością macierzyńską, godną Stwórcy, który dał tym istotom drobnym tyle zmyślności i czułości? Nie dręczcie ich, nie zabijajcie! Bóg je

żywi i czuwa nad niemi, dlaczegożby człowiek nie miał dla nich serca i litości!

Doszli już do probostwa. Józio przyrzekł sobie, że nie będzie strzelał ptaszków dla zabawki, a Jasiek, że z gniazd wybierać nie będzie. Ksiądz proboszcz pożegnał ich mile, a stado gołębi obległo go prosząc o wieczerzę. *B. E.*

Sprawa o łąkę.

Powiastka.

Było to kilka lat temu. We wsi Huszcza, z dawien dawna, w dostatku, spokoju, kochany od ludzi, strzeżony od Boga, mieszkał Wincenty Chutyło. Chudoby było dosyć, na zagonie plenilo, w stodole zawsze znalazłeś sporo ziarna. Walek ochotnie z każdym dzielił się darem bożym, miał też ogólne poważanie. Sąsiedzka przyjaźń najsłabsza, boć to powiadają, że u innych ludzi widzi się dźbło w oku, a u siebie i belki nie obaczy. Tu przecież Chutyło nie dopuścił nigdy żadnych swarów, owszem starał się, gdzie można, zejść z drogi choćby ze szkodą własną. Dziwnem jakiemś zdarzeniem, jakby go złe nasłało, przybłąkał się do wsi oberwus pijaczyna, niejaki Walek Malec. Z twarzy wyglądała mu przebiegłość, włosy kręcone świadczyły o filuterji, a już cała postawa jakaś była wygięta, pochyła, jak to zwykle u ludzi, co się płaszczą, chyłkiem chodzą w życiu. Kim był, zkąd przychodził, nikt nie wiedział, jednakże niektórzy utrzymywali, że Walek musiał sługiwać po dworach albo też gdzieś szlifował bruki w wielkiem mieście, gdyż inaczej, jakoś z pańska mówił, a nad miarę do kieliszka zaglądał.

Raz w Niedzielę, po mszy świętej i po kazaniu, ludowina zaległa karczmę na rozstaju i Walek też znalazł się między nimi. Zazwyczaj obcy kolnie w oczy każdego, przyglądali się też z pod oka nieznajomemu włóczędze i Malec nie bardzo się gniewał, bo jako człek obrotny wnet znalazł sposobność zaprowadzenia rozmowy.

— Cóż się tak przyglądacie — rzekł do pierwszego lepszego — nie widzieliście ludzi?

— E! bo wason coś nie tutejszy — odrzekł kmieć.

— Juści nie z boru, ale z miasta, ze Lwowa.

Na ten wyraz wszyscy od razu zwrócili nań uwagę.

— Tak, ze Lwowa — mówił dalej włóczęga. — Czy wy wiecie, co Lwów. Każdy dom to tak jak u was kościół, ulice jak trakt miejski, szerokie, piękne, a ludzi więcej jak na odpuście w Zebrzydowie.

— O! O! — rzekł stary gospodarz — gadacie niby sroka, skądżeby tylu się wzięło. Wiem ci ja, że tam dużo panów, pięknych domów i ładniej tysiąc razy jak u nas; nie jest przecież znowu nic tak dziwnego.

— Baj! baj! Durz ty siebie nie mnie, kiedy mówię że tak, to tak. Jeszcześ dobrze gęsi pasł, kiedym ja już był człowiekiem.

— A cóżeście tam robili, mój człowieku? — zawołali chłopi.

— Pisałem prośby biednym ludziom. — To mówiąc wstał, osadził się mocno na nogach i podniósł głowę, mierząc wszystkich wytrzeszczonemi oczami.

— To wy niby jak nasz pisarz albo wójt? co?

— Więcej jak wójt, bo do takich jak wójt nigdybym prośby nie pisał. Wójt? Ja mój dryblasie stary, znam naczelników, prezesów, radców!!

— Co ty mi bańdurzysz! E! majster, widzisz no go, tobie się zdaje, że kogoś wysadzić z chaty i z pola, tak łatwo jak wyrzucić kota za płot. Nie przeczę, że potrafię zrobić należycie wszystko, ale bratku, bez pieniędzy ani drgnę.

Taką prowadził rozmowę Malec zaznajomiwszy się dobrze z sąsiadem Chutyły. Kmieć Prebenda, zapominając przyjaźni sąsiedzkiej, upatrzył sobie ni z tego ni z owego pretensje do ogrodu Chutyły i temu wydrzeć go postanowił. Walek był frant nad franty i umiał badać ludzi, ryć w sercach, jak kret w ziemi; a co zamierzył, choćby pęknąć, musiał dokonać. Niech go tam! powiadają, że większe miłosierdzie Boże jak złość ludzka.

— Tak, pieniędzy braciszku, naprzód pieniędzy.

— Przecie dałem trzy ruble — rzekł pokornie Prebenda.

— Wiesz dobrze, że ludziom musiałem kupić wódki, zyskać świadków — przerobić niewiernych, a ja darmo gębą robić będę? zawołał Malec.

Prebenda, poskrobał się po głowie, zakasał poły, i z kieszeni wyciągnął woreczek — wyjąwszy papierek pięcioreńskowy, oddał go Malcowi. Zaiskrzyły się oczy Walka, ucałował gospodarza i rzekł.

— Jak powiedziałem, trzeba płot wyłamać od rzeki i puścić trzodę chlewną, niech *bonują;* wszak na własnym gruncie wszystko wolno.

— Zmiłujcie się, cóż powie Chutyło, toż mu wszystek rzepak poniszczą?

— Rób, jak mówię, kiedy nie rozumiesz.

— Bo widzicie sumienie.... — Głupiś! — ogród — twój, bo wyraźnie znać, że w tem miejscu dawniej stała stodoła; widziałeś dobrze te pale, co sterczą przy końcu ogrodu.

— Juścić sterczą, ale one z dawnego *foluszu*, co stał nad strugą. — Tem lepiej, będziemy upominać się o *folusz!* — E! moi kochani, niby Chutyło dziecko, żeby jak kto powie, oddaj mi ogród, oddał go zaraz.

— Głupiś! Słuchaj. Czy, dajmy na to, jak kupisz bóty i chodzisz w tych bótach, może ktoś ci powiedzić, że one nie twoje!

— Ba! jušci że nie. — A dla czego?

Chłop gębę otworzył, miarkując się jednak dodał.

— Ba! bo moje.

— Głupiś! Nie dla tego, że twoje, ale dla tego, że w nich chodzisz, że ich używasz.

— No, to co?

— A to, że jak do ogrodu wpędzisz trzodę, wszyscy będą gadać: kiedy wpuścił bydło, musiał mieć do tego prawo; potem znowu za kilka tygodni powtórzą: wpuścił raz, wpuścić może i więcej razy, a po miesiącu — powiedzą: Prebenda pasał trzodę na ogrodzie, więc używał ogrodu, zapewne jest jego właścicielem.

— Acha! rozumiem.

— Rozumiesz - więc za to kup wódki w dodatku.

Przed karczmą mnóstwo stało wozów, i ludzi też chmara cisnęła się do gródki szynkowej. Gwar, krzyk, przepijanie do

siebie wódką, czasami jakiś stuk niby pięści w stół, rozlegały się w izbie. Wielkie było zbiorowisko włościan, bo oto właśnie teraz wójt miał sądzić sprawę między Prebendą a Chutyłą o ogród. Walek zręcznie interes cały zagmatwał i dwóch sąsiadów z sobą straszliwie poróżnił. Dopóki Chutyło ustępował, Prebenda jakoś nie miał serca prześladować sąsiada, ale kiedy Wincenty sprzykrzywszy sobie wypędzanie trzody z ogrodu i ogradzanie coraz nowe, raz porwał się do Prebendy; tenże podbechtany przez Malca, prawdziwą kością stanął mu w gardle i wytoczył proces przez wójta

Wójt oznaczył dzień niedzielny. Malec widząc nie zbyt przychylne usposobienie gospodarzy, chciał drapnąć, ale mu nie pozwolono, owszem stanąć musiał w karczmie i być obecnym sprawie.

— No, Wincenty, cóż powiecie na swoją obronę? — rzekł wójt — kiedy Prebenda plótł trzy po trzy o palach z folusza, o jakichś tam pretensjach do ogrodu Chutyły; i przywoływał świadectwa kilku gospodarzy przekupionych przez Malca.

— Ha, niech się dzieje wola Boża odrzekł Chutyło — nie mam żadnych dowodów, tyle tylko, że ojciec mój, nawet dziad siedzieli na tym gruncie; przynajmniej wszyscy gospodarze to samo utrzymują. Nie jestem człek piśmienny, w książkach nie czytam, ale lubię spokój i sumienie mam czyste. Mam dosyć, niech ogród zabierze sobie Prebenda — krzywda ludzka zawsze bokiem wylezie.

— Ja nie chcę waszej darowizny — zawołał Prebenda. — Mój ogród i dosyć!

— No to zabierz — rzekł Wincenty — ale pamiętaj, że na duszy grzech zaciągasz.

— E! pilnujcie lepiej siebie.

Wójt pomyślał trochę i rzekł:

— Słuchajcie moi kochani! I Prebenda i Chutyło mają racją, bo jak jeden tak i drugi jednakie składają dowody. I co prawda, tak dobrze używał ogrodu Wicek jak i Prebenda; wreszcie ot, świadkowie nawet chcą przysięgać. Trudna zatem sprawa do rozstrzygnięcia; ale jeżeli zgodzicie się na sąd polubowny, to inaczej zrobimy. Wszyscy jak jesteśmy pójdziemy

na ogród, o którym mowa; Prebenda zaś, ponieważ utrzymuje, że jest prawym właścicielem — od strony łąki wejdzie po kładce, mówiąc głośno wyrazy:

„*Nie jak wilk do cudzej owczarni, nie jak złodziej do cudzego domu, ale jak swój do swojego ogrodu wchodzę, tak mi Panie Boże dopomóż.*“

— Jeżeli śmiało przejdzie całą kładkę i nie zająknie się, jego słuszność, jego prawda. Cóż na to gromada?

— Mądrze, bardzo mądrze odezwali się wszyscy — Prebenda tylko jakoś schmurniał i drapał się za ucho; ale kiedy Walek coś mu szepnął, odrzekł opryskliwie. — Wielkie rzeczy, to pójdę, cóżby zaś człek nie miał przejść kładki. Przejdę i pokażę temu... że to moje a nie jego.

Chłopi całą gromadą ruszyli z karczmy, wszystko oniemal wybiegło ze wsi patrzeć, jak Prebenda będzie przechodził przez kładkę. Mina przecież strasznie mu zrzadła i gdyby nie Malec, niezawodnie przyznałby słuszność Chutyle; nie chciał też narażać się na pośmiewisko ludzkie.

Wójt stanął tuż przy kładce, która prowadziła z łąki do ogrodu Chutyły, a po za kładką Prebenda i nieodstępny Walek. Kładka była z deski położonej nad głębokim a błotnistym rowem; ktoby zleciał, dobrzeby się objadł kałuży.

— No! Prebenda, dalej! Wchodź na kładkę i mów za mną: — Nie jak wilk do cudzej owczarni...

— Nie jak wilk do cudzej owczarni — rzekł, idąc zwolna Prebenda.

— Nie jak złodziej do cudzego domu —

— Nie jak zło... zło.. dzi.... iej! ...iej!

Prebenda zachwiał się na nogach, chłopy w śmiech, a on też bach! w błoto po same uszy.

Jeszcze większy śmiech; biedne człeczysko gramoliło się a co się podniesie, znowu głębiej zapada — przecie z pomocą podbiegł Walek; obadwa unurzani dobrze wyleźli na brzeg.

— Widzisz mój bracie — przemówił wójt — jak mała rzecz, a jednakże sumienie nieczyste nie pozwoliło ci jej uskutecznić. Kto niesłusznie cudzego pragnie, wnet się o Bożą mękę rozbije.

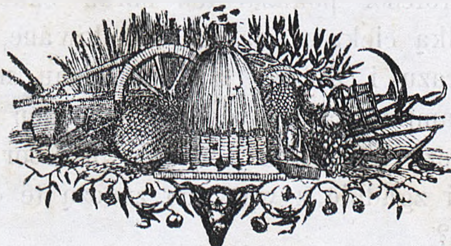
Prebenda zawstydzony przeprosił wójta; z Chutyłą się po sąsiedzku ucałował i przyrzekł powrócić wszelkie straty; ale jakoś doradcy niegodziwego strawić nie mógł i jak się nie zabierze do Walka, dalej go okładać! Za jego przykładem poszła i gromada; niedługo ów pan lwowski zmiatał, gdzie pieprz rośnie. Sąsiedzi przeprosili się i odtąd żyją w najlepszej zgodzie.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XVI. Nr. 10.

1. kwietnia 1867.





Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Śmierć Czarneckiego

hetmana polskiego.

We wsi Gliszczanach są gazdowie dobrzy i mądrzy, bo od 20 lat fundowali sobie szkołę wiejską, na co dał dwór jedną część płacy, a plebanja dała także niemały przyczynek. Stoi budynek cały drewniany i obielony z wielkiemi oknami od wschodu i od południa, aby był dobry widok w izbie szkolnej, a na ścianach w środku wiszą różne obrazy: to świętych patronów, to królów polskich, to uczonych i mądrych Polaków, co to i z panów i chłopów wyszli nauką i dobrem życiem na wielkich ludzi, a szkolarze umieją tam opowiadać różności ciekawe o tych obrazach.

Otoż raz podarował dwór do tej szkoły nowiuteńki obraz, w ramki czarne oprawiony, na którym był wymalowany jakiś chory na łóżku, koło łóżka jakiś xiądz na kolanach, a koło chorego stali jacyś wojacy, mieszczani i chłopi, a co znowu dziwnego, że stał tam i koń biały a chory głaskał go po głowie. A na spodzie obrazu był taki napis:

Ostatnie chwile Stefana Czarneckiego.
Roku Pańskiego 1665.

Jak pan profesor pokazał ten obraz szkolarzom, to oni obzierali z wielką ciekawością osoby malowane, odczytali napis na spodzie obrazu i zaczęli coś po cichu mówić, głowami kiwać i ramionami ruszać na znak, że żaden z nich nie wiedział co to znaczy ten obraz. Aż pan profesor pyta:

— Kto mi zgadnie z was, co znaczą te osoby wszystkie na tym obrazie?

Ale nikt nic nie mówił, więc pan profesor sam tak opowiadał:

— Ten chory namalowany jest Stefan Czarnecki, syn polskiego dosyć ubogiego pana, ale nauką i dobrem życiem dorobił się on tego, że w całym polskim kraju znaczył bardzo wiele i był pierwszym jenerałem na całą Polskę. Sławny to był wódz polski, a oręż jego straszny był dla wrogów ojczyzny! Nie jeden raz on ocalił całą Polskę — a Szwedzi i Moskale, których on gromił i ścigał, popamiętali dobrze jego szablę; Co tu stoi namalowane na obrazie, to się działo wszystko roku Pańskiego 1665 na tydzień przed św. Maciejem, a więc jak uciął 200 lat temu teraz.

A jeden szkolarz powiada:

— To tu ten pan Czarnecki widać umiera, czy leży chory, bo jest xiądz jakiś koło niego na kolanach i stoją ludzie zapłakani.

— A dobrze mówisz — rzecze pan profesor — bo stoi na podpisie powiedziane, że to ostatnie chwile życia Czarneckiego.

Ale zapytał znowu szkolarz:

— Czy to dwór jaki, gdzie on umiera, czy też jaka inna chałupa? bo coś na dwór pański nie patrzy.

— To chałupa — rzecze pan profesor — jednego ubogiego mieszczanina w miasteczku Sokołowce.

— A gdzie to leży to miasteczko? — zapytali szkolarze — może gdzie daleko od nas.

— Oj! nie tak daleko — rzecze pan profesor — bo zaraz koło Brodów, które to miasto polskie jest na granicy moskiewskiej od Galicji, het za Lwowem o jakie 30 mil od nas.

— No! to w naszym kraju widać umarł ten pan Czarnecki — gadali szkolarze — ale co on tu robił?

— Ja wam to opowiem — rzecze pan profesor — jeno posłuchajcie dobrze. Na rok przed śmiercią, to jest roku Pańskiego 1664 były w Polsce wojny straszne. Kozacy od granicy tureckiej zaczęli się buntować i rabowali dwory, kościoły katolickie, palili miasta i wsie. Toż król polski Jan Kazimierz, posłał z tym hetmanem Czarneckim wojsko polskie na obronę. Czarnecki podszedł tych kozaków w mieście Stawiszcze i zmusił ich tam do poddania się Polakom. Ale na nieszczęście była wtedy zima wielka, śniegi spadły po kolana, toż Czarnecki hetman polski zachorował nagle, bo był już i stary i na wojnach sponiewierany. Co tu robić wtedy? Czarnecki zwołał wojaków swoich i kazał im, aby go wieźli na saniach pomału ku Brodom a potem do Lwowa, aby tam mógł się ratować. I wojacy smutni zrobili tak i wieźli go do Brodów. A gdy go tak wieźli chorego, spotkali na drodze jednego urzędnika polskiego, który jechał z Warszawy od króla z pismem do pana Czarneckiego.

— A z jakiem pismem? — zapytali szkolarze.

— Ten urzędnik — mówił pan profesor — wiózł od króla pismo, w którem mniej więcej tak stało:

„Jesteś hetmanie Czarnecki teraz na całą Polską, nad całem polskiem wojskiem najpierwszym jenerałem i nazywam cię Hetmanem Koronnym, a całe moje wojsko ma cię słuchać jak mnie samego; robię to dla ciebie, i wszyscy panowie i biskupi tak uradzili, aby ci zapłacić za twoje wysługi, za twoją naukę wojacką i za wszystko dobre, coś robił dla Polaków przez twoje całe życie.“

Otoż jak pan Czarnecki odczytał to pismo, uradował się bardzo i powiedział do wojaków:

— Ja zostałem hetmanem ani z roli, ani z soli, ale z tego, co mię boli! A to znaczy tyle, że pan Czarnecki nie był bogaczem żadnym, jeno pobożnym Polakiem, dobrym wojakiem, i za to zapłacił mu Bóg i dał mu doczekać takiego urzędu, jakiego nie dostali drudzy bogacze polscy.

*

— No! cóż się dalej stało z tym panem Czarneckim? — pytali szkolarze.

— Co się stało — powiada pan profesor — to się stało, że wojacy wyruszyli dalej w drogę i wieźli na saniach chorego. Ale sanie trzęsły czasem i z jednego boku drogi szły na drugi bok, a to było dla chorego bardzo źle. Wojacy poszli więc do jednego chłopa, pożyczyli nosze, wysłali sianem, wzięli nosze na ramiona i szli tak z chorym po kolana w śniegu. Ale wypadło im nieść chorego w samą niedzielę wielkiego postu, toż pan Czarnecki jako bardzo pobożny mówił:

— Chyba wy mię nie nieście dziś dalej, bo to święta niedziela, po kościołach nabożeństwo, a my nie możemy się nawet pomodlić.

— No! to go może zostawili? — pytali szkolarze.

— A nie — rzecze pan profesor — bo w niedzielę i święto dobrze komu zrobić, choremu usłużyć, z biedy kogo wydobyć nie jest grzechem — toż i oni poszli dalej z chorym i przyszli na milę od Brodów do małej mieściny Sokołówka i ztąd ani ruszyć dalej, bo śnieg walił a walił z góry, kurzawa biła aż ciemno, a wiater mroźny ciągnął wschodni, aż przeszywało każdego. I takie zimno przyczyniało się także do choroby Czarneckiego, bo zaziębienie strasznie szkodzi zdrowym, a cóż dopiero chorym?

— Aha! — wołali szkolarze — to na tym obrazie pewnie wymalowane to, że ten hetman Czarnecki leży w chałupie chory w Sokołówce u jakiegoś dobrego człowieka.

— A dobrze gadacie dzieci — rzecze pan profesor — jak wojacy nie mogli już nawet kroku zrobić w śniegach wielkich i nie chcieli chorego umrozić, toż poszli do jednej chałupy mieszczańskiej i położyli chorego hetmana na łóżku ubogiem. Wieczór kazał pan hetman zawołać swego xiędza Dąbrowskiego, kapelana wojaków i powiada:

— Ojcze duchowny! ja pono rana nie doczekam, toż chcę się zawczasu z Bogiem pojednać i na sąd Boży przygotować.

I przystąpił xiądz do łóżka, wysłuchał spowiedzi chorego, dał rozgrzeszenie, a potem klęknął na ziemi i modlił się o życie hetmana.

— Aha! — wołali szkolarze — to akuratnie wymalowany xiądz klęczy na ziemi i mówi pacierz. Ale pocóż tu koń stoi koło łóżka?

— To moje dzieci — rzecze pan profesor — tak było, że ten dobry koń nie chciał iść do żadnej stajni, jeno leciał do swego pana hetmana i koło niego tupał nogami, rżał i stękał, aż się na płacz każdemu zbierało. Toż wojacy postawili go w tej sioncc, dali mu jeść i pić, a to biedne zwierzę ani tknęło owsa ani wody w cebrze, tylko patrzało do izby, jak kto drzwi otworzył i ciągle stękało tak, jakby płakało za hetmanem. A gdy to słyszał hetman rozpłakał się, kazał konia do łóżka przyprowadzić, głaskał go, a koń spuścił uszy, zwiesił łeb, zaparł oczy, skulił się cały i drzał, aż strach było patrzeć na to biedne zwierzę.

Na to opowiadanie ucichli i szkolarze, jednym puściły się łzy z oczu, aż po chwili pytali:

— No to teraz wiemy, na co tu koń stoi koło łóżka wymalowany, czy też ten pan Czarnecki wyzdrowiał potem?

— O dziatki! — rzecze pan profesor — może każdy spokojnie umierać, kto zrobił tyle dobrego za życia ile ten Czarnecki. Po spowiedzi w nocy zrobiło mu się nieco lepiej, bo pojednał się z Bogiem i widział, że go żałowali nietylko ludzie, ale i zwierzę, biedny koń; ale na drugi dzień xiądz odprawił mszę św. o życie hetmana, całe miasto razem z wojakami modlili się, po mszy wykomunikował go xiądz, a niedługo skonał cicho pan hetman, a duszę jego dobrą wzięli Anieli i zaprowadzili do Boga. Wtedy to był płacz wielki po mieście! Zaraz pojechał jeden wojak do króla do Warszawy z smutną nowiną, a król kazał ciało hetmana przyprowadzić do Warszawy na pogrzeb, gdzie się też odbył pogrzeb bogaty aż strach, a z Warszawy odwieziono ciało do wsi pana Czarneckiego, co się żowie Czarnca, i tam pochowano. Otoż tak umarł Czarnecki hetman. Umarł ubogo, w prostej chałupie, na biednej pościeli, ale za to miał pogrzeb królewski, a do dziś mówią o nim Polacy więcej dobrego, niż o niejednym cesarzu lub królu.

Szkolarze patrzali teraz na obraz, wiedzieli co znaczą te malowane osoby, aż jeden widząc konia powiada:

— A co się też stało z tym dobrym koniem?

Na to powiada pan profesor:

— Słyszałyście dzieci nieraz, że na grobie pana swego zdychały psy i konie z żalu — bo pies i koń są nieraz wierniejsze od ludzi niedobrych. Toż i koń ten biedny zdechł z żalu. Jak widział, że ciało hetmana wynieśli, to koń ani skosztował owsa, ani pił, ani nie dał nikomu do siebie przystąpić, jeno bił kopytami o ziemię, stękał, a gdy osłabł bez jedzenia, zdechł potem.

Szkolarze opatrzyli jeszcze raz obraz cały, potem pan profesor zawiesił go na ścianie, a szkolarze opowiadali każdemu potem o tym obrazie. *Xiądz Wojciech z Medyki.*

Szanujmy ojców zgrzybiałych.

Stoi chata bielona, strojnym płotem grodzona,
Są w komorze dostatki;
Tylko smutno na duszy! nie ma lipy ni gruszy
Na około tej chatki.
Grusze stare, zwiśnięte, na polana wycięte;
Sam gospodarz je zcinał:
Za to tyczek bez liku, tuż za oknem w chmielniku,
Niby igły powpinał.
Jest w chałupie tej starzec, setny pomni on marzec,
A jak gołąb' tak siwy;
Wiek do ziemi go zgina, drży, jak stąpa chudzina:
Chłop to z chłopów poczciwy!
On te grusze zasadził, on stodółkę uładził,
On swe wołki i rolę,
Gdy już syna wyswatał, gdy i dachy połatał,
Zdał mu wszystko na wolę.
Dołem struga przeczysta, niby wstęga srebrzysta
Po smugu się przewija;
Płynie — płynie kochana, taka w wieczor jak zrana:
Brud, kałuże o ija...
Czemuż życie u ludzi, często pychą się brudzi?
Człek i słońce pokala!
Czemu w chacie za ciasno, czemu w oknach nie jasno:
Brudno w duszy synala?

Czemu chodzi ponury? Patrzy w ojca z pod chmury:
Czy zawadzać zaczyna?
On przy piecu na ławie tak skulony, tak łzawie
Błaga Boga za syna...
Do obiadu za stołem siadł gospodarz, i kołem
Żona z dziećmi zasiadła;
Wstał też starzec i drżący krok posuwa chwiejący
I zbliża się do jadła;
A gdy usiadł na ławę, dłoń wyciągnął po strawę,
Talerz był malowany;
Wziął go dłonią trzęsącą; talerz z strawą gorącą
Padł w kawałki strzaskany.
To już nadto dla syna! Łajać starca poczyna
Ze szatańską skrą w oku;
Dla lepszego pożytku kazał odtąd w korytku
Ojcu jadać na boku.
Przemkły dzionki gorące, zmarzła struga na łące,
Ogień bucha z komina;
Przędą w chacie, drą pierze; starzec szepcze pacierze:
Błaga Niebo za syna...
A syn siedzi w świetlicy, w kusym stroju, w szlafmycy;
Długą lulkę nałożył,
Krótką rozpiął sukmanę, muska lica rumiane,
Nogi dumnie rozłożył.
I patrzy na synka, co wciąż koło kominka
Dłubie w drzewie kozikiem;
Znać, coś skrzętnie sposobi — ojciec ciekaw, co robi,
Wszedł w rozmowę z chłopczykiem.
— „Widzi ojciec, ja sobie naprzód, wolno, sposobię
Koryteczko sosnowe:
Gdy ojczulko zsiwieje, a ja dobrze dojrzeję,
To już będzie gotowe;
I jak dziadzi w tym roku, tak wam znowu na boku
Ja korytko ustawię."
Na te słowa niewinne, na proroctwo dziecinne
Zadrżał ojciec na ławie.
Fajka z ust mu wypadła, twarz przestrachem pobladła,
Wstał, przebiega świetlicę...
Duma — duma, trze czoło, błędnie spojrzał w około,
Zrzuca z głowy szlafmycę,
I przed starcem uklęknie, ciężką winę w głos jęknie;
Ucałował dłoń drżącą:
Starzec otarł łzy skrycie — jak po deszczu w błękicie
Twarz miał słońcem jaśniącą...

Błogosławi skroń syna, dłonie nad nim w krzyż zgina —
I od chwili proroczej
Jasno w chacie, przestrono, dźwięczniej warczy wrzeciono,
Struga brzęczy uroczej....

J. G.

Dziad fundator.

Nie zbyt dawnemi czasy, w jednem z większych miast Litwy gdzie i xiążęcy stał zamek — był staroświecki, Witołda jeszcze czasy pamiętający, niebogaty klasztor xięży Bernardynów — dziś stoi on jeszcze jak i tyle innych murów klasztornych, ale gdzie ojcowie? gdzie nabożeństwo? gdzie kapłani? pytajcie cara moskiewskiego, co porozpędzał tysiące sług Bożych i niezliczone poburzył kościoły! Niedaleko niego był drugi, piękny, nowy, murem obwiedziony klasztor i kościół xięży Trynitarzy. Czem on dzisiaj — spytajcie cara! O obu tych klasztorów piękna i prawdziwa jest opowieść, posłuchajcie.

W dniu jednym jesiennym przed wieczorem, siwobrody, nędznie odziany dziadek o kiju i torbie, z paciorkami u pasa, a krzyżem i medalem Matki Boskiej na szyi, zapukał nieśmiało do furty skromnego i starego klasztoru Bernardyńskiego. Wyszedł furtjan a dziadek skłoniwszy się pokornie, pochwalił najpierwej Chrystusa Pana a potem rzekł:

— Idę do miejsc cudownych i o żebranym chlebie obchodzę te strony, ale stare kości mi nie służą, nie mogę iść, radbym odpocząć, a słodki staremu spoczynek byłby za klasztorną furtą; prosić będę wielebnych Ojców aby mnie biednego przyjęli pod dach swój choć na dni parę. Da Bóg, gdy pokrzepię ciało i duszę, pójdę i błogosławić ich będę. A jeżeli Bóg nie pozwoli odzyskać siły, jeżeli umrę, to szczęśliwy, że nie na drodze ale w świętem miejscu, a kapłańska ręka zamknie mi powieki i święconą wodą trumnę pokropi. Proszę was Ojcze powiedzieć starszemu, że dziad ubogi prosi o miskę strawy i przytułek jaki taki, a za to czy umrę, czy żyć będę, w modlitwach moich nigdy nie zapomnę o ojcach! Ach xięże dobrodzieju! i kroplą wody — rzekł Chrystus — będzie policzona w niebie!

I umilknął dziad, skłoniwszy głowę i czekał odpowiedzi. Furtjan nierychło odpowiedział i coś głową kręcił.

— Staruszku — rzekł nakoniec — jest ci to wprawdzie klasztor ale ubogi, sami z jałmużny żyjemy; jest klasztor ale nie ma szpitalu ani gospody, ciasno tu i biedno — trudno was przyjąć, czekajcie jednak, pójdę do gwardjana.

I zniknął furtjan w korytarzach a dziadek czekał u drzwi pod ścianą; prędko jednak furtjan wrócił, zaprowadził go do izby czeladzi, bo xiądz gwardjan kazał posilić biednego, ale przyjąć nie mógł na dłużej w klasztorne progi; postawił mu dzbanek piwa i krajankę chleba, a dziadzina choć smutny przekąsił i napił się, snać głodny był i spragniony. Orzeźwiwszy się podziękował mile i wyszedł z Bożego domu, a głos furtjana:

— Niech Pan Bóg prowadzi! szedł za nim.

Powlókł się dziadek w miasto; niedaleko ujrzał na zielonym cmentarzu małą, drewnianą, bielutką kapliczkę z jasnym krzyżykiem; widać że była nowa ale ubożuchna. Przy niej stał domek także krzyżem ubrany z kratami w oknie. I tam mieszkali zakonnicy, i tam był klasztor niebogaty, a nad furtą był obraz, na którym namalowani byli xięża, więźnie i Tatary. Był to klasztorek i kaplica Trynitarzy.

Xięża ci wielce pożyteczni w świecie a szczególnie w Polsce, wykupywali za grosz jałmużny nieszczęśliwych chrześcijan z niewoli pogańskiej -- puszczali się w dalekie strony między Turki i Tatary i wielu jeńców przyprowadzali do ojczyzny, a gdy grosza im nie stało, sami się zaprzedawali w niewolę na miejsce braci.

Święty to był zakon, błogosławiony od świata i Polski, która w krwawych zapasach z pogańskim wrogiem tyle dziatwy swej traciła i w niewolę sromotną oddawać musiała. Wielkiego trzeba było poświęcenia i miłości, aby takim obowiązkom trudnym sprostać.

U tej kapliczki więc trynitarskiej ukląkł dziadek i modlił się na paciorkach, a modlitwa krzepić go musiała, bo xiężyc już zeszedł na niebie a on jeszcze z Bogiem był w rozmowie. W tem uczuł, że mu ktoś położył rękę na ramieniu, oglądnął

się i ujrzał przed soba xiędza, którego ubior był cały a na piersiach krzyż miał czerwony z sinem (tak się ubierali Trynitarze).

— Dziadku — rzekł do niego łagodnie — wybacz, że ci przerywam modlitwę, ale chłód już musiał przeniknąć stare twe kości, a noc już na świecie, kiedy Pan Bóg skierował tu twoje kroki, już ci nie dam szukać innej gospody. Zapewne idziesz pielgrzymką, pójdź staruszku do nas, choć nie ma u nas dostatku, choć my ubodzy, ale znajdzie się dla wędrowca szklanka wina i kącik ciepły w celi.

Dziadek się pokłonił i poszedł nieśmiało.

— Ojcze dobrodzieju! Radbym dusznie spocząć w świętem schronieniu, ale nie śmiałem dzwonić do furty, bo człowiek w łachmanach boi się być natrętnym. Klasztor wasz szczupły jak baczę. Ah dobry xięże! gdzieby tam miejsca było na moje szmaty żebracze, gdziebym się ważył objadać waszą wieczerzą!

Na te słowa ofuknął się srodze xiądz biały.

— Co pleciesz człowiecze! Toć my Trynitarze włóczymy się w szerz i wzdłuż po świecie wykupując jeńce, a przecie i w tatarskim Krymie, gdy pielgrzym zdaleka poprosi o gospodę, to mu dadzą mięsa i kobylego mleka, a tu przecie nie Tatarzy, ale klasztor polski co Chrystusa chwali i Chrystusowe miłosierdzie święci.. nie masz co gadać stary — pójdź ze mną.

I poszedł dziadek ze zakonnikiem, powieczerzał, przenocował z ojcami i nazajutrz nie poszedł w drogę, bo wczasu potrzebował — i dnie mijały a staremu tak dobrze było za furtą, że nie myślał o drodze; kościół miał pod bokiem, gdzie modlił się cały ranek i ciepłą strawę i siennik swój świeży w celi, i miłe z ojcami pogadanki. Nawet swoj stolik do objadu miał w refektarzu i w kościele wedle kruchty swoją ławeczkę.

Tydzień za tygodniem mijał a dziadek szczęśliwy mieszkał w klasztorze, ale nie wypadało dłużej się naprzykrzać, chciał więc iść ale xięża tak go prosili aby został jeszcze i spoczywał, że rad zostawał jeszcze po trosze, a gdy nakoniec przyszedł dzień pożegnania, to dziad z płaczem już nie kłaniał się zwyczajem żebrackim, ale ściskał Ojców jak krewnych swoich, a przełożonemu, którego pokochał najwięcej, dał na pamiątkę swój krzyż i medal Matki Boskiej.

Powędrował biedak, słych o nim przepadł.

Aż oto po miesiącu, ulicą wiodącą do klasztoru, jechała kareta pańska a za nią sznur wozów ładownych w zboże. W karecie w futrach siedział jakiś pan stary, a przed furtą trynitarską stanął, wysiadł i wprost podszedłszy pod kościółek drewniany, zdjął kołpak i kornie uderzył czołem, a potem jakby świadomy poszedł do celi przełożonego.

Xiądz widząc znakomitą osobę, witał w progu z uszanowaniem i prosił jeżeli łaska do celi. Pan się uśmiechał, głaskał brodę siwą a wszedłszy rzekł wesoło:

— Tak to zacny xięże, nie poznajecie starych znajomych w nowej szacie? Przypatrz się, jam jest ów żebrak, któregoś wieczorem z pod kaplicy przywiódł w wasze gościnne progi, ów dziad, któregoście mili ojcowie tak długo chlebem i winem karmili. Dziś znowu przychodzę do was gościną, ale niosę już własny chleb i własne wino i zapraszam was do mojego stołu. Co mi Bóg dał, spożyjemy razem a co zostanie będzie dla pielgrzyma i dla kaleki.

Xiądz przełożony patrzał z zdziwieniem, a pan siwy tak mówił dalej:

— Nazywam się Paweł Majkowski, Bóg mnie błogosławił na ziemskiej doli, mam piękny dworzec i cztery wioski, mam urząd w powiecie i mir u ludzi. Wśród dziatwy, obok kochanej żony, byłem kiedyś szczęśliwy, ale Bóg dotknął krzyżem — wymarła mi dziatwa, żonę pochowałem i zostałem sam jeden na świecie. Głucho i smętno mi było w mym bogatym gmachu, u Boga szukałem pociechy, błagałem o pokój duszy i ofiarowałem Mu wszystkie włości moje na chwałę, aby tylko swą łaską pokrzepił mi serce.. Bóg mnie wysłuchał, nawiedził pociechą i pokojem, a ja skwapliwy z mojemi ślubami przysiągłem w kościele przed najświętszym Sakramentem oddać całe moje mienie zakonowi takiemu, który najwięcej dobrego czyni dla ludzkości, łaknących karmi, spragnionych poi, słabych umacnia, ciemnych oświeca i garnie bliźnich jak Chrystus dzieci. Ale zakonów jest wiele, wszystkie niebogate, wszystkie mogą być święte, nie wiedziałem który wybrać. Zacząłem czytać reguły klasztorne, wszystkie zbawienne, jeżeli je bracia

pełnią sumiennie. Cóż czynić? Duch święty poddał mi środek. Przywdziałem szaty żebracze i poszedłem przekonać się sam u progów klasztornych gdzie ludzie doskonalsi w zakonie, gdzie miłosierniejsi. Z torbą o kiju szedłem do miasta licząc zdaleka krzyże na kościelnych wieżach, i pierwszy mi stanął u drogi klasztor ojców Bernardynów. Litościwa ręka dała mi tam chleba i szklannicę piwa. Wdzięczny i za to choć cokolwiek smutny, trafiłem pod kościółek wasz i modliłem się, nie śmiejąc już jakoś zapukać do furty. Wasza jednak uprzejmość sama mnie zabrała, wyście mi dali ojcowską gościnę, chleb i wino, i serce. Spełnił się więc ślub mój, niech moja posiadłość ojczysta zostanie się w waszym klasztorze, bo tu bliźni skorzystają z moich darów, tu najlepsza będzie chwała Bogu, tu mieszka miłosierdzie. Więzień i żebrak i sierota dziękować będzie Bogu, a dusza moja dostąpi miłosierdzia. Oto macie ojcze akt fundacji w urzędzie potwierdzony. Cztery włości moje wystarczą, aby dźwignąć kościół murowany, klasztor nowy i czem przyjąć żebraka. W ręce twoje składam wszystek grosz mój, a ty nie poskąpisz mi na kaszę — bo odtąd mieszkać u was będę i nie opuszczę mojej celi i ławeczki dla dziada w kościele. A gdy umrę, pogrzebiecie mnie łaskawie i odprawicie co roku kilka mszy świętych. Jednak jeszcze jeden warunek wam położę szanowni ojcowie, złóżcie co roku bernardyńskiej braci beczułkę piwa i bochen chleba, bo oni posilili biedaka a Bóg kroplę wody nie zapomni w niebie.

Wkrótce piękny kościół z klasztorem bielały obok książęcego zamku. W kruchcie siedzieli ubodzy, a przychodniom pokazywano ławeczki dziada fundatora. Świeżemi czasy jeszcze wznosiły się wspaniale te mury pełne modłów i miłosierdzia; opowiadano wiele o Pawle Majkowskim, który umarł tam pobożnie, i co roku wiernie posełano Bernardynom chleb i piwo, a Ojcowie ci odtąd gościnnie przyjmowali pielgrzyma.

B. E.

List z gminy Błaszkowy.

Czytaliście w numerze 8. „Dzwonka“, w liście z gminy brzyskiej pisanym, o przemowie xiędza Józefa Radeckiego do

wójtów i radnych w kościele mianej, i zapewne nie jeden z czytelników rozczulił się nad tą serdeczną radą, jakiej pobożny ten kapłan tą mową udzielał.

Ja też będąc świadkiem tego nabożeństwa jako parafianin brzyski, powziąłem wielką cześć z innymi dla tak szanownego kapłana, jakim jest xiądz Józef Radecki, i pisząc ten list z żalem oznajmić muszę, iż po roku dopiero pobytu pożegnaliśmy już tego współpracownika przy winnicy Pańskiej; powołanym został na administrację parafji Szymbark.

Głównem staraniem tego kapłana było, odzwyczaić ludzi od tak zgubnego nałogu, jakim jest pijaństwo i tożsamo czuwać, aby sprawy gminne nie odbywały się według dawno zaprowadzonego zwyczaju w karczmie, zkąd tylko obraza Boska ale nie sprawiedliwość rodziła się między ludem.

Gmina Błaszkowa poznawszy dobre chęci czcigodnego kapłana, pierwsza w parafji od roku poczęła sprawy odbywać w szkole, którą staraniem swego czcigodnego dusz pasterza od lat dwudziestu porządnie utrzymywała, a od lat czterech nawet powiększyła — ona też dała przykład do rozpoczęcia swego nowego urzędowania „z Bogiem“, azatem na nabożeństwie przez gminę Błaszkowę dnia 1. marca b. r. sprawionem, miał xiądz Józef Radecki ową prześliczną mowę, przeto błaszkowski naczelnik gminy i radni wieśniacy zasłużyli na pochwałę, a xiądz Józef Radecki od nas na czułe pożegnanie.

Daj Mu Boże wytrwać w tej samej gorliwości, my tu oto prosić będziemy.

Błaszkowa dnia 15. marca 1867.

Edmund Janicki,
nauczyciel, radny i pisarz gminny.

O bogaczu i biednej wdowie.

Przypowieść.

Pewien bogaty gospodarz, chcąc powiększyć miejsce dla swego ogrodu, zabrał całą bliską rolę, która należała do jednej ubogiej wdowy, nie zważając, że to był jedyny jej sposób do życia.

Nazajutrz po tem zdarzeniu, przechadzając się po wydartej roli, ujrzał tę samą wdowę niosącą próżny worek w ręku. Wdowa zbliżywszy się do niego, rzekła pokornie:

— Mój gospodarzu! przychodzę prosić was o jedyną łaskę, abyście mi pozwolili z tej roli, którą tyle lat własnemi rękami uprawiałam, wziąść tylko tyle ziemi, ile w ten worek się zmieści.

— Głupia jesteś moja kochana z twoją prośbą — odpowiedział gospodarz — ale kiedy chcesz, nie zabraniam ci tego.

Wdowa wkrótce napełniła ziemią swój worek i rzekła znowuż do niego z pokorą:

— Kiedy już, gospodarzu, jesteście tak dobrotliwi, to uczyńcie tę jeszcze łaskę i zadajcie mi na plecy ten worek, którego sama nie mogę udźwignąć.

Bogacz, który już odwykł od trudów, długo jej tego odmawiał, gniewając się za taką zuchwałość, że śmiała go oto prosić; lecz wdowa tak go uporczywie błagała, dopóty się kłaniała, że chcąc się od niej uwolnić, przystał naostatek na jej żądanie. Ale skoro ujął za worek, natychmiast odstąpił od niego, mówiąc z gniewem:

— Daj mi pokój! to niepodobna, abym go podniósł..... za ciężki jest dla mnie.

— Mój gospodarzu! — odrzekła mu na to wdowa — otoż, jeżeli ten jeden worek jest ciężkim dla was, to zważcie, ileż to będzie ciężaru na waszem sumieniu przed sądem Boskim za tę ziemię, która więcej jak tysiąc worków zajmuje, a którą teraz odbierasz jednej biednej wdowie.

Uderzony temi słowami i tak stosownem porównaniem bogaty ten człowiek, rozkazał natychmiast zwrócić rolę pokrzywdzonej wdowie i sowicie ją nagrodził za tę przestrogę i niesprawiedliwość, którą może z mylnego przekonania popełnił.

DZIWNY SWAT.

Pewien bogaty pan hiszpański miał córkę jedynaczkę, o którą starało się bardzo wielu kawalerów; chcąc uczynić najlepszy między nimi wybór, chcąc rozpoznać, który z nich

uszczęśliwić może jego córkę, użył ku temu dziwnego pośrednika czyli swata, małpę, która chowana we dworze była zarazem faworytą jego jedynaczki.

Z pomiędzy wielkiej liczby zalotników szczególniejszą zwrócił uwagę na trzech, i chciał się przekonać, który z nich prawdziwie córkę jego kocha i najmocniej jest do niej przywiązany. Ponieważ małpy szczególniej mają tę własność, że naśladują zwyczaje i obyczaje osób, z któremi jakiś czas przebywają, umyślił więc ojciec powierzać małpę pod dozór i opiekę na pewny czas trzem zalotnikom o rękę swej córki, pod pozorem, że wyjeżdzając z nią w drogę daleką, nie ma przy kim zostawić jej ulubionej małpy. Naturalna rzecz, że każdy z owych kawalerów chętnie się podejmował tej opieki dla przypodobania się swemu przyszłemu teściowi, mając przytem nadzieję, że tym sposobem i pannie się przypodoba.

Małpa więc bawiła przez kilkanaście dni przy jednym kawalerze; odebrał ją ów ojciec nareszcie z podróży wróciwszy. Skoro małpa weszła do swej pani, rzuciła się zaraz na jadło; jadła, piła wino, żarłoczniej i chciwiej niż to czyniła zwykle, aż nareszcie przy stole zasnęła. Z początku sądził stary pan, że małpa okazuje się tak obżartą dlatego, że cierpiała głód w gościnie; widząc zaś, że to samo czyniła drugiego i trzeciego dnia, wniósł, że takiego nałogu obżarstwa i opilstwa nabyła u owego młodego kawalera, u którego kilkanaście dni w gościnie bawiła, domyślał się więc, że kawaler także podobną skłonność mieć musi. W rzeczy samej bliżej się o nim dowiadując, przekonał się, że domysł jego był istotną prawdą; kawaler miewał codzień gości, rachując na wielki posag przyszłej zony, pił, jadł aż późno w noc, i częstokroć przy stole ze swymi towarzyszami zasypiał. Takiemu więc zalotnikowi odmówić rękę swej córki ojciec postanowił, gdyż starał się o nią tylko dla dogodzenia swej skłonności do zbytków.

Tak samo bawiła małpa przez jakiś czas u drugiego zalotnika, i wróciwszy od niego do domu, pobiegła natychmiast do stolika, przy którym czasami grano w karty dla zabawy; szukała kart i znalazłszy je, przewracała, mieszała, zbierała, słowem wyrabiała z kartami wszystkie manewry, jakie grający

wyrabiają. Naprowadzało to ojca na domysł, że ten drugi kawaler musi lubić grę w karty. Postanowił się lepiej o nim wywiedzieć, a gdy się przekonał, że rzeczywiście jest tego rodzaju graczem, odmówił mu ręki swej córki, gdyż przy takiej skłonności męża, żona szczęśliwą z nim być nie może.

Musiała więc małpa pod takimże jak wprzód pozorem pójść w gościnę do trzeciego kawalera. Gdy od tego do domu wróciła, okazywała rozmaite swym zwykłym obyczajem miny, z których przecież niczego domyślać się nie można było; nareszcie zdjęła portret, postawiła go przed sobą, kłaniając mu się nisko, zaczęła wodzić po nim tam i sam palcami, jak gdyby malować go chciała, wzięła go znowu w łapki, biegała z nim po pokoju, przypatrywała mu się i całowała go i wzdychała do niego, jak jaki rozkochany. Pilnie się dopytując ojciec, dowiedział się, że ów młodzieniec dla własnej rozrywki trudni się czasami malowaniem, że znacznie w tej sztuce postąpił i portret jego córki wymalował. Ztąd wniósł, że ten kawaler dobrych jest obyczajów i pięknie postępuje, że dla zabawy przyzwoite obierać umie zatrudnienie; nakoniec, że szczerze kocha jego córkę; jemu więc bez dalszego namysłu oddał jej rękę, chociaż ze wszystkich zalotników najmniej był majętny.

Nie każdy wprawdzie ojciec szczęścia swemu dziecku w związku małżeńskim zapewnić chcący, ma małpę, którejby mógł użyć do wyśledzenia skłonności i sposobu życia swego przyszłego zięcia, znajdzie jednak wiele innych do tego celu posłużyć mogących środków.

W każdym razie małpa lepszym stała się swatem niż wielu ludzi, którzy biorą sobie za rzemiosło kojarzyć małżeńskie związki; bo tacy rzadko kiedy szczęście małżonków ale raczej własny interes mają na celu. *(Z.)*

GADKA.

Do szczęścia i do mienia najpewniejsza droga:
Praca, czyste sumienie i łaska od Boga!

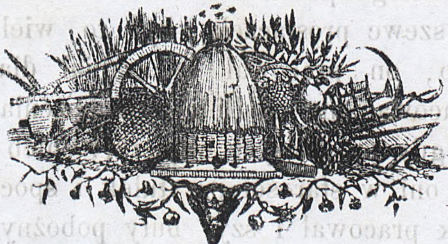
Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XVI. Nr. 11.

11. kwietnia 1867.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Błogosławiony Świętosław.

Za świetnych czasów jagiellońskich, gdy żyli w Polsce św. Szymon z Lipnicy, św. Izajasz Boner, Stanisław z Kazimierza, gdy kwitnęła wiara gorąca, miłość ojczyzny wielka, nauka znakomitych mężów, a stary Kraków królewskim jaśniał blaskiem, szkoła zaś krakowska matką była świętych i uczonych; na jednej ubogiej ulicy tego Krakowa, w nędznym domku, żył młody, biedny szewc, syn wieśniaków z Sławkowa, imieniem Świętosław.

Od świtu do nocy pracował i robił obuwie, nieraz o chlebie i wodzie dzień przebył, nieraz w noc późną przy bladem światełku przesiedział nad szydłem i skórą, a jednak codziennie prawie pieśń nabożna wesoło z okienka jego izdebki płynęła ku niebu i dawała znać o spokojnem sumieniu ochoczej pracy i radośnem sercu biednego robotnika.

Sierota, sam jeden, a przecie tak ubogi i głodny nieraz, dla kogoż tak pracował? czemu owoców tej pracy nie było na nim i w koło niego? Chleb czarny, suchy, dzban wody, wytarta

i licha kapotka, toż cały jego zarobek pilnej pracy i młodych sił? O gdybyście wiedzieli dla kogo on pracował, dla kogo nie dosypiał, dla kogo pościł tak ostro a tak ochotnie i wesoło!

Ubogi ten szewc prostaczek, był to wielki wzór świętej miłości bliźniego, on pracował i zarabiał dla biednych, dla tych, co już pracować nie mogli i wspomożenia nie mieli. Nie czuł on głodu, gdy ci, których wspierał, chleb mieli, nie czuł zmęczenia, gdy oni w starości przytułek i spoczynek mieli.

I długo tak pracował i szył buty pobożny Świętosław, a szyjąc nieraz myślał, jakby też rad kiedy służyć w winnicy Pańskiej i duszom nieśmiertelnym być pożytecznym — bo prosty ten młodzieniaszek choć nieuczony od nikogo, zrozumiał za łaską Bożą, że człowiek powinien być coraz doskonalszy — umiłował serdecznie Pana Boga i bliźnich, i mało mu się zdawało, prawie niczem, co czynił dla bliźnich.

W cichości serca wzdychał on zawsze do stanu kapłańskiego, ale wspomniawszy na swoją prostotę, niewiadomość, smucił się pokornie, zapłakał nieraz, ale niezmordowanie pracował dalej.

Ta chęć poświęcenia się Bogu pomimo pracy, rosła nieustannie w sercu młodzieńca, a Bóg sam pokrzepił go nadzieją i pociechą i zesłał mu cudowne widzenie. Pewnej nocy zerwał się ze snu, myśląc, że już dzień świta i wybiegł przed próg swojego domku — aby się przekonać, w tem, o dziwo! wielka jasność uderzyła jego oczy. Nie było to światło słońca, nie był to promień xiężyca, ale zdawało się, że przezroczyste perły i tęczowe blaski przyświecały z nieba ziemi.

Wśród tej tajemniczej jasności, lud jakiś w starodawnych szatach przechodził i ciągnął wszystek do królewskiego zamku na Wawelu. Byli tam kapłani i rycerze, starzy i młodzi, dziewice i matrony, jedni szli żwawo, drugim to z trudnością przychodziło, ale nareszcie sprostali tamtym a wszyscy do jednego dążyli kresu. Nagle wśród tego wędrownego tłumu, ukazał się mąż bardzo wspaniały i piękny w biskupiej szacie, który błogosławił na obie strony lud idący, a takie światło biło od niego, że gdy przechodził koło chaty Świętosława, ten pochylił się olśniony i upadł na kolana, ale gdy minął go, porwał się

młodzieniec, pobiegł za nim i przejęty ciekawością, pytał się ludu wędrownego:

— Ach powiedźcie mi, kto wy jesteście, kto jest ten biskup?

Na to jeden z starców odrzekł mu:

— To jest Stanisław, biskup krakowski, a ten lud wszystek to wierni synowie kościoła i Polski, swej ojczyzny, którzy nie zrażają się żadnym trudem, kiedy idzie o chwałę Bożą i dobro rodaków. Św. Stanisław opiekuje się ludźmi dobrej woli i błogosławi im po wszystkie wieki.

Zadumał się Świętosław, jasność zniknęła a jutrzenka zwykła zaczęła świtać na niebie. Był to sen tylko, ale młodzieniec pojął, że Bóg mu zesłał widzenie, aby się pocieszył w pragnieniu swojem i nie bał się żadnych trudności, ale jak ów lud Boży pod opieką patrona Polski i Krakowa, postępował drogą zbawienia.

Rozmyślał jeszcze jakiś czas Świętosław przy swojem rzemiośle nad sobą, nad widzeniem dziwnem, nad żądzą swą służenia Bogu w stanie kapłańskim — a nakoniec po gorącej modlitwie z przyczyną św. Stanisława, rzucił się na ciężką i trudną drogę, ale na którą wzywało go rzeczywiście natchnienie Boże. Zaczął się uczyć w szkołach, mozolił się, ale gorliwością łamał mozoł i prześcigał w naukach drugich, Bóg mu dopomagał, zagrzewał i błogosławił, w niewiele lat dopiął czego pragnął — został kapłanem, sługą i namiestnikiem Bożym i dusze bliźnich mógł prowadzić do nieba.

Wtedy to Świętosław był prawdziwym aniołem wsparcia wszystkich nieszczęśliwych, wielkim opiekunem ubogich rzemieślników i oświeceniem prostaczków. Stan wiejski, w którym się urodził, szanował szczególnie i był mu serca drogi. Słynnym był spowiednikiem i pracował wiele nad poprawą i doskonaleniem tych, co mu sumienie swoje powierzali.

W umartwieniach był gorący, i tak uczynił sobie ślub, milczeć zawsze o wszystkich rzeczach niepożytecznych i światowych, a rozmawiał tylko o rzeczach wiary i zbawienia. Ukochany od ubogiego ludu, ulubiony od świętych mężów, którzy wówczas żyli, zasłynął świątobliwością, za życia już

polecano się z ufnością jego modlitwom, a po śmierci wielu doznało cudownej jego opieki. Umarł w Krakowie 1489 roku, pochowany w kościele Panny Marji.

Sierota wiejski, ubogi rzemieślnik, mozolący się nad książką uczeń, kapłan i pasterz, każdy ma piękny przykład w błogosławionym Świętosławie, i przyczyny jego niech wzywa u Boga, aby w stanie swoim tak pracowity, wytrwały, pobożny, świątobliwy wieść mógł żywot. *B. E.*

Przerwane wesele.

I.

Idzie ludu gromada;
Postrojeni od święta
Różni chłopcy, dziewczęta:
Paradać to — parada!
Grajki grają ogniście,
Aż drżą w basach trojaki,
Wszystko idzie siarczyście,
Boć to zuchy chłopaki! —
Weseleć to ochocze,
Suwa przez wieś tłumami,
Jako sroczka chichocze,
Panna młoda z druchami;
A pan młody wywija,
Aż muzykę zagłusza,
Bo to, panie, raj — dusza —
Aże — Jezus Marja!

II.

Lecz z drugiego wsi końca
Druga idzie gromada,
Już nie taka gorąca,
Ni wesoła — ni rada;
Koń leniwo wóz wlecze,
Na nim liche trumnisko,
Koło wozu dziadzisko,
W trumnie — ciało człowiecze.
Biedny pogrzeb wieśniaczy...
Ani świateł jarzących,
Ni spiewaków płaczących,
Ni płaconych chwalaczy..
Szkapa czuje, co wiezie,
Bo łeb zwiesił ku ziemi,
I krokami wolnemi
Ledwie — ledwie, że lezie.

III.

Ale cóż to? wesele,
Pomięszało coś szyki,
Jaki hałas — i krzyki!
Panna młoda na czele,
Sama rwie się do ciała,
Sama leci z gromady
Jako ściana tak biała,
I pan młody coś blady,
Cóż to?... woła na dziadka,
Żeby z ciałem stanęli..
Co? — to ma być jej matka? —
A ona się weseli?!..
Być nie może — lecz przecie
Ona klęka — i płacze
„O! niedobre ja dziecię,
Że na grobie twym skaczę.
O mój Boże — oj Swięty!
Doczekanie też moje,
Mam już teraz za swoje,
Z tej uciechy przeklętej.“

I płakała tak rzewnie,
I swe grzechy wyznała,
Że tam w niebie już pewnie,
Przewinienie zmazała.

Lecz wesela nie było.
Panna młoda szła z ciałem,
Sercu jej się ulżyło,
Choć w strapieniu niemałem
Konik zawiózł jej matkę
Na sam cmentarz — daleko,
A weselną gromadkę,
Bolą serca — łzy cieką.
Wszyscy, wszyscy z wesela
Byli na tym pogrzebie,
Xiądz rzekł słówek nie wiela,
O litości na niebie.
Rzekł o dziecku, co bożej
Nieposłuszne jest woli,
Biednej wstydzi się doli
I przed sądem nie trwoży.
Panna młoda płakała
Aż się w oczach jej ćmiło;
Wrona z drzewin krakała,
I wesela nie było.

IV.

Ale wiedzieć też chcecie,
Zkąd wesele z pogrzebem?
Dziwne rzeczy na świecie;
Piekło łączy się z niebem.
Matka stara już wdowa
Miała córkę dorosłą,
Ale licho naniosło:
Dziewka jak lód surowa;
Ni się przed nią użalić,
Kiedy boli strapienie,
Ni z radością pochwalić,
Gdy ustaje zwątpienie.
Wszystko u niej jednako;
Matka żyje — czy zmiera,
Ona — szaty swe zbiera
I do karczmy z hulaką.

A hulaka był młody,
Co ją kochał szalenie:
Lecz kochanie z urody
Często niesie strapienie..

Więc też sobie oboje
Nie zważali na starą,
Ona swoje — ci swoje
I Bóg dotknął ich karą.
Bo hulaka narail
Weselisko cichaczem,
Przed starą się przyczaił,
I zakończył je płaczem.

Matka we łzach konała,
W starej chacie u dziada,
A jej córa hulała,
Bo tam w karczmie — biesiada.
Matce serce zamarło
Oko żalem się ćmiło,
Aż się śmiercią zawarło —
Córki przy niej nie było.
Dziad poczciwy z litości
Z desek trumnę jej sklecił,
Włożył zmarłe w nią kości
I tak Bogu polecił.

W chacie strzępa nie było;
Córce nie rzekł ni słowa,
Nie do tego jej głowa!
Ona hula,' aż miło!

Ale zrobił to stary
W myśli zemsty i kary,
Bo nie lubił dziewczyny
Za tak ciężkie jej winy.

V.

Lecz Bóg chciał ją nawrócić,
Litościwszy od człeka,
Chcąc ukarać, zasmucić,
Na poprawę zaczeka.
Więc też dziewka stroskana
Nagle jakby ocknęła,
Pilnej pracy się jęła,
I jest dzisiaj kochana.

Odłożyli wesele,
A hulaka w kościele
Przysiągł, że się poprawi;
Już do karczmy nie chodzi,
Z kieliszkiem się nie bawi
I wygląda aż młodziej.

Więc im życzym wytrwania,
Bóg przebaczył im grzechy:
Więc im życzym pociechy,
I prędkiego pobrania.

J. K. Turski.

Bajka o dziesięciu palcach.

Długie wieczory adwentowe sprowadziły do chaty zamożnego gospodarza w Jodłowie Bazylego, prócz własnej licznej rodziny, kilka żwawych prządek z kądzielą, kilka sąsiadów i wujka kuśnierza. Kuśnierz Jędruch nie tylko był wujkiem Bazylego, ale wujkiem całej wsi. Stary siwowąsy, rumiany wiarus z dawnej daty, poczciwy, złotego serca i bystrego rozumu, kochany był od wioski; a choć nie miał własnych dzieci i dawno już bardzo, jeszcze za młodu owdowiał, toć przecież ojcem był niejednemu swoją opieką i radą. Mieszkał przy rodzonej siostrzenicy, która go szanowała i kochała – robił co mógł jeszcze, wódki nie pijał, dziwnie wesołego był zawsze humoru, a przysłowia i gładkie opowiadki sypały mu się z rękawa.

Umiał on opowiadać piękne rzeczy, wiedział wiele z dawnych czasów, widział wiele — pobożne i polskie serce biło mu w piersiach; to też słuchały go dzieci i starzy z rozkoszą, szanowała go gromada, a na wieczornice do Bazylego schodzili się chętnie, bo spodziewali się zawsze usłyszeć co nowego i pięknego z ust wujka kuśnierza. Wujko i z książek umiał czytać pożytecznych, i w sercach umiał czytać dobrze, i na nie jeden frasunek, na nie jedną biedę umiał poradzić i trafić.

Już jasne łuczywo strzeliło na czystą świetlicę, dziewczęta rzędem na ławie wrzecionami furczały pod piecem, babka z wnukami ciągle miała zachody, gospodarz zapaliwszy fajkę strugał obręcze, dzieci wybierały fasolę, kotek się wygrzewał na przypiecku, a gospodyni sama, młoda i ładna Marynka, niedawno zamężna za wdowcem Bazylim, koło stołu także usiadła z kądzielą.

W tem drzwi się otworzyły, wszedł oczekiwany, siwy wujko.

— Niech będzie pochwalony!

— Na wieki, a siadajcież wujku, wyglądamy was dawno, a tęskni się już bez was.

Bazyli wstał, usadowił staruszka na najlepszem miejscu, podsycił łuczywo, dzieci przygarnęły się zaraz do kolan wujka a on głaskał ich jasne główki.

Zaraz wszczęła się rozmowa, wujko wypytał się o wszystko: o gospodarstwo, o krówkę ocieloną, o kurki marcówki czy się niosą, o sztuki konopne ile naprzędzono, o fury z lasa przywiezione, o to i owo, a najwięcej pytał Marynki młodej gosposi.

Marynka odpowiadała jakby nie swoja — czasem nawet dosyć kwaśno, czasem nie wiedziała co odpowiedzieć, jakby o czem innem myślała.

Marynka, trza wiedzieć, myślała często o swojej wsi, z której przybyła, a gdzie spędziła rozkosznie młode lata u bogatych rodziców, a sługi i zarobnice wszystko za nią zrobiły, myślała o pustotach wiejskich pod wrotami chaty, u studni, u rzeki, myślała o hulankach i muzyce w karczmie swojej i nie szło jej jakoś na własnem gospodarstwie, choć mąż dobry, stara babka jego poczciwa starowina, dzieci potulne, dostatek w komorze i stodole i w oborze.

Często bardzo siadłszy do kądzieli, ręce jej bezczynnie wisiały — wyszedłszy za wrota, rada rozmawiała długo z kim bądź — jednem słowem robić się jej nie chciało, jenoby dumała, baraszkowała lub spała.

Przejrzało to wszystko bystre oko wujka i żal mu było zaniedbanego gospodarstwa i młodej nierozumnej kobiety.

Wszyscy zawołali niedługo:

— Wujku powiedzcie nam co! prosimy was — jaką historję ładną, co ich tyle umiecie — wujku! powiedzcie!

Poczciwy wujko uśmiechnął się łagodnie, zerknął z pod oka na Marynkę, która siedziała z kądzielą a nie przędła, i tak się odezwał:

— Dobrze moje dzieci, ale dziś powiem wam nie historję tylko bajkę, prawdziwą — i to bajkę o czarach.

— O czarach! — zawołali wszyscy z śmiechem i zadziwili się — bo wujko w czary nie wierzył, nigdy nie opowiadał o duchach, o królewnach, o dziwach, ale mawiał śliczne historje z pisma św., o dawnych dziejach i królach polskich, albo opowiadał o wojnach, o sławniejszych miastach itp.

Ogromna więc ciekawość zebrała wszystkich, i poprawiając się, do słuchania się przygotowali

Wujko tak zaczął:

— Moja bajka nie taka, jaką opowiadają czasem dzieciom, aby ich straszyć, o nie! Jest to przygoda, która się trafiła mojej nieboszcze babce Agnieszce; twoja matka Bazyli pamięta ją jeszcze trochę — była to kobieta zuch i obrotna co się zowie.

Babka Agnieszka była także swojego czasu młoda, i mówiono, że nie było dziewczyny urodniejszej i weselszej. Na nieszczęście straciwszy za młodu matkę, pozostała z ojcem na wielkiem gospodarstwie zadłużonem.

Kłopoty i praca spadły na biedną dziewczynę, a ona z tego frasunku traciła głowę i tak radziła sobie, że nic nie robiła myśląc, jakby tu zrobić.

Jednego dnia stała sobie na progu, obie ręce pod fartuszkiem i tak sobie mówiła:

— Boże zmiłuj się, żebym robiła jak koń nie dałabym rady. Takam młoda, słaba, a tu na mnie wszystko. Pożal się młodych lat i mojej pracy, już ja tu nieszczęśliwa nie wyjdę na ład, żebyto kto poradził...

— Ja ci poradzę — odezwał się jakiś głos, i przed dziewczyną stanęła nieznana postać czarownicy – słyszałam twoje żale i przynoszę ci sposób.

Zrazu zlękła się dziewczyna, ale przyszedłszy do siebie zapytała z cicha i pokornie czarownicy, czego ona żąda od niej.

— Przychodzę ci pomódz — odrzekła podpierając się na lasce wysokiej i obrzucając się płachtą — dam ci sposób, że wszystka robota w domu zrobi się wybornie.

Ośmielona dziewczyna, ucieszyła się już i zapytała:

— Doprawdy? oj dobra kobieto, dajcież mi to ziele cudowne.

— Więcej jak ziele — odrzekła czarownica — przyprowadzam ci 10 małych robotników, którzy zrobią wszystko, co tylko im każesz?

— A gdzież oni są? — zawołała ciekawie dziewczyna.

Czarownica rozpostarła drugą płachtę i wypuściła z pod niej 10 nierównej wielkości karzełków.

— Te dwa — mówiła pokazując na dwa grube ale krótkie — są najmniejsze, pomogą ci w każdej pracy, choć nie swoją zmyślnością, ale siłą. Te dwa większe są zręczniejsze, umieją doić, prząść i wszystkie domowe roboty ci uskutecznią. Te dwa najwyższe są szczególnie zręczne do igły, i dlatego mają na głowie naparstki. Te dwa jeszcze mniej mądre, opasane pierścionkiem — dopomogą ogólnie do każdej pracy, również jak i te dwa najszczuplejsze, które mają bardzo dobrą wolę. Wszystkie 10 wyglądają niepozornie, ale zobaczysz co potrafią i osądzisz ich sama.

To mówiąc, stara czarownica skinęła ręką a karzełki rzuciły się po chacie i zagrodzie, a Agnieszka zdziwiona patrzała, jak sprawiały się umiejętnie z najgrubszą i najdelikatniejszą robotą, jak zwijały się i wszystko potrafiły.

Krzyknęła z radości i wyciągając do czarownicy ręce zawołała:

— Ach pożyczcie mi matko tych dzielnych robotników, a nic już nie chcę na świecie.

— Nietylko ci pożyczę, ale ci ich daruję — odpowiedziała stara — ale ponieważ nie mogłabyś ich wszędzie z sobą nosić, boby cię o czary posądzono, zrobię każdego takim małym aby się wszystkie wlazły w twoje 10 palców.

I tak się stało. Mądra czarownica na odchodnem powiedziała jeszcze do mojej nieboszczki babki:

— Dziewczyno! Wiesz już jaki skarb posiadasz. Pamiętaj, że wszystko zależeć będzie od sposobu, jakim go użyjesz. Jeżeli nie będziesz umiała zarządzić twojemi małemi sługami, jeżeli im dasz w próżniactwie stężeć, nie będziesz miała z nich żadnego zysku, ale pilnuj ich aby nie spały, nie odpoczywały, a praca, której się lękasz i boisz, zrobi się jak zaczarowana.

Prawdę powiedziała stara, moja babka Agnieszka posłuchała ją i nie tylko doprowadziła do ładu w gospodarstwie, ale przysposobiła nawet sobie oszczędnością i pracą wiano, z którem poszła szczęśliwie za mąż i umiała ośmioro dzieci wychować uczciwie.

Od tego czasu jest to pamiątką w naszym rodzie, że babka Agnieszka zostawiła swoich robotników i przekazała wszystkim gosposiom tego rodu, i że byleby te gosposie trochę się ruszały, małe robotniki się zwijają i dla nas wszystkich wielką korzyść sposobią. Dlatego to mamy zwyczaj mówić, że 10 palców gospodyni to cały majątek, cała radość i cały byt domu.

Kończąc te słowa, wujko kuśnierz zwrócił się do Marynki. Młoda kobieta zarumieniła się, spuściła oczy i naprostowała kądziel opartą o ścianę.

Cała rodzina i czeladź w milczeniu rozbierały sobie w głowie słowa i bajkę wujka. Każden sobie tłumaczył znaczenie, ale ładna gosposia zrozumiała już co do niej stosował wujko — wesołość wróciła na jej twarz, wrzeciono szybko latało w jej ręku a len znikał z kądzieli.

Pracowitość kobiety jest podstawą domowego bytu, a cnota kobiety stróżem całej rodziny! *B. E.*

POGADANKI NIEDZIELNE.

I.

O słońcu.

Przed schludnym domkiem nauczyciela wiejskiego, we wsi Popowicach, zbierała się zazwyczaj gromadka ludu co niedziela i święto po nieszporach na pogadanki, które nieraz przeciągały się aż do samej wieczerzy. Nauczyciel, mężczyzna w średnim wieku, bardzo był lubianym przez całą gromadę, bo nietylko, że im dzieci dobrze uczył w szkółce swojej, ale jeszcze rad był z rodzicami ich pogawędzić o różnych pożytecznych rzeczach, których albo się z książek, albo od mądrych ludzi w świecie nauczył. Nauczyciel mieszkał od lat kilku

w tej wiosce, i dlatego też młode lipki, które posadził około szkółki, miały czas dosyć pięknie się rozgałęzić i podróść. Pod temi to lipkami, na kamieniach i na ławeczkach przed domem, siadali ciekawi ludzie i słuchali, co im nauczyciel prawił.

Pomiędzy gospodarzami i parobczakami, było kilku piśmiennych, którzy nietylko czytali elementarze i xiążki od nabożeństwa, ale jeszcze i inne dobre xiążki przeszły już przez ich ręce. Najwięcej z nich byli rozgarniętymi: Tomek Skiba gospodarz, Grzela Rospendek młody parobczak, Franciszek Sajenka, który chociaż tylko na jedno oko patrzał, ale więcej widział i wiedział od niejednych, co po dwoje ócz mieli; bo przyglądał się wszystkiemu z ciekawością, wczytywał się bacznie i z rozwagą w xiążki, jakie czasem do czytania od xiędza proboszcza, od organisty lub od samego pana nauczyciela dostał. A nie stracił on oka od żadnych zbytków, tylko przy wielkim pożarze, kiedy chałupy sąsiadów ratując, końcem spadniętej łaty wybił je sobie nieborak! Ci trzej ludzie więcej i śmielej się wdawali w rozmowę z nauczycielem, że trochę więcej od drugich wiedzieli; i nie byli jak to mówią: „jak tabaka w rogu“.

Kiedy się już zgromadzili jak zwykle przed domkiem, szła rozmowa o kazaniu, które w tę niedzielę słyszeli w kościele. W kazaniu była mowa między innemi o tem, jakto Bóg wszechmocny z niczego stworzył świat ten cały, to słońce, co niby tak malutkie a całą ziemię szeroką ogrzewa i oświeca — ten miesiąc, który tak ziemi pilnuje i ciemności nocne swem światłem przebija — i te gwiazdy, co niby niezagasłe świece pomagają xiężycowi świecić nad nami po nocach. I była jeszcze mowa o ziemi, co na sobie tyle mórz, rzek, jezior, gór, drzew, zwierząt i tyle ludu nosi i żywi. A wszystkiego tego człowiek na swoją korzyść używa, i mimo tej wielkiej dobroci Bożej, często zapomina o wdzięczności ku Stwórcy swojemu i nadyma się nieraz ze swojej wielkości, a przecież nie jest w mocy zrobić z niczego i najmniejszego ziarneczka piasku i najmniejszej trawki lub listka na drzewie.

— Że słońce musi być wielkie, to z tego zauważać sobie można — odezwał się Sajenka — że choć tak jest od nas daleko, a przecież tak grzeje i oświeca ziemię szeroko: bo jużci małe

światełko tak wysoko zawieszone, nie dałoby się nam widzieć, albo też nie grzałoby wcale.

— Święta prawda! — rzekł Rospendek — że słońce jest wielkie, ale też musi być i wielkie morze, do którego to słońce co wieczór zapada.

— Ale choć ono tak wysoko wisi nad nami — przerwał Skiba — to przecież mądry król Salamon doleciał prawie już do niego na gryfie, i gdyby się temu ptakowi skrzydła nie opaliły, to byłby się dostał tam na dobre.

— Ja pamiętam — odezwał się ktoś z gromadki — jak słońce biło się raz z miesiącem: nie dało mu wleźć na siebie, ale miesiąc przemógł i do połowy je przywalił sobą i zaciemnił.

— Ale nie długo tam się zabawił — zagadnął ktoś drugi — bo czarownica, co na słońcu masło do końca świata klecić musi w kierzni, za to, że w święto je czyniła, zepchnęła miesiąc ze słońca.

Na te słowa powstał śmiech w gromadzie, a najbardziej uśmiechał się Sajenka i drwił sobie z czarownicy i z tego co plótł tę bajkę.

Nauczyciel umyślnie nie chciał im przerywać, snać, aby się nagadali do woli, aż w końcu tak się odezwał:

— Moi kochani, w tem co Sajenka powiedział o słońcu, jest dosyć i rozsądku i odrobina prawdy, ale co inni z was prawili o morzu, o jakimś gryfie, dziwnym ptaku, którego nie było na świecie, o czarownicach i o owej bajce z xiężycem, to tylko jest powtórzeniem tych bajek, które ciemni ludzie od wieków uroili sobie w głowie. Bo najprzód, wierzcie mi, że słońce nie zapada nigdy w morze, tylko od niego z ziemią się odwracamy, i że nikt na świecie ani o miljonową część nie mógł się jeszcze zbliżyć do słońca, a owa bójka niby z xiężycem, to się nazywa po prostu zaćmieniem słońca.

— Już to, bez urazy, my tego dobrze nie rozumiemy — odezwał się Rospendek.

— I mnie się zdaje, że to nie na nasz rozum.

— To też może pan nauczyciel z łaski swojej nam to wytłumaczy? — rzecze Sajenka.

Odezwały się z prośbą i inne głosy i pan nauczyciel tak im zaczął opowiadać o słońcu:

-- Bardzo mnie cieszy, poczciwi moi sąsiedzi, że myśl i oczy swoje zwracacie przedewszystkiem ku niebu, ku słońcu, które z woli Bożej najwięcej nam dobrodziejstwa na ziemi wyświadcza. Bez światła bowiem i bez ciepła słonecznego, ani ludzie, ani zwierzęta, ani nawet najmniejsza trawka żyćby nie mogły; wszystkoby zlodowaciało na świecie, a ziemia stałaby się grobem powszechnym śród ciągłej nocy. Dlatego też tak dobroczynny utwór Boski mocno zajmował ludzi, już prawie od samego początku świata; dziwiono się nad wielkiem gorącem słońca, nad jego niezmiennem pokazywaniem się i znikaniem nad nami w tym ogromnym, niezmierzonym dokoła przestworze, który nazywamy niebem. Otoż różni ciekawi, uczeni ludzie, tak zwani astronomowie, zastanawiając się nad tem doszli do tego przeświadczenia po tysiącach lat dochodzeń i obliczeń spisywanych ciągle, że słońce daleko — daleko jest większe od ziemi, bo przeszło tysiąc tysięcy razy tak wielkie jak nasza ziemia; i że od ziemi odległe jest przeszło dwadzieścia miljonów mil. Obliczyli też uczeni, że promień ze słońca dopiero w 8 minut dochodzi do naszego oka, i że jeśliby kto ze słońca spuścił kulę armatnią, to potrzebowałaby przez 15 lat spadać, nimby się dostała na naszą ziemię. Tak moi kochani, to jest zdumiewająca odległość, nieprawdaż?

A więc kiedy słońce jest tak wielkiem, tak wspaniałem, to czyż można sądzić, że ono tylko dla tak drobniuchnej ziemi miałoby się pokazywać i znikać, i obsługiwać ją swem światłem i ciepłem? Nie, zaprawdę! wszyscy już choćby trochę uczeni ludzie, wiedzą o tem dobrze, że nie słońce około ziemi, ale ziemia około słońca obracać się musi.

— To już trudno zrozumieć — odezwał się zakłopotany Rospendek — i dziwno mi bardzo, zkąd ludzie mogli się tego nauczyć?

— Opowiem wam o tem — rzekł nauczyciel — jak będę mógł najlepiej. Otoż wszyscy prawie pamiętacie, jak przed kilkunastu latami, astronomowie co do dnia, co do godziny i co do minuty nawet przepowiedzieli, że słońce wtedy a wtedy

zaćmi się całe na chwilę, i pamiętacie też zapewne ową kometę z wielkim ogonem, co to z taką trwogą spodziewali się jej ludzie latem w 1858 roku?

— O pamiętamy to dobrze — odezwało się kilka głosów — czekaliśmy tej godziny ze strachem

— A więc pokazuje się, że nauka coś znaczy na świecie, kiedy takie rzeczy uczeni ludzie na długo wpierw przewidzieć mogli. Ale posłuchajcie mnie dalej. Nie tak zbyt dawno, bo dopiero od niecałych 400 lat, ludzie się przekonali, że nie słońce około ziemi, ale ziemia kręcić się musi około słońca. Tym uczonym, co tak wielkie odkrycie zrobił i o niem wszystkich przekonał, był nasz rodak Mikołaj Kopernik, sławny astronom, co się najprzód w krakowskich szkołach nauki o gwiazdach i o słońcu uczył, i który ma swój pomnik w Warszawie. Żebyście to dobrze mogli zrozumieć, to wam objaśnię, że ta ziemia, xiężyc, jak i słońce są to niesłychanie ogromne kule, które rzucone w świat z woli Bożej, krążą zawsze po jednej drodze i nigdy się nie spotkają z sobą. Któż z nas zrozumieć i pojąć to może, jak ten świat jest wielkim, kto z nas domyśleć się nawet może, gdzie jest jego początek, a gdzie koniec? Czujemy tylko i widzimy, że cały ten bezdenny przestwór niebieski jest niezmiernie ogromnym, że za chmurami jest xiężyc, za xiężycem gwiazdy, a za gwiazdami nieskończoność, głębia bez końca...., nauka przytem nam pokazuje, że ziemia jest tylko małym proszkiem tej nieskończoności.

Kiedy spojrzymy na słońce, gdy jest za bladą chmurką, że nie razi nam oczu, to widzimy jasny krąg jego; a ludzie uczeni przekonali się jeszcze, że jest ono jak okrąglutka kula. Kula ta obraca się prawie jakby w miejscu, a ziemia dokoła niej okręca się w ciągu roku jednego, to jest przez 365 dni. Żeby słońce obróciło się około siebie raz jeden, potrzeba na to dni 25 i pół, ziemia zaś okręca się w miejscu prędzej, bo przez jedną dobę tylko, czyli przez 24 godzin. Kiedy się ziemia odwróci ku słońcu, to mamy tutaj dzień, a jak od słońca, to noc, i dlatego to jak się z ziemią odwracamy na noc od słońca, to nam się zdaje, że to słońce się zniża, chociaż tak nie jest; kiedy się znowu wychylimy na wierzch, to widzimy napowrót

słońce zrana na wschodzie. Ale ludzie nauczyli się już od dawna mówić: słońce wschodzi, słońce zachodzi — więc i powtarzają tak ciągle, i nic to nie szkodzi, bo to jakoś poręczniej powiedzieć, tylko trzeba dobrze rzecz rozumieć.

— Oj, układa mi się to jakoś w głowie — przerwał Sajenka — bo na ten przykład jak się zdarzy w misce wody zamieszać razem drobne gałki z naci kartoflanej (bajdurki) z większemi, to te drobne zawsze się prędzej i szerszem kołem obracają, a te duże kręcą się też trochę, ale prawie na miejscu; tak to i słońce, że jest bardzo wielkie, a ziemia że jest tak malutka, podobnie się kręcić muszą.. To ja sobie już uważam... tylko tego nie wiem jeszcze, jak to ludzie mogli się dowiedzieć, że to słońce jest okrągłe i do tego wygląda jak kula ogromna? Lub, jak też to ludzie mogą się utrzymać na ziemi, kiedy ona się przewala z niemi na około słońca?

— Powoli! powoli! — rzekł nauczyciel — naraz o wielu rzeczach nauczyć was nie mogę; to też najprzód dokończę wam o tej kulistości słońca. Otoż przez wiele, wiele lat pracowali ludzie nad tem; już to za pomocą rozmaitych spostrzeżeń i znaków zapisywanych do xiąg, już też przy pomocy szkieł takich, które i sześć tysięcy razy powiększają każdą rzecz, jak się przez nie patrzy, aż się przekonali w końcu, że słońce jest kulą. Szkła takie powiększające, wypukłe, obsadzone w wielkie rury, są zielone lub niebieskie, żeby oka nie raziły, jak się patrzy na słońce, a nazywają się *teleskopy*, czyli *dalekowidy*. Przez nie dostrzegli astronomowie, że i „słońce ma plamy“, i że te plamy ciemne obracają się zawsze ze słońcem ku wschodniej stronie, i nikną, a po upływie 25 i pół dni, z drugiej strony słońca od zachodu zawsze się pokazują; a więc jest dowód z obrotu tych plam, że one nie mogą być na płaskiem kole, ale na kuli, która się obraca wciąż koło siebie i znowu w otchłań niebieską bieży, bo żaden twór niebieski nieruchawym być nie może — taka już była wola Boża, a dla nas nauka, że w otrętwiałości żyć i nam nie można. To samo słońce ciągnąc za sobą ziemię naszą, musi się znowu około innego większego słońca swojego obracać, a które tak jeszcze głębiej tkwi w niebieskiej przestrzeni, że nam się zdaje tylko gwiazdką

błyszczącą, jakby łepek od szpilki; boć przekonano się już i o tem, że wielkie mnóstwo jest gwiazd na niebie, które znowu są słońcami dla innych światów i dla takich ziem jak nasza. Pomyślmyż sobie: cóż to za dziwna, niezmierzona potęga i mądrość Boga Stworzyciela, który miljonom tych tworów niebieskich tak niechybne drogi przeznaczył, że krążąc tam wysoko, nigdy nie zawadzą o siebie!

— Ale żeby skończyć o słońcu, to trzeba wam jeszcze wiedzieć, że nie jest ono wcale rozpaloną kulą, jakby się to mogło zdawać na pozor. Przekonano się przeciwnie, że słońce jest z tego samego rodzaju ciał, czyli tworów świata jak nasza ziemia, a więc że samo z siebie jest ciemne, a tylko dokoła siebie ma płomieniste powietrze, czyli gazy, które swemi promieniami tak naszą ziemię oświecają i ogrzewają. Promienie zaś te tylko przy zetknięciu się z naszem powietrzem ziemskiem sprawiają dopiero ciepło i gorąco, a bliżej słońca są one zimne.

— A jak to być może! — zagadnął Stajenka — przecież im bliżej ognia, tem większe gorąco?

— Tak — rzekł nauczyciel — ale promienie słońca nie są wcale podobne do naszego ziemskiego ognia. Żeby wam to choć w części objaśnić, to weźcie sobie tylko na uwagę, że na bardzo wysokich wierzchołkach gór w obcych krajach, ba! nawet i na naszych Karpatach za Krakowem, śnieg albo późno w lecie, albo też nigdy nie topnieje, choć przecież wierzchołki te bliższe są słońca niż dolina. A więc i w tem dowód, że promienie słońca nie tak wysoko nad nami, ale tylko przy zetknięciu się z powietrzem, które ziemię otacza, rozgrzewają się, a przeto i ocieplają ziemię. Jeżeli promienie te, jak w ciepłych krajach, spadają ze słońca prosto ludziom na głowy, to wtedy na ziemi jest bardzo gorąco, a jeżeli spadają pochyło, z boku, to ludziom jest zimniej na ziemi, jak naprzykład u nas w Polsce, w zimie, a jeszcze zimniej jest tam, gdzie słońce zupełnie pochyło i bardzo krótko rzuca promienie na ziemię. (Z.)

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XVI.

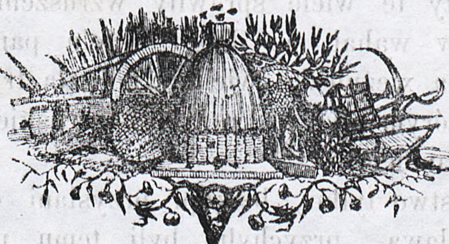


Nr. 12.

21. kwietnia

1867.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Siostra króla Mieczysława.

W tym samym dniu, w którym wody chrztu świętego spłynęły na głowę pierwszego naszego chrześcijańskiego pana, razem z nim otrzymała łaskę chrztu młoda i śliczna siostra jego i odebrala imię Adelaidy. Przejrzał Bóg i wybrał sobie tę niewinną duszę, lubo rozkwitłą w niewiadomości, ale zawsze ku dobremu, ku cnocie, ku niebu już skłonną.

Adelaida zostawszy chrześcijanką, obmyta w krwi Zbawiciela i szatą białą równą anielskiej odziana, starała się tę szatę zachować niepokalaną i zajaśniała słodkim wdziękiem cnót i miłości Bożej. Serdeczna przyjaźń łączyła ją z Dąbrówką, żoną Mieczysława; razem przędły i tkały szaty kościelne, razem spiewały pobożne pieśni, razem słuchały mów szanownych kapłanów i biskupów, razem myślały i radziły o dobru ludu, o potrzebach jego, oświacie religijnej i dopomagały do szerzenia i ustalenia zbawiennego religji świętej prawa.

Miło biegły dnie młodej Adelaidy na dworze kochanego brata: modlitwa, robota ręczna, dobre uczynki mieniały się tylko w jej życiu — aż przyszedł niebawem czas zamęźcia.

Xiążę sąsiedniego narodu Węgrów, Gejza, przysłał posły swoje na dwór Mieczysława, prosząc usilnie o rękę xiężnej Adelaidy. Swaty te wiele sprawiły wzruszenia i namysłów. Król Mieczysław wahał się długo, wielu panów wręcz byli przeciwni i sama xiężniczka wielką zadrzała trwogę, bo xiążę węgierski, w którym płynęła krew barbarzyńskiego ludu Hunów, był jeszcze poganinem.

Duchowieństwo tylko, biskupi przysłani od Ojca św. na prośbę Mieczysława, przychylni byli temu małżeństwu, bo pomni, że niewiernego męża wierna żona nawrócić może — pragnęli dla kościoła świętego pozyskania tak możnego xięcia i tak dzielnego narodu. Mieczysław także przez Dąbrówkę przyjął chrześcijaństwo wraz z Polską całą — wróżono więc po cnotach Adelaidy także szczęśliwego obrotu rzeczy.

Tymczasem zostawiono jej samej wolę, dać odpowiedź xięciu Gejzie węgierskiemu. O jakże drżało serce młodej, niewinnej dziewicy! ileż łez wylała błagając Boga o natchnienie i radę Ducha świętego — jakże walczyła z sobą, gdy brat usiłował uzyskać pomyślne jej słowo, a kapłani ukazali jej naród w ciemnościach pogrążony, którego apostołem miała zostać i matką! Niewinna dzieweczka bladła jak kwiatek na myśl opuszczenia lubej ojczyzny, wszystkich swoich i przeniesienia się daleko w dziką krainę, gdzie prawdziwego jeszcze Boga nie znano; siły jej mdlały przed wielkością powołania, jakie włożyć na nią chciano, ale powoli promień nadziei Bożej zaczął ożywiać ten kwiatek skromny, słowa kapłańskie świętym płynęły balsamem w jej pobożną i gorącą duszę, rozjaśniało się jej w sercu jak od zorzy na myśl, że się stać może aniołem dobrym Gejzy i Węgier.

Utwierdziła całą siłą nadzieję swą w Bogu i stanęła gotowa na wszystkie poświęcenia i ofiary — a w czasie oznaczonym powieźli posłowie węgierscy wesołą wieść panu swemu, że xiężniczka polska oddaje mu rękę.

Gejza wielce się uradował, bo słyszał z dawna o urodzie i dobroci Adelaidy; wkrótce powitał w kraju swym i dworze piękny kwiat królewski z polskiej, chrześcijańskiej ziemi. Bóg sprawdzał wróżby szczęśliwe; Adelaida pozyskała Bogu męża

swojego i nakłoniła go do przyjęcia wiary świętej, nie tyle namową ile cnotami, przykładem, modlitwą.

Sam Wojciech św., który podówczas był w Budzie, stolicy Węgier, udzielił Gejzie chrztu świętego wraz z wielu jego poddanymi i córką jego z pierwszego małżeństwa Judytą. Świątobliwa królowa, pokorna w swych czynach, przysparzała sobie umartwień i dobrych dzieł, aby Bóg tylko wspierał i pomnażał dobro i szczęście w tym kraju; naród się oświecał coraz więcej i przyjmował wiarę prawdziwą, a król przywiązany do niej szczerze, wspierał starania żony i przysłanych z Polski mężów.

Jednej nocy miał Gejza we śnie widzenie; zdało mu się, że widzi urodziwego młodziana, który do niego wdzięcznie przemówił:

— Pokój tobie! przychodzę ci oznajmić, że modły twoje miłe są przed Bogiem. Za to że rozszerzasz chwałę Jego na ziemi, Bóg da ci syna, który w tej pracy także nie ustanie i ozdobiony będzie koroną królestwa!

Nazajutrz opowiadał sen ten żonie, i jakież było zdziwienie obojga, gdy Adelaida wyznała, że i ona ujrzała tej nocy męża świętego, który jej rzekł:

— Córko! nie lękaj się i ufaj — ja jestem Szczepan, pierwszy męczennik Chrystusów; wkrótce Bóg ci da syna, który otrzyma najpierwej ziemską a potem niebieską koronę — daj mu na chrzcie świętym imię moje.

Niedługo sprawdziło się widzenie obojga pobożnych małżonków. Bóg im dał syna, którego nazwali Szczepanem, i był to pierwszy xiążę węgierski, który otrzymał od papieża koronę królewską, a co więcej, świętością żywota zasłużył sobie na królestwo niebieskie i policzony w poczet wielkich świętych kościoła naszego.

Adelaida długo patrzyła na jego cnoty i do późnego wieku była sama dobrym aniołem narodu węgierskiego, wspierając biednych, fundując kościoły. Wychowana przez nią pasierbica jej Judyta, została potem żoną naszego Bolesława Chrobrego. Naród węgierski sercem zawsze zbratany z naszym, czci jako patronów swoich Szczepana z matką — i ile razy

nowy węzeł złączył go z nami, to zawsze był to węzeł dobry i święty. Węgrzy dały nam Kunegundę świętą, wypiastowały nam królowę Jadwigę, anioła Polski i Litwy — a za to dostały od nas Warneńczyka, króla naszego, i Jagiellończyka, Kaźmierzowego syna za królów – a potem znowu naród węgierski dał nam Batorego, króla naszego, sławnej pamięci, że do dziś dnia rad nam i bratni jest ten naród.

Wielka zaś nauka, że wierna i pobożna żona niewiernych lub bezbożnego męża nawrócić może, drogą powinna być każdej kobiecie, bo już to płeć niewieścia, w pismie św. nazwana płcią pobożną, wiele dobrego może uczynić cnotami swemi, słodyczą, przykładem, miłością rodzinną, a szczególnie w macierzyństwie swojem święte zasługi położyć może niebu i ojczyźnie, wychowując dziatki cnotliwe. *B. E.*

ALLELUJA!

Pieśń na Zmartwychwstanie Pańskie.

Chrystus zmartwychwstaje,
Przykład ludziom daje:
I my mamy zmartwychwstać,
Po prawicy Bożej stać.
Alleluja!

Maryjo zbolała!
Gdzieś Syna podziała?
Ocierałaś Mu krew z ran;
Gdzież jest syn Twój, gdzie nasz Pan?
Alleluja!

— Ach serce truchlało;
Przebite miał ciało,
Tępe gwoździe w ranach stóp;
Teraz w skale Jego grób.
Alleluja!

Poszły trzy Maryje,
Każda maści kryje;
Balsamową maścią tą
Namazać mu ciało chcą.
Alleluja!

Ogrodem, po łące
Szły smutno gwarzące:
— Jest na grobie wielki głaz,
Czyż go dźwigniem wszystkie wraz?
Alleluja!

Nie płaczcie, Maryje
Niebieskie lilije!
Bóg z swą mocą czuwa tam:
To odważy kamień wam.
Alleluja!

Już kamień ze skały
Rozbity w kawały;
Trzy Maryje leją łzy:
O! mój Jezu, gdzie-żeś Ty?
Alleluja!

Cieszcie się, Maryje!
Chrystus znowu żyje:
W białej szacie z grobu wstał,
I chorągiew w ręku miał.
Alleluja!

Zwyciężył złość ludzi,
Wszystkich zmartwych zbudzi,
By nas przed tron Ojca wznieść;
Och! spiewajmy Zbawcy cześć.
Alleluja!

J. G.

Doktor Iwan.

Zdarzenie prawdziwe.

Na samych krańcach ziemi polskiej, na Ukrainie, która jest teraz pod panowaniem Moskala, żył przed osiemdziesięciu laty pan bardzo możny i bogaty, hrabia P. Mieszkał on w jednej z wsi swoich, która się nazywała Teplik i miał małego syna jedynaka, Stasia. Przyszedł czas, że synkowi temu trzeba było zaczynać się uczyć, więc hrabia sprowadził dlań z miasta nauczyciela. Otoż z tym nauczycielem chodził paniczyk często po wsi na przechadzkę — a jednego razu zobaczył przed progiem ubogiej chaty małego chłopca, syna wieśniaka.

Chłopczyk ten był ubogo odziany, ot zwyczajnie jak dziecko biednego kmiecia, ale czysto i schludnie aż miło, a piękny był jak malowanie, żeby mu tej urody niejedno złociste paniątko pozazdrościć mogło. Mały hrabicz ledwie zobaczył ładnego pastuszka, tak zaraz wielkie do niego uczuł upodobanie i począł prosić ogromnie swego nauczyciela, aby tego chłopczynę wziąć do dworu za kozaczka.

Nauczyciel powiedział o tem hrabiemu, a hrabia zgodził się na prośbę syna i kazał zawołać do siebie chłopczynę wraz z rodzicami.

— Jak się nazywasz? — zapytał hrabia chłopaka.

— A czy nie miałby ty Iwasiu ochoty wstąpić do dworskiej służby i usługiwać paniczowi?

Iwaś z nieśmiałości nic nie mógł odpowiedzieć, ale rodzice jego wnet przystali na wolę pana i Iwaś został we dworze.

Wkrótce też przebrano go w piękny cienki strój i odtąd ciągle był przy paniczu, który go tak polubił, że nawet uczyć się nie chciał, jeżeli Iwasia przy nim nie było. Widząc to nauczyciel pozwolił na to, aby Iwaś był zawsze przy nauce.

Tym sposobem Iwaś przysłuchiwał się nauce — a że miał bystrą głowę i wielką ciekawość, więc też nieraz więcej od panicza połapał. Poznał to od razu nauczyciel i pomyślał sobie:

— Widać to zdolny i ciekawy chłopczyna, warto aby się także czegoś nauczył. Ot czyby go w wolnych chwilach nie nauczyć czytać i pisać? Byłaby to zasługa przed Bogiem a prawdziwe dobrodziejstwo dla biedaka!

Jak pomyślał nauczyciel, tak też i zrobił. Kiedy tylko miał czas, wołał Iwasia do siebie i uczył go nieraz całemi godzinami, a widząc że Iwaś bardzo pilny i bardzo pojętny, nie żałował swej pracy. Do tego Iwaś siedział zawsze przy paniczu przy nauce i tu znowu słuchał dalej i tak pracował sam nad sobą, uważał i uczył się chciwie.

Tym sposobem Iwaś po kilku latach mało co mniej, jeżeli nie więcej nauczył się od panicza. Nie tylko, że umiał gładko pisać, szybko rachować — ale nauczył się także rozmaitych wiadomości o dalekich krajach i ludziach, nauczył się historji, a nawet i po francuzku mógł się dobrze rozmówić.

Tak znowu kilka lat minęło. Iwaś przez ten czas był lokajem we dworze i dobrze mu było, bo hrabia go lubił i szanował. Ale Iwaś nie rad był z tego. On czuł dobrze, że choć jest z chłopskiego stanu, to przez swą pilność i naukę mógłby zostać czemś więcej na świecie niż lokajem i markotno mu było bardzo, że w służbie marnieć musi. A trzeba wam wiedzieć, że w owych czasach była jeszcze pańszczyzna, a Iwan jako poddany hrabiego, nie mógł go bez jego woli opuścić i po dalekim świecie się rozglądnąć.

Ale wkrótce pocieszył się Iwan. Młody hrabicz urósł już w młodzieńca a ojciec jego postanowił wyjechać z nim na podróż do Paryża, do Francji. Do tej podróży wziął hrabia i Iwana. Iwan nie posiadał się z radości wielkiej, że w tak daleki świat pojedzie i tyle nowych, niewidzianych rzeczy obaczy — bo Paryż ogromne jest miasto, a może najsławniejsze i najpiękniejsze na świecie całym.

Gdy już stanęli w Paryżu Iwan wyprosił u hrabiego, że go uwolnił od służby, i tak mając czas swobodny biegał przez cały dzień po mieście i oglądał pyszne kościoły, pałace

i gmachy. Rozglądając się tak po mieście, spotkał raz jednego francuzkiego studenta. Student ten poznał zaraz, że Iwan musi być gdzieś z dalekich stron i zagadał do niego grzecznie, bo Francuzi są takim narodem, że u nich grzeczność i uprzejmość do obyczajów należą.

Iwan jak wiecie umiał po francuzku, więc począł rozmawiać się z studentem — a niebawem tak się polubili i poprzyjaźnili, jakby dwaj bracia.

Ów student uczył się na doktora, więc brał z sobą Iwana do tej szkoły, gdzie to trupów oglądają, aby poznać, jakie są choroby w ludzkiem ciele i jak te choroby najlepiej leczyć. Iwan patrzał się na to z wielką ciekawością, a zrazu trochę mu to było straszne, ale potem począł rozmyśliwać, jak to pięknie być doktorem i ratować swych bliźnich, ulgę nieść im w cierpieniu i zdrowie przywracać.

Razu tedy jednego mówi do swego przyjaciela studenta:

— Mój Boże, jaki ty bracie szczęśliwy, ty będziesz kiedyś doktorem uczonym! Jak ja tobie zazdroszczę!

A ów student tak mu na to:

— A czegoż ty mi masz zazdrościć! toć i ty możesz się uczyć tak jak ja i zostać także lekarzem, wszakżeś młody i masz zdolności potemu.

Iwan westchnął i odpowiedział:

— Oj nie mogę! Ja należę do mego pana, a mój pan już w tym tygodniu wyjeżdża z Paryża.

— No to niech sobie jedzie, a ty zostań! — rzekł mu student. — Radzę ci zostań i chodź ze mną do szkoły lekarskiej!

— Ba mój drogi — mówi Jan — kiedy mnie nie wolno zostać bez pozwolenia hrabiego, bo ja jestem jego poddanym.

Student zaśmiał się na całe gardło i rzecze:

— Co to znaczy poddany! tu u nas we Francji nie ma żadnego poddaństwa! twój hrabia nie ma tu w Paryżu żadnej władzy nad tobą, bo takie jest prawo francuzkie, że kto stanie nogą na tutejszej ziemi, ten już jest taki wolny, jak inny człowiek!

Rozmyślił sobie to dobrze Iwan, a kiedy hrabia miał już wyjeżdżać z Paryża i kazał mu się zbierać, on rzekł:

— Panie hrabio, ja nie pojadę.

— Jakto! ty musisz jechać! tyś mój poddany!

Na to mu Iwan:

— Ja jestem człowiek, a tu we Francji każdy człowiek jest wolny!

— A więc precz mi zaraz niewdzięczniku! — zawołał rozgniewany hrabia. — Jam cię wyciągnął z nędzy, wychował i polubił, a ty mnie teraz opuszczasz!

— Nie panie hrabio — odpowiedział na to ze łzami Iwan — ja nie jestem niewdzięczny. Ja póki żyć będę, nie zapomnę tych dobrodziejstw, którem od pana hrabiego otrzymał. Ja pana kocham i poważam jak ojca, ale ja chcę się uczyć dla dobra moich bliźnich, chcę zostać lekarzem, i dlatego nie pojadę z panem hrabią.

Hrabia rozgniewany kazał mu wyjść i długo wymyślał na niego, ale w końcu uznał, że ma niesłuszność, i że nikt mu nie dał prawa nad losem tego młodzieńca. Hrabia był tylko skory do gniewu, ale z natury ludzkiego i dobrego był serca, więc rychło się opamiętał i rzekł sam do siebie:

— Czyż mam ja sumienie zatrzymywać u siebie gwałtem tego człowieka, który pragnie nauki! On ma słuszność, ja nie mam prawa zagradzać mu losu!

I wyjeżdżając z Paryża, hrabia kazał dać Iwanowi cały worek dukatów, aby miał z czego utrzymać się między obcymi, nim sobie znajdzie zarobek albo miejsce jakie.

Hrabia wyjechał z Paryża i nie miał już żadnej wiadomości o Iwanie. Kilkanaście lat minęło, a o nim ani słychu znikąd. Rodzice biedni już go opłakali, bo myśleli, że już dawno gdzieś zmarł daleko, na obcej ziemi.

Ale po kilkunastu latach hrabia przyjechał znowu do Paryża. Zachorował on na jakąś ciężką ranę na nodze, a że się przez kilka lat daremnie leczył w Polsce, więc wyjechał do zagranicznych kąpieli i wstąpił do Paryża, aby się tu poradzić najsławniejszych lekarzy. Począł się tedy wypytywać, który tu lekarz najlepiej umie takie rany leczyć, a gdzie się tylko kogo spyta, każdy mu mówi:

— Jest tu jeden bardzo sławny lekarz, co go sam cesarz Napoleon zawsze bierze z sobą na wojnę, aby go leczył na przypadek, gdyby go kula trafiła.

— A jakże się ten lekarz sławny nazywa?

— Doktor Iwan! — odpowiadają.

— Hm... to dziwne nazwisko! — rzecze hrabia. — Doktor Iwan! Trzeba mi po niego zaraz posłać!

Zaraz tedy napisał list do tego doktora z prośbą, aby go odwidził, bo jako chory jego pomocy potrzebuje. Jeszcze tego samego dnia zajechała przed pomieszkanie hrabiego bogata kareta a z niej wysiadł jakiś dostojny pan Hrabia wybiegł na przywitanie a ów pan mówi:

— Jestem doktor Iwan! Pan hrabia mnie wołałeś!

Hrabia nisko się ukłonił i począł bardzo dziękować sławnemu doktorowi, że go tak prędko odwidził, aż ten nagle staje przed samemi oczyma hrabiego i pyta:

— Cóż to, pan hrabia mnie nie poznaje?

— Nie... Przyznam się, że po raz pierwszy widzę pana doktora dobrodzieja... — odpowiada hrabia.

— Jak to! toż ja przecież jestem ten sam Iwaś, co był kozaczkiem u pańskiego syna, a później lokajem!

Hrabia aż wykrzyknął z zdziwienia. Dopiero teraz poznał on Iwana i wstydził się okropnie, że się niegdyś tak gniewał na niego, że wbrew jego woli uparł się zostać w Paryżu. Doktor opowiedział teraz hrabiemu, jak on się długie lata uczył i biedził, jak nie dojadał, nie dosypiał, aż mu Bóg pobłogosławił i spełnił jego życzenie.

— Tobie hrabio winienem wdzięczność pierwszemu po Bogu — mówił doktor Iwan ze łzami — boś ty mnie dał sposobność poduczyć się za młodu. A choć cię rozgniewałem, przecież odjeżdżając z Paryża zostawiłeś mnie biednemu wielką sumę pieniędzy, bez której byłbym może mimo mej pracy i pilności zginął między obcymi ludźmi!

Gdy się tak do woli nagadali, oglądnął doktor Iwan nogę hrabiego i zaręczył mu, że będzie zdrów. Jakoż nie minęło dwa miesiące, a hrabia, dzięki nauce sławnego lekarza, jakby cudem ozdrowiał całkowicie.

— Jakże ja ci to odpłacę doktorze! — wołał z wdzięcznością. A. doktor Iwan rzekł mu:

— Ja tylko jednej nagrody od pana hrabiego żądam.

— Mów, jakiej, wszystko dla ciebie uczynię!

— Czy żyją moi biedni rodzice w Tepliku? — zapytał doktor.

— Żyją, żyją i zdrowi są, jeno po tobie panie doktorze płaczą, bo myślą, żeś umarł!

— Otoż ja cię proszę panie hrabio — rzecze doktor Iwan — abyś wyznaczył sumę jaką ci się podoba, a ja ci zapłacę, aby moich kochanych rodziców wykupić z pańszczyzny i poddaństwa!

Hrabia ani rusz nie chciał przyjąć żadnych pieniędzy, ale powiedział, że on to zaraz zrobi i zaraz napisze o to do swoich komisarzów.

— Ja teraz na dwa miesiące wyjechać muszę z Paryża — rzekł hrabia do doktora — ale gdy wrócę, odwidź mnie, panie doktorze, a dam ci o wszystkiem wiadomość.

Po dwóch miesiącach doktor Iwan przyjeżdża do hrabiego, który już był powrócił do Paryża, aby się dowiedzieć o swoich rodzicach. Hrabia serdecznie go powitał i mówi do niego:

— No teraz ci już dam wiadomość o twoim ojcu i o twojej matce, ale musisz zjeść ze mną objad. Mam gości, więc proszę cię, wypij z nami po starej przyjaźni kieliszek wina!

To mówiąc prowadzi hrabia doktora Iwana do drugiego pokoju.

Doktor patrzy, a tu stół pysznie nakryty i zastawiony, a za stołem na pierwszem miejscu siedzi jakiś stary wieśniak z swoją żoną, oboje w czystym, kmiecym stroju!

Doktor aż się zatoczył na nogach i wykrzyknął z wielkiej radości. Bo oto ten wieśniak i ta wieśniaczka, to byli jego rodzice! Hrabia chciał zrobić doktorowi wesołą niespodziankę i sprowadził ich umyślnie aż do Paryża.

Co to dopiero była za radość, co za uciecha rodziców i syna, tego wam opisać nie potrafię! Przez dwa miesiące bawili rodzice doktora Iwana w Paryżu. Syn prosił ich i błagał, aby zostali przy nim aż do śmierci, ale rodzice nie chcieli na to przystać, a ojciec, stary kmieć z białą jak śnieg głową, rzekł mu:

— Nam, synu kochany, dosyć tego szczęścia, żeśmy cię w szczęściu i sławie oglądali! teraz już spokojnie umrzemy! Ale tu nie zostaniemy, bo ani ja ani matka nie chcemy składać nasze kości na obcej ziemi. Już my tam umrzemy, gdzieśmy się zrodzili, w własnym rodzinnym kraju.

I jako rzekli zrobili. Nacieszywszy się synem wrócili szczęśliwie staruszkowie do wsi swojej na Ukrainę, gdzie zakończyli swój żywot w wygodzie i dostatkach, o które się syn dla nich wystarał.

Doktor Iwan został w Paryżu i nosił to imię chłopskie aż do śmierci — a imię to otoczone było wielką sławą w całej Francji. Doktor Iwan tak dalece zasłynął swoją zręcznością i nauką, że wielki cesarz i wojownik Napoleon, co to cały świat prawie zawojował i który był tak jakby cesarz cesarzów, król królów, a którego bratanek dziś jest także cesarzem Francuzów — mianował go swoim przybocznym doktorem i brał go z sobą na wojnę. Kiedy w bitwie pod Ratysboną, w r. 1808 Napoleon został ranny, to go doktor Iwan opatrzył i leczył.

Taka jest historja o doktorze Iwanie! Jest to czysta prawda, w której ani na źdźbło nie ma zmyślenia! Macie w niej znowu jeden przykład, jak to z ubogiego kmiecego urodzenia przy zdolnościach i pracy dostąpić można największych zaszczytów! *Wojtek ze Smolnicy.*

POGADANKI NIEDZIELNE.

II.

Jak wielką jest ziemia? — Zkąd wiemy, że jest kulista? — Dlaczego z niej nie spadniemy, jak się z nami obraca?

Zeszła się znowu gromadka ze wsi Popowic w dzień świąteczny przed domek nauczyciela, ciesząc się między sobą, że znowu coś zajmującego i poduczającego usłyszą. Gdy usiedli pod lipkami, zapytał nauczyciel bliżej siedzących:

— O czemże to skończyliśmy mówić w przeszłą niedzielę?

— O słońcu i o tem, że promienie słońca dopiero grzeją, jak są przepuszczone przez ziemskie powietrze — odpowiedział jednooki Sajenka.

— Mielibyśmy wielką ochotę posłuchać — wtrącił Rospendek — zkąd to ludzie wiedzą, że i ziemia jest okrągła i tak kulista jak słońce?

— O tem, moi kochani, przekonam was kilku sposobami. Oto, najprzód, gdy wyjdziemy na czyste, zupełnie równe pole i obejrzymy się na wszystkie strony, to ujrzymy okrągłe koło, czyli widnokrąg, gdzie niby ziemia styka się z obłokami. Jeżeli pójdziemy albo pojedziemy dalej i coraz dalej, to wszędzie i wszędzie na całej ziemi takie samo koło ujrzymy, co jest najprostszą oznaką, że ziemia musi być okrągłą. A teraz przekonam was, że jest i ogromną kulą, bo przypominacie to sobie dobrze, że w podróży śród równego pola, patrząc w dal przed siebie, choćby i na jakich parę mil, to ujrzycie najprzód wieże kościołów, potem szczyty drzew, następnie dachy domów, a w końcu idąc coraz bliżej, i całe drzewa i całe domy. Znak to oczywisty, że ziemia się zaokrągla, i że z tego zaokrąglenia dopiero przy zbliżeniu się, widzimy coraz większe wszystkie rzeczy, co były wprzódy przed nami zakryte. Ale jeszcze widoczniej przekonywają się o tej kulistości ziemi podróżni na morzu, gdy z daleka płynący ku nim okręt pokazuje im najprzód koniec masztu, potem cały maszt, a gdy bliżej podpłynie, to i cały im się wychyli. Dowód więc z tego, że i morza tak samo jak i ląd, czyli sucha ziemia, układają się krzywo tak, że razem jedną tworzą ogromną kulę. Prócz tego jeszcze wam jeden dowód tej kulistości ziemi przedstawię. Oto, gdyby kto z was na przykład z tego tu miejsca, z Popowic, puścił się w podróż na przykład na południe słońca i dążył wciąż przed siebie, toby po upływie dużego czasu wrócił do nas z drugiej, przeciwnej strony z północy, i temby nas przekonał, że odbył podróż dokoła ziemskiej kuli. Podobnych podróży na ziemi i na morzach okrętami odbyło już wielu podróżników, a wracali zawsze na miejsce z przeciwnej strony objechawszy świat dokoła.

— A dużoby też to czasu potrzeba było — wtrącił zaciekawiony Skiba — ażeby całą ziemię dokoła objechać?

— Tyle — rzekł nauczyciel — ile potrzeba na zrobienie 5.400 mil, bo taki jest duży okrąg, czyli obwód ziemi. Gdybyśmy zaś jakim sposobem mogli przewiercić ziemię na wylot, i spuścić się na spód, na miejsce przeciwne temu gdzie stoimy, to potrzebowalibyśmy tylko zrobić 1.720 mil, bo tak długą jest średnica ziemi, jak się uczeni ludzie przekonali z różnych obliczeń.

Po chwili zastanowienia mówił nauczyciel dalej:

— Sądzę, że teraz już możecie pojąć, moi sąsiedzi, dlaczego to wydaje się nam, że słońce zachodzi za ziemię, kiedy jest przeciwnie, bo to my z ziemią oddalamy się od słońca z Zachodu ku Wschodowi, czyli patrząc na słońce, to od prawej ku lewej ręce. W tej powietrznej podróży rzeczywiście nie wszędzie w jednym czasie słońce ludziom niknie; w Warszawie na przykład zachodzi ono o dobrą godzinę później niż w Paryżu, stolicy Francji. Zresztą przypomnijcie sobie, jak to nieraz jadąc drogą około zboża na przykład lub drzew i chałup, to nam się zdaje, że to zboże, drzewa i chałupy w tył uciekają, gdy tymczasem one się ani ruszą z miejsca, a my tylko się oddalamy od nich. Jest to złudzenie naszego oka; a tak samo oko się myli i co do biegu słońca; czyż nieprawda: powiedzcie sami?

— Prawda! prawda! — zagwarzyło kilku z gromadki, pamiętamy to dobrze, jak nam się wydaje, że i ziemia z pod nas ucieka w tył, kiedy szybko wozem albo konno jedziemy polem.

— Dobrze to wszystko.... — odezwał się zakłopotany Skiba — rozumiem to już, że to ziemia oddala się od słońca a nie słońce od ziemi, tylko tego jeszcze wymiarkować nie mogę, jak my się utrzymać możemy na tej ogromnej ziemskiej kuli, kiedy się ona z nami przewraca do góry nogami i pędzi precz naokoło słońca w powietrzu?

— Dobre zapytanie — rzekł nauczyciel — zachęca mnie ono, abym was i w tem objaśnił. Że ziemia nasza ogromnie szybko obraca się około siebie i niby krąg rzucony, kręcąc

się ciągle, biegnie naokoło słońca prędzej o wiele razy niż ptak lub parowa maszyna po drodze żelaznej, to z tego sobie uważcie, że na jedną godzinę 225 mil ubiega! Że zaś przy tak szybkim pędzie ziemi nie spadniemy z niej, to dla tych przyczyn, jak zaraz powiem. Uważacie to dobrze, że jak co spada z wysoka, naprzykład jabłko z drzewa albo też kamień wyrzucony w powietrze, to ani jabłko ani kamień nie zawieszą się w górze, ale zawsze pędzą ku swej matce ziemi, z której pochodzą. Dzieje się to tem, że ziemia ma taką siłę, iż każde ciało, to jest każdą rzecz przyciąga do siebie; a że i człowiek jest ciałem, więc i jego nie puszcza w powietrze. Otoż ta siła przyciągania jest pierwszą przyczyną, że przy obrocie ziemi nie wylecimy w powietrze. Zresztą połóżcie naprzykład kamyk lub szklankę z wodą na rzemyku procy, od którego idą dwa sznurki, i temi sznurkami ujętemi w jedną rękę obracajcie bardzo szybko dokoła, to ani kamyk z rzemyka nie spadnie, ani nawet woda ze szklanki wcale się nie wyleje, tylko z procą będzie latać dokoła; a więc tak samo dzieje się ze wszystkiemi rzeczami, co są na ziemi. A zresztą człowiek w porównaniu z tą ogromną kulą ziemską jest jakby niedojrzany proszek na niezmiernie wielkim kościele, a zatem i czuć i dostrzedz on nie może, co się to z nim robi: że ta wielka kula z nim biegnie i przewala się, tak iż we dnie jesteśmy na jej wierzchu i widzimy słońce, a w nocy pod spodem, bo nie widzimy słońca.

Ale na tem wam skończę na teraz o tej naszej ziemi żywicielce, a na przyszłą niedzielę zapraszam was, sąsiedzi moi, do dalszej pogadanki i o innych rzeczach — które nas otaczają.

O chlebie spleśniałym.

Po wsiach przechowuje się zwyczaj przysposabiania zapasu chleba najmniej na dwa tygodnie, co wreszcie jest rzeczą bardzo naturalną, bo gospodyni czasu-by nie starczyło do innych zatrudnień, gdyby chleb codzień piec chciała. Jednakże, przechowując zapas chleba, ludzie nie dosyć zwracają uwagi na to, aby chleb dobrze był upieczony i trzymany w miejscu suchem koniecznie — gdy te dwa warunki nie są zachowane,

to chleb okrywa się pleśnią, która na zdrowie działa tak szkodliwie, jak najgwałtowniejsza trucizna; szczególniej zaś u dzieci spostrzegać się to daje.

Po zjedzeniu chleba spleśniałego, dzieci doznają zawrotu głowy, gwałtownych boleści w żołądku, wymiotów; uczuwają ociężałość i ciągłą chęć do snu, a często nawet wpadają w wielką chorobę. W takim razie zawsze pomagają wymioty mocne i obfite, do tego zatem środka wtedy uciec się potrzeba, chcąc słabemu zdrowie przywrócić a często i uratować od śmierci.

Po wsiach też niektórych istnieje grzeszny i szkodliwy zabobon jadania spleśniałego chleba w czasie burzy i piorunów, jakoby dla odwrócenia piorunu od chaty. Ubolewać trzeba nad tymi, którzy w podobne przesądy wierzą.

Raz jeszcze powtarzamy, że chcąc chleb zachować od pleśni, potrzeba go wypiekać bardzo dobrze, a potem w suchem przechowywać miejscu, bo chleb, to podstawa i grunt pożywienia każdego człowieka, a cóż dopiero biednego rolnika.

Przy tej sposobności zrobimy i tę jeszcze uwagę, że słonina, lub sadło zbyt stare i jełkie, zawsze prawie sprowadzają choroby niebezpieczne, a przeto są do użycia bardzo szkodliwe.

J. K.

RÓŻNOŚCI.

Dzwon w Nowym Sączu. Piszą nam tu z Nowego Sącza, jako tam w przeszłym roku w grudniu przelali ze starego, co się był popsuł, dzwon nowy. Robota sama koło tego dzwonu kosztowała przeszło 4 tysiące reńskich. Bo to widzicie z taką robotą są wielkie trudności i potrzeba okrutnie mądrze koło tego robić. Najpierw musi być z gliny taka forma zrobiona, w którą ten roztopiony płyn, który się składa z różnych metalów, wlewają; w takim płynie to i srebra trochę wchodzi. Dopiero jak ten płyn w tej formie glinianej ostygnie, to formę rozbiją, a dzwon wyjdzie cały i gładki, jak się patrzy. Ale w tem sztuka aby się udał, bo nie zawsze odleje się dobrze. Dlatego do tej rzeczy trza majstrów co się zowie dobrych. Ten dzwon wielki w Nowym Sączu udał się doskonale jest i piękny i gładki, i ma mieć głos piękny i głośny. Dzwon ten w Nowym Sączu jest tak duży, że jest pierwszy w naszym kraju po tym wielkim dzwonie Zygmuncie, co dzwoni na zamku w Krakowie, co go był zafundował Zygmunt król polski i dał mu swoje imię. Na takie dzwony jak ten Zygmunt i ten w Nowym Sączu, to się teraz nie łatwo kto poderwie zafundować, skoro jeno robota a tyle kosztuje. Dlatego też dzwon Zygmunt krakowski i ten dzwon w Nowym Sączu, należą do pięknych polskich pamiątek.

Dobry urzędnik. O bardzo pięknej rzeczy donosi Gazeta, jak gromada Wołoska żegnała adjunkta sądowego w Ustrzykach. „To nie urzędnik, to nasz ojciec opuszcza nas“ mówiła gromada. Sprawiedliwym on był jak Ewangelia, a poswarzeni ludzie odchodzili od niego całując się. A od ubogich nigdy nie przyjął pieniędzy za komisją; dla każdego z nas miał radę, pomoc lub pociechę; a niechżeby kto, chroń Boże, przyniósł mu co za fatygę, to pokraśniał i tak mówił, że człowiek musiał przepraszać i wstydzić się, jakby co złego chciał mu zrobić. To my nie wiedząc jak mu podziękować, ot teraz postarali się i na pański sposób przyszli go z temi świecami pożegnać. No, takich urzędników, daj nam Boże w naszej polskiej krainie jak najwięcej! Szkoda tylko, że Gazeta nie napisała nazwiska tego uczciwego urzędnika, aby był ludowi w całym kraju znany.

Zażarty wilk. Gazeta Warszawska donosi o strasznym wypadku, jak wilk wściekły pokąsał i poszarpał ludzi, w okręgu Pułtuskim w lesie, co tak się stało: Franciszek Chmielewski, ojciec leśniczego, ujrzawszy o 8mej rano, że wilk w pobliżu jego domku porwał psa, pobiegł na jego ratunek. Wilk ujrzawszy go rzucił psa a poskoczył ku niemu i powalił go o ziemię, raniąc go mocno. Na krzyk jego wybiegła z domu żona jego Elżbieta. Wilk pochwycił ją za głowę, zdarł skórę z włosami, powalił na ziemię i zagryzł, a potem zaczął ją szarpać i pożerać. Syn jej leśny Konstanty nie wiedząc o niczem, wraca właśnie do domu, lecz nim dostrzegł wilka, wilk rzucił się ku niemu, powalił go na ziemię i okropnie mu twarz poszarpał. Wtedy przyszła na ratunek Konstantego żona Teodozja i 16letnia córka Rozalja. Lecz Rozalja widząc wilka pastwiącego się nad ojcem, objęła zwierzę ramionami pod szyję, a matka zaczęła bić wilka po łbie kijem. W skutku tego wilk odurzony powalił się, ale zaledwie dwie te odważne niewiasty zdołały wnieść do izby poranionych ojca i dziatka, wilk się zerwał i poskoczył za niemi. Obie podpierały całemi siłami drzwi, do których wilk się dobywał, lecz ujrzawszy wieprzka, pogonił za nim i zagryzł go, a potem rzucił się na nadchodzącą ze wsi żonę gospodarza Annę Prusinoską, lecz ta zdołała wpaść do chałupy, którą znów wilk oblegał i nawet wybił okno, chcąc się niem dostać do izby, tak, iż kobiety zatarasowały się stołem, który przyparły do okna. Elżbieta Chmielewska, którą wilk zagryzł, została przed domem. Wilk począł ją na nowo objadać, jak i zagryzionego wieprza, którego ku niej przywlókł. Za drugim napadem na okno, dostał w łeb siekierą, lecz miał tyle jeszcze siły, że napadł nadchodzącego włościanina Mikołaja Ładę i pokaleczył go, lecz ten dobił wilka kijem uderzywszy go w łeb silnie. Cała ta walka nie na żart, trwała aż 4 godziny.

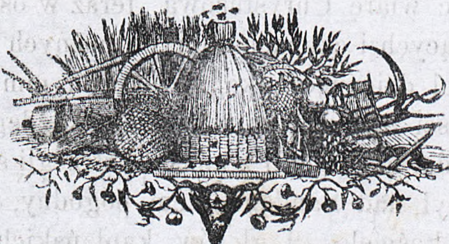
Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XVI.



Nr. 13.

1. maja 1867.



Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Błogosławiony Sadoch.

W roku 1241 za Bolesława Wstydliwego Tatarzy okropnie Polskę naszą spustoszyli. W zamożnej krainie były tylko pustki i pożogi, a szlakiem tatarskim płynęła krew polska, dymiły się zgliszcza, czerniały zniszczone niwy, czerwieniały łuny, wsie i miasta kąpały się we krwi i popielały, kości trupów bielały po polach, a dzicz mongolska oparła się aż o Lublin.

Popłoch wielki leciał przed nią a szlachta i kmiecie tłumem się sparli w Sandomierzu; bo w Sandomierzu kamienny zamek, wysokie wieże, grube ostrokoły koło warowni i zbrojny żołnierz na warcie.

Miasto samo było zupełnie puste i ciche, bo co żyło spieszyło za mury warowni Jeden tylko głos tę cichość przerywał, był to dzwon kościoła Ojców Dominikanów, którzy lubo niedawno w te strony przybyli, już mieli miłość u ludu, bo świętość ich żywota, jasno świeciła rodakom. Oni to dzwonili na mszę i nieszpory, śmiało zbierali się do kościoła i modlili się za lud wszystek, za ojczyznę, za chrześcijaństwo.

Przełożony ich wtedy zwał się Sadoch, starzec wielkiej cnoty. Za młodu z św. Jackiem i Czesławem przebiegał on kraje, szczepiąc wiarę Chrystusową, teraz w ostrej włosiennicy, w modłach gorących i czynach dobrych poźnych już lat dobiegał.

Czterdzieści dziewięć zakonników pod nim, tak młodzi jak starsi w karności żyli Bożej, a duch każdego świętym był w Panu. Oni jedni nie uciekli z miasta i strzegli swojego kościoła.

Poranek był nad Sandomierzem pogodny, ale głucho było w mieście. W kościele 49 głosów kapłańskich jak jedno westchnienie płynął do nieba. Spiewali psalmy, a potem według zwyczaju najmłodszy czytał imiona tych wszystkich świętych, których pamiątka wypadała na dzień. Chce czytać, nie może — trwoga go zdjęła, przeciera oczy, myśli, że się dwoją litery, traci przytomność, bo widzi w ręku swojem cud... Na xiędze był napis ognisty: „Dziś w Sandomierzu męka Sadocha i czterdziestu dziewięciu braci!"

— Co on mówi? — zawołali bracia chórem i wszyscy patrzą w xięgę i wszyscy widzą napis ognisty.

Po chwili zniknęły zgłoski z karty, a Sadoch dokończywszy modły z bracią z radośną twarzą przystąpił do najmłodszego kapłana, padł na kolana i spowiedź św. głośno odprawił pewny już będąc śmierci męczeńskiej, a potem wszystkim braciom po kolei udzielił rozgrzeszenia i wszyscy razem przenajświętszy Sakrament przyjęli. I modlili się jeszcze jako wyznawcy święci, jako Chrystus za zbójców swoich:

— Panie! nawróć, Panie przepuść im!

Wieczór już nadszedł, już po nieszporach, a Sadoch klęczy na środku kościoła i woła do Marji:

— Witaj królowo niebieska!

W tem rozpadły się z trzaskiem podwoje kościoła... Tatarzy wyrżnąwszy już zamek, wpadli z wrzaskiem. Jedni łupią już ołtarze, drudzy noże zbroczone krwią polską wpychają w piersi świętych braci. Krwawe potoki tryskają i białe szaty się rumienią... Zginęli zakonnicy wszyscy z pieśnią Marji Panny: „Ukaż nam, ach ukaż Marjo Jezusa twojego!"

Dzień męczeństwa Sadocha i 49 braci obchodzony jest z odpustem do dziś dnia w Sandomierzu. *B. E.*

Spiewka dziewczęcia.

Gaje, pola już zielone,
Łąki kwiatem ubarwione,
Pełen ptasząt las.
Po ugorze bydło chodzi,
I po smugu bocian brodzi,
Bo to wiosny czas.

Rybki pluszczą, muszki brzęczą,
I owieczek dzwonki dźwięczą,
Słychać chłopców spiew.
Wietrzyk igra po dolinie,
Strumyk mrucząc z góry płynie..
Chowa się pod krzew.

W mym ogródku mam już kwiatki:
Wonne róże, śliczne bratki
I lilii kwiat,
Mam rozmaryn, bluszcz zielony,
Skromne fiołki, mak czerwony,
A to dla mnie świat.

W naszym sadzie kwitną drzewa,
Tam noc całą słowik spiewa,
Bo sad to jak raj.
Tam zazula rano kuka,
To mnie woła, to mnie szuka,
Dopóki trwa maj.

Oj słowiku spiewaj sobie
Kwil wesoło w nocnej dobie,
Bo lubię twój spiew.
A zazulo licz mi latka,
Kukaj przez maj — do ostatka
Wśród kwitnących drzew.

Oj da dana... jak wesoło,
Jak to cudnie na około
W tych wiosennych dniach.
Życie mija tak uroczo,
Tak rozkosznie i ochoczo,
Jak w najmilszych snach.

Teofil Staciwa.

Jak to źle zaklinać się!

— Wieczny odpoczynek racz mu dać Panie! Znowu komuś dzwonią! A nie wiecie też komu to? — zagadał stary Grzegorz siedzący pod piecem na ławie z fajeczką w ustach, do Salki, bratanki swej, która z drugiej strony przypiecka prządła u kądzieli.

— Ta to France tak dzwonią panie stryjku — odpowiedziła Salka przerwawszy robotę. Kara to Boska była z tą kobietą. Panie! przebacz jej tam z wielkiego miłosierdzia Twego, ale aż strach pomyśleć!

— Oho! a cóż to ona takiego zrobiła, że aż was strach bierze pomyśleć o tem?

— Ba! ta to prawda, że wy nie wiecie, boście nie dawno ze służby, ale u nas to i małe dzieciaki wiedzą o tej historji.

— A no to i jabym rad wiedzieć co o tem, to może mi opowiecie?

— A czemużby nie, wszak to nie tajemnica, a choć się po śmierci co powie na kogo, to nie ze złego serca, ani też dla obmowy; ale na przykład drugim, aby się mieli na baczności, bo Pan Bóg dlatego kary zsełą na ludzi, aby pokutę czynili a poprawili się, a drudzy aby się strzegli i posili Boga, żeby ich nie opuszczał, a nie wodził na pokuszenie ale od złego zawsze wybawiał.

— Pięknie mówicie Salko! widać, że uważacie w kościele jak xiądz proboszcz naucza, bo to ktobądź głupi tego nie powie tak ładnie jak wy, ale jak kto chętnie słucha nauki w kościele, a Panu Bogu uczciwie się modli, to mu Pan Bóg daje lepszy rozum, jak niejednemu co to niby coś liźnie i myśli, że bardzo wielki rozum ma, a z gęby mu nic uczciwego nie wyjdzie, tylko same głupie rzeczy i obraza Boska, jak nieprzymierzając temu pijanicy Walkowi, co zawsze z tem wyjeżdża, że był kapralem i kilka słów wyuczył się po niemiecku i z włoskiej mowy coś tam nachwytał, a klnie za każdem słowem i ludzi buntuje przeciw ludziom, a wygaduje niestworzone rzeczy na nasze paniska nie wiedzieć dlaczego, bo trzebaby być bardzo złym aby mieć złość do ludzi, którzy nietylko że nic złego nikomu nie robią, ale owszem i radzą dobrze i pomagają w biedzie, jak to podczas ostatniego głodu. A przecież religja uczy nas, że nawet na nieprzyjaciela złości mieć nie trzeba, a nie dopiero na ludzi, którzy nam dobrze życzą i dobrze robią.

— Święte słowa wasze panie stryjku i ja też nigdy gadania takiego złośliwego i bezbożnego słuchać nie lubię, bo wiem, że paniska radeby robić nam jak najlepiej i wiem to także bardzo dobrze, że gdyby to byli ludzie bardzo źli, to nasz xiądz proboszcz, który jest taki dobry, pobożny i mądry, nie wdawałby się z nimi i nie chwaliłby ich zawsze. Ale to kiedyśindziej będziem gadać o tem, a teraz opowiem wam o nieboszcze France. Otoż tak było: Wczoraj akurat rok minął jak Franka chodziła do becyrku, a to wedle żyta, co go ukradła u Maryny. Być może, że Franka z głodu dopuściła się kradzieży, jak niektórzy powiadają, ale zawsze źle zrobiła.

Kiedyindziej możeby Maryna nie robiła takiego hałasu, ale w taki zły czas to desperacja ją brała, to też skarżyła się i narzekała przed wszystkimi. Aż jej Maciek powiedział, że widział z obejścia swego, jak Franka dźwigała coś wieczorem do chałupy, a właśnie też ze strony od zagrody Maryninej. To też zrobili rewizję u Franki, ale żyta nie znaleźli i jeszcze ją Franka z wymyślała. Ale Maryna nie mogła się uspokoić, bo Maciek obstawał wciąż przy swojem, więc wytoczyła się sprawa aż do becyrku, a jak przyszło do protokołu, to Franka złożyła palce na krzyż i powiedzieła, że niech ona i mąż jej i dzieci na marach będą, jeżeli to prawda, że wzięła żyto u Maryny i chciała nawet przysięgać w sądzie, ale że komisarz nie dopuścił, a że nie mogli jej przekonać, to ją puścili do domu. Maryna zaraz powiedziała ludziom:

— Pamiętajcie jak Franka zaklęła! ale nie wyjdzie rok, a zobaczycie co się stanie!

Wymówiła to Maryna w wielkim żalu, a Bóg widać chciał przekonać ludzi, że prawda musi wyjść na wierzch, bo z Panem Bogiem żartować nie można. Nie minęło kilka tygodni, a nieboszczyk mąż Franki, Mikołaj zaniemógł. Ślęczał biedaczysko, ślęczał, aż ot przed dwoma tygodniami umarł, nacierpiawszy się nie mało. Przed tygodniem umarło dziecko, a dopiero co ot i France dzwonili. Panie, odpuść jej! A dopiero na kilka godzin przed śmiercią przyznała się ludziom, że wzięła żyto u Maryny i że kara Boska na nią spadła za fałszywe zaklęcie. Zostało jeszcze troje dzieci, które może Bóg łaskawy zachowa przy życiu, kiedy Franka wyznała grzech przed ludźmi i żałowała poznawszy karę Bożą.

— Prawdę mówicie Salko, że to straszna historja i nauka wielka. Otoż jak Pan Bóg Frankę ukarał, tak i tych karać będzie, choć może innym sposobem, co nie szanują przykazania miłości bliźniego, wygadują na bliźnich i buntują ciemny lud, jak ów pijanica Walek; bo jeżli kto co przewini, to są na to sędziowie, co mają prawo dochodzić tego i karać, a najlepszy sędzia to Pan Bóg, ale lada kiep z przeproszeniem, nie powinien wygadywać na drugich i sądzić kogo, nie mając ani rozumu ani prawa do tego.

— Święte słowa wasze stryjku – rzekła Salka i na nowo wzięła się do kądzieli.

A całą tę historję to ja wiem bardzo dobrze, bo się przy mnie to działo; a napisałem ją dlatego, abyście się dobrzy ludzie odzwyczaili zaklinać się, a zwłaszcza fałszywie, bo chociaż Pan Bóg nie zawsze zaraz karze, jak to w tej historji uczynił, ale kara pewnie nastąpi, bo Pan Jezus nauczał, aby ani zaklinać się, ani dalibógować, ale powiedział wyraźnie: „Wasza mowa niech będzie tak albo nie, a co nadto, jest grzechem“; a co Pan Jezus uczył, to trzeba robić. Co się zaś tyczy tego pijanicy Walka, co ludzi na złe naprowadzał buntując ich przeciw bliźnim, to wam inną razą opowiem, żebyście wiedzieli, jaki to koniec czeka takiego człowieka, co ma fałszywy i niepoczciwy język. A teraz oddaję was opiece Boga.

Kuba z Felsztyna.

POGADANKI NIEDZIELNE.

III.

O xiężycu.

Piękny i cichy był wieczór niedzielny w miesiącu sierpniu. Zdala odzywał się chór grzechoczących żab; słońce co tylko znikło na zachodzie; złociste chmury płynęły nad niem, a po drugiej stronie nieba, na wschodzie, powstał najprzód skrawek czerwony, a powoli i cała się twarz xiężyca wytoczyła w górę nad wioską.

Wiejska gromadka, jak zwykle w dzień świąteczny zebrana przed domkiem nauczyciela, skończyła gwarzyć i mimowolnie każdy z obecnych podniósł oczy w górę, gdzie na czystem niebie xiężyc jak rybie oko błyszczał i spoglądał na ziemię; Sajenka coś rozpowiadał i palcem wskazał ku niebu.

— Nie pokazuj tam palcem — odezwał się Rozpendek — byś śmierci ojca nie wywołał.

Na to uśmiechnął się jakoś niedowierzająco Sajenka, a nauczyciel odwróciwszy się na swej ławeczce w tę stronę, zapytał również z uśmiechem:

— A co tak sobie pokazujecie, i czem to śmierć ojca wywołać można?

— Oto, proszę pana nauczyciela — rzekł Sajenka — ja pokazywałem im te ciemne plamy na miesiącu i powiedziałem, jak to ludzie bają, że one są na pamiątkę zabójstwa, jak to kiedyś brat brata w zapalczywości nadział widłami. Drudzy opowiadali mi, że to tam Kain nad zabitym Ablem do sądnego dnia musi stać z pałką; a jeszcze inni wtrącili, że to stoi tam gospodarz z widłami za karę, że w samo Boże Narodzenie, w tak wielkie święto mierzwę z chlewka swego wyrzucał. A Rozpendek na to mi wszystko doradził, żebym nie pokazywał palcem na miesiąc, bo mi przez to ojciec może umrzeć!

Kto tu prawdę mówi radbym wiedzieć, i dlatego może pan nauczyciel z łaski swojej nam wszystko to wyjaśni?

— Z miłą chęcią, mój bracie, opowiem wam i objaśnię o tych nadziemskich rzeczach, boć zgłębianie tego wszystkiego co nas otacza, podnosi nam serce, uszlachetnia duszę i przyda się każdemu, a to tem więcej, że powoli będę wam chciał rozpowiadać i o bliższych nas ziemskich rzeczach, a więc i o chmurach, wodzie, rosie, mgle, i o deszczu i o śniegu i o roli, którą uprawiacie własnemi rękami, ale żeby te ostatnie rzeczy dobrze zrozumieć, trzeba wprzódy mieć wyobrażenie o tem, co nam użycza światła do pracy, i co czas i zatrudnienie nasze rozdziela i porządkuje, i co nam właśnie ten deszcz lub rosę sprowadza. A więc poznanie słońca, ziemi, xiężyca, ich obrotu i wpływu na życie ludzi, zwierząt i roślin, uważam za najpierwsze rzeczy w naszych gawędach. Powoli przyjdziemy do coraz bliższych i drobniejszych przedmiotów, które co krok widzimy przed sobą.

Że to jest wierutną bajką, gawędka o tych widłach, o tym Ablu, tak jak i o twarzy z oczami i nosem na xiężycu, to sami się przekonacie, gdy zrozumiecie to, co wam opowiem i rozjaśnię; bo tylko człowiek ciemny wierzy w bajdy podobne, a umiejętny łatwo prawdę od błędu rozezna. Otoż, słuchajcie mnie uważnie.

Xiężyc nie ma swego światła tak jak słońce, ale właśnie tylko z odbicia promieni słońca jest oświetlonym i błyszczy tam

w ciemności, bo widzi dobrze słońce z góry, choć my go z dołu, odwróceni z ziemia od niego nie widzimy. To możemy sobie wyobrazić tym sposobem: gdy weźmiemy blachę wypolerowaną i ustawimy ją przed ogniem na kominku, lub przed świecą, to blacha ta wydawać się nam będzie, jak gdyby jaśniała własnym blaskiem. Tak samo, gdy otworzymy drzwi od ciemnej komory do izby oświeconej przez okno słońcem, to i w tej komorze będzie dosyć jasno, przez odbicie się światła z izby, choć do komory słońce nie dochodzi. Zresztą widzicie to dobrze, że xiężyc nie ma sam z siebie światła, bo raz jest prawie cały ciemny, a drugi raz jasny.

— A dlaczegoż to i chmury nad nami w nocy nie świecą? — zapytał pochwytliwie Sajenka — przecież i one widzą tam w górze słońce?

— Bystra uwaga, ani słowa! — rzekł nauczyciel ucieszony — ale właśnie te chmury nie widzą słońca w nocy, bo one są daleko niżej od xiężyca, gdyż xiężyc oddalony jest od nas prawie o 25.000 mil, a najwyższe, najrzadsze obłoczki nie dalej są od nas jak o 9.000 mil. A więc wypukłość ziemi naszej zakrywa chmurom w nocy pod nami świecące słońce, boć i chmury też się zaokrąglają do koła ziemi. Inaczej, gdyby chmury były tak wysoko jak xiężyc, to w nocy widziałyby słońce i świeciłyby przez odbicie światła słonecznego podobnie jak xiężyc. Ludzkiemu gołemu oku tylko tak się wydaje, że chmury są na równi z xiężycem, a rzeczywiście przecież sami to nieraz widzicie, iż za xiężycem chmur nie ma, tylko zawsze poniżej niego przeciągają niby szare ptaki, i wydaje nam się wtedy, że to xiężyc tak ucieka szybko, a to jest złudzenie oka, bo przeciwnie chmury to tak uciekają.

— Ciekawym tylko — rzekł Skiba, pocierając sobie czoło — po co tam są te góry i doliny na xiężycu?

— Zapewne musi ich być dobre przeznaczenie, tak jak wszystko na świecie jest stworzone na jakiś użytek — odpowiedział nauczyciel.

To pewna, że choć jest on podobnej natury jak ziemia nasza, jednak że nie ma wody na sobie i powietrza tak gęstego jak nasze do okoła siebie, więc też tacy sami ludzie jak

my, żyć tam nie mogą, bo ludzkie płuca potrzebują powietrza, a ciało i żołądek wody. Ale cóż jest niepodobnego dla mocy Bożej? Jeżeli na ziemi są stworzenia niektóre, co się bez wody obejść nie mogą, to czemużby i na innych światach nie mogły żyć jakie stworzenia. Tego jeszcze uczeni nie dociekli, ale powoli, Bóg to wie, czy nie dojdą i do przekonania się o tem. Rozum nasz może wiele dokazać, jeżeli się zasilać będzie łaską Bożą i pokorą w obec Niego, jeżeli przez swe dociekania chce się coraz więcej przekonywać o niezmierzonej wszechmocy i mądrości Stwórcy, jeżeli, mówię, człowiek przez swój rozum będzie wciąż szukał jedynego Boga....

Zamyślili się wszyscy; słychać było ciche westchnienia, aż nauczyciel przerwał milczenie, mówiąc:

— Wiecie już, że wynaleziono już na świecie szkła takie czyli dalekowidy (lunety), co rzecz każdą o 1000 razy mogą przybliżyć. Otoż ci uczeni, astronomowie, co patrzyli nieraz przez takie dalekowidki na xiężyc odległy od nas około 50.000 mil, mieli go przed sobą tysiąc razy bliżej, to jest tak jakby o 50 mil na niego patrzyli. Ujrzeli oni tam prześliczne, wielkie i wspaniałe rzeczy! Widzieli tam ogromne i wieloliczne pasma wzgórzyste i pojedyncze góry z tysiącami wydrążeń jakby pierścieni w ich środkach, i naliczyli gór takich pierścieniowych 1.500, a niektóre z nich obliczono na 22.000 łokci wysokości. Widzieli przytem wielkie wąwozy, doliny i cudne przeciąganie światła gazowego, ale nie dostrzegli wody, a tem samem i pary z tych wód, to jest chmur takich jak nasze, ziemskie. Te to niezmiernie wielkie góry, te wydrążenia i wąwozy i doliny czynią razem tak ogromne cienie, plamy na xiężycu, że je z ziemi gołem okiem dostrzedz możemy, ludzie zaś nieświadomi, nie rozumiejący rzeczy, natworzyli o tem wszystkiem wiele bajek, które i wy, czemu nie dziwota, powtarzaliście dawniej. Ale teraz, jeżli tylko wierzycie szczerym moim słowom i życzliwości dla was, to sądzę, że pewnie już inaczej te plamy pojmować będziecie?

— O, tak tak, wierzymy i dziękujemy panu nauczycielowi za to nauczanie nas prawdziwe o tem wszystkiem — zawtórzyło naprzemian kilka głosów w gromadce.

Sajenka zaś tak się odezwał:

— Jak też wielki być może xiężyc, proszę pana i czy on taką samą jest kulą jak ziemia?

Na to odpowiedział nauczyciel:

— Xiężyc tak samo, jak wszystkie twory niebieskie, wszystkie gwiazdy, jest kulistym. Tę okrągłość widzicie w całej naturze, w całem stworzeniu. Jak ziarnko piasku i kropla wody, tak nawet drzewo rosnące i człowiek i każde zwierzę mają kształt okrągławy. Lepiej się o tem przekonacie, gdy posłuchacie uważnie, jak to się xiężyc obraca w przestrzeni nieba. Przekonali się uczeni astronomowie z różnych obliczeń i z ciągłego ślęczenia na wysokich wieżach, zwanych z cudzoziemska obserwatorje, a po naszemu gwiaździarnie, że i xiężycowi nie wolno stać w miejscu, ale ruszać się w przestrzeni i krążyć naokoło ziemi i słuchać jej niby młodszy brat starszej swej siostry, boć to on 50 razy jest mniejszy od niej; a potem z tą siostrą ziemią musi pędzić dalej i krążyć do okoła słońca, niby około wspólnego rodzica. Pamiętacie też pewnie, jak mówiłem, że ziemia ma wielką siłę przyciągania wszystkich rzeczy do siebie i że słońce taką siłę przyciągania ma jeszcze większą, jako samo daleko większe od ziemi; siła ta słońca nie pozwoli ziemi odlecieć precz od siebie, tylko ją trzyma jakby na pasku, tak jak znowu siła ziemi nie pozwoli odbiedz xiężycowi od siebie, jako mniejszemu i słabszemu tworowi, i dlatego musi się jej pilnować.

— A to on jest chyba z obydwóch stron jednaki — rzekł Rospendek — kiedy plamy na nim zawsze są te same?

— Co jest po drugiej jego stronie, tego nie wiemy — rzekł nauczyciel — bo my tylko jedną jego połowę zawsze widzimy.

— A dlaczego to, proszę pana? — zapytał ktoś ze słuchających.

— To zależy od tego — rzekł nauczyciel — że xiężyc musi się dwojako obracać: raz jak koło na osi u wozu, to jest koło siebie, a przytem zaraz i dokoła ziemię okrążać. Ale te obroty są trochę odmienne od obrotu ziemi: bo ziemia obróci się w około siebie raz na 24 godzin, a xiężyc potrzebuje na obrócenie się około siebie więcej czasu, bo aż 28 dni, czyli 4

tygodnie albo miesiąc czasu i dlatego też miesiącem bywa nazwany. Możnaby tu porównać dwa koła u wozu: jedno obraca się szybko na osi niby ziemia, a drugie jakby na niesmarowanej osi też sunie naprzód niby xiężyc, ale okręca się na osi bardzo powoli. Że zaś xiężyc obiega dokoła ziemię także w ciągu 4 tygodni, więc to znaczy, że w tym obiegu raz się tylko dokoła siebie obraca. Biegnie on w tej podróży koło ziemi jakby bokiem, ale suwać się musi niezmiernie szybko, bo najprzód, że powinien 12 razy do roku okrążać ziemię, czyli przez 12 miesięcy, i znowu razem z tą ziemią pędzić około słońca po ogromnem kole. I z tych to okręcań się jego wypada, że ludzie na ziemi zawsze tylko jedną połowę jego kuli widzą, a głównie dlatego, że nie więcej tylko raz jeden musi się obrócić około siebie w tym samym czasie, gdy raz dokoła ziemi obiegnie. Przekonać się o tem można lepiej z tego przykładu. Postawmy na stole cokolwiek, naprzykład garnuszek i powiedzmy sobie, że to jest ziemia. Weźmy potem między dwa palce za ogonek jabłko, któreby na jednej stronie było czerwone, a na drugiej zielone, i to niech nam wyobraża xiężyc. Wodźmy teraz w palcach tem jabłkiem dokoła garnuszka niby dokoła ziemi, więc jeżeli chcemy, aby jabłko zawsze było z jednej strony czerwonej obrócone do garnuszka, to przez całe okrążenie garnuszka, jabłko ogonkiem raz tylko do około siebie trzeba okręcić, bo inaczej, gdybyśmy go wcale przez ten czas nie odwrócili, to w końcu tej kołowej drogi, zamiast czerwonej ujrzelibyśmy zieloną stronę jabłka. Tak też rzecz się ma i z xiężycem, i że się raz tylko obróci około siebie, gdy raz ziemię obiega, więc też wciąż tylko jedną jego stronę widzimy, to jest stronę, na której wciąż te same są plamy.

Że oświetlany przez słońce xiężyc jest kulistym, to najlepszy dowód tego mamy w tem, iż tak po nowiu, jak naprzykład i przed pełnią widzimy go jak błyszczy albo wklęśle niby sierp, albo też wypukło Jest to znak jego kulistości; bo połóżmy tylko okrągłe jabłko na stole wieczorem, a z boku ustawmy świecę opodal od jabłka, to cień co się zrobi ztąd na jabłku i oddzieli na niem odbite światło, zawsze będzie

zaokrąglony dlatego, że jabłko jest kulą. Ale gdyby zamiast jabłka leżało tam coś płaskiego na stole, naprzykład jaka deszczułka, to cień na niej od świecy odrysowałby się zawsze w prostej linii.

— Czy prawda? — zapytał baczny na wszystko jednooki Sajenka, czy to prawda, proszę pana nauczyciela, że teraz przed nowiem to najlepiej jest ścinać w lesie drzewo na budynki, i dlaczego to?

— Prawda — odpowiedział nauczyciel — a dlaczego, to wam zaraz opowiem. Wiecie już wszyscy, że xiężyc tam w górze odmienia się cztery razy na każde 4 tygodnie, to jest przez czas, jak raz obiegnie ziemię dokoła. Odmiany te nazywają się lunacje, od słowa łacińskiego *luna*, co znaczy xiężyc. Wiecie też już, że xiężyc nie ma swego światła, tylko odbiera go od słońca, i że xiężyc tylko z jednej połowy widzimy; ta połowa kuli nazywa się tarczą, bo też jak płaska tarcza z tak daleka nam się wydaje, chociaż jest kulą. W czasie obiegu około ziemi nie zawsze go widzimy, przytem pokazuje się nam raz w mniejszej a drugi raz w większej połowie. Kiedy xiężyc jest przy słońcu i odwrócony do nas ciemną stroną, a więc kiedy wcale nie widzimy jasnej tarczy, choć jest we dnie nad nami, to jest początek nowiu; w kilka dni dopiero, kiedy słońce zaczyna go oświecać z boku, pokazuje nam się na tej ciemnej tarczy z prawej strony wąski, jasny skrawek, niby sierp świecący, i trwa przez cały nów. W kilka godzin po siódmym dniu sierp ten już tak się rozszerza w środku, że świeci na połowie tarczy i miesiąc taki, który wschodzi w południe, a zachodzi o północy, nazywamy pierwszą kwadrą. Kwadra zaś, z łacińska jest to samo co czwarta część, bo też rzeczywiście czwarta część całej kuli xiężycowej jest wtedy oświetloną od słońca. Gdy znowu przez 7 dni blask słoneczny coraz więcej zachodzi na resztę xiężyca, to xiężyc wypełnia się, zaokrągla, aż w kilka godzin po pierwszej kwadrze zajaśnieje na całej tarczy, a wtedy widzimy pełnię; bo xiężyc stoi wtedy naprzeciwko słońca i z góry nam się cały oświetlony przedstawia. Pełnia tym samym porządkiem codziennie się zmniejsza i 21go dnia znowu w połowę się zamienia, a wtedy to mamy ostatnią kwadrę w ostatnim

tygodniu miesiąca. Z połowy tej w tym czasie ubywa światła coraz więcej od prawej strony, coraz też węższym skrawkiem jaśnieje nakształt litery C, aż znika zupełnie; bo xiężyc zbliżał się przez 7 dni znów do słońca, a w końcu ze słońcem w jednej jest stronie, i wtedy się nam staje niewidzialnym, aby znów po przeciwnej stronie tarczy przybierać światła i stać się po dawnemu nowiem itd.

Z tego to obrotu, zbliżania się i oddalania xiężyca od ziemi i od słońca, powstają różne zmiany w powietrzu: bo xiężyc pędząc tam szybko w górze, raz nam może swym pędem wiatry sprowadzić, to znowu chmury napędzić, a ztąd przyczynia się do różnych zmian powietrza, deszczów, wichrów, niepogód. Słusznie więc gospodarze drzewo budulcowe ścinają na dwa lub trzy dni przed nowiem: drzewo wtedy najmniej ma w sobie soków, bo poprzednio w ostatnią kwadrę zazwyczaj najmniej pada deszczów. Dębinę też doświadczeni gospodarze ścinają zwykle przed połową października, dopóki mały jest xiężyc, bo drzewa wtedy spuszczanego nie toczą tak robaki i grzyby na niem nie wyrastają. Wiadomo także, że wszelkie zieleniny, sałata, lepiej wschodzą i rosną, gdy są po nowiu zasiane, a przeciwnie warzywa lepiej jest siać, gdy się xiężyc umniejszą, więc po pełni.

— A dlaczego też to xiężyc tak się zaciemnia czasem? — zapytał ze środka siedzącej gromadki Skiba — sam widziałem nieraz, jakby był wyszerbiony, ale trwało to krótko.

— Jest to zaćmienie xiężyca — rzekł nauczyciel. — Żeby je zrozumieć, wystawimy sobie to podobieństwo: dajmy na to, że w nocy stoi w izbie na stole paląca się świeca, że u drzwi jest jedna osoba, a druga chodzi po środku izby między tamtą osobą a świecą. Jeżeli chodząca osoba znajdzie się na wprost pomiędzy świecą a osobą przy drzwiach, to ją zaciemni choć na chwilę swym cieniem, bo i świecę dla niej zasłoni. Otoż, zdarzyć się może, że xiężyc krążąc tam w górze, zobaczy nocą w prostej linii przed sobą ziemię, co mu słońce jego zasłoniło; wtedy to i on sam się zaciemni na chwilę, bo od słońca nie odbieramy światła, a za to ziemia na niego cień swój rzuci; a że cień ten, czyli szczerb, jak to mówił Skiba,

zawsze jest zaokrąglony, więc dowód i z tego oczywisty, że ziemia okrągła być musi. Na tem zakończamy już z xiężycem, dodał nauczyciel, a na drugi raz o nowych rzeczach pogawędzimy z sobą.

O wychowaniu dzieci.

„Jaka mać, taka nać“ — „jaki ojciec taki syn“ — „jabłko niedaleko pada od swej jabłoni“; oto są nasze przysłowia, które jeszcze możnaby poprzeć tą piękną myślą skierowaną do rodziców:

„Nie narzekajcie w starości swej chwili,
Takie macie owoce, jakieście szczepili.“

Są to wielkie prawdy, wynikające z zastanowienia się nad skutkami troskliwości rodzicielskiej o swoje dzieci. Rzadko też kiedy złemu ojcu wychowa się syn na dobrego człowieka, a jeszcze rzadziej złej matce wyrośnie córka na pociechę i pożytek dla świata. Jednem słowem, jakie jest rodzicielskie wychowanie, takie będzie społeczeństwo ludzkie. Od rodziców to wiele zależy, aby ludzie byli dobrzy: rodziców nauka, mowa, przykład bywa dla dzieci wzorem; pamiętać o tem winni rodzice. Po rodzicach wpływają na dzieci inni ludzie i towarzysze, z którymi dzieci żyją. Jeżeli więc rodzice miłują swe dzieci i dopełnić chcą swego obowiązku, jeżeli pragną szczęścia dla swych dzieci, pociechy dla siebie w starości; jeżeli chcą godnie dopełnić swego powołania: czuwać powinni nad tem, aby ani sami, ani nikt pod ich pieczą zostających dzieci nie zgorszył ani mową ani uczynkiem, więc strzedz je od wszego złego. W tym to celu, ku pomocy rodzicom, zamieszczamy następujące uwagi:

Zachować dzieci w niewinności, uchronić je od złego, ma być celem rodzicielskiej troskliwości. Baczyć zatem powinni na wszystko, coby je złego nauczyć i w niem zaprawić mogło. Dobry ojciec, dobra matka uczą zawsze swe dzieci co dobre, uczciwe, a co złe, szpetne, haniebne, nie dopuszczają im ani widzieć ani słyszeć, a gdy temu widzeniu lub słyszeniu przeszkodzić nie mogą, to przynajmniej zaraz przestrzegają dzieci,

aby do złego nie nabrały upodobania lub nałogu. Mocny jest wstręt od złego i mocne upodobanie do dobrego, które się nabyły w dzieciństwie.

Pilnie uważać mają rodzice na swoją czeladź, czy ta jest uczciwa, bogobojna, w mowie powściągliwa, bo nic tyle dzieci nie gorszy, nie psuje, jak nieskromna, rozpustna lub złośliwa mowa sług, a to jeszcze młodych. Skoroby rodzice spostrzegli sługę z takiemi obyczajami, wypadłoby najprzód upomnieć go, żeby się chronił nieprzystojnych mów i postępków w obecności dzieci; gdyby się nie poprawił, oddalić takiego sługę lub też nie zostawiać z nim nigdy samych dzieci.

Uważać także na ludzi często do domu przychodzących i rozmawiających. Dzieci bardzo ciekawie przysłuchują się rozmowom przybyłych gości, baczyć przeto należy: czy te rozmowy nie zawierają rzeczy gorszących? czy nie opowiadają niedorzecznych historji? czy nie obmawiają innych osób? czy nie dają krzywdzących nazwisk? czy nie obrażają ludzi, osób cnotliwych, którym szacunek należy się? czy nie dopuszczają się kłamstwa? Zaraz w obecności dzieci powściągać trzeba takie mowy, zganić, coby w nich było złego, obraźliwego, aby dzieci słyszały, że to wszystko rodzice potępiają, a zatem i oni potępiać powinni Albowiem choć dzieci nie mają jeszcze rozumu, rozeznania, to przecież mają oczy, uszy i bardzo skłonne są do naśladowania starszych, do pamiętania co oni mówili, do zatrzymania wyrazów, przezwisk, których oni używali. Uważać zatem trzeba, co dzieci mówią i co mówią obcy, czy to dorośli czy mali do domu przychodzący.

Troskliwi rodzice o swe dzieci nigdy ich z oka spuszczać nie powinni, a jeżeli ich czasami nie widzą, to przynajmniej wiedzieć powinni gdzie są? co robią i czem się zajmują. Nie dozwolą im przestawać z dziećmi źle wychowanemi, zepsutemi lub złośliwemi.

Im starsze są dzieci, tem troskliwiej strzedz ich należy od złych mów i złych przykładów, bo jedna gorsząca, nieobyczajna zabawa zepsuć je może, a najgorszym bywa dla nich zły przykład ich rówienników, i złe obyczaje takich najprędzej się ich czepiają. Mówimy o ludziach dorosłych, że przejmują

obyczaje swych towarzyszów; bardziej jeszcze stosuje się to do dzieci, a przeto samych dobrych towarzystw dobierać im należy.

Matki szczególniej pilnować powinny swych córek, nie dozwalać im nigdy gdy dorastają, bawić się samym z chłopcami, przestrzegać skromności mowy chłopców i wpajać w jedne i w drugich poszanowanie dla cnoty i uczciwości. Ani synom ani córkom nie trzeba dozwalać zaocznych w wieczór, w nocy schadzek, bo te dla ich obyczajów są najzgubniejsze.

Przestrzegać mają pilnie rodzice, aby każde z ich dzieci co dzień wypełniało dokładnie religijne obowiązki, aby nie zaniechało odmówić pobożnie rannych i wieczornych modlitw, aby przynajmniej w święto udało się na nabożeństwo do kościoła, i żeby to nie było przechadzką ani światową rozrywką, ale pokornem i rzetelnem oddaniem czci i uwielbienia Stwórcy, od którego w tem życiu błogosławieństwa, a w przyszłem nagrody spodziewać się mamy.

RÓŻNOŚCI.

Dowcipny kuchta. U pewnych państwa na objad piekła się gęś; ponętny jej zapach tak dalece opanował kuchcika, iż urwał udko i zjadł je bardzo smacznie. Gdy postawiono gęś na stół, pan domu spostrzegł, że ta jedną ma tylko nogę; pyta się więc kuchcika, co się stało z drugą?

— Proszę pana — odpowie zapytany — ta gęś, tak jak i wszystkie gęsi na świecie miała tylko jedną nogę.

— Jakto jedną? — rzekł pan.

— A tak, proszę pana, ja przekonam pana po obiedzie, że żadna gęś dwóch nóg nie ma.

— Dobrze — odrzekł pan z uśmiechem — ale pamiętaj, że cię ukarzę za kłamstwo.

Poszli więc po obiedzie na podwórze, gdzie, że to było w zimie, wszystkie gęsi stały na jednej nodze, bo drugą każda z nich utuliła, jak to zwykle, dla ogrzania, pod skrzydło.

— Proszę pana, czy ja kłamię?

— Zobaczysz, czy drugiej nogi nie pokażą, jak świsnę na nie — rzekł pan I świsnął, a gęsi spłoszone stanęły wszystkie na dwóch nogach.

— No, cóż hultaju czy nie po dwie nogi mają?

— A! proszę pana — wykrzyknął niezmięszany kuchcik — gdybyś pan był świsnął i na gęś przy obiedzie, toby jej też druga noga wyleciała!

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XVI. Nr. 14.

11. maja 1867.



Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Święta Marja egipska.

Żywoty Świętych, którzy nawrócili się z grzechu a potem zajaśnieli wielką cnotą, szczególnie są nam grzesznym ludziom pożyteczne; pociągają ku Bogu, orzeźwiają smutne nieraz serca i wiele dobrych myśli i dobrych rodzą nadziei. Jedną z takich Świętych była przed wieki żyjąca św. Marja rodem z Egiptu, i dlatego egipską zwana. Gdy miała 12 lat uciekła z domu swoich rodziców do Alexandrji, znakomitego wówczas miasta w Egipcie nad morzem, i prowadziła tam bardzo grzeszne życie aż do lat 17tu, nie pomnąc nigdy o Bogu ani o wieczności.

Po upływie tego czasu ujrzała raz wiele ludzi zamierzających pielgrzymować do ziemi świętej, do Jerozolimy na święto Podniesienia Krzyża. Przyłączyła się do nich, ale nie z pobożności, tylko dla ciekawości i zabawy, nieprzymierzając jak i teraz nie jeden grzesznik idzie na odpusta do miejsc cudownych. Poszła więc, a gdy stanęła w Jerozolimie i nadeszło święto Krzyża, udała się z innymi pielgrzymami do kościoła, w którym krzyż Zbawiciela czczono. Gdy chciała jednak wejść przez drzwi święte, stało jej się tak, jak gdyby ją niewidoma ręka gwałtownie odepchnęła. Cztery razy usiłowała wejść i cztery razy ją odpychało.

Wtedy otwarły się jej oczy, poznała, że to występki jej życia wzbraniają jej wstępu do świętego miejsca. Gorzko płacząc cofnęła się w jeden kąt kościelnego podwórza i rzuciła się na kolana przed obrazem Najświętszej Marji Panny, błagając Ją serdecznie aby swoją mocną u Boga przyczyną wyjednała jej łaskę nawrócenia. Gdy skończyła modlitwę uczuła słodką pociechę w sercu, już mogła bez przeszkody wejść do kościoła i uczcić krzyż święty.

Tam przed Jezusem ukrzyżowanym opłakawszy na nowo swoje zbrodnie, powróciła do łaskawego obrazu i prosiła Matki miłosierdzia aby jej wskazała co ma czynić; i w tem usłyszała jakby w duszy swej głos, który jej mówił:

— Idź za Jordan a znajdziesz tam pokój zupełny:

Jednej chwili poszła za tem natchnieniem, udała się za Jordan na pustynię i żyła daleko od ludzi w wielkiej pokucie więcej jak 50 lat. Tam znalazł ją święty zakonnik Zozim, a takiej dostąpiła świętości, iż cuda czyniła, posilił ją chlebem anielskim, i błogosławioną śmiercią dokonała. Oto pokutnica, która u Chrystusa znalazła łaskę przez Marję, gdyby nie wstawienie się Matki miłosierdzia, byłaby zginęła. Nie wahajmy się uciekać do Marji gdy mamy ciężar na sumieniu; Ona zawsze tak gotowa przyczyniać się za grzesznikami, tylko słuchajmy głosu dobrego natchnienia i nie zwlekajmy nigdy z pokutą.

B. E.

Swarna żona.

Hałas, tartas, klekot w domu,
Coś pytluje jakby w młynie;
Choć się zdarzy zajrzeć komu,
Krzyżyk zrobi, dom ominie,
I ucieka i ucieka,
Choć go wołasz, nie zaczeka.

Tfu! do licha, czyż nikomu
Rzec nie wolno, co w tym domu
Przez dzień Boży od poranku,
Tak klekocze bez ustanku?...

Może, Panie odpuść grzechy!
Sypie z wozu bies orzechy?...
Nie, panowie, mylne zdanie;
Ja wykryję dziw tajony;
Niech pozwolą dobre panie:
— Jestto język swarnej żony.

On to, jakby blacharz w sklepie
Takim taktem ciągle klepie,
Nawet wtedy w gębie myka,
Kiedy zaśnie dobrodzika.

J. N. Kamiński.

Nagrodzona cnota.

Powieść ku nauce matek i córek.

Za ubogim pogrzebem Michała stelmacha szło kilka kobiet, stary siwy sąsiad z krzyżem, wdowa płacząca i mała dziewczynka jasnowłosa, sierota zmarłego po pierwszej żonie. Łkanie stłumiło jej głos i oddech i nie mogła zawodzić głośno i spiewnie jak jej macocha, tylko jęknęła niekiedy boleśnie:

— Tatuniu mój, tatuniu, gdzie wy idziecie odemnie! Tatuniu mój szczery, mój serdeczny, gołąbku siwy! czemu mnie sierotę porzucacie!

W oczach poczciwych kobiet łzy błyszczały, bo żal im było sieroty — pochowano Michała, sierotka do grobu skoczyć chciała ale ją sąsiady odciągnęły, a gdy zasypano mogiłę, xiądz proboszcz pogłaskał jasną głowę dziewczęcia i powiedział:

— Nie płacz Paraniu! Bóg w niebie jest ojcem sierot i nie opuści ciebie, bądź pobożna, uczciwa, pracowita, módl się zawsze za duszę ojca i matki, a obaczysz, że cię czeka szczęście i nagroda niebieska!

I ręka kapłana znaczyła krzyż nad głową sieroty. Ludzie się rozeszli po pogrzebie, sąsiady poszły z pocieszaniem do macochy na kieliszeczek wódki, bo nieszczęśliwy ten trunek płynie obficie po naszych chatach i przy ciałach umarłych i na stypach pogrzebowych, kiedy dusze nieboszczyków potrzebują gorąco modlitwy naszej, i przy narodzeniu dziecięcia i chrzcie jego świętym, kiedy to znowu dziękowaćby należało Bogu i prosić Go o świętą łaskę cnoty w życiu dla nowego chrześcijanina i w każdej przygodzie, smutku i radości... Oj płynie wódka obficie na cześć i rozkosz złemu duchowi ciemności i grzechu!..

Pocieszały więc kumy macochę w chacie, a sierotę pocieszał tylko anioł Boży na mogile ojca, na której długo płakała, a gdy wieczór powracała do chaty, nie śmiała się zbliżyć, bo tam byli goście i światło a macocha niechętna, stanęła więc pod płotem a xiężyc i gwiazdeczki przeglądały się w jej łezkach, wietrzyk chłodził jej twarz — słowa kapłana odzywały się w sercu... odmawiała modlitwę wieczorną.

*

Kilka lat upłynęło od śmierci Michała stelmacha; wdowa z własnem dzieckiem siedziała w chacie a Paranię już dawno wygnała na służbę. Nie było gruntu tylko stara chałupina z trzema grzędami na dożywocie zostawiona nieboszczykowi przez bogatego gospodarza, co w ciężkich latach kupił od niego grunt i to przez litość ustąpił jeszcze wdowie do jej śmierci, nie było więc co robić Parani w domu, co gorsza jeszcze, że macocha nie lubiła sieroty, wymawiała zawsze, że ją doglądała małą i że nie da jej darmo jeść chleba. Oj nie darmo! bo Parania pracowała nad siły swoje u macochy; pieniądze co wzięła na odrobek, ona sama prawie odrobić musiała a nieraz i o głodzie, bo macocha szła z dzieckiem tam tylko w lecie na robotę, gdzie jej jeść dano i zapłacono albo gotówką albo jakiem zbożem; Parania oprała chatę, latem i zimą dźwigała wodę z dalekiej studni, na chleb zmełła jeszcze do dnia, sierpem cały dzień się naciągnęła, a za to nie tylko nie miała koszuli i chusteczki, nie tylko głodna była często, ale nie miała dobrego słowa, często odbierała bicie, a gdy zahukana, zakrzyczana, biedna dziewczyna nieraz już tak osłupiała jakoś, że myśląc o swej doli, o mateńce, o tatuniu co pomarli, nie rozumiała nieraz co od niej chciała macocha, a ta nazwała ją niezdarną, głupią, leniwą, do niczego. Poszła więc Parania w służbę od swoich lat dwónastu. Bóg nie opuścił wszakże sieroty choć ciężkiej dał jej zakosztować doli. Parania była dobra i bardzo cicha dziewczyna, nabożna i pracowita. Od dzieciństwa nawykła do biedy i nędzy, szanowała chleb święty i ludziom, u których służyła była przychylna i wdzięczna, a do żadnej roboty się nie poleniła. Lubili ją też, wprawdzie był taki niedobry gospodarz co za cały rok jej służby dał jej tylko kaftan i dwie zgrzebne koszule, a nie było się komu ująć za sierotą, ale przez to Parani nie opuścił jeszcze Bóg i wieś cała miała ją za dobrą, poczciwą dziewczynę.

Już szesnaście lat miała Parania kiedy wziął ją do służby jej niegdyś chrzestny ojciec Grzegorz Samota, najbogatszy gospodarz w całej wsi, właściciel ślicznych trzech gruntów, pięknej, obszernej, nowej chaty, najporządniejszych we wsi budynków, najobfitszej pasieki, najlepszych krów i koni. Żona

mu umarła przed rokiem, syn najstarszy Michaś, przystojny, porządny i zuch chłopak poszedł do wojska, gospodarstwo było wielkie, a że Samota żenić się już nie chciał, potrzebował więc sług kilkoro do obrobienia wszystkiego, bo mały jeszcze chłopczyna, drugi syn Stefanek i malutka wnuczka po córce sierota, co się chowała u niego od kilku miesięcy, nie były jeszcze wyręczeniem w pracy ale kłopotem i sami potrzebowali dozoru. Przyjął więc bogacz Parańkę i drugą jeszcze dziewczynę Małankę i parobków dwóch, a sam we wszystko wglądał i pilnował, bo był pilny i dobry gospodarz, rzadko kiedy pił wódkę a gospodarstwo jego było wzorem dla wszystkich. Markotno mu wprawdzie było bez gospodyni, bo zawsze to chłopu niesktadnie idzie koło kobiecych rzeczy, ale że sobie nie mógł wyszukać uczciwej i porządnej kobiety, coby nie piła i nie kradła, do zarządzania jego gospodarstwem, więc przestał na dwóch młodych dziewczątkach, którym popróżnować nie dał.

Parańka jako chrzestna córka wołała Samotę tatusiem, szanowała go bardzo i wzięła się szczerze i serdecznie do roboty. Ona wnuczce jego zastępowała rodzoną matkę a dziecina przywiązana do niej nie dała jej często odstąpić od siebie i w robocie jej przeszkadzała, ale łagodna Parania nie łajała i nie przykrzyła sobie dziecka, bo pamiętała, że to sierotka bez matki i niewinne stworzenie. Gotowała jeść dla czeladzi i robotników, doglądała krów starannie, chodziła w pole gdy Samota kazał, albo pracowała przy domu gdy trzeba było, przędła zimą, a jej przędzę, jej płótna tak były starannie przyrządzone, że zazdrościły sąsiadki bogate. O wszystkiem pamiętała, bo wiedząc, że nie ma gospodyni a chłop sam choć rozumny wiele rzeczy drobnych nie rozumie albo nie pamięta, robiła wszystko jak gdyby dla siebie samej.

Zrazu Samota, oględny człowiek, pilnie ją miał na oku, rozkazywał, sam wydawał, sam miał klucz i jak wszystkim sługom tak i jej nie dawał sposobności nigdy do pokusy, to jest nie spuszczał się nigdy i sam przyglądał wszystko, ale powoli przekonywał się o uczciwości i wierności Parani, uważał jak przybywało mu wiele rzeczy, które dawniej gdzieś się zawsze podziewały, jajka od kur, nabiału od krów, cebuli

z ogrodu; ćwierć zboża wydawała jakoś więcej krup i mąki gdy Parania zmełła, przędza wydawała więcej łokci, chleba nawet więcej było z dzierży a omasta nie wychodziła tak prędko; pomiarkował więc jaką ma sługę i zaczął coraz więcej zdawać się na Paranię, nareszcie zdał jej i komorę i często dał klucze do skrzyni i zboże do wiania zostawiał jej samej i kłębów lnu nie rachował.

Parania widząc to, nie czyniła jak inne sługi, co korzystają zwykle z zaufania gospodarzy i nie mają sobie za grzech dzielić się pracą ich, ale pilnowała jeszcze pracy Samoty, drugiemu ukrzywdzić także nie dała i miała przed Bogiem czyste sumienie.

Ale miała Parania także ciężkie krzyże. Samota miał we wsi siostrę zamężną, już niemłodą, Katarzynę, co lubiła namiętnie wódkę i plotki. Ta Katarzyna po owdowieniu brata zaglądała często do jego gospodarstwa, aby niby to pomódz i poradzić, ale właściwie aby samej co zwędzić i zyskać przy niedoświadczonej chłopskiej gospodarce domowej. Samota siostrze nie żałował, ale nie mógł nieraz zmiarkować gdzie się przenosi jego praca, a Katarzyna, której zamężna córka skąpiła na wódeczkę i gościny, bardzo była rada, że się brat nie żeni. Gdy przyjął młode dziewki do służby, myślała, że jej to przeszkadzać nie będzie i próbowała kilka razy szczęścia, nie udawało się jej wszakże jak sądziła z Paranią, bo uczciwa dziewczyna za grzech miała oszukiwać w najmniejszej rzeczy swojego gospodarza.

Katarzyna używała różnych sposobów, gdy Parania objęła gospodarstwo, nawet grzecznie przyszła z flaszką pod kożuchem, gdy brata nie było w domu i namawiała Paranię, aby jej dała to przędziwa, to zboża, to mąki, perswadując, że brat bogaty; ani znaku nie uczuje i wiedzieć nie potrzebuje, a jej łaska przydać jej się może i tym podobnie. Parania wódki nie chciała a Katarzyny prosiła, aby bratu samemu powiedziała co od niego żąda.

Niedobra baba znienawidziła za to sierotę, judziła na nią brata i podmawiała, że Parania chce panować, że zbiera sobie

zapasy i stara się na przyszłe lata swoje z kieszeni i krzywdy gospodarskiej.

Zdarzyło się, że Samota nieraz podjuszony zasmucił i połajał sierotę, że posądził ją niesłusznie, a biedna Parania zapłakała gorzką łzą sieroty.. Druga dziewczyna, służąca Małanka, wielkiem była nicpotem, co mogła zachwycić wynosiła na wieś do matki, po karczmach tańczyła i piła a całem sercem nienawidziła także Parani, bo swój swego lubi, ale niepodobnego nie cierpi. Gdy ją poczciwa dziewczyna zeszła, jak schowane pod słomę kartofle w nocy wynosiła czekającej na nią matce i za to jej surową prawdę powiedziała obiecując, że jeżeli raz jeszcze co podobnego uczyni, to powie gospodarzowi, gdy nie chciała z nią iść na hulanki i wesela ani pić z chłopcami a za jej nieobyczajne życie karciła ją, to Małanka tak znienawidziła biednej Parani, że wszędzie ją obwoływała za fałszywą, plotki składała o jej udanej wierności i zmyślonej uczciwości, opowiadała, że kradnie gospodarza a sama po kryjomu złe życie prowadzi.

Ukarał Pan Bóg Małankę, bo Samota pochwycił ją na kradzieży i wypędził, a nie długo cała wieś okryła ją hańbą i wstydem, bo czarną, dziewiczą kosę wójt obciąć kazał w karczmie, ale nie jedną łzę przez nią wylała Parania, którą Pan Bóg policzył i w nagrodę jej kiedyś poczytał. Własna macocha Parani złośliwie jej doskwierała, bo spodziewała się, że coś koło niej dostanie skrytym sposobem, skoro ma całe gospodarstwo pod sobą, a tymczasem Parania wiernie służyła i ani okruszyny nie tknęła bez wiedzy gospodarza.

Kiedy w święto przyniosła jej co Parania, co uprosiła otwarcie, albo co ze swego miała, to macocha zamiast podzięki przekpiwała z cichej, skromnej sieroty, nazywając ją: panią gospodynią. Ach często w życiu swem pracowitem ściskało się serce biednej Parani i łzy z oczu płynęły, ale nie gniewała się na ludzi, modliła się i szukała tego najlepszego Ojca w niebie, o którym mówił xiądz proboszcz na pogrzebie jej tatunia!

We dwa lata od czasu jak Parania zaczęła służyć u Samoty, przyszedł na urlop syn jego Michał, wielki ulubieniec

ojca, piękny i smukły chłopak, a co więcej dobry i uczciwy, co wielka była łaska Boża, bo zwykle młodzież wiejska bardzo się tam psuje w świecie i przynosi do domu złe obyczaje, obcą mowę i rozmaite zepsucie. Michała Pan Bóg ochronił, wrócił stęskniony za swemi, nie zapomniał rodzinnej mowy i szczęśliwy był, że włożył płótniankę, stanął za pługiem, że w swoim modlić się mógł kościółku, swój pożywać chleb razowy i swojej słuchać piosenki.

Zadziwił się nie mało znalazłszy w domu taki ład, taki dostatek, takie niewieście gospodarstwo piękne; w komorze były dzierże sera i masła, połcie słoniny wisiały u powały, kilkanaście długich kawałków płótna bieliło na zielonej łące, czysto było i schludnie wszędzie, mała Marynia podrosła i rumianą, tłustą śmiała się twarzyczką, wełny z owieczek piękne były zbiory na kilka świt w domu, gęsi stado liczne pływało na sadzawce, młode swego chowu jałóweczki biegły wieczór obok poważnych krówek z paszy, słowem, znać było wszędzie rękę i oko pracowitej gospodyni.

Nie pytał wprawdzie Michał wiele, ale zobaczywszy Paranię taką sobie zawsze cichą i zajętą, zadumał się i uczuł wdzięczność dla dziewczyny. Samota już posiwiał, nie tyle chodzić mógł co dawniej koło gospodarstwa i widocznie potrzebował Parani, nie mógł się obejść bez niej. Michał zabrał się do pracy, szło wszystko jak z płatka, Bóg zdarzył lata szczęśliwe i dostatek był w chacie Samoty, a nie jeden biedny korzystał z tego, bo oba Samoty byli dobroczynni a Parania opiekunką wszystkich potrzebujących.

Nie długo spodziewał się już Michał abszydu, myślał, że już nie porzuci swej roli i wkrótce się ożeni. Zdawna już rodzice jego, a osobliwie ciotka Katarzyna raili mu bogatą we wsi jedynaczkę, co jeszcze dzieckiem była gdy wychodził do wojska, a teraz młodą, ładną, hożą dziewczyną widywał to w polu, to w karczmie; honorne to było i pyszne dziewczę, a takich jak ona korali, takich jupek nie miała żadna dziewka we wsi. Zdaleka ją widywał Michał a ona białe ząbki szczerzyła zalotnie gdy wiedziała, że się patrzy na nią, bo jego piękna postać i piękne trzy grunta umiały się podobać honornej

jedynaczce, ale Michał nie zbliżał się, jakoś mu było nijako, niekiedy smutno, coś zpoważniał i zamyślał się młody Samota.

Cicha, małomówna, pracowita Parania zajechała do serca młodemu, ale nigdy jej o tem nie mówił, a choć nieraz miał już wielką chęć, a możeby byłby i rad rozkochać biedną sierotę, której cnota i dobroć tak mu się podobały, ale nie miał odwagi, bo Parania zawsze była tak poważna dla niego, mało z nim mówiła, rzadko kiedy na niego spojrzała, roboty swej nie porzucała gdy był przy niej, tak jakoś umiała panować nad młodym swoją skromnością, że mimowolnie musiał ją szanować, bał się jej zrobić przykrość i milczał, ale w duszy myślał sobie coraz częściej:

— Ożenię się z Paranią.

Nie tak to było łatwo ożenić się z Paranią i wiedział o tem Michał Ojciec jego chociaż lubił i cenił sierotę, ani nie pomyślał nigdy o tem aby syn jego, dziedzic trzech gruntów mógł się ożenić z ubogą służącą, on dla syna myślał o bogatem ożenieniu z Anną honorną, a Paranię jakby się jej co trafiło wydałby, sprawiłby wesele, pobłogosławił i podarował wiano. A familija cała, a ciotka Katarzyna zakrzyczeliby wszyscy jak jeden na niego za takie dziwo, a Michał był dobry, uległy syn... a wiedział nawet, że ojciec umawiał się z rodzicami Andzi... Dumał Michał, nic nie gadał i smutny był, a przecie myślał coraz częściej: „Ożenię się z Paranią.“

A cóż Parania? Parania by za nic w świecie nie sprowadziła frasunku i gniewów w chacie tatusia Samoty, za nic w świecie nie chciałaby lubić syna swego dobroczyńczy bez błogosławieństwa ojcowskiego, nie chciałaby różnić z nim rodziny ani płacić niewdzięcznością Samocie za to, że ją sierotę przygarnął. Biedna Parania! głęboko kryła w sercu, że się przywiązała do Michała i nikt o tem nie wiedział ani domyśleć się nie mógł, nawet sam Michał. Anioł stróż tylko niósł gorętszą modlitwę niewinnej, dobrej sieroty do nieba i widział jej żal. Pracowała jak zawsze, służyła Samocie, nie miała czasu na smutek ani na kochanie, krzątała się, pot oblewał jej czoło, i czyste miała przed Bogiem sumienie. Ludzie coraz więcej gadali o zrękowinach Michała z Andzią, a ciotka Kata-

rzyna cieszyła się, że się upije na weselu i że Parania pójdzie precz z chaty, jak nowa wejdzie gospodyni. Biedna Parania!

Uważał Michał niechęć ciotki do sieroty i ledwie mu serce nie wyskoczyło z jakiegoś uczucia zemsty za sierotę, uważał i słuchał jak mu wszyscy kładli w uszy ożenienie i tylko odkładał a odkładał, bo abszydu jeszcze nie było. Tymczasem wojna wybuchła między naszym cesarzem a Prusakiem, wszyscy poszli i ci co się nie spodziewali już — i Michał poszedł.

O jakże mu ciężko było na sercu, zdawało mu się, że zostawia pół życia i pół świata w tej chacie ojcowej, gdzie cicha, smutna sierota została na gospodarstwie, a tam wojna taka krwawa, tyle ludzi ginie i nie wraca!...

Gdy Michał wychodzić już miał z chaty ojcowskiej i pokłonił się ojcu do nóg a stary zapłakał nad nim, to Parani tak się ścisnęło serce, tak wszystka krew uciekła z lica, taki strumień rzucił się z oczu, że wybiegła z chaty w ogród, przypadła do grządki barwinku, który pielęgnowała na wieniec ślubny dla Michała i szlochała głośno zakrywszy twarz fartuszkiem. Michał wybiegł z chaty, chciał się z nią pożegnać, szukał jej z bijącem sercem, i obaczywszy przy barwinku łkającą, przyskoczył i zawołał:

— Paraniu bywaj mi zdrowa! Jak mi Bóg miły, będziesz moja!...

I zniknął, a w uszach mu szumiał płacz sieroty, serce mu dziwnie grało na nutę żale i radości, bo przekonał się, że go Parania kocha.

Parania usłyszała tak nagle głos Michała, tak rzewnie płakała, tak prędko znikł, że słów jego prawie nie zrozumiała i zdawało się jej, że jej się przysłyszały. Tą razą nie poszła do swej roboty jak zwykle, serce jej potrzebowało pociechy, pobiegła ścieżką na cmentarz na groby rodziców, tam uklękła i modliła się... zwierzyła rodzicom swój smutek, prosiła ich, aby dla swojej sieroty ubłagali łaskę niebieską, wypłakała się serdecznie, zmówiła pacierz za duszę i już silniejsza otarłszy oczy wstała, ucałowała krzyże, na których zawsze świeże wisiały wianki i wracała powoli.. pod cerkwią zatrzymała się jeszcze, jeszcze raz się pomodlić chciała. Prosiła Boga, aby

wrócił Michał szczęśliwie, prosiła dla siebie nie o szczęśliwą dolę, aby została jego żoną i bogatą gospodynią, o nie, Parania nie myślała o tem, ani śmiała prosić o to, ale prosiła o miłosierdzie i łaskę, aby mogła żyć uczciwie i pracować z czystem sumieniem, aby umiała znosić wszystkie swoje sieroce smutki a nawet krzywdę ludzką, ofiarowała Bogu swoje ciche łzy i przyrzekła sobie cieszyć się z szczęścia drugich i z szczęścia Michała, gdy wróci i ożeni się, a samej ile sił służyć coraz lepiej Bogu i ludziom. Pokrzepiła ta modlitwa sierotę, była już spokojna i pocieszona, a z nieba niby promień pociechy, upadł na nią różowy blask zachodzącego słońca.

Kilka smutnych miesięcy ubiegło znowu w powszedniej pracy. Ileż cierpiał Samota i Parania, gdy wszyscy żołnierze z wioski pisali do swoich z pola krwawych bitew, a od Michała nie było ani słowa; ileż cierpieli znowu, gdy jesienią powracać zaczęli jedni zdrowi, drudzy kalecy, o innych były wieści, że poginęli, a Michała nie było i wieści nie było! A cóż dopiero gdy jakaś głucha wiadomość krążyć zaczęła, że Michał nie żyje!... Biedny siwy staruszek, biedna Parania!

Jednego wieczoru siedział Samota w chacie na ławie i ciężko wzdychał. Parania krzątała się koło wieczerzy, stary widać mocno był zmartwiony, już wszyscy wrócili, już dawno po wojnie.

— Michał pewnie nie żyje... — przemówił naraz i zaszlochał rzewnym płaczem...

Parania nie mogła wytrzymać, przysunęła się do staruszka, przyklękła u kolan jego:

— Tatusiu, może Bóg dobry pocieszy.. może Bóg pozwoli, jeszcze syn wasz wróci i będziecie go błogosławić... — a głos jej przerywany był stłumionym płaczem i tuliła się jak dziecko do Samoty.

Samota przygarnął dziewczynę i zdawało mu się, że rodzone dziecko przygarnia. Dawno już zwierzył był całe gospodarstwo Parani i potrzebował sam coraz więcej jej usług miłych, widział coraz więcej jej poczciwość, uważał nawet smutek niekiedy, i przywiązał się do sieroty. Nieraz myślał o tem, jakby mu przykro było oddalić ją z domu po ożenieniu syna, albo wydać

gdzie za mąż, ktoby mu tak doglądał, ktoby tak szczerze zrobił wszystko; postanowił sobie nawet nigdy jej już nie puszczać, choćby i synowa nie chciała i nie dałby jej krzywdy zrobić nikomu..... Teraz kiedy biedny starzec lękał się, że nie ma syna, kiedy przestał już robić zabiegi o jego ożenienie, Parania mu była rodzoną córką... a gdy rozpłakał się na ławie a ona się przytuliła do niego i także płakała i cieszyła go, przyszła mu jakaś serdeczna myśl, że gdyby tylko Michał wrócił, gdyby tylko Pan Bóg zachował mu dziecko, szczęśliwy byłby mieć ich oboje koło siebie, i wolałby Paranię biedną nazwać synową choć biedna, ale widać kochać musi Michała kiedy płacze za nim, jak tę honorną Annę, co jej nie lubił Michał, a co teraz ma kawalera od czasu jak się dowiedziała, że nie ma słychu o Michale O gdyby tylko wrócił ten syn kochany..... bierz licho bogactwo i korale Anusi, Parania by uszanowała jego włos siwy, gospodarstwoby ślicznie prowadziła... O gdyby tylko wrócił ten syn opłakany! I snać Pan Bóg taką myśl dobrą dał do serca staruszka.

W tydzień po tym wieczorze, w niedzielę po nieszporach Samota wróciwszy z cerkwi zastał w domu swojego Michała...

Co było radości, co się zeszło ludzi i sąsiadów, jak się krzątała Parania nie śmiejąc spojrzeć na Michała, jak szczęśliwy był młody, choć mu brakowało palca u ręki, jak się spiła ciotka Katarzyna, ktoby to wszystko spisał?

Michał już wrócił na zawsze do domu wolny od wojska, familja zaczęła go znowu swatać i w starosty wysełać, ale on widząc jak ojciec w dobrym zawsze humorze i chwali Paranię, nabrał otuchy i powiedział mu, że nie chce innej żony tylko Parani, stary mu pogroził palcem ale uśmiechnął się i przyzwolił chętnie. Sierota nie spodziewała się swojego szczęścia i wierzyć mu nawet nie chciała i sama z rumieńcem wstydu na twarzy perswadowała ojcu i synowi, że ona biedna, familja i ciotka Katarzyna nie będą jej lubić i pogniewają się, że ona nie chce sprowadzać żadnego frasunku Samocie i Michałowi.

— Dziewczyno, jesteś uczciwa — rzekł stary Samota — byłaś mi córką nie służącą, wiernieś mi gospodarstwa dojrzała, robocza jesteś a to więcej znaczy jak majątek. Michał dzięki

Bogu ma dosyć swojego, nie potrzebuje oglądać się za wianem żony, ja cię trzymałem do chrztu, twój poczciwy nieboszczyk ojciec nieraz frasował się o swoją sierotę, gdy leżał w ostatniej chorobie i mawiał do mnie: „Kumie, pamiętajcie o tej odrobinie.“ Nie zapomniał ja mu tego i daję synowi sierotę, żeby go szanowała, robiła i na chwałę Boską w dom mi wniosła cnotę i spokój. Niech was Pan Bóg błogosławi!

Płakała biedna Parania i czyste miała sumienie przed Bogiem, bo ona nigdy nie pragnęła bogactwa, nigdy nie pokazała Michałowi, że go lubi i nigdy nie pozwoliła mu ani jednem słowem miłośnem obrazić jej cnoty i oszukać ojca. Płakała i z obawą prawie za tak wielkie szczęście dziękowała Bogu.

Co za bunt powstał w rodzinie Samoty!...

— Co! ta żebraczka, ta zawłoka, ta z cicha pęk! — wołała podpita ciotka Katarzyna — jabym jej pozwoliła nazywać się ciotką! jabym na jej wesele poszła? O to się dorobiła, o to opanowała starego i młodego, o to wymajstrowała... Syn mojego brata, pierwszy gospodarz we wsi żeni się z służącą..... wstyd, hańba, kto do niego pójdzie? a gdzie pojedzie w gościnę na święta, na odpust, na chrzciny! kogo zaprosi do siebie, kiedy ona nie ma nikogo, tylko macochę obszarpaną?

Nie mogła sobie dać rady biedna ciotka Katarzyna.

W parę tygodni wyszły zapowiedzie, a za każdą szmer po cerkwi rozchodził się między ludźmi. Biedni wzdychali dziwując się Samotom i zazdroszcząc Parani, bogaci pośmiechiwali się z pyszna i przez ten cały czas jeszcze nie jedna złość ludzka wycisnęła łzy biednej Parani.

Będzie temu miesiąc jak się odbyło wesele w Samotowej chacie, gości było huk, bo dużo jeść i pić dawano, familja się jakoś przeprosiła, tylko jedna ciotka Katarzyna nie przyszła choć kilka razy proszona, aż nareszcie stary Samota zgniewał się na prawdę i plunął. W kilka dni jednak po ślubie, zapach wódki przywabił ciotkę, przyszła nachmurzona i nie gadała do Parani, a upiwszy się rozpłakała się z żałości wielkiej nad takiem nieszczęściem i zasnęła pod stołem.

Honorna Anusia wybiera się za innego.

Macocha bardzo zadowolniona i pyszna z swojej pasierbicy gospodyni na trzech gruntach, rozpowiada co się nakłopotała, nim wychowała Paranię, że to dobra dziewczyna i Pan Bóg ją nagrodził.

Stary Samota szczęśliwy, spoczywa często, chodzi codzień do kościoła i błogosławi swoje dzieci. Młode małżeństwo kocha się serdecznie, pracuje szczerze i dziekuje Bogu. Xiądz proboszcz po ślubie przypomniał Parani, co jej mówił na pogrzebie ojca gdy była dzieckiem:

— Obaczysz, że cię czeka szczęście i nagroda niebieska!

Ja patrzę z bliska na to wszystko, bywam u Samoty i w cichości proszę Boga, aby nasze dziewczęta naśladowały cnotliwą Paranię! *B. E.*

Rady gospodarskie.

Podaje Juljusz Ligoń ze Szlązka.

Każdemu człowiekowi jest jakby przyrodzoną chęć powiększenia swego mienia, chęć zbogacenia się. Dobre mienie i bogactwo są ważnym środkiem do umysłowego kształcenia się ludzi i w ogóle postępu. Majętny i ukształcony stan rolniczy jest podstawą całego narodu Z tych powodów i dlatego celu, nie od rzeczy będzie przypomnieć najgłówniejsze zasady, czyli prawdy gospodarcze, stwierdzone przez rozumnych gospodarzy, które Jan Gregorowicz, pisarz w Warszawie spisał, a które w skróceniu dla czytelników „Dzwonka“ podaję. Najważniejszą rzeczą dla gospodarza jest dobytek. Dobytek można powiedzieć, jest to fabryka gospodarcza, i on najwięcej bogaci rolnika. Albowiem gdzie wiele bydła, tam wiele gnoju, tam i dobry plon. Dlatego powiadają starzy:

Gdzie pełno w oborze,
Tam pełno w komorze.

Lecz nie dosyć na tem, aby gospodarz trzymał wiele bydła; powinien on także karmić je dobrze, ażeby z niego miał i gnój dobry, robotę sporą, pożytek wszelaki i przychowku dosyć. Więc nie samą słomę i plewę bydełku dawać,

należy także siano, koniczynę, wykę, kartofle albo inne warzywo, bo jak mówi przysłowie:

Gdzie karma w samych plewach,
Tam chudzina w chlewach.

Nadto gospodarz w obrządzaniu się swem około dobytku, winien mieć na baczeniu, żeby koń, bydlę, owca i trzoda miały pod sobą sucho, na sobie czysto, przed sobą, w żłobach i korytach porządnie i schludnie, bo:

Dozór, czystość, suche spanie,
Za pół karmy bydłu stanie.

Nadewszystko pamiętać należy, że dobry gnój bez dobrej paszy w żaden sposób być nie może, bo:

Jak z samej wody nie nawarzysz piwa,
Tak z lichej paszy tłusty gnój nie bywa.

Starając się o nawóz, rozważ jakiego wymaga twoja rola, a mianowicie, że słomiasty nawóz w piasczystym gruncie suszy rolę, a przegniły nie rozkrusza gliny, a więc powiadają starzy:

Na ścisły gliniasty,
Dobry gnój słomiasty,
A na piasczysty,
Przegniły maścisty.

Po urządzeniu gnojowiska poznać gospodarza: więc się staraj, żeby takowe nie wydawało złego o tobie świadectwa. Urządź je zaś tak: Obierz miejsce suche, zasłonione ile można od południa budynkiem albo drzewiną, dla wody deszczowej poröb odcieki, żeby do gnojowiska nie zachodziła i gnoju nie wypłukiwała, gnój z obory i stajni za każdem wyrzuceniem równo układaj, gnojówkę miej także na pieczy, urządź dla niej stosowny dół i polewaj nią pilnie gnojowisko. Zresztą zbieraj wszystko z podwórza i domu, coby inaczej zmarniało:

Więc popiół z ogniska,
Kępiny i mrowiska,
Spłuczyny i domowe śmiecie,
Na nawóz zdadzą się przecie.

Gdy wywozisz nawóz w pole, masz go zaraz zarzucić, niebawem brać pod skibę, osobliwie przegniły, bo marnieje bez przyorania. Trzymać na polu gnój długo na kupkach, jest bardzo źle, bo słońce i wiatry wysuszą. Dlatego powiadają:

Jak przykryjesz gnojem rolę,
Ładuj potem pługi w pole.
Gnoju w polu nie przybywa,
Lecz co chwila go ubywa.

Maszli grunt mokry, powinieneś się starać o osuszenie, bo mokra rola chleba nie da:

I pracy człeka tam szkoda,
Gdzie na roli stoi woda.

I to jest wielkie marnowanie, kiedy kawał ziemi dla mokrości nic człowiekowi nie przynosi, a dałby dobry urodzaj, byle go jak należy osuszyć. Przeto też gospodarz powinien choćby mu z tego nic nie przyszło, pomódz sąsiadowi do odprowadzenia wody, a to już z tej przyczyny, iż zasłania bliźnich swoich od straty, a z takim też jest błogosławieństwo Boże:

Kto od szkody broni braci,
Temu stokroć Pan Bóg płaci.

Do siewu powinno się brać ziarno ciężkie, zdrowe i czyste, czyli sucho zebrane, zdrowo przechowane, dobrze oczyszczone. Nakoniec dopomóż roli pilną uprawą,

I orz głęboko,
Aby żytko rosło wysoko,
I dokładaj usilnej pracy,
Bo bez pracy nie będzie kołaczy.

RÓŻNOŚCI.

Oszuści. Temi dniami przyjechał do Lwowa pewien wieśniak z synem, który miał się stawić do wojska. Kiedy tak ojciec i syn trapią się asenterunkiem, przychodzi do nich jakiś człowiek i powiada, że on synowi wyrobi uwolnienie. Ojciec i syn dali się namówić, a ów człowiek przyprowadził z sobą dwóch innych, z których jeden niby miał być doktor wojskowy a drugi cesarski komisarz. Ci obaj wzięli ojca i syna do osobnej izby, tam kazali synowi się rozebrać, oglądali go i powiedzieli, że jest niezdatnym. Potem kazali sobie dać za to ojcu 32 reńskich i dwa reńskie jeszcze na stępel na świadectwo. Jakoż napisali świadectwo — ale gdy uradowany ojciec chciał się niem wykazać przed asenterunkiem, pokazało się, że to wszystko było oszustwo! Tak to biedny wieśniak przepłacił swoją łatwowierność!

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XVI.

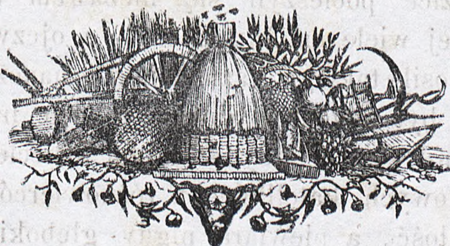


Nr. 15.

21. maja

1867.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Śmierć św. Stanisława Kostki.

Święty ten młodzieniaszek, syn zamożnej polskiej rodziny, jeden z naszych wielkich patronów — od dzieciństwa już jak niebieski jaśniał kwiatek wonnym blaskiem miłości Bożej i anielskiej niewinności. Anielska to była zorza dziecinnego wieku, anielski prawie żywot i śmierć w 18tej wiośnie dziwnie święta.

Dany z bratem na nauki w obcej wielkiej stolicy, opuścił wszystkie rzeczy i mądrości świeckie i pełen tylko smaku rzeczy niebieskich – poszedł do Rzymu, i tam do Zakonu imienia Jezus wstąpił; skromny i ubożuchny braciszek, choć ojczyste gniazdo jego złotem niegdyś mu świeciło.

Wkrótce, pomimo latek młodziutkich zadziwiał starą świątobliwością swego życia, duchem bardzo gorącym, który ledwie z młodego nieraz ciała nie wyrwał się i nie uleciał do nieba. Do najlichszych posług najskorszy, św. Stanisław był zawsze najpokorniejszy, najniższy, a grzechu śmiertelnego, jak powiadają opisujący żywot jego poważni mężowie, podobno nigdy nie popełnił.

Kochał bardzo najświętszą Pannę, modlił się za ojczyznę i rodziców, których opuścił, i modlitwa jego pewnie była skuteczna, bo rodzice pocieszyli się niebawem drugim synem, z którego pierwej wiele smutku mieli — a ojczyźnie miłej, kto wie czy nie uprosił takiego kaznodzieję i nauczyciela swojego Zakonu, jakim był złotousty Skarga i wiele innych; kto wie czy nie przyczynił się, że gdy w całym świecie krew się lała w wojnach domowych katolików i różnowierców — w Polsce był pokój i miłość, a niewiara nigdy głębokich korzeni nie zapuściła.

Pewnego dnia słuchał św. Stanisław z innymi młodymi towarzyszami ćwiczącymi się w Zakonie pięknego kazania, w którem kapłan gorliwie kładł do serca młodym, aby tak żyli każdego dnia, jak gdyby ten dzień miał być ostatnim w życiu. Po kazaniu rzekł Stanisław do braci swoich:

— Bracia, to był dla mnie głos Boży, bo tego miesiąca jeszcze umrę.

W cztery dni później odwidził z drugimi śliczny kościół Panny Marji w Rzymie i rozmawiał z nimi o święcie Wniebowzięcia Marji, które nie długo nastąpić miało.

— Wierzę — rzekł wtedy — że to wielkie święto obchodzić już będę w niebie. Ujrzę Marję, ukochaną Matkę moją, ukoronowaną na królowę nieba, wyniesioną wysoko nad chóry anielskie i tak blisko Boga postawioną, i radować się będę u nóg Jej. W święto Marji umrę, Ona mnie otworzy podwoje wieczności.

I młodzieniec prosił Boga o tę łaskę przez przyczynę Marji... Wielką łaską Boską za żywot czysty, wielką przyczyną najświętszej Marji Panny, otrzymał wiadomość swej śmierci i święto Marji za dzień tej śmierci.

W kilka dni po tej mowie jego dostał wieczorem gorączkę i chociaż była niewielka, był jednak pewny śmierci. Leżąc na łożu mówił:

— Ach Marja mi to uprosiła, że uświęcę Jej chwalebne Wniebowzięcie w niebie!

Jeszcze w wilję Wniebowzięcia, słabość była mała, a nikt nie chciał wierzyć słowom Świętego. Zaledwie południe minęło,

śmiertelne mdłości przyszły, zimny pot wystąpił a siły uszły. Złożony na ziemi jak pokutnik, przyjął anielski młodzieniaszek przenajświętsze ciało i krew Pańską, wiatyk konających, a wszyscy zalewali się łzami patrząc na niebieską radość jego, z jaką witał wniesiony do pokoju i przyjmował przenajświętszy Sakrament.

Oblicze jego pałające miłością Bożą podobne było do Serafina. Nieustannie poglądał słodko w obraz Marji i całował go wzdychając:

— O Matko! o Matko moja!

— Ach bracie — rzekł do niego jeden z ojców — jakże się cieszyć będziesz gdy ją wkrótce w niebie powitasz!

Stanisław wzniósł ręce do góry i powiadają świadkowie, że miał widzenie Marji. Z jutrzenką dnia Wniebowzięcia, oddał ducha swego, rozjaśniony i tak święty, że świętość biła z oblicza widomie. Umierał z okiem w niebo zwróconem i z obrazem Matki Boskiej na piersiach.

I my choć wiedzieć nie możemy, kiedy umrzemy jak ów święty polski młodzieniec, wiemy wszakże, że umrzemy i to prędzej niż mniemamy a w chwili niespodzianej, żyjmyż tak jakbyśmy każdego dnia umrzeć mieli. „Błogosławiony on sługa, mówi Chrystus Pan, którego Pan przyszedłszy gotowym znajdzie.“ *B. E.*

Jaś i Basia.

JAŚ

Pójdę pszeniczkę wiązać we snopki,
I poukładam żyto w półkopki,
A jak mi się kwiat nawinie,
To go zerwę, dam dziewczynie,
Hejże-ha!

Moja Basiunia to kwiat dziewczyna:
Liczko jej płonie by jarzębina —
Oczko modre! jak niem rzuci —
To się słonkiem świat ocuci,
Hejże-ha!

*

Moją Basiunię wezmę za żonę,
Boć jej serduszko dla mnie stworzone;
Kupię srebrne dwa pierścieńce,
Ustroję-ć ją w strojne wieńce!
Hejże-ha.

Jakże nie błyśnie w ślubnym wianeczku!
Jak nie zawinie ze mną w taneczku!
Stanik w kwiaty, wstęgi sute!
U mnie buty na cal kute,
Hejże-ha!

O! i w rąbeczku będzie jej ładnie,
Fartuszek w stanie przypasze składnie;
Da! na wszystkie świata strony
Nikt nie znajdzie takiej żony.
Hejże-ha!

Konie na trawę puszczę w dąbrowie,
W Dunajku Baśce rybek nałowię,
A choć wejdę na głębinę,
Umiem pływać, toć przepłynę.
Hejże-ha!

BASIA.

Pójdę ja zżynać trawkę zieloną,
Zaspiewam sobie pieśń ulubioną,
Com spiewała Jasieńkowi,
Memu wielce kochankowi —
Da-dana!

Oj! Jasiu — Jasiu! często mnie smucisz.....
Może ty biedną sierotkę rzucisz,
Co tak kocha, tylko ciebie,
Boś ty słonko w mojem niebie —
Da-dana!

Oj! tam, w olszynce siwe gołębie,
Zawdy siadają w parce na dębie.....
Jeden sfrunął w głąb' olszyny,
Nie zrób ze mną tak, jedyny!
Da-dana!

Skowronek spiewa, jak w górę leci,
Ja ciebie Janku! kocham rok trzeci —
Lata sroczka, dzióbkiem kiwa,
Będę kochać póki żywa —
Da-dana!

Oj! wieje wiatr po jarzębinie,
Moja uroda i młodość ginie,
Ginie młodość i uroda,
Prędzej ginie jako woda —
Da-dana!

Choć woda pójdzie, przypłynie woda,
Ale nie wróci nigdy uroda;
A mnie coś tak w duszy nuci,
Że się serce me zasmuci.....
Da-dana!

Pójdę pod wieczór w gęszcze olszyny,
Będzie miał drogi Jasio maliny.
Niech się co chce ze mną stanie,
Me kochanie nie ustanie —
Da-dana!

Siadła Basia przy Dunajku na kłodzie,
I ujrzała kapelusik na wodzie..
— Ach! utonął mój Jasieńko — nieboże,
Tylko jego kapelusik nie może...

Chciał nachwytać ryb w Dunajku — nachwytać
I poszedł się na dno o nie zapytać...
Ach! utonął mój Jasieńko — nieboże,
Tylko jego kapelusik nie może..

Nikt nie dzwoni mu z kościółka — nie dzwoni,
Ale każdy nad mogiłą łzy roni;
Xiądz nie wyszedł, nie zagrały organy,
Smutnież skończył mój Jasieńko kochany!...

Idź do wody i ty wianku! — do wody,
Nic mi z ciebie ani z mojej urody;
Zgiń, przepadnij, mój ty wianku ruciany!
Już nie żyje mój jedyny — kochany...

Za żoneczkę dostał rybkę płoteczkę,
Na wesele sprosił trzcinę i ziele.
O! mój Jasiu — nieszczęśliwy Jasieńko,
Przemów do mnie sieroteczki słoweńko!..

Już go kryje wilgna ziemia — ach! kryje,
Mój jedyny — me stokrocie nie żyje...
Oj! wyrośnie na tem miejscu choina,
Oj! zapłacze po Jasieńku rodzina..

Oj! gwoździczki tu wyrosną — gwoździczki,
I zapłaczą mego Janka siostrzyczki...
Oj! wyrośnie mu na grobie róży kwiat,
Oj! zapłacze mego Janka cały świat.

J. G.

POGADANKI NIEDZIELNE.

IV.

O znakach niebieskich, gwiazdach spadających i kometach.

Zaledwo ciekawa gromadka ludzi zebrała się na zwykłe niedzielne posłuchanie przed domkiem nauczyciela, gdy jakiś wyrostek odezwał się z pośrodka:

— Kiedym był na jarmarku w Jaśle, to mnie się spytał jakiś od waszeci, co kupował odemnie kartofle: wiele mam lat? Ja mu odpowiedziałem, że na św. Józef będę miał 16, a on na to: „widać to po tobie, żeś się musiał rodzić pod planetą, co się baranem nazywa?“ Dlaczego on tak mówił, proszę pana nauczyciela?

Roześmieli się wszyscy z chłopaka, co to prawił, i co w samej rzeczy dosyć na barana wyglądał; ale nauczyciel siedzący na ławce odpowiedział:

— Ha! ów kupujący kartofle poznał, żeś się w miesiącu marcu urodził, i dlatego ci tak powiedział.

— A! prawdziwie, że wtedy się rodziłem, ale zkądże to wiadomo było jemu, albo i panu?

Znowu w śmiech cała gromada z nierozgarniętego Jóżka; a nauczyciel rzekł:

— A! wszakże sam powiedziałeś mu, że na św. Józef skończysz lat 16, czyli w miesiącu marcu, w którym ten Święty przypada.

— Ale dlaczego pod baranem? — zapytał znowu zacięty chłopak — ja się tak poczciwie rodziłem jak każdy inny, a nie pod żadnym baranem — dodał prawie na wpół z płaczem.

Tu już śmiech do rozpuku powstał w całej gromadce, że nawet i nauczyciel nie mógł się wstrzymać od niego; ale odezwał się uspakajająco:

— No, no, mój chłopcze, nie martw się, ja ci to zaraz wytłumaczę. Wszyscy to prawie wiecie, moi sąsiedzi, bo każdy z was pewnie umie zmiarkować z gwiazd godzinę nocy; wszyscy to wiecie, powiadam, że jedne z tych gwiazd maszerują z wolna pojedyńczo na niebie z zachodu na wschód, a drugie trzymają się kupy i także w tę samą stronę postępują. Przypomnijcie tylko sobie te siedm gwiazd, co to je wozem nazywacie, lub owe baby, a przyznacie, że są gromadki gwiazd, co się nie rozłączają od siebie, tylko ciągle razem z sobą wypływają w górę i nikną na dole nad ranem, a przynajmniej naszym oczom się tak zdaje, że idą to na górę lub na dół; ale rzeczywiście to tylko ziemia nasza i my z nią odbywamy bieg w przestrzeni kulistego sklepienia. Bo przypomnijcie sobie tylko, jak jedziecie szybko wozem to zdaje się, że ziemia, zboże lub drzewa w lesie uciekają za nami, a to tylko my od nich uciekamy, a one w miejscu stoją. Tak też to się wydają i gwiazdy, że uciekają od nas, a to tylko ziemia z nami od nich ucieka; choć też i te gwiazdy mają swój bieg, ale w tej ogromnej przestrzeni nieba trudno go prawie dośledzić.

Otoż te gwiazdy ruszające się po niebie nazywają się także planetami; takich gromadek gwiazd, czyli z łacińska konstellacyj, jest dwanaście: znały je już dość dobrze starożytne narody, jak Egipcjanie i Grecy, i w nocnych swoich podróżach nauczyły się niemi kierować. Znajdują się te zbiory gwiazd w przestrzeni w tem kole, czyli kręgu, po którem ziemia około słońca bieży. Dwanaście gromad tych gwiazd rozłożone są od siebie w równych dwunastu odstępach, a przez to stosują się bardzo dobrze do dwunastu miesięcy, bo właśnie

tyle miesięcy potrzebuje ziemia, aby obiedz raz około słońca. Ale oczom ludzkim się wydaje, że to słońce w swym biegu przechodzi przez te dwanaście gromad gwiazdowych, i że aby przebiedz od jednej do drugiej, potrzebuje jednego miesiąca. Że zaś te gromady nazwano oddawna na podobieństwo zwierząt, to jest koziorożcem, wodnikiem, rybami, baranem, bykiem i tak dalej, więc też kiedy naprzykład gromada gwiazd zwana koziorożcem pokazuje się na niebie w miesiącu grudniu, to powiadamy, że słońce wstępuje w znak koziorożca, choć rzeczywiście nie słońce to wstępuje, ale nam się tak zdaje na ziemi, która wtedy ma gwiazdy koziorożca nad sobą. Dawni Egipcjanie, mieszkający w dalekich, ciepłych krajach, bardzo stosownie od zwierząt nazwali te gromady gwiazd czyli znaki niebieskie. I tak, kiedy oni zobaczyli u siebie słońce najwyżej na niebie w miesiącu czerwcu, to gromadę gwiazd, co się przez ten miesiąc pokazywała po zachodzie słońca (na wschodniej stronie nieba) nazywali koziorożcem, bo zwierzę to także w tych krajach na najwyższych górach się pokazuje. U nas, co mieszkamy tak daleko od Egiptu, ta sama gromada gwiazd pokazuje się o sześć miesięcy później w grudniu. Ztąd też grudzień u nas ma znak koziorożca. Dalej, w Egipcie w miesiącu lipcu wody rzeki Nilu wylewają się z brzegów i po opadnięciu zostawiają muł, co jest bardzo dobrym nawozem dla roli; więc też gromadę gwiazd, co tam się pokazuje na niebie przez wszystkie nocy tego miesiąca, nazywali przez wdzięczność dla wód wodnikiem; u nas ta gromada gwiazd pokazuje się na niebie dopiero w miesiącu styczniu; a więc także o sześć miesięcy później. W sierpniu w Egipcie najkorzystniejsza jest pora do łowienia ryb, bo wtedy już wody z rzek opadły; więc też gromadę gwiazd sierpniową nazwali tam rybami; na naszej części nieba przypadają te gwiazdy w miesiącu lutym. We wrześniu, kiedy już w Egipcie ziemia od wylewu wód oschła i kiedy można już było wyganiać na paszę trzodę i owce; więc też nazwali tam baranem wrześniową gromadę gwiazd, co się u nas pokazują w marcu. W miesiąc później w październiku, już i bydło rogate znajdowało tam dostateczną paszę na polu; więc też bykiem nazwali Egipcjanie

gwiazdy pokazujące się w tym miesiącu; u nas te gwiazdy pokazują się w kwietniu, zawsze później o sześć miesięcy. W listopadzie następowało w Egipcie kocenie kóz; dlatego też nazwali tam gromadę gwiazd tego miesiąca koźlętami; u nas przezwane bliźniętami przypadają w miesiącu maju. W grudniu, kiedy tam słońce się zwracało od góry na południe, jakoby cofając się niby rak, więc też zwrot ten i gwiazdy pokazujące się nocami wtedy gromadką, nazwano rakiem, co u nas przypada w czerwcu, po przesileniu się dnia z nocą, kiedy dnie coraz już krótsze. W styczniu najsilniejsze upały panują w Egipcie, dlatego też styczniową gromadę gwiazd oznaczono lwem, bo zwierzę to tylko w gorących krajach mieszka; u nas dopiero lipcowe gwiazdy tak samo lwem nazywają, bo też u nas w lipcu największe bywają gorąca. Że u Egipcjan w miesiącu lutym rozpoczynają się żniwa, więc też miesiąc ten ma za znak dziewczynę, czyli pannę ze snopem w ręku. U nas panna także przodkuje we żniwa, ale aż dopiero w sierpniu, bo wtedy to słońce wstępuje w znak panny. Jesienne porównanie dnia z nocą przypada u Egipcjan w marcu, dlatego też, że wtedy długość dnia z długością nocy się waży, dano tam za znak marcowi wagę; u nas zaś waga przypada w miesiącu wrześniu, bo wtedy jest u nas jesienne porównanie dnia z nocą. W kwietniu na egipskiej ziemi co rok najwięcej panują zjadliwe choroby, i dlatego bardzo trafnie temu miesiącowi nadano tam za znak niedźwiadka, co kąsa zjadliwie. W naszych stronach słońce wstępuje w znak niedźwiadka w miesiącu październiku. Nareszcie, że u Egipcjan panują w maju najgwałtowniejsze wichry, co pędzą jak strzała; więc też gromadę gwiazd, co się w tym miesiącu pokazuje tam nocami na niebie, odmalowano w postaci strzelca ze strzałą; u nas przypada to w miesiącu listopadzie — także w sześć miesięcy później.

Tak więc począwszy od stycznia, wszystkie nasze miesiące wraz z gromadami gwiazd, co przechodzą w ciągu roku na niebie, mają takie znaki gwiazd czyli planet: wodnik, ryby, baran, byk, bliźnięta, rak, lew, panna, waga, niedźwiadek, strzelec, koziorożec. A że gromada gwiazd czyli planet zwana baranem przypada, jak widzimy w marcu, czyli że słońce

wtedy w znak barana wstępuje, więc też bardzo słusznie na jarmarku Józkowi ów jegomość powiedział, że się urodził pod planetą baranem. Widzisz więc mój chłopcze, dodał nauczyciel z uśmiechem, żeś się nie miał czego tak martwić z tego barana. Powinienem was tylko ostrzedz moi dobrzy sąsiedzi, żebyście nie wierzyli owym bajdom, co to są zapisane w pokątnych xiążeczkach, przedawanych przez wydrwigroszów, a gdzie to z planety, pod jaką się kto rodził, różne wróżby i przepowiednie fałszywe ludziom robią. Przy pomocy Bożej i dobrej woli ludzkiej, poczciwi zostaną poczciwymi i szczęśliwymi bez podobnych kłamliwych wróżb.

— Wczoraj wracałem wieczorem od kopania kartofli do domu — odezwał się uważny na wszystko Sajenka do nauczyciela — i widziałem proszę pana kilka gwiazd, co leciały jak złote sznurki w powietrzu i nad ziemią niknęły. Proszę pana, co to może znaczyć? czy to doprawdy gwiazdy spadają z nieba?

— One się tylko czyszczą — przerwał Rospendek — sam widziałem nieraz w trawie coś białego, trzęsącego się niby nazimne (galareta); jak to wziąć do ręki? Powiadają, że to jest oczyszczenie gwiazdy.

— Tak nie jest — odpowiedział nauczyciel — boć przecie słyszeliście już odemnie, że najmniejsza gwiazda jest większą od naszej ziemi, więc jakżeby się taką drobnostką oczyścić mogła, jak to jakieś nazimne, co z czego innego pochodzi. Ale abyście inaczej sądzić mogli o tem niby spadaniu gwiazd, to trzeba wam najprzód czegoś więcej jeszcze się dowiedzieć o gwiazdach. Otoż na owych wysokich, wspominanych już przezemnie gwiaździarniach, albo z łacińska obserwatorjach, astronomowie kolejno przez szkła powiększające patrzą w niebo dzień i noc, i uważają pilnie, co się z gwiazdami w przestrzeni dzieje. Przez takie spostrzeżenia i przez wiadomości jeszcze dawnych Egipcjan i Greków przekonali się ludzie, że jedne gwiazdy poruszają się z miejsca i idą dalej w świat, zataczając ogromne koła, a drugie obracają się prawie w miejscu, niby nasze słońce. Tamte ruszające się nazwano planetami, bo one tak jak nasza ziemia, co także jest planetą, krążą około słońca; a te drugie niby stale w miejscu będące nazywają się, jak to

już poprzednio napomknąłem, gwiazdami stałemi, to jest takiemi słońcami jak nasze, a około których także krążą inne ziemie, inne xiężyce. Takich gwiazd ruchomych czyli planet poznali już astronomowie dwadzieścia kilka i każda z nich ma swoje nazwisko; niektóre z nich 30 razy są odleglejsze od słońca niż nasza ziemia i potrzebują sto lat czasu, aby obiedz raz na około słońca. Inne planety mają rok swój krótszy, bo tylko w ciągu 80 lub 200 dni obiegają słońce.

Gołem okiem widzimy zaledwie parę tysięcy tych gwiazd stałych, to jest słońc niebieskich, ale przez teleskopy naliczono ich przeszło 80 miljonów, moi kochani! A wieleż to jest i takich, których przez żadne szkła dojrzeć już nie można, i których wielkie roje na owej mlecznej drodze znajdować się muszą! A teraz więc sami się zastanówcie, czy te niebieskie twory ogromne, o miljony razy większe od ziemi, mogłyby spadać lub jakoś tam czyścić się? Nie! zaprawdę; astronomowie jeszcze dobrze nie odgadli, co znaczy niby to spadanie gwiazd. Domyślają się jednak, że to muszą być jakieś świecące się ciałka niebieskie, czyli meteory, co to nieraz z hukiem rozbijają się w powietrzu; ale nigdy one nie są gwiazdami temi ogromnemi, z których każda zdruzgotałaby całą ziemię, gdyby na nią upadła.

— A teraz bez urazy, jeszcze nam się jedno należy od pana nauczyciela – odezwał się Skiba.

— Cóż takiego, mój bracie? — zapytał nauczyciel

— A o kometach z ogonami, proszę łaski pańskiej.

— A! prawda — rzekł nauczyciel — więc posłuchajcie. Że komety z ogonami nieświadomych ludzi tak straszą, to najprzód dlatego, że się rzadko pokazują na niebie; bo jedne wracają co lat kilka, kilkanaście, a są i takie co regularnie w kilkadziesiąt lub w kilkaset lat dopiero powrócą w to samo miejsce, gdzie już dawniej bywały. A że astronomowie zapisują sobie regularnie ich bieg, kształt i zjawienie się za każdą razą, więc też przepowiedzieć mogą, kiedy się znowu która z nich pokaże. Otoż komety są to takie same planety jak nasza ziemia i tak samo krążą około słońca; tylko niektóre z nich zataczają o miljony mil większe od niej koła. Składają się one tak samo

z ogromnej kuli jak ziemia i mają swoje powietrze mgławe niby chmury na około siebie. Kiedy się kometa zbliża do słońca, wtedy powietrze mgławe rozprasza się z tej strony, gdzie promienie słońca dochodzą i tylko z tyłu się wlecze niby miotła jaka lub niezmierny ogon mglisty, czasem i na kilkadziesiąt miljonów mil długi. Jak kometa odejdzie sobie precz od słońca w dalekie przestrzenie, to obłoczki te ogarniają ją znowu dokoła i przestają być ogonem. Komety takie krążą po niebie i we dnie, tylko ich światła nie widać, bo je tłumi słońce jaskrawszą swoją światłością. Każda kometa jest ognistą roztopioną kulą, czyli że składa się z palących się gazów, to jest z płomieni takich, jak naprzykład kiedy złoto roztopione na ogromnym ogniu dopóty się pali, aż całkiem uleci żółtym płomieniem. Tak samo też mocno roztopiona siarka zamieni się w gaz, który niby para ulotni się, uciecze w powietrze, a z siarki na tyglu nic nie zostanie. Widzimy tedy, że gaz jest to ciało tak samo ciężkie i stałe, jak naprzykład siarka, ołów, złoto i t. p., tylko przez wielki ogień wyparowane w powietrze. Za czasem gazy takie mogą znowu stwardnieć, jak też już wiele komet stwardniało i zamieniło się na planety podobne do naszej ziemi. A trzeba wam wiedzieć, że i ziemia nasza, nim się stała mieszkalną i dla roślin, zwierząt i ludzi, była niegdyś taką wrzącą, ognistą, gazową kulą, ale o tem wytłumaczę wam na przyszły raz moi kochani. Tu tylko dodam na zakończenie, że jak widzicie, nie ma się czego i komet i ich ogonów lękać, boć są to takie twory niebieskie jak ziemia lub xiężyc, a że tam krążą i błyszczą i wleką niby to ogromne ogony, to nie czynią nic więcej, tylko spełniają wolę Bożą, która wszystkiemu na świecie ważne dała przeznaczenie, ale nie tak, żeby wielkie te twory niebieskie ciemny ludek zastraszyć miały! Domyślają się też wszyscy astronomowie, że nie tylko ziemia, ale i słońce i xiężyc i gwiazdy i wszystkie planety przeznaczone są do noszenia na sobie stworzeń żyjących.

PIĘKNA KSIĄŻECZKA.

Wyszła temu niedawno książeczka z ślicznemi obrazkami, którą napisał dla ludu wiejskiego Grześ z Mogiły, wasz dobry znajomy i przyjaciel, ten sam, który to tyle pięknych powiastek, wierszyków i nauk napisał do „Dzwonka.“ Książeczkę tę z serca wam polecamy do czytania. Ma ona taki tytuł: „Prawdziwa historja lat młodych Antoniego Kostura.“ Abyście poznali, co się w tej książeczce mieści, wypisujemy wam tu z niej kilka karteczek.

Oto ten Antoni Kostur, którego historja jest w tej książeczce opisana, tak opowiada o swojej służbie u mądrego gospodarza Tomasza, co miał chatę w lesistej puszczy:

„Raz spałem jeszcze bardzo smacznie, kiedy mnie Tomasz obudził.

— Wstawaj Antku — rzekł półgłosem — pójdziemy na kośbę.

Przetarłem oczy, patrzę, jasno na izbie; zerwałem się więc czemprędzej, myśląc, że już dobry ranek. Lecz gdzież tam, to xiężyc zaglądał tak do izby i mogło być dopiero po północy. Spojrzałem więc pytającym wzrokiem na Tomasza, co on zobaczywszy rzecze:

— Nie dziw się mój chłopcze! Noc miesięczna do kośby najlepsza; w chłódku zwija się człowiek raźnie. Za to w południe, podczas spiekoty, będziesz mógł spać sobie jak zabity pod brogiem.

Takiem się był już wezwyczaił do roboty, że mi Tomasz nie potrzebował dwa razy jedno mówić. Toć i teraz choć rozespany, rzuciłem na siebie czemprędzej płótniankę, a Tomasz dał mi kobiałkę z chlebem i sérem na ramię, gdyż sam wziął fuzję od wszelkiego wypadku, poczem zabrawszy kosy i osełki do ostrzenia, wyszliśmy z domu. I byłem wnet bardzo rad, że idziemy, bo pierwszy to raz miałem kośby spróbować, a mogłem już wziąść się do tej pracy, bo choć szesnastoletni, rosły byłem i bardzo tęgi w sobie.

Noc była prześliczna; xiężyc świecił jak rybie oko i dokoła panowała cichość tak głucha, żeś mógł słyszeć chrupnięcie najdrobniejszej suchej gałązki za każdem stąpnieniem. Chłodny wiaterek przeciągał po nad lasem i zrazu było mi zimno, lecz

po pewnym czasie rozgrzała się krew chodem i cieplej się zrobiło. Szliśmy kawałek brzegiem tego samego potoczka, po którym ja do Tomasza trafiłem, a potem wzięliśmy się na prawo wązką dróżyną.

— Zimno jest trochę i wilgotno — odezwał się Tomasz. Nie długo mógłby człowiek wytrzymać bez słońca, bo to miesiączek, światło niby daje ale nie grzeje, więc nicby przy nim żyć i rosnąć nie mogło.

Zmiarkowałem ja z tych słów Tomasza, że chce gawędkę podczas drogi rozpocząć, jako że lubił bardzo często o Bożym świecie i o życiu różnych stworzeń rozpowiadać, czegośmy z Basią z wielką ciekawością słuchali. Zapytałem więc:

— A czemuż to słońce koniecznie do życia potrzebne?

— Dużoby o tem mówić — rzekł Tomasz — ale pokrótce powiedziawszy, słońce dlatego jest do życia niezbędne, że najprzód ogrzewa ziemię i wszystkie stworzenia na ziemi, jak troskliwa kokosz pisklęta skrzydłami, a potem, że przekonali się ludzie, iż bez światła słonecznego, żadne ziółko rosnąć nie potrafi. Uważałeś pewnie, że jeżeli w ciemnym lochu pietruszka lub marchew wypuści listeczki, to są bardzo blade i wątłe, a choćbyś je tam okopał i podlewał, to ci inne nie urosną, chyba w tem miejscu, gdzie choć trochę światła zachodzi, bo światło słoneczne jest niezbędnie dla roślin potrzebne.

Nie chciałem ja od razu temu wierzyć, więc odezwę się:

— Toć przecież rośliny ze światła ani z powietrza się nie żywią, tylko z ziemi; więc cóżby im to szkodziło, czy jest słonko na niebie czy nie, byle tylko ziemię miały.

Tomasz nie odpowiadał przez chwilę; znać namyślał się, jak mi tu najkróciej a najzrozumialej odpowiedzieć. Uszliśmy z kilkanaście kroków znowu pośród głuchej ciszy, aż wreszcie Tomasz tak się odezwał:

— Wszystkie stworzenia Boże, czy to ludzie, czy zwierzęta, czy też rośliny, jak drzewa, zboża trawy; trojakiego potrzebują pokarmu: ziemi, wody i powietrza Człowiek żywi się zbożem lub jarzynami wyrosłemi na ziemi, albo też mięsem takich zwierząt, które trawę jedzą i to jest pokarm ziemny człowieka. Oprócz tego ma człowiek często pragnienie, które

tylko woda dostatecznie ugasić potrafi, jakoż bez wody i trzech dni przeżyćby nie mógł Również potrzebnem, jak pożywienie z ziemi i woda, jest też powietrze dla życia człowieczego. Zdaje się nie jednemu, że jeśli stanie w czystem polu, to prócz ziemi pod nogami a nieba nad głową nic nie ma koło niego; tymczasem jego otacza wszędzie rzadsze od wody ciało, powietrze, które czujemy jako wiatr, kiedy drzewa ugina a czasem i wyrywa. Musi więc to powietrze byś czemś, to jest ciałem tak jako woda i ziemia i nie może być niczem, skoro ma tak wielką siłę jako wicher. Otoż to powietrze jest trzecim pokarmem człowieka, bo jeśli zamkniesz usta i nos, to wnet się zaczniesz dusić, a człowiek ziemią przysypany, albo po prostu choćby pierzyną mocno przygnieciony wnet się zadusi, dlatego, że oddychać, to jest powietrza wciągać nie może.

— Ależ tu słońce nic do tego nie ma — przerwę ja Tomaszowi.

— Tylko poczekaj, a wnet wyrozumiesz — odparł Tomasz i tak ciągnął dalej:

— Do przyjmowania pokarmów z ziemi, to jest chleba, jarzyn lub mięsa, ma człowiek żołądek i wnętrzności; żołądkiem i wnętrznościami przyjmuje toż samo wodę, lecz do przyjmowania powietrza, jest w piersiach człowieka zupełnie inna część, to jest płuca. Płucami oddycha człowiek czyli połyka i oddaje niezbędne do życia powietrze. Tak samo jak człowiek potrzebuje i każde inne zwierzę do życia ziemi, to jest innych zwierząt lub roślin na ziemi wyrosłych, wody i powietrza, jednego mniej drugiego więcej; każde zwierzę ma też tak jak człowiek żołądek i płuca, choć różnie to tam u nich wygląda. Zdziwisz się atoli, jeśli ci powiem, że nie tylko zwierzęta, lecz i wszelkie rośliny potrzebują do życia ziemi, wody i powietrza, a jeszcze bardziej zdziwisz, usłyszawszy, że i rośliny mają niby żołądek i płuca. U człowieka i u zwierząt są przyrządy do przyjmowania pokarmów, do trawienia i wreszcie do oddychania w środku ciała; z wierzchu więc tego nie widać. U roślin zaś są te wszystkie przyrządy na wierzchu, lecz trzeba długo się przypatrywać i długo uważać, jak ja stary się przypatrywałem, ażeby rozpoznać co do czego w roślinie jest przeznaczone.

Ciekawość wielką wzbudziły we mnie te ostatnie słowa Tomasza; kiedy więc przestał mówić na chwilę, prosiłem go, aby do reszty mi o tych rzeczach opowiedział.

— Otoż widzisz, korzeń u rośliny jest tak jak gęba i żołądek u zwierzęcia; za pomocą korzenia tkwiącego w ziemi ssie roślina wodę i rozpuszczone w wodzie pokarmy ziemne i bez tego żyć nie może; bo jeśli wyrwiesz kwiatek z korzeniem z ziemi, to wnet zwiędnie i zeschnie. Ale i bez powietrza nie mogłaby żyć roślina, gdyż potrzebuje oddychać za pomocą listków, które są u niej jak płuca u zwierzęcia. Ułam świeżą gałązkę z drzewa i włóż ją do flaszki, a potem nalej wodą, to się przekonasz, że liście oddychają, bo zobaczysz jak się z nich małe bańki powietrza na wierzch wody wydobywać będą. Lecz dwojakiem powietrzem oddycha człowiek i inne zwierzęta, dwojakiem też powietrzem oddychają rośliny. Czyste powietrze wciąga człowiek w płuca, nieczyste zaś wydycha; u roślin zaś jest przewrotnie, gdyż one to nieczyste powietrze przez zwierzęta wydychane wciągają w swe listki, wydychają zaś niemi powietrze czyste zwierzętom do wciągania potrzebne. Możesz atoli teraz uważać i nieraz to pewnie uważałeś, że powietrze w lesie w dzień jest zupełnie inne, orzeźwiające, w nocy zaś, ot jak teraz, jest więcej duszące. A dlaczegoż to? Oto dlatego, że rośliny tylko w dzień to powietrze czyste ze siebie wydychają, to jest wtedy gdy słonko świeci; w nocy zaś wydychają rośliny tak jak i zwierzęta powietrze nieczyste ze siebie, a to jest powietrze do wciągania dla człowieka niedobre, powietrze takie, któremby człowiek się zadusił, gdyby mu dłużej oddychać przyszło. Cóżby się więc stało, gdyby słońca świecącego nie było na niebie? Oto rośliny nie mogłyby wydawać ze siebie czystego powietrza, więdłyby i gniły wydychając ze siebie nieczyste powietrze jak i zwierzęta; wnet zabrakłoby ludziom i zwierzętom czystego powietrza, ludzie i zwierzęta nie mogłyby żyć na tej ziemi.

Co dalej Tomasz opowiadał, to wam wypiszemy w drugim numerze.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

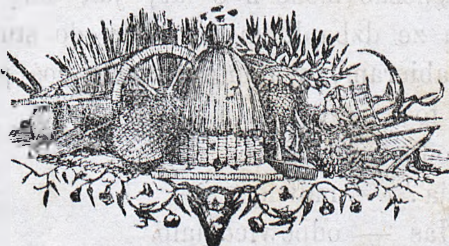
Tom XVI. Nr. 16.

1. czerwca 1867.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.





DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

SIEROTA.

Powieść z prawdziwego zdarzenia,

przez Skoczka z Radomyśla.

I.

Często się wydarza, że ludzie zbytnie ufają w znikomą zamożnośc tego świata, pysznią się swoim wyższym stanem, bogactwem, urodą lub nauką swych dzieci i chcieliby, aby tylko oni w świecie mieli znaczenie, a biednego, który z nizkiego stanu pochodzi, radziby jeszcze biedniejszym widzić i nie dać mu nigdzie głowy podnieść. Tacy źli ludzie zwykli mawiać: Ej! co tam! Biedny w gnoju się urodził to i w gnoju niech żyje. Ale ludzie dobrzy, co mają Boga w sercu, radzi widzieć, jak się to jaki chudak na coś znaczniejszego wygramoli. Nikt nie zgadnie, co na kogo przypadnie. Ja sam znałem takich, co to pochodzili ze znacznej familji, a sami i ich dzieci w niwec się rozprószyli — a znowu nie jednego znam, co z nędznej familji wyszedł na znakomitego człowieka. Nie jeden pan zeszedł na żebraka, a nie jeden dziadyga wyszedł na pana. Proszę jeno cierpliwie przemyśléć co ja tu opisuję, a

przekonamy się, jak to Bóg ubogiego z gnoju wyprowadził i z xiążętami na krześle posadził.

Miałem natenczas może z 8 lat, jak mię matka jednego wieczora posłała ze dzbankiem po wodę do studni. Pobiegłem i czemprędzej nabieram, w tem rusza się coś pod studnią.

— A któż to? — pytam.

— Ja — odpowiedziało.

— Co za ja? — mówię.

— To ja Jaś — odpowiedziało.

— A czyjżeś ty?

— Mamin i tatów.

— A gdzież twój tatuś i mama?

— Tatuś poszedł na flis, a mama na bandor (żniwo).

— Wstań i chodź ze mną do domu — mówię.

— Nie chcę do domu, bo tam las i wielka woda — odrzekł z płaczem.

Wziąłem go za rękę i przyprowadziłem do domu. Matka zaświeciła kaganek i przypatrywaliśmy się temu chłopcu. Miał może ze 6 lat i ładny był; czarniawy, gruby a obdarty, że ledwie się jedna łata drugiej trzymała, jeno pasik i kozik były całe. Matka się go znowu wypytywała, jak się zowie i gdzie jego tatuś i mama, a on tak jak i mnie odpowiadał. Jakeśmy mu wspomnięli o domu, to się zapłakał i o tym lesie i wodzie szeplenił. Domyśliwała się matka, że on musi być zkądś z za Sanu z lasów, może od Grębowa.

— Ha! niech ta sierota u nas zostanie do jakiego czasu — mówiła matka — bo nikt nie zgadnie, co na kogo przypadnie.

Zjadł z nami wieczerzę, potem go matka wymyła, wyczesała, dała mu świeżą koszulę, a ja tymczasem wyszukałem mu mojej niebieskiej kapotki, co była na mnie przyciasna. Zmówiłem z nim paciorek i zaprowadziłem go na moje łóżko.

Nazajutrz po śniadaniu, chłopak wystrojony z miejska przypasał sobie rzemyk z kozikiem i poszedł ze mną do szkoły. Profesor znowu się z nim wdał w rozmowę, ale się trudno było dowiedzieć zkąd on jest.

— On musi być zkądś z lasów, to go będziemy nazywali tymczasem Jan Lasowiak — mówił profesor.

Tak więc Jaś Lasowiak chodził ze mną cztery lata razem do szkoły. Zawsze to pamiętam, że przez te lata nie miałem dobrego kolegi jak był Jaś. Można mu było zrobić co chcieć na figiel, to się nigdy przed matką ani w szkole nie skarżył, do zabawy był jedyny, a piszczałki kręcić, klatki robić i ptaki łowić, to już tak nikt nie potrafi. W całem mieście nie było zuchowatszego chłopaka nad Jaśka. Jakeśmy w lesie pasali bydło, to Jasiek już nad nami przewodził. Jednego razu zwołał wszystkich pastuszków i mówi do nich:

— Chłopcy! między nami nie ma starszego, nam trzeba wójta, a który ma nim być?

Wszyscy krzyknęli:

— Ty Jasiu! boś zuch i najmocniejszy.

Mnie zrobił podwójciem i obaśmy siadywali przy ogniu, klatki strugali, a innym bydło nawracać rozkazywali. Jaś był zuchowaty do wszystkiego, tylko do książki niekoniecznie. Mógł się był przez cztery lata więcej nauczyć, ale on jeszcze się wykpiwał. Gdym ukończył w Radomyślu szkołę trywialną, dali mię rodzice do wyższych szkół do Rzeszowa, a on jeszcze w Radomyślu przez dwie zimy douczał się w niemieckiem. Dorósł już 16 lat, tak ojciec zmiarkował, że do nauki tępy, choćby i był w stanie dać go wyżej do szkoły, to nie wart było, bo Jaśka się jeno figle trzymały. Więc rodzice uradzili, żeby go posłać na mularkę do Warszawy, bo do tego miał apetyt, a tęgi chłopak miał po temu i siłę. Matka zładowała co mogła i wyprowadzając go do Wisły gadała mu:

— Jasiu! jesteś sierotą, nawet nie wiemy zkąd jesteś, nikt się o ciebie przez 10 lat nie dopytywał, chowałam cię razem z mojemi dziećmi na pociechę Bogu i pożytek ludziom. Idziesz teraz odemnie w świat, sierotko kochana, pamiętaj o sobie, mów pacierz co dzień, szanuj starszych i bądź zawsze pokornym. Może Bóg litościwy da ci znowu takich ludzi jak my byli dla ciebie, pamiętaj, abyś ich słuchał! Bądź zdrów, niech cię Bóg błogosławi! a pisz, gdzie się obrócisz!

Jasiek przeprawił się za Wisłę i poszedł w świat.

---

*

II.

W mieście Kraśniku, siedm mil od Radomyśla, przypada jarmark na Matkę Boską zielną. Wybrałem ja się przed trzema laty na ten jarmark, żeby jakie szkapiny kupić. Warta to widzieć ten jarmark, bo tam koni, bydła, żydów i kacapów jak much. Gdzie tylko jaka stajenka, to już kupcy na trzy tygodnie naprzód zamówią, że potem i noclegu dostać trudno. Łaziłem po mieście za noclegiem, ale ani rusz, wszędzie napchano, ale z jednej austerji już em nie chciał pójść, jeno mówię gwałtem do stróża, że się gdzie bądź przenocuję, a stróż pyta mię:

— Cożeście wy panie za jeden?

— Jestem mieszczanin z tamtej strony, za paszportem tu przyszedłem, żeby konie kupić — odrzekłem.

— Tak — mówi stróż — konie kupić? To macie ruble? a z rublami gdzie bądź nie można nocować, bo tu może więcej kupców na pieniądze niżeli na konie. Wam by trzeba wziąść osobną stancyją, ale jak ja ich tu mam 10 ponumerowanych, to we wszystkich jest po parę panów, w jednej tylko jeden pan, ale to widać nie podły, bo ma złoty galon na kołnierzu. Spróbuję ja pójść do niego, możeby was przyjął do swojej stancyji.

Wlazł stróż do tego pokoiku i zaraz wrócił z dobrą nowiną. Wszedłszy do tego pana pokłoniłem się pięknie, a on zaraz kazał siąść koło siebie przy stole, na którym ważył herbatę w mosiężnym garnku. Piękny to był mężczyzna, wąs mospanie czarny zawiesisty, a złota na kołnierzu, na rękawach, guziki, aż blask bił do światła.

— Zkąd i dokąd Bóg prowadzi sławetny sąsiedzie? — pyta mię.

— Zblizka, Wielmożny Panie, ot na jarmark — odrzekłem.

— Idą to tu ponoś ludzie zdaleka na ten sławny jarmark — mówił grzecznie.

— A czy Jaśnie Pan także na jarmark? — pytałem.

— Nie — odrzekł miłym głosem. — Ja jestem inżynier gubernialny z Lublina, objeżdżam wszystkie gościńce i mosty, które należą do budowli rządowych.

Ta jego mowa tak mię przejęła, żem się ośmielił pytać:

— A gdzież pan dawniej był?

— W Odesie — odrzekł.

— A dawniej? — pytam.

— W Petersburgu — odrzekł.

— A pierwej? — pytam.

— W Radomyślu — wymówił z płaczem — i już byłem w jego objęciach.

— Toś ty Jaś Lasowiak?

— Toś ty Skoczek?

Ściskaliśmy się i całowali zapłakani z radości.

— Cudzie nad cudy — mówię — prędzejbym się był śmierci spodział, niżeli ciebie widzieć do tego jeszcze takim panem. Myśmy cię już mieli za umarłego.

— Ja żyję — mówi Jaś — a wy tam jak się macie? Żyją twoi rodzice a moi dobrodzieje kochani?

— Matka umarła — odrzekłem — a ojciec dzięki Bogu pracuje zdrów.

— Jasiu! powiedz mi, czyś mię też poznawał?

— Jenoś się do stołu zbliżył — mówi — tom cię zaraz poznał, alem cię parę minut wytrzymał, czy też mię ty poznasz.

— Oj, poznałbym cię i na końcu świata — mówię. — Przecież my to jak bracia, razemśmy się chowali, z jednej ręki braliśmy chleb i jedna ręka nas chłostała. Czy pamiętasz Jasiu, jak ja to raz ukradł matce cwancygiera na gołębie a tyś bicie dostał.

— Jakby dziś, pamiętam to bicie — mówił z radością — a matka dość się na nas napłakała, bośmy byli zbytnicy. — Kochanku! pozwól niech twoją matkę moją matką nazywam, ona to dała mi wychowanie, bobym był gdzie w gnoju pozostał. Troszczyła się o nas i zawsze gadywała, że z nas nic nie będzie, a my jakoś za pomocą Bożą wyszli na ludzi, bo widzę, że jesteś porządnym mieszczaninem i mnie dzięki Bogu nie bieda. Jedno mi tylko dolega, że moich własnych rodziców nie znam. Biedni oni musieli być bardzo, kiedy mnie porzucili! Czy żyją, czy umarli nie wiem, ale przeczuwam, że może Bóg wszystko wiedzący kiedyś mi choć jedno z nich wyjawi. Wkrótce

myślę się udać do Galicji w okolice Bujanowa i Grębowa, bo ja ztamtąd muszę być rodem Zresztą czy w Galicji, czy w Polsce całej będę się dopytywał, choćby mię nie wiedzieć co kosztowało; może też Bóg da mi ich oglądać jeszcze! — mówił zapłakany Jaś, a potem pyta mię —Jakże ci się powodzi kochanku?

— Ja dzięki Bogu, jestem sobie dobrym gospodarzem i na mularce też paręnaście rubli zarobić mogę, ale ty Jasiu powiedz mi, jakim cudem wyszedłeś aż do złotego kołnierza?

— Popijajmy kochasiu herbatkę, a opowiem ci o mojem nieszczęściu i o szczęściu. Zasiedliśmy wygodnie przy herbacie, a Jaś zaczął opowiadać.

Co Lasowiak opowiadał, to będzie w przyszłym numerze.

Westchnienie do Maryji!

Maryjo! liljo! do Ciebie my ręce
Wznosimy, prosimy, przyjm modły dziecięce
I zanieś do Syna o Matko jedyna,
Maryjo!

Jak Tobie w żałobie i smutku pierś drgała,
Gdyś łkając, wzdychając pod krzyżem bolała,
Tak i my bolejem, pod krzyżem łzy lejem —
Maryjo!

Gdzie smutek, tam skutek Twa pomoc przynosi,
Ból goi, żal koi i ducha podnosi,
Toż we dnie i w nocy bądź nam ku pomocy
Maryjo!

Z niedoli, z niewoli i więzów szatana
Wyswobodź i obudź nas Matko kochana!
Do życia nowego w czyny obfitego —
Maryjo!

Anieli co w bieli z wieńcami na skroni
Bujają, spiewają śród blasku i woni
Niech proszą za nami, Twojemi dziatkami
Maryjo!

Dziewico! Rodzico dzieciątka Bożego,
Przez Ciebie nam w niebie przyczyna do Niego,
Boś Panna Ty święta, bez zmazy poczęta!
Maryjo!

Jakób F.

PIĘKNA KSIĄŻECZKA.

(Dokończenie.)

Pierwszy raz słyszałem ja o tem od Tomasza, a będąc ciekawy i na coś dalszego, rzekłem:

— No, to jedno powietrze! Ale cóż ma słońce do wody i do ziemi?

— A jeszcze więcej ma niż do powietrza! — odparł żywo Tomasz. Bo powiedz mi, zkąd rzeki wodę biorą?

— Z innych małych potoczków — odparłem.

— A zkąd te potoczki wodę biorą?

— Ze źródeł.

— Zkąd te źródła wodę biorą?

— Z deszczów.

— A zkąd deszcz wodę bierze?

— Z chmur.

— Ale zkąd chmury wodę biorą? — Zapytał wreszcie Tomasz.

Zamilkłem tutaj, bom nie wiedział, jak na to odpowiedzieć, czy z nieba czy zkąd? nie wiedziałem z pewnością.

— Aha, nie wiesz! — zawołał Tomasz śmiejąc się. — No to poczekajże, zrobimy inaczej. Powiedz mi, dokąd rzeki płyną?

— Do innych rzek większych — odparłem.

— A dokąd te inne rzeki płyną?

— Do morza, jak mówią ludzie.

— A dokąd woda z morza płynie?

— Do innego morza — odrzekłem, nie wiedząc już co mówić.

— Ale wszystkie morza mają brzegi i wszystkie są pełne, a przecież jak ty żyjesz i jak twój dziadek żył, to woda ciągle płynie a płynie bez końca, toż powinna już była dotychczas całą ziemię na kilka sążni wysokości zalać. Gdzież się więc woda z morza podziewa?

Zaczerwieniłem się od wstydu, lecz nic nie rzekłem, bom nie wiedział.

— Aha! nie wiesz! — zawołał znowu Tomasz. — Więc powiedz mi, co się stanie z wodą, jeśli garnuszek z nią w ciepłem miejscu, tak naprzykład na węglach żarzących postawisz?

— To się będzie gotować — odrzekłem.

— A jeżeli się tak długo będzie gotować i wygotuje, to cóż się w garnku zostanie?

— Jużci nic — zawołałem.

— A jeżeli ty weźmiesz trochę wody do garnuszka i postawisz ją na słońcu w południe, to co?

— To woda wyschnie i w garnku także nic nie zostanie — odrzekłem — miarkując sobie już coś w głowie.

— A gdzież się ta woda podziała przy gotowaniu i schnięciu? — pytał jeszcze dalej Tomasz.

— Przemieniła się w parę i poszła w powietrze — rzekłem.

— Dobrze — odezwał się Tomasz! — Wyobraź więc sobie morza i rzeki jak garnuszek z wodą, na który słońce świeci ogrzewając go; to z morza i rzek będzie woda wysychać powoli, czyli będzie się przemieniać w parę uchodzącą w powietrze. Wiesz atoli, że gdy para się w zimnem miejscu ochłodzi, naprzykład na szybie okna, to masz z niej znowu wodę, więc i owa para uchodząca z rzek i morza, chłodzi się w górze i robią się z niej chmury, któremi wiatry tu i tam poganiają. A skoro w jednej takiej chmurze więcej się wody nazbiera niż wiatry utrzymać zdołają, wtedy spada na ziemię deszcz, tak potrzebny i niezbędny dla pól zasianych i łąk. Deszcze bywają w górach najczęstsze i najmocniejsze. Otoż gdy w górach dużo wody z deszczów się nazbiera, wtedy wsiąka ona w ziemię szparami i rozpadlinami, zbiera się razem we wnętrzu gór, potem wytryska z nich jako źródełko i cieknie jako potoczek, z kilku takich potoczków bierze wodę rzeka, kilka mniejszych rzek dostarczają wody wielkiej rzece, która płynie do morza, a na tę wszystką wodę świeci znowu codzień słońce i ciągnie ją w chmury. Takie koło z góry na dół i z dołu do góry, robi

woda już od tak dawna, jak dawno świat stoi. A czyby się to wszystko mogło dziać, gdyby nie było słońca?

— Prawda! — zawołałem zdziwiony, wyrozumiawszy już wszystko.

— Zobaczysz teraz — odezwał się znowu Tomasz — jak wpływa słońce na ziemię samą, jako na trzeci pokarm roślin i zwierząt. Oto nie działa tu słońce samo przez się, ale działa przez powietrze i wodę, które jakeś widział, bez słońca istnieć by nie mogły. Powietrze i woda taką mają siłę nad skałami i kamieniami, że one wietrzeją i rozsypują się w ziemię. Bardzo powoli się to dzieje, lecz w długich latach uważałem ja nieraz, że i najtwardsza skała wietrzeje na powietrzu, a woda wymula z niej owe zwietrzałe cząstki i niesie na pola. Na taką ziemię z kamieni zwietrzałych powstałą, działa znowu deszcz i inna wilgoć ziemna w ten sposób, że niektóre cząstki z tej ziemi rozpuszcza i rozpuszczone korzeniom roślin za pokarm daje. Rośliny nie mogłyby żyć bez tego, a rośliny to przecież pokarm zwierząt, rośliny i zwierzęta to pokarm człowieka. Widzisz więc, ze bez słońca, to jest bez światła i ciepła, którem słońce sieje, nie mogłoby być najprzód czystego powietrza nie byłoby więc czem oddychać roślinom, zwierzętom i ludziom; bez słońca nie byłoby deszczu i rosy roślinom tak potrzebnej, nie miałby człowiek wody po źródłach i rzekach i nie mógłby żyć bez niej; bez wody wreszcie i bez powietrza nie mogłaby być ziemia urodzajną, nie rosłyby na niej żadne rośliny, a więc i pożywienia żadnego nie byłoby dla zwierząt i ludzi. Czyli krótko mówiąc, gdyby nie było słońca, nie mogłaby ziemia być taką jak jest dzisiaj, ze wszystkiemi stworzeniemi, które się na niej znajdują.

Przestał mówić stary Tomasz i chwilkę szliśmy spokojnie; nagle zapytał mię:

— Jeżeliś dobrze na to uważał, com ci tu powiedział, więc wytłumacz mi, dlaczego się rolę orze, chcąc żeby była urodzajną?

Nie spodziewałem się tego zapytania; pomyślałem więc małą chwilkę i rzeknę:

— Rośliny wysysają pokarm z powierzchni ziemi tak głęboko, jak długie są ich korzenie; gdybyśmy więc rzucili ziarno

na rolę niezoraną, zkąd się dopiero sprzątnęło, toby to ziarno nie miało się czem nakarmić we wyssanej roli. Na to jest więc orka, ażeby wydobyć na wierzch ziemię niżej leżącą, niż korzenie poprzednich roślin sięgały, gdyż tę wyrzuconą, surową lecz nie wyssaną ziemię, rozkrusza powietrze i deszcz, czyniąc ją zdolną do wykarmienia rośliny.

— Mówisz mój chłopcze jak z książki! — zawołał Tomasz uradowany.

— Ale ja jeszcze jednego nie rozumiem — odezwałem się.

— No, cóż takiego?

— Oto, wiem już, że bez słońca nie byłoby życia żadnego na ziemi, lecz myślę sobie przecież, dlaczego tylko światło słońca tak cudownie na rośliny działa, że one czyste powietrze ze siebie wydychają. A toż przecie takie światło xiężyca, jako oto w tej chwili, powinnoby także tak samo działać, bo jest niemal tak jasne jak słoneczne.

— Ho, ho, daleko mu do tej jasności! — zawołał Tomasz. — Światło xiężyca choćby najmocniejsze, jest tylko do połowy tak mocne jak dzienne światło słońca, gdyż nie jest ono światłem xiężyca właściwem, lecz tylko odbitem. Gdyby słońca nie było, toby i xiężyc nie świecił, bo słońce pożycza swego światła xiężycowi, dlatego jest to światło odbitem, jak naprzykład jasność pożaru łuną na niebie się odbija.

Nie rozumiałem ja, jak to słońce światła swojego xiężycowi pożycza, chciałem się więc wypytać o to starego Tomasza, lecz właśnie co stanęliśmy na sianożęci, a Tomasz się odezwie:

— No, dość tej gawędy, a teraz do roboty! Czy kosiłeś już kiedy?

— Nigdy jeszcze — odrzekłem.

— Więc się musisz nauczyć — rzekł Tomasz i powiesiwszy fuzję na gałęzi, kazał mi zdjąć kobiałkę ze siebie i rozpalić ogień, ażeby było weselej.

Chcąc wykonać polecenie Tomasza, odszedłem nieco w las i nazbierałem całe naręcze suchych gałęzi, a naobrywałem też i świeżej sośniny, żeby od niej jako od smolnej prędzej się zajęło. Była tego cała sterta; ukląkłem koło niej; a wydobywszy krzesiwko i hubkę chciałem już ognia wykrzesać, gdy nagle

pośród głuchej ciszy ozwał się niby śmiech głośny a niby rżenie, zupełnie takie same jak w owej nocy, gdym zbłąkany na dębie nocował. Przestraszyłem się więc bardzo, krzesiwo wypadło mi z ręki; mimowoli podniosłem rękę do czoło i przeżegnałem się.

— Cóż tobie takiego Antku? — zapytał się Tomasz, ładujący też obok mnie kosy.

— A czyście nie słyszeli, jak się gdzieś djabeł w starem drzewie rechocze — odrzekłem cały drżący.

— Gdzie, jaki djabeł? — zapyta Tomasz zdziwiony. Lecz w tej chwili jak na szczęście odezwał się ten sam śmiech, tylko jeszcze bliższy i głośniejszy.

— A co, a co! — poderwę ja czemprędzej, to albo djabeł albo rusałki kogoś łaskoczą.

— Ha, ha, ha! — zaśmiał się Tomasz spokojnie. — Jak widzę zabobonny jesteś mój chłopcze. To ani djabeł ani rusałki, jeno kulig, ptak wodny, gdyż ot zaraz jest moczar, gdzie sobie kuligi całą noc gwizdają.

Gdyby to nie był Tomasz mówił, byłbym może nie uwierzył, tak mi się do prawdy niepodobnem wydawało, aby ptaszyna prosta, taki mocny i śmiejący głos miała. Lecz trudno było nie wierzyć, kiedy Tomasz mówił; takiś tam w nim widział i rozum i bystrość i poczciwość.

— Strzeż się zabobonów mój Antku, bo to najstraszniejsze — rzekł mi jeszcze Tomasz — pamiętaj sobie, że człowiek tylko Boga i własnego sumienia bać się powinien, nie zaś jakichś marnych zmysłów. Ani djabłów, ani rusałek nie ma na tej ziemi; sumienie złemu człowiekowi przywodzi na oczy jego własne grzechy, a on myśli, że to djabły i inne straszne potwory. Uczciwy człowiek nigdy tego nie widzi, a jeżeli mu się nieszczęście jakie przytrafi, to nie zwala tego na złe duchy, tylko na własną nieroztropność, jeżeli sobie z nieuwagą postąpił.

— Ale dajmy już spokój gadaniu — dodał Tomasz żywo — rozdmuchaj ogień i bierz kosę do ręki, bo czas ucieka.

Wziąłem ja więc napowrót krzesiwko do ręki, skrzesałem ognia, rozdmuchałem, i wnet ze stosu gałęzi buchał wysoki płomień, że aż weselej zrobiło się człowiekowi.

Zaczęła się nauka koszenia. Tomasz nakazywał mi kosę w ręku mocno trzymać, żeby mi do nogi nie skoczyła i potem nią lekko machać, a zawsze w jednej mierze ku sobie. Nauka szła dość upornie i strasznie nierówno z razu się kosiło; lecz cóżby zaś człowiek nie zrobił, jeżeli ma dobrą wolę po temu. Tak i mnie coraz lepiej i coraz lepiej szło koszenie, a takem się zaciekł w tej robocie, żem ani pamiętał, kiedy się ranek zrobił i dopiero gdy mi koszula do ciała lepnąć zaczęła, a pot na czoło wystąpił, uczułem, że się południe zbliża. Zatrzymałem się więc chwilę i ostrząc kosę osełką, ujrzałem, żeśmy już większą połowę łączki skosili.

Gdy nam już słonko prosto nad głową stanęło, uczułem pewne znużenie w plecach i rękach, a prawie też odstawił kosę stary Tomasz i rzekł mi, że sobie odpocząć należy. Usiedliśmy więc pod brogiem zgłodniali i zmęczeni; chleb i sér z kobiałki tylko się migał, choć go sporo było; poczem rozciągnąwszy się na ziemi zasnąłem jak zabity. Tomasz tymczasem wypalił sobie fajeczkę i także się zdrzymał.

Po jakich dwóch godzinach odpoczynku, wzięliśmy się napowrót do pracy, a nie było jej już wiele, tak, że dobrze jeszcze przed wieczorem zwinęliśmy się het z całą łączką. I byłoby wszystko dobrze, gdyby nie świeża niespodzianka. Oto zbierając się do domu, poszedłem ja wziąść sobie płótniankę, leżącą pomiędzy młodą brzezinką, którą właśnie słonko mocno oświecało. Lecz ledwiem schylił po nią rękę, ukłuło mię coś powyż dłoni, jak gdyby tęgą szpilką. Odskoczyłem, patrzę, a tu żmija łebek do góry i szach, szach między trawę. Porwałem więc czemprędzej za kosę i dalejże ję po łebku, tak, że odpadł z kretesem.

Widząc to stary Tomasz, spojrzał na żmiję i kazał sobie czemprędzej rękę pokazać. Poniżej dłoni był znaczek, ale tak niewielki, że nawet jeszcze krew nie wystąpiła; ale Tomasz podniósł moją rękę, przytknął usta do ranki i wysysał jak mógł najmocnej, a potem skrzesał ognia i zapalił hubki kawałek.

— To trzeba wypalić — rzekł wreszcie.

Ja szarpnąłem ręką i wzbraniałem się, bo to nie bagatela palić żywe ciało. Lecz Tomasz rzekł mi żywo:

— Musisz sobie dać wypalić, bo żmija jadowita i mógłbyś mocno zaniemódz.

Przeląkłem się tego i podałem rękę, bo cóż było robić? Tomasz położył hubkę na ręce; krzyknąłem zrazu, a potem zacisnąłem zęby i aż podskoczyłem do góry, lecz wytrzymałem. Na miejscu ranki wypaliła się mała dziurka okropnie boląca; Tomasz wyszukał między trawą jakiś listeczek mięsisty, przyłożył go na ranę, a potem szmatką owinął, ściągając jak mógł najmocniej. Zimny listek ulżył mi na chwilę; wróciliśmy się więc do żmii, której łebek osobno się rzucał, a ogon osobno. Żmija ta, miarkując po głowie i reszcie ciała, była może na łokieć długa a na cal gruba i szara; wzdłuż całego zgrzbietu miała zygzak z wielkich, szarych, czworograniastych i okrągłych plam, zaś na łebku znak, niby trochę do krzyża podobny.

— A że też ta gadzina choć przecięta, tak się jeszcze rusza! — zawołałem, dmuchałem mimowoli na rękę, gdyż mi bardzo piekło.

— Poczekaj, zaraz ja jej tu doprawię — rzekł Tomasz, a schyliwszy się nad łebkiem odkręcił cybuch od fajki i zalał go sokiem tytuniowym. Rzeczywiście, po małej chwileczce przestał się łebek ruszać. Wtedy Tomasz podniósłszy go z ziemi, rzekł mi trzymając go w ręce:

— Przypatrz się temu łebkowi! Ta i jeszcze druga jadowita żmija, które się u nas czasem trafiają, jest na łebku tak jak i na całem ciele małemi łuszczkami pokryta; inne zaś nieszkodliwe węże mają na łebku dziewięć tafelek, większych od łuski, i po tem najlepiej można je od jadowitych rozróżnić. Lecz cóżeś ty tak pobladł? — zapytał nagle Tomasz patrząc mi w oczy.

Ja czułem już od chwili jakieś zamroczenie w głowie, więc rzeknę:

— Ot, nie wiem czemu, głowa mi się kręci.

— Więc chodźmy do domu, to przejdzie — rzekł Tomasz — rzucając łebek w trawę, niby spokojnie, lecz widziałem po jego twarzy, że był czegoś jakby zatrwożony.

Nie troszczyłem się wiele o to, że mi się w głowie kręciło, bo gorsza ręka spieczona. Zabrałem więc kosę na jedno

ramię, kobiałkę na drugą, a że i Tomasz był już gotowy, więc ruszyliśmy ku domowi. Dobrą chwilę szliśmy milcząco obok siebie, aż wreszcie zapyta się Tomasz:

— A co, kręci ci się w głowie?

— Nie, nic już — odrzekłem — bo i prawda, że oprócz bolącej ręki nic już nie było.

— Chwała Bogu! — zawołał Tomasz, oddychając głęboko.

— A to czemu? — zapytałem.

— Bo to nie drobiazg, jeżeli taka żmija ukąsi; mogłeś się był na dobre rozchorować, ale teraz już ci nic nie będzie.

Dziwiły mię te słowa Tomasza, bom sobie nigdy nie myślał, żeby żmija mogła być tak bardzo szkodną. A kiedym się zaczął o przyczyny i skutki tej jadowitości wypytywać, wtedy Tomasz tak mi jął prawić:

— Wszystkie prawie węże po naszych borach żyjące, nie są wcale jadowite, boć przecie nieraz i do chat załażą, nikomu nie szkodząc, a nasi ludzie mówią nawet, że grzech jest węża zabijać, choć to mądry zabobon, tak jak i wiele innych. Jużci pustota jest to zabijać węża nieszkodliwego, niewinne bardzo stworzenie, lecz żeby za to kara jaka lub zemsta czekać miała, to czysty wymysł ludzki. Strzedz się atoli należy przed żmiją jadowitą, jakąśmy dzisiaj zabili, bo ta jest bardzo niebezpieczna. Na szczęście rzadko trafia się ona w naszych lasach; ja widziałem ją dziś dopiero drugi raz, choć już od lat kilkunastu śród tej puszczy żyję. O wiele częściej widywałem w górach jadowite żmije i tam też nauczyłem się radzić na ukąszenie. W dnie gorące, osobliwie gdy człowiek jest zmęczony i zgrzany, szkodliwem jest bardzo ukąszenie żmiji. Po dwóch lub trzech pacierzach następuje zawrót głowy i to coraz mocniejszy, tak, że się człowiek na nogach utrzymać nie może, lecz upada. Rzadko się trafia, żeby ludzie umierali z ukąszenia, ale jeżeli ratunek nie jest spieszny, jak oto dzisiaj, to ciężką chorobę sprowadza. Żmija taka poluje osobliwie na myszy; po ukąszeniu jest mysz w stanie ledwie trochę się powlec, poczem zdycha. Wtedy żmija czołga się za nią i połyka ją całą, głową na dół. Samym żmijom ukąszenie nic nie szkodzi, nie szkodzi też i człowiekowi, jeżeli się do krwi nie dostanie i z nią nie pomięsza.

Dlatego też ranę taką bezpiecznie wyssać można, jeżeli wargi nie są skaleczone, bo i owszem, jad żmiji wzmacnia żołądek.

Słuchałem Tomasza z uwagą, choć mi rana mocno dokuczała. Jeszcze przed zachodem słońca zaszliśmy do domu. U wrót witał nas łysek radośnem szczekaniem i Basia spiewająca. Więc pierwszą rzeczą było, iż Tomasz kazał Basi przynieść trochę świeżutkiego niesłonego masła i posmarowawszy na szmatkę, przyłożył je na ranę, co mi wielką ulgę sprawiło.

Tomasz miał ten zwyczaj, iż każdego dnia wieczorem obchodził dokoła gospodarstwo, oglądając czy wszystko jest jak się należy. I tą więc razą choć zmęczony, kazawszy Basi czemprędzej gotować wieczerzę, wyszedł popatrzeć na swoją pracę, a że ja nie miałem już co robić, poszedłem z nim razem. Gdyśmy przechodzili koło ziemniaków, odezwał się Tomasz:

— Spóźniłem się trochę tego roku z ziemniakami, lecz że rola jest jarzynna i przeszłego roku tęgo wymierzwiona, a przytem lekka i przenikliwa, jak wszystkie tu na piaskach, więc się i tak powinny udać.

Potem idąc koło pastwiska położonego nad potokiem, wróciliśmy do domu, znalazłszy na polu wszystko w dobrym porządku. Z dziedzinca wstąpiliśmy do sadu, gdzie stało w kącie sześć pniów pszczółek, których Tomasz troskliwie pilnował. Wszystkie pnie były pełne, ostatnie pszczoły wracały jeszcze z lasów, miód niosąc i brzęcząc wesoło. I te stworzenka Boże, wracały na spoczynek po całodziennej pracy, wracały schronić się przed nocnym chłodem i rosą, aby znowu z wschodzącem słońcem rozpocząć dzień pracy.

I otoż jak tym pszczółkom, tak i mnie schodził czas w zagrodzie Tomasza. Pod jego łagodnym zarządem i doradą, pracowałeś spokojnie bez swarów i kłótni i nie wiedziałeś sam, kiedy się co zrobiło, taka ta praca łatwa była. Modlitwą rozpoczynałeś dzień i modlitwą kończyłeś, a jak te pszczółki brzęczą, tak ty znowu spiewałeś sobie wesoło przy pracy, aż się gdzieś w lasach rozlegało. Dzień był poczciwie przepędzony, więc i noc miałeś słodką i spokojną. Dzień i noc leciały po sobie tak prędko jak wieczorne błyskawice, co na pogodę wróżą; więc było mi w tem zaciszu leśnem tak miło, jak chyba tylko w niebie być może.“

Otoż tu macie na próbę kilka kartek z tej pięknej książeczki, co ją wasz przyjaciel napisał dla pożytku ludu polskiego. A takich ciekawości, jak w tych paru kartkach, jest pełno w całej książce. A do tego są w niej ładne bardzo obrazki. Książeczkę tę wydrukowali aż w Warszawie, a ztamtąd jej tutaj do Lwowa niebawem całą pakę nadeszlą. Więc jakby kto miał ochotę mieć całą książeczkę, to ją sobie będzie mógł potem kupić we lwowskicj albo jakiej innej księgarni.

RÓŻNOŚCI.

Co wstrzymało Stacha od przeklinania? Pewien pobożny i bogobojny gospodarz miał parobka imieniem Stacha, człowieka bardzo gniewliwego, który przy najmniejszej okoliczności klął straszliwie, że aż włosy powstawały na głowie; a że to był mimo tej wady pracowity chłopak, gospodarz starał się wszelkiemi sposobami, aby go od tego oduczyć.

— To być nie może! — rzekł pewnego razu Stach do gospodarza — abym ja się nie gniewał, kiedy mi wszystko na opak idzie, a ludzie i bydlęta czynią mi tyle przykrości.

Pewnego jednakże poranku gospodarz zawołał do chaty swego parobka i rzekł do niego:

— Patrzajcie-no Stachu, dam wam ot ten rubel nowiusieńki, jeżeli cały dzień dzisiejszy nie wymówicie ani jednego zaklęcia i nie będziecie się gniewać, choćby wam nie wiedzieć co się stało.

Parobek, któremu taka gratka nie zawsze się zdarzała, przystał z chęcią na układ.

Tymczasem drudzy parobcy, dowiedziawszy się o tym zakładzie Stacha, umówili się między sobą potajemnie, aby go jakimkolwiek sposobem rozgniewać, by tego rubla nie dostał; lecz choć mu cały dzień dokuczali, choć tylko co mogli wymyślić, to na złość robili, Stach przecie cały dzień wytrzymał i ani słówka nie pisnął, tylko się śmiał z ich zbytków.

Wieczorem tedy gospadarz dotrzymując słowa, wyjął ze skrzynki nowiutkiego rubla i dając Stachowi, rzekł do niego:

— Czyliż wy się nie wstydzicie, mój Stachu, żeście mogli zwyciężyć ten gniew i powstrzymać się od przekleństwa i obrazy Boskiej za jednego lichego rubla, kiedyście tego odmawiali, gdy was i Dobrodziej napominał i jam was prosił i powiadał, że to grzech i skaranie Boże za taką złość przyjdzie; a przecie nie chcieliście dla miłości Boskiej tego uczynić, co teraz zrobiliście za jednego rubla, jak jaki niewiara, coby i duszę swoją za grosz przedał?

Stach zawstydzony tą bogobojną mową gospodarza, przyrzekł poprawę i odtąd stał się o tyle łagodnym i cierpliwym, jak dawniej był gniewliwym i porywczym.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XVI.



Nr. 17.

11. czerwca

1867.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1, 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

SIEROTA.

Powieść z prawdziwego zdarzenia,

przez Skoczka z Radomyśla.

III.

(Dokończenie.)

— Kiedy zaszedłem do Warszawy — opowiadał tak Jan Lasowiak Skoczkowi dalej — robiłem tam za pomocnika przy mularzach. Inżynier od tej fabryki, nazwiskiem Żabiński, co był nawet przełożonym nad profesorami szkoły budownictwa, upodobał sobie mnie i wziął do siebie na usługi. Gdy się ten pan przekonał, że umiem czytać i pisać, ba, że się nawet po niemiecku rozmówię, kazał mi chodzić do szkoły technicznej, bo chciał, abym na człowieka wyszedł. Miałem u tego pana Żabińskiego wszystko jak u ojca — bo sprzyjał mi z całego serca, a był pan bardzo bogaty.

Ale na nieszczęście zamiast uciechy sprawiłem mu zgryzotę. Warszawa zwyczajnie wielkie miasto, dużo w niej złego i rozmaite pokusy; popadłem w złe towarzystwo i począłem się hultaić. Jednej nocy w szynku zrobiłem z moimi kompanami burdę, przyszła policja i wzięła mnie do aresztu.

W areszcie siedziałem za tę bitkę 48 godzin w kajdankach, a cztery dni czyściłem kryminał. Kiedy mię wypuszczono, nie śmiałem ócz pokazać memu dobrodziejowi, panu inżynierowi Żabińskiemu. Bo jakże było stanąć przed tym, który mię chował i niczego dla mnie nie szczędził. Wstydziłem się siebie samego, żeby mi się była ziemia rozstąpiła, toby było lepiej schować się, niż przeżyć takie męki, jakie ja miałem w mem sercu. Nie było innej rady, jak tylko wynieść się z Warszawy i szukać między ludźmi przytułku. Znalazłem we dworze na Podlasiu miejsce za pisarza i tam byłem trzy lata pod imieniem Augustyn Lebioda. Dobrze mi tam było, uskładałem sobie parę rubli, ale urzędnicy tamtejsi, ot jak Moskale, wzięli mię na kieł i oddali w sałdaty. Zagnali mię do Warszawy, gdziem dostał mundur i dowiedziałem się, że mój stary inżynier przeniesiony do Petersburga, a za kilka dni ruszyłem w pochód do dragonów pułku archangielskiego, aż nad białe morze. Pędzili nas szelmy Moskale na Moskwę. W Moskwie dostaliśmy innego oficera młodzieniaszka, co jak wypił dwa kieliszki araku, to już był bez duszy. Było nas w tym transporcie 150 chłopa, a między nimi ja byłem najuczeńszy. Oficer bardzo mnie lubiał, rozmawiał ze mną, a to taka była delikatna osóbka jak panieneczka. Nie był to Moskal okrótnik, jak to zwykle bywają szyzmatyki, ale pochodził z polskiej familji. Był księciem i nazywał się Marski. Żałował mię bardzo, że tak daleko mnie pędzą, i miarkowałem po nim, że byłby rad mojej ucieczce. Jużciż wiedział on, że Polakowi być żołdakiem moskiewskim to nieszczęście! Ale jakże tu uciekać! Ucieknę, złapią mnie, pójdę na śmierć — ale i oficerek mój pójdzie w Sybir. Biłem się z myślami, co mam robić. Ha! niech się wola Boża dzieje, kiedyśmy byli już tylko kilkanaście wiorst od Petersburga, napiłem się do oficera jeden, drugi i trzeci kieliszek araku. Mnie jeno trochę w głowie zaszumiało, a on się skuł i jak nieżywy usnął. Wtedy zmówiłem „Kto się w opiekę“, włożyłem oficerkowi 100 rubli do kieszeni i karteczkę z napisem: „Bądź zdrów książę! wymaż mnie z rejestru, jakom umarł w drodze“, a sam w nogi. Błąkałem się kilka dni po okolicy Petersburga, aż kiedym uważał, że mój transport

już za Petersburgiem, dopiero wszedłem w tę stolicę, kupiłem sobie piękne ubranie, zameldowałem się w policji, żem Jan Lasowiak, technik z Warszawy i prosiłem, żeby mi urzędownie przysłali moje świadectwa szkolne z Warszawy. Kosztowało mię to 50 rubli. Mieszkałem w hotelu z drugim technikiem Litwinem, a dowiedziawszy się o mieszkaniu mego starego inżyniera Żabińskiego, przedsięwziąłem pójść do niego i prosić o jaką radę. Pójdę do niego, myślałem, niech mi się już nawet wyrzeknie, aby mi tylko ten mój szkaradny grzech odpuścił. Pamiętam, że w wilję ruskiego Bożego narodzenia rano poszedłem do spowiedzi, a koło 11. godziny przed południem poszedłem do mego pana inżyniera. Gdym wszedł na schody, drżały nogi podemną ze wstydu — w tem poczciwy sługa inżyniera Paweł zobaczył mię i z wielkim krzykiem biegnie do drzwi.

— Jegomość, jegomość, nasz pan Jaś idzie.

Stary mało nie padł tak biegł do mnie.

— Boże! — wołał — to ty Jasiu żyjesz i nie zapomniałeś o mnie — nie klękaj przedemną, bo ja stary grzesznik, chodź, Bóg ci odpuszcza i ja ci odpuszczam, chodź Jasiu kochany, a mów prędko, gdzieś ty tak długo się obracał.

Opowiedziałem memu dobrodziejowi wszystko — Paweł dał suty obiad, na drugi dzień pisał pan Żabiński po moje papiery do Warszawy i znowu był moim ojcem jak przedtem. Zapisałem się na akademię i uczyłem się jeszcze dwa lata, a wszyscy profesorowie mnie uważali za krewnego pana Żabińskiego, to mi też dobrze było. Nauka aż rosła mi w głowie. Byłem najuczeńszy między akademikami. Jakoś w parę miesięcy pewien bardzo bogaty książę Marski, prosił mego pana o jakiego nauczyciela do dwojga dzieci do domu; mój pan mię tam wprowadził i uczyłem dzieci. Jakoś musiałem się tam dobrze popisywać, gdyż książę bardzo mię szanował, a księżna pani okazywała mi zawsze wiele grzeczności i świadczyła dobrodziejstwa. Książę dawał podarunki w dukatach, a księżna znowu suknie najmodniejsze. Miałem pieniądze, ubiory śliczne i wykręcałem się po książęcych salonach, krom duszy, gdyby szlachcic.

Pamiętałem jużcić, że ten oficerek, któremu uciekłem, Marski się nazywał i kiedy mi tylko mój pan powiedział, że będę uczył dzieci u księcia Marskiego, jakoś się zakłopociłem tem bardziej, że mi pan mówił o jego synie oficerze. To mię niepokoiło trochę, ale jakoś trudno się było wymówić; szło wszystko dobrze. Pewnego razu, gdym z książętami jadł obiad, mówi księżna do księcia:

— Trzebaby Zygmuntowi posłać ze 300 rubli do Archangelu na drogę, bo tędy będzie wracał i nas odwidzi na kilka dni, bo tak do mnie pisał.

— Masz ci go djable — myślę sobie — to ten! gdzież ja się tu podzieję, chyba trza będzie w domu zostać, zachorować, żeby się jako nie wydało, bo on mię od razu pozna, albo z księżną trzeba o tem mówić. Ej! najlepiej mu się nie pokazywać.

Jutro miał młody książę Zygmunt być już na obiedzie, a ja dziś się już rozchorowałem. Gdy przyjechał, miał bawić 14 dni, księztwo mu opowiadali, że tu u nas uczy dzieci jeden akademik Jan Lasowiak i bardzo mię chwalili.

— Cieszyłbyś się synu, gdybyś go poznał — mówiła księżna do młodego księcia.

Przysyłali po mnie lokaja, ale żem leżał w łóżku z zawiązaną głową, więc się wymawiałem. Potem przysłali po mnie powóz, żebym się nie zaziębił, alem się wymówił. Młodemu księciu bardzo się przykrzyło, więc lokaj przychodzi z karteczką od samej księżny, a ta pisze do mnie:

— Jeżli pan nie może do nas przyjść i memu synowi przyjemności zrobić, to mój syn pana odwidzi, a nie pogniewa się pan na nas?

Aż mię mrówki przeszły, gdym kartkę od księżnej przeczytał: On tu do mnie przyjdzie? myślę sobie, chyba ja do nich pójdę. Ej, nie! źle się to zrobi, niech on tu przyjedzie, w cztery oczy może rzecz ułagodzę. Ależ czegoż się bać, jego dusza prawdziwie dobra. Napisałem na prędce kilka słów do księżnej: „Nie jestem wprawdzie tak mocno chory, ale lekarz zabronił mi przez kilka dni wychodzić z mieszkania, gdyż łatwobym się mógł zaziębić. Jeżeli książę kapitan łaskaw mię

nawidzić, to bardzo proszę, będzie to zaszczytem a więcej jeszcze ulgą a może uzdrowieniem dla uniżonego Jana Lasowiaka.“ Moja karteczka dostała się w ręce księżnej. Ta przeczytawszy pokazała ją młodemu księciu. Oboje w głowę zachodzili, co mają znaczyć te moje słowa: ulga i wyzdrowienie — myśleli, że ja może w gorączce niezrozumiale piszę. Nie wyszło może dwie godziny, kiedym przez okno ujrzał przed mojem mieszkaniem powóz i młodego księcia. Lokaj szedł naprzód a książę za nim i już jest przy moich drzwiach. Zapukał zwyczajnie, ale jak mnie serce pukało, ledwiem nie zemdlał — otworzyłem drzwi, wchodzi książę. Zdjął zgrabnie białą czapeczkę, proszę go siadać a on do mnie po niemiecku: „Jestem kapitan książę Marski, przepraszam pana, że do niego przychodzę, albowiem mam obowiązek złożyć panu uszanowanie za prace, które masz z mymi małymi braćmi. Kogo ja to widzę? nie mylę się? a co? toście wy Lebioda, dragon Lebioda?“

— Ja jestem książę panie! — rzekłem — Bóg was tu sprowadził do mnie ubogiego sieroty, abyście uzdrowili chorego i pocieszyli bojaźliwego.

— Musiałem zostać w domu, aby wam się książę nie pokazywać, bałem się i boję się jeszcze, może mię szukają?

— Nie szukają cię, tyś umarł i pogrzebion — mówił książę ze śmiechem.

Słowo do słowa, kazał mi się książę zebrać i pojechałem z nim na obiad do księztwa. Przez kilka dni towarzyszyłem mu wszędzie, księżna byłaby mię w ramki wsadziła za to, że się syn tak ze mną zabawia. Jeszcze więcej miałem przez to szacunku między panami, a lekko mi było w duszy, bo Pan Bóg wszystko błogosławił. Młody książę odjeżdżając z domu, polecił mię opiece księztwa i prosił, aby mu do Moskwy towarzyszyć. Odprowadziłem go do Moskwy a żegnając się z nim, rzekł do mnie:

— Lasowiaku! jakbyście kiedy potrzebowali jakiej pomocy odemnie, to napiszcie, a ja wam będę przyjacielem. Włożyliście mi przy ucieczce 100 rubli do kieszeni, to ja wam daję teraz 400, przyjmcie to odemnie i pocałował mię w twarz.

Pożegnaliśmy się prawie z płaczem i jak wtenczas do mnie mówił, tak zawsze jest moim przyjacielem. Niech mu Bóg błogosławi!

W dwóch latach ukończyłem akademję petersburgską. Księztwo wstawili się za mną i dostałem zaraz miejsce na inżyniera do Odesy z pensją 800 rubli. Byłem tam rok, a w przeszłym roku przeniesiono mię na gubernialnego inżyniera do Lublina i mam teraz 2.000 rubli i inne dochody.

— A twój pan dobrodziej Żabiński żyje? — pytałem.

— Żyje i zdrów — odrzekł — w tym miesiącu przyjedzie do mnie, bo już pójdzie na pensję. Będzie u mnie aż do śmierci.

— Wiesz Jasiu! cudownym sposobem zostałeś takim człowiekiem. Dawniej pasik z kozikiem, a dziś złoty kołnierz cię zdobi. Tak to bywa! śpiewamy na nieszporach: Bóg ubogiego z gnoju wyprowadził i z książętami na krześle posadził, i to istna prawda na tobie. Co to uciechy będzie, jak to naszym opowiem!

— Ja się zbieram nawet kiedy do Radomyśla przyjechać i zobaczyć ludzi, z którymi się chowałem — mówił.

— Dobrze kochasiu zrobisz — mówię — nie gardź nami mieszczanami, a Bóg ci pobłogosławi, że jeszcze na starszego wyjdziesz.

Cośmy więcej rozmawiali, tegoby nie spisał i na 20 arkuszach, bo całą noc jedliśmy i gawędzili. Ja wam jeno trochę z tego opisuję, żebyście wiedzieli o tem zdarzeniu i o prawdziwym cudzie Boskim.

Zastaw.

Jeszcze go na przednowku nie dojadła bieda,
Lecz siadł Marcin na progu przed chatą i duma:
„Chciałby się człek sam napić, poczęstować kuma,
„Nie ma za co!... ha! kożuch zastawię u żyda!
„Dziś już świętego Wojciecha,
„I słonko dobrze grzeje i w polu pociecha!“
Wdział sukman i z kożuchem
Do pachciarza rusza duchem:

„Jankiel, zmiłujcie-no się, pożyczcie talara.“
— „Talara — rzecze Jankiel — kożuszyna stara,
„Lecz wiem, że u was nie zginie,
„Więc dam talara Marcinie.
„Jeno mi z pierwszych snopków nowotnego żyta
„Dwa talary oddacie z procentem — i kwita.“
Stanęła zgoda, talar u Marcina,
A kożuch został u żyda.
Marcin już myśli sobie jak talara wyda
A Jankiel tak znów zaczyna:
„Wiecie Marcinie, rozłożmy na raty,
„Dla tem łatwiejszej wypłaty;
„Oto zaraz talara dajcie na rachunek,
„A potem kiedy, nie długo,
„Zapłacicie ratę drugą,
„I cały sobie z głowy spędzicie frasunek...“

Oddał Marcin talara, powraca i duma:
„Miałem się i sam napić i zaprosić kuma,
„I znowu nie mam za co, a tem większa bieda,
„Żem i winien talara i kożuch u żyda!..
„Oto na równej drodze dałem mu się złupić!...
„Ale... Jankiel ma rację... lżej będzie wykupić.“
O! bodajby mógł każdy tę myśl w siebie wszczepić,
Że lepiej dać się okpić, niż grosz ciężki przepić.

Wołody Skiba.

O łapówkach w Moskwie i jak je biorą tamtejsi urzędnicy.

Słyszeliście pewnie, moi ludkowie kochani, już nie jedno o kraju moskiewskim, nie będziecie się więc dziwić temu co wam opowiem o przekupstwie tamtejszych urzędników. Od żadnego urzędnika nikt tam nic nie uzyska, jeźli mu się pierwej dobrze nie opłaci, czyli jeźli mu nie da dobrej łapówki. Ale, opowiada pewien podróżny, co długo był w Moskwie i napatrzył się tamtejszym obyczajom, nie dosyć jest dawać łapówki, nie dosyć jest brać łapówki, potrzeba umieć dawać i umieć brać; inaczej dający, jako przekupujący urzędnika, wystawia kieszeń swoją na wielkie niebezpieczeństwo. Również urzędnik jest ostrożnym, boi się bowiem aby go nie schwytano

na gorącym uczynku i nie odpędzono. Sztuka dawania i brania łapówek przechodzi z ojca na syna, wydoskonala się, i żadne prawo nie jest w stanie zapobiedz nadużyciu.

Oto historja o pewnym kupcu, co jadąc ze skórami na jarmark do miasta, ledwo za dobrą łapówkę uzyskał świadectwo od sędziego.

Pan sędzia, Prokop Ilicz, opasły, zaspany, siedzi za stosem papierów, złote okulary naciskają czerwono świecący a potężny nosek; prawa ręka Prokopa Ilicza zagląda do kieszeni, tam jeszcze pustki; pan sędzia w złym humorze.

Kupiec kłania się nisko, raz po razu i powoli zbliża się do pana sędziego, lecz ten zajęty pracą, niby nie widzi wchodzącego. Kupiec kaszle, szurga nogami, pan sędzia nie podnosząc nosa z okularami, zapytuje:

— Kto tam?

— Ojcze rodzony — schlebia się kupiec — każ przyspieszyć wydanie świadectwa, zżal się, drugi dzień czekam, ja człowiek handlujący; Prokop Ilicz, zżał się!

— Przyjdź jutro, nie mam czasu — kwaśno odpowiada pan sędzia.

— Prokop Ilicz! nie łaska tabaczki? — W tabaczce spoczywał pieniądz złoty, co się nazywa półimperjał.

Pan sędzia wyciąga pulchną, krótką łapkę, zanurza palce w tabakierce, poczuł pieniądz. Zażył tabaczki, a dukat już był w kieszeni.

— Nu, a o co to chodzi? — zapytał teraz.

— O świadectwo, Prokop Ilicz.

— Hm... świadectwo... a na co to świadectwo?

— Jadę ze skórami na jarmark — odpowiada kupiec.

— A.... a.... ze skórami... ze skór... r.... r.... ra... mi... — ziewając powtarza pan sędzia — a daj ka jeszcze tabaczki....

Kupiec wiedział, że tabaczka będzie smakowała i przygotował się. Z westchnieniem podał panu sędziemu tabakierkę. Prokop Ilicz niuchnął i drugi półimperjał znalazł się obok pierwszego w kieszeni.

— Tak, ze skórami chcesz jechać, ze skórami, a ile to fur?

— Pięć fur, Prokop Ilicz.

— A dokąd jedziesz?

— Do Nowogrodu.

— Do Nowogrodu? a tam duży jarmark, pięć fur, daj ka jeszcze tabaczki; sławny tabaczok! sławny!

Prokop Ilicz poniuchał. Obok przy drugim stole siedział pisarek pana sędziego, Gerasim Iwanowicz; wiedział jaką to tabaczkę zażywa pan sędzia i czekał cierpliwie kolejki. Pan sędzia spojrzał na niego i rzekł łaskawie:

— Nu, ka Gerasim Iwanowicz, poniuchaj i ty tabaczki, sławnyj tabaczok.

Kupiec postąpił do Gerasima Iwanowicza i podał znów tabaczki. Gerasim Iwanowicz zażył cichutko, nie pochwalił tabaczki, ale dukata schował i znów pisał, a kupiec stał i czekał.

Pan sędzia zapomniał o kupcu, zagrzebał się w papierach i tylko wzdychał nad wielką pracą i nad swoją biedą. Nareszcie przypadkiem spostrzegł znowu kupca.

— A! ty jeszcze tu?

— Prokop Ilicz, zżal się, daj świadectwo.

— Hm.... świadectwo... to nie prosta rzecz świadectwo; a może skóry ze zdechłych albo chorych bydląt, może zaraza... Jabym przed Bogiem i ludźmi odpowiadał..... to grzech.....

— Prokop Ilicz! nie, to zdrowe skóry; toż jedliście mięso..... zdrowe....

— Tak! tak! zdrowe, wy tak zawsze mówicie, a mnie głowa boli. Nu, daj ka tabaczki, może to pomoże.....

I znowu niuch tabaki i jeden półimperjał. Pan sędzia był już w lepszym humorze, kazał napisać świadectwo; przy podpisywaniu jeszcze raz poniuchał tabaczki.

A teraz posłuchajcie ludkowie kochani drugiej podobnej historji o starym Tatarze, co z dwoma dorosłymi synami chciał jechać pomiędzy kozaków z towarami. Ponieważ tam nie wolno jechać bez kartki od pana pułkownika, udał się do niego z prośbą, aby mu takową udzielił; a wojskowi moskiewscy także biorą łapówki i nawet mniej się wystrzegają jak urzędnicy.

Pan pułkownik wytrzymał proszących za drzwiami przez parę godzin, a nakoniec przywołał ich do siebie.

— Ty co chcesz stary?

— Ja, wielmożny pułkowniku, chciałbym pojechać do kozaków z towarem.

— A ty co chcesz? — rzekł do młodszego Tatara.

— Ja także chciałbym z ojcem jechać.

— To przyjdź później, ja z trzema naraz nie gadam.

I wypędził dwóch młodszych Tatarów, pozostał tylko stary.

— Nu, a czem ty handlujesz?

— Teraz wiosna, wielmożny pułkowniku, tak kozakom potrzebne będą kosy.

— A gdzie kosy?

— Na furze wielmożny panie.

— Nu, przynieś, zobaczymy.

Tatar poszedł i przyniósł pęk, dziesięć kos.

Pułkownik miał sługę wiernego imieniem Fiedka, ten zaczął oglądać kosy, na jednej znalazł skazę, druga nie miała dźwięku, trzecia nie dawała ognia, zgoła wszystkie okazały się niezdatne.

— Jak ty śmiesz z takim towarem jeździć? ty chcesz kozaków oszukiwać? to kradzież! oszustwo! — wołał z gniewem pan pułkownik. Tymczasem Fiedko zabrał kosy i wyniósł się.

— Wielmożny panie, towar dobry, już pozwól pan. Kozacy mnie znają i zawsze kupują.

— Nu, ruszaj, przyszlij syna.

Tatar ukłonił się, wychodząc obejrzał się gdzie kosy, żeby je zabrać, ale kos już nie było; poszedł do fury, gdzie go oczekiwali synowie.

— A cóż? jest kartka? — zapytali ojca.

— Ani kartki, ani kos; ruszaj ty teraz a proś — i wyprawił starszego syna.

— Ty po co? — zapytał wchodzącego pułkownik.

— Po kartkę, wielmożny panie.

— A czem targujesz?

— Kocami, wielmożny pułkowniku.

— Kocami, a.... nu, to dobrze, dostaniesz zaraz pozwolenie, ale widzisz, ot ja pułkownik, a siedzę tu bez koca, w pokoju wilgoć, z pod podłogi wieje, tak widzisz, ot przynieś mi koc, tak żeby wystarczył na całą izbę.

Tatar skrzywił się, nie było rady, przyniósł koc.

— Ej, Fiedko! zobacz czy wystarczy koc na podłogę.

Fiedko zjawił się zaraz i rozrzucił koc.

— Nic nie wart, wielmożny panie, mały.

— Nu, ot widzisz, przyniosłeś mały, tak kochanku przynieś inny, większy, a ten niech tymczasem tu zostanie.

Tatar znów poszedł i przyniósł drugi koc; ten już był dogodny, pan pułkownik raczył przyjąć.

— Nu idź teraz, przyszlij mi brata.

Tatar chciał zabrać pierwszy koc, ale sprytny Fiedko już go rozciągnął w innym pokoju gdzie się bawiły dzieci pułkownika i przewracały na nim koziołki.

— Ach, patrz! — zawołał rozczulony pułkownik — jakie to wisusy! pójdźcie chłopcy podziękujcie kupcowi za prezent.

Jeden chłopiec podbiegł i pokazał język Tatarowi; to było podziękowanie.

Biedny Tatar, obdarty z koców, poszedł do fury.

— A cóż? masz pozwolenie?

— A przecież z trzeciego skóry jeszcze nie ściągnął, teraz on niech idzie — odrzekł wskazując na brata.

Poszedł trzeci Tatar do pułkownika.

— Ty co chcesz?

— Pozwolenia, wielmożny panie, już byli i ojciec i brat, przyszedłem po kartkę.

— A czem ty handlujesz?

— Niczem, panie pułkowniku, pomagam ojcu i bratu.

— No, ale co sprzedajesz? przecież nie jedziesz z próżnemi rękami?

— Mam trochę herbaty, chciałbym chociaż na chleb zarobić, u nas bieda wielmożny panie — i położył funt herbaty na stole.

Pułkownik obejrzał, powąchał i położył na stole paczkę. Tatar stał i czekał, pułkownik palił fajkę.

— No i czego ty stoisz?

— Kartki, wielmożny panie.

— Ach, ty bydlę jakieś, to ty myślisz, że ja bez cukru pijam herbatę? Ty kpisz ze mnie... co... ty kpisz... paszoł won!

Tatar ze zwieszoną głową poszedł do ojca.

— Nu, dawaj kartkę — zawołał stary.

— Jaką kartkę? nawymyślał i wypędził, że nie przyniosłem cukru.

Tatar zgrzytał zębami: dziesięć kos, dwa koce, funt herbaty za kawałek papieru. Ha! i cóż robić, straciło się więcej, trzeba dać, i przeklinając pułkownika, wyjął z fury najmniejszą głowę cukru i podał synowi.

— No, idź, daj temu wrażemu synowi, niech pije krew i krzywdę ludzką.

Tatarzyn kłaniając się, złożył na stole głowę cukru. Pan pułkownik spojrzał i zważył w ręku.

— A wiele tu jest funtów?

— Nie mogę wiedzieć, wielmożny pułkowniku, może dwanaście.

— Ach, ty psie nieochrzczony, to ty mnie oszukać chcesz? a gdzieś ty widział głowę cukru coby miała dwanaście funtów? tak ty i kozaków będziesz oszukiwał.

— Ależ ja na funty sprzedaję, wielmożny panie.

— To wszystko jedno, głowa cukru powinna mieć dwadzieścia funtów.

Tatar płacząc wrócił do ojca.

— No i cóż? masz już pozwolenie?

— Ale gdzież tam, znów mi nawymyślał, że głowa cukru mała, że go chcę oszukać.

I nowa głowa cukru zjawiła się przed panem pułkownikiem; wziął ją do ręki i zważył.

— Nu tak, ta to jeszcze; niech już będą obiedwie, to będzie lepsza waga.

— Wielmożny pułkowniku! — z płaczem prosił Tatarzyn — ja biedny, ja tylko na kawałek chleba chcę zarobić, oddaj pan już tę małą główkę.

Ale pan pułkownik nie słyszał prośby.

— Nu, a co macie więcej na sprzedaż?

— Już nic nie mamy wielmożny pułkowniku.

— Ej! Fiedko! idź zobacz, co oni tam jeszcze mają na furach.

Fiedko powrócił niosąc kilka par kleszczy do chomąt.

— Jakto? nic nie ma więcej?

— Nic, wielmożny panie.

— A szukałeś dobrze? bo to te oszusty, to tylko myślą, jakby człowieka skrzywdzić. No, to masz pozwolenie, jedź teraz, a kleszcze niech zostaną, to się zda w gospodarstwie.

Tatarzy dorwawszy się kartki pojechali co tchu złorzecząc bezwstydnemu żdziercy. (*Z Pam. J. Jasień.*)

Szanuj prawo kościoła.

Dawno to, dawno temu, żył jeden dzielny rycerz polski, któremu we wszystkich sprawach i zamysłach dziwnie błogosławił Bóg miłosierny, a głównie za to, że przez całe życie swoje był pobożny, cnotliwy i szanował prawa kościoła nawet w najdrobniejszych rzeczach. Nazywał się ten rycerz Marcjan Chełmski. Był on najprzód chorążym, potem podkomorzym krakowskim, starostą bocheńskim i wielickim. Rozumny, stateczny, miał wielkie zachowanie u króla, tak, że gdy ten chciał się kim w jakiej sprawie wyręczyć, jeżeli posłał Chełmskiego mógł być pewien, że się tak stanie, jakby tam sam był. Jako rycerz, Chełmski wsławił się niezrównaną walecznością. Ponieważ pod porę nie było w Polsce wojen, pojechał do kraju francuzkiego i tam z wielką sławą walczył przeciwko Hiszpanom. Potem na krótko wróciwszy do ojczyzny, uzbroił własnym kosztem kilkuset ludzi, udał się z nimi do Węgier, gdzie oddawna toczyła się zacięta wojna z Turkami i tam przez lat kilka, na czele swojej chorągwi dokazywał cudów waleczności. Arcyksiążę austryacki Maciej, naczelny wódz wojsk cesarskich, które Turków wyganiały z Węgier, nie mógł się wydziwić osobliwemu szczęściu, a jeszcze bardziej nadzwyczajnej odwadze Chełmskiego, to też raz po bitwie uniesiony radością, uściskał go w obec całego wojska, a zarazem oddając słuszność wszystkim jego podwładnym, nazwał go najwaleczniejszym z pomiędzy najwaleczniejszych. Widząc ojczyznę w nieszczęściu powrócił do Polski i jeszcze dzielniej, jeszcze skuteczniej bił najezdni-

czych Szwedów, a później Turków. Szczęście nigdy mu sprzyjać nie przestało, a śmiałość, odwaga i waleczność nie opuściły go do ostatka.

W roku 1641 dzielny ten rycerz będąc w Krakowie, zachorował obłożnie i musiał przyzwać lekarzy. Przyszli najsławniejsi lekarze krakowscy, opatrzyli chorego, przepisali różne napoje i leki, rozpowiedzieli jak się ma zachowywać, co ma jeść i jaką mieć wygodę. Chełmski przystał na wszystko, oprócz przepisu co do potraw i co do wygody, był to bowiem właśnie wielki post, a on całe życie zwykł był zachowywać z wielką ścisłością wszystkie posty od kościoła Bożego nakazane. Nazajutrz przyszli lekarze, ciekawi jaki skutek sprawiły ich leki, ale jakże się zdziwili, gdy chorego zamiast zdrowszym, jeszcze słabszym ujrzeli. Dalejże więc rozpytywać służbę jak się pan zachowywał? co jadł? a gdy usłyszeli o poście, nuż w prośby do chorego aby tego zaniechał. Chełmski przystał na pozór aby się ich pozbyć, ale przecie nie złamał przykazania. Przyszli znowu lekarze następnego dnia, a widząc, że ich prośby są bezskuteczne, przywiedli z sobą kilku przyjaciół i krewnych Chełmskiego, którzyby go nakłonili do szanowania zdrowia, gdy zaś i to nie pomogło, jeden z lekarzy, nie tając dłużej prawdy, oświadczył bez ogródki, że chory umrze jeżeli się nie da odwieść od postu.

Całkiem jednak przeciwny sprawiło to skutek, Chełmski bowiem nie tylko się nie przestraszył i nie uległ, ale owszem uniesiony świętym zapałem, zawołał:

— Niech życie ginie, byle matki-kościoła prawo ocalało!

Słowa te konającego rycerza największem uszanowaniem przejęły obecnych i nikt już nie śmiał namawiać go do grzechu.

Wkrótce potem Chełmski wytrwawszy w cnocie do ostatka umarł, ale nie na wieki, duch jego bowiem poszedł po nagrodę, jaką Stworca zgotował w niebie tym, co na ziemi szanują prawa jego i jego kościoła.

Ten Chełmski miał bogatą książnicę i podarował ją akademji krakowskiej na użytek uczącej się tam młodzi; własnym kosztem dźwignął z fundamentów kościół w Bolesławiu, który nachylony starością omal nie rozsypał się w gruzy,

nakoniec odbudował i opatrzył w dochody jednę z kaplic przy kościele Panny Marji w Krakowie, gdzie też został pogrzebiony.

Takich dzielnych a oraz pobożnych rycerzy, jak Chełmski Marcjan były niegdyś w Polsce tysiące tysięcy. Oj! dobre to wtedy były czasy.

Poszło w wodę, co z wody przyszło.

Pewien Niemiec, chcąc się czegoś dorobić, popłynął do Ameryki. Osiadłszy tam w wielkiem mieście zwanem Filadelfia, zaczął sprzedawać mleko i sprzedawał coraz więcej, i tak mu szedł jakoś dobrze handel, że znaczny sobie zebrał majątek. Zachciało mu się powrócić do ojczyzny, sprzedawszy więc wszelkie ruchomości swoje, wsiadł na okręt i płynął do Europy przez wielkie morza z całym swym majątkiem, który się składał z dwóch worków złota. Pewnego dnia usiadłszy sobie na pomoście okrętu, zaczął liczyć i gatunkować swoje złoto: to kładł przy sobie po prawej, to po lewej ręce i naładowawszy już jeden woreczek, zawiązał go i położył przy sobie. Tej jego zabawce przypatrywała się małpa; bo małpy chowają sobie często majtkowie na okrętach. Podobało się małpie błyszczące złoto; pilnie się przypatrywała owemu bogaczowi, co się zbogacił z mleka, i skoro spostrzegła, jak woreczek odłożył, żywo poskoczywszy, schwytała go i w oka mgnieniu uciekła z nim na wierzchołek drąga masztowego. Niepodobna było ścigać ją i odebrać pieniądze. A że to każda małpa ludzi naśladować lubi, więc usiadłszy sobie tam wysoko, rozwiązała worek i dalejże liczyć i gatunkować złoto, ale jak? Oto, jedną sztukę położyła przy sobie, drugą na bok w morze odrzuciła tak, iż po tem przebraniu część tylko z workiem na pokład zniosła i oddała. Odbierając go ów bogacz rzekł zimno pod nosem: „Ha! poszło w wodę, co z wody przyszło“, z czego majtkowie, co stali niedaleko, domyślili się, że w mleku, które sprzedawał, była zwykle połowa wody.

RÓŻNOŚCI.

Grady. Z różnych stron naszego kraju dowiadujemy się, że w przeszłym miesiącu maju, były w wielu miejscach wielkie grady, które wytłukły zboże na polu, zwłaszcza też oziminy. Grad padał od 12go maja w rozmaitych miejscach prawie codziennie aż do końca miesiąca, i tak

dnia 12go i 13go maja padał koło Ropczyc, Rzeszowa, Lwowa, Jasła, Krosna, Brzozowa, Tarnowa, Kolbuszowy, Żółkwi, Kamionki i w każdym z tych powiatów zrządził wielkie spustoszenie, zawsze od razu w kilkunastu albo i kilkudziesięciu wsiach. W następnych dniach rzadziej się wydarzał, za to znowu dnia 23go maja spadł silny grad koło Liska, Jasła, Ropczyc, Rohatyna, dnia 24go koło Zborowa i Zbaraża, dnia 25go koło Mościsk itd. Obok gradów bywały także wielkie burze i to z piorunami, od których w różnych stronach naszego kraju kilkoro ludzi zginęło i kilka chałup spaliło się. Dnia 23go maja oberwała się chmura w powiecie grybowskim i woda mocno uszkodziła zboża w dwudziestu wsiach koło Ciężkowic i Bobowy. Oberwała się także chmura w Czerniowcach dnia 24go maja i zrządziła tak w tem mieście jak i w okolicy wielkie spustoszenie, a do tego padał tam i grad. W Czerniowcach na przedmieściu poobalała burza kilka domów i młynów i pięciu ludzi zginęło w tem nieszczęściu. Nie mamy tu dość miejsca abyśmy wam mili ludkowie, mogli wymienić te wszystkie szkody jakie w przeszłym miesiącu burze i grady zrządziły w naszym kraju, ale tyle wam tylko powiemy, że już dawno tylu gospodarzy nie zubożało przez te klęski jak w tym roku. Boże zmiluj się i nie daj aby się to jeszcze przed żniwami powtórzyło, bo byśmy zginęli.

Pożary. W wielu także miejscach były ognie i paliło się nieraz po kilka i kilkanaście chałup w jednej wsi. Ale największy był pożar w mieście Brodach dnia 23go maja, gdzie się spaliło 760 domów, w których mieszkało blisko siedm tysięcy ludzi. Wszyscy ci biedacy nie mają się teraz gdzie schronić, ani w czem chodzić, bo wszystko przez ogień stracili, ani wreszcie co jeść, bo zarobek nie prędko znajdzie tylu ludzi od razu. Dlatego to zbierają teraz składki na wsparcie tych nieszczęśliwych pogorzelców brodzkich, i bardzo byłoby to pięknie, abyście się i wy do tego według możności waszej przyczynili.

Przestroga. Temi dniami przytrzymano tu we Lwowie pewnego Niemca, który nałapawszy w naszym kraju słowików, wiózł je do Niemiec, aby tam sprzedać drogo, co mu tutaj przyszło za darmo. Nie udała mu się jednak sztuka, bo ludzie poważni i znaczenie mający, dowiedziawszy się o tym Niemcu, kazali go zatrzymać i odebrać mu słowiki. Puszczono je wolno, po kilka w każdym ogrodzie lwowskim, a Niemiec jak niepyszny pojechał z próżnemi rękami. Przestrzega się was dobrzy ludzie, abyście obcym przychodniom nie pozwalali wyłapywać w lesie słowiki, bo te poczciwe ptaszęta nie na to są na świecie aby niemi handlować, ale na to, aby sobie swobodnie w gaikach śpiewały Panu Bogu na chwałę, a nam na pociechę.

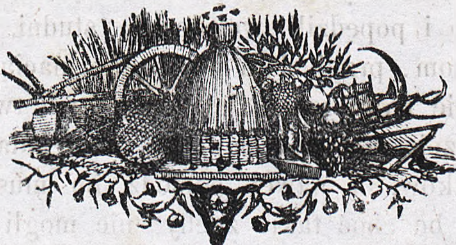
Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XVI. Nr. 18.

21. czerwca 1867.



Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Dziecinna wiara.

Całą noc śnieg padał, dobra droga do lasu pościeliła się gospodarzom wsi Świerkowy i rano cały łańcuch sani wyruszył z pagórka, na którym ładnie rozsiadła się wioska, sunął błoniem żwawo i zniknął w pięknym, pachnącym a zawsze zielonym sosnowym borze. W jednej chacie na wzgórzu gospodyni troszczyła się, że jej mąż nie przywiózł rano wody spiesząc się do lasu, a ona prała chusty i nie jednej jeszcze konewki potrzebowała.

Była w tej wiosce wielka niewygoda z wodą, bo obie studnie były na dole i dość daleko a wieś wielka na wzgórzu; kto tylko więc mógł, miał beczułkę na wodę i woził sobie koniem na całą dobę; kto bliższy dźwigał na plecach. Gospodyni więc nasza widząc, że musi pójść sama po wodę, kołysała dziecię maleńkie na kolanach; dając mu piersi aby prędzej zasnęło, bo się bardzo spieszyła. Był w chacie chłopczyna nieletni Piotruś, dobre dziecko, który bardzo matkę kochał — widząc więc, że matka potrzebuje wody i usypia braciszka aby pójść z konewkami, wymknął się z chaty, wybiegł za wrota,

zawołał z sąsiedzkiego podwórza chłopaka może dziesięcioletniego, swego przyjaciela Fedia i pogadał z nim coś żwawo, schwycili oba za dyszel od małych sanek z beczką, któremi zawsze po wodę jeżdżono i popędzili wesoło do studni. Z góry dobrze było chłopaczkom, przyjechali do studni, naciągli kulką wody, pomagając sobie nawzajem, ale okrągłe ich twarzyczki pokraśniały jak wisznie od zmęczenia, bo to nielada była praca dla małych dzieciaków, a nawet pomódz im musiała dziewczyna biorąca wodę, bo choć takie zuchy, nie mogli sobie dać rady. Przyszło teraz ciągnąć sanki z wodą pod górę. Ciężko to było chłopaczkom, stawali i odpoczywali i obcierali czoła, ale Piotruś zagrzewał zawsze towarzysza, bo dobry chłopiec chciał przywieść matce wody, nim się wybierze sama do studni i ucieszyć ją. W najprzykrzejszem miejscu jednak, nie mogli już dać rady, stanęli a Fedio zasapany rzekł:

— Oho, już nie pójdzie dalej, cóż teraz zrobimy? ja już nie mogę ciągnąć, tak się zmęczyłem.

— Mój Fediu, mój kochany! — prosił Piotruś — nie porzucaj mnie, już niedaleko, Pan Bóg nas poratuje. Zmówmy tu pacierz, ja wiem, że jak zmówimy to jakoś ruszymy z beczką, zobaczysz Fediu! Matka mówi, że w każdej potrzebie trzeba udać się do Pana Boga to Pan Bóg pomoże — i ukląkł chłopczyna na śniegu i zaczął głośno mówić paciorek a za nim powtarzał Fedio. Właśnie wtedy nadeszłam drogą i słyszałam tę modlitwę dziecka..... Skończywszy Zdrowaś Marja i przeżegnawszy się, zerwał się Piotruś żwawo, porwał dyszel i zawołał wesoło aż mu oczy zabłysły:

— A no teraz Fediu!

I jak się zaparli chłopcy — sanki z beczką wyjechały na górę i wbiegły w wrota, a matka rozczulona ujrzała swojego Piotrusia poczciwego, czerwonego jak burak ale szczęśliwego, że matce usłużył; z dziecinną wiarą opowiadał teraz jak im pacierz pomógł i sanki z beczką zrobiły się lekkie!...

Szczęśliwe matki, które dobre i pobożne mają dzieci, szczęśliwe dzieci, które matki nauczyły wiary i pobożności! Z taką wiarą w życiu przy uczciwej pracy i dobrej chęci, pewnie im Bóg sam pomoże i ulży ciężaru. Sama praca bez wiary na

mało się przyda — podobnie wiara w pomoc Boską bez chęci własnej i własnej pracy takżeby obrażała Boga. Z wiarą więc i w uczciwym pocie czoła jak to niewinne dziecię, a dojdziem na górę zbawienia! *B. E.*

Narodziny.

Gdy raz pierwszy dziecina,
Słabe wzniosła powieki,
Głos muzyki dalekiej
Powtarzała dolina.
Drżało światło jutrzenki.
Słowik spiewał w ukryciu
Najpiękniejsze piosenki,
W najpiękniejszym dniu w życiu.

Blaskiem zorzy rumianej
Rozjaśniały się ściany;
Coraz więcej promieni,
Dziecku w oczach się mieni.
Kędy rzuci oczyma,
Na kim oko zatrzyma,
Wszyscy w świecie koleją,
Wciąż się przed nim słaniają,
Ci na palcach się czają,
Ci się patrzą i śmieją.

Coś mu dzwoni nad główką
Coś co cieszy serduszko,
Więc nadstawia swe uszko,
Chwyta słówko, oj słówko,
Głos rodzinny, jedyny,
Samem brzmieniem zachwyca
I dobywa na lica
Pierwszy uśmiech dzieciny.

Ranny wietrzyk przewiewa,
I roznosi na fali
Słodką, lubą woń drzewa,
Bzu i leśnej konwalii.

Matka daje uśmiechy
Ludzie miłych słów dźwięki,
Gaj wolności oddechy
Lichy słowik piosenki.
To i wszystko na świecie
Najpiękniejsze, jedyne,
Czemu śmieje się dziecię,
W pierwszą życia godzinę!

O ukochaj na wieki
Ten głos pieśni dalekiej,
Te poranku wonności,
Te uśmiechy miłości.
O zatrzymaj w swem oku,
Obraz matki kochanej,
Ciemne chatki twej ściany,
Srebrne wody potoki.

Niech w twej myśli dziecięcej
Nie postanie nic więcej,
Tylko matki oblicze,
Jak słoneczko pogodne
Tylko piersi słodycze,
Tylko tchnienie swobodne.

Niech te cuda prawdziwe,
Za któremi nic nie ma,
Twoje serce zatrzyma,
Zawsze jasne, jak żywe.
To i będzie ci znośnie,
Życie czyście przebieży,
A jak burza cię chłośnie,
To cię tylko odświeży.

*

Otoż wchodzą do chaty
Coraz nowi i nowi,
Dziewczę niesie ci kwiaty,
Dziad się z lirą sadowi.

„Zkądżeś przyszło kochanie?
„Czyś ty w niebie wyrosło?
„Czy cię skrzydło bocianie
„Z ciepłych krajów przyniosło?
„A witajże kochanku!
„Jasna zorzo, poranku!
„A witajże raz drugi,
„A żyj z nami wiek długi.

„Niech nam rośnie to dziecię,
„Jak pszeniczny kłos w lecie,
„Niechaj jako chleb w dzieży,
„Rozrośnie się, rozszerzy.“

Tak mu spiewa dziad siwy
Słówka idą jak z płatka,
Że aż cieszy się matka,
Cieszy ojciec poczciwy,

Jedno słówko zabrzmiało.
Toż je pewno zgadniecie...
I sprawdzi się na świecie,
Bo się dziecko rozśmiało.

Miodu, miodu! a dużo!
Dziecku oczki się mrużą,
Pociągnijmy Bóg świadkiem,
Podzielmy się ostatkiem.

Radość weszła pod strzechę,
Co wam bracia się spieszyć,
Pan Bóg dał nam pociechę
I jakże się nie cieszyć.

T. Lenartowicz.

Przestrogi i rady gospodarskie.

Jak głęboko trzeba siać lub sadzić rozmaite rośliny?

Dobrzy gospodarze chcąc się dowiedzieć jak głęboko ma w ziemi leżeć ziarnko zboża, żeby największy plon wydało, zrobili następującą próbę: Odliczyli tysiąc ziarn zboża i posiali je na gruncie średniej rodzajności, zgoła nic tych ziarnek ziemią nie przykryli, jeno zostawili je tak leżące na wierzchu. Po roku zebrali z tych tysiąca ziarn, tylko 951 ziarn nowego zboża. Mało im się to widziało, bo jużcić człowiek radby zebrać nie mniej, ale więcej jak posiał. Na drugi rok zrobili więc nową próbę i posiali także tysiąc ziarn i na takim samym gruncie jak przeszłego roku, ale tak, że ziarna nie leżały już na wierzchu, ale były przykryte ziemią na pół cala. Owoż pokazało się, że tak posiany tysiąc ziarn zboża, wydaje 2776 ziarn, znacznie więcej jak wtedy, kiedy ziarna leżą na wierzchu. Zachęceni tem gospodarze posiali w roku następnym tysiączek ziarnek jeszcze głębiej, to jest tak, aby ziemia przykrywała

je na jeden cal, a zebrali z tego tysiączka 5670 ziarn. Od tego czasu powtarzali już corocznie swoją próbę, żeby się koniecznie dowiedzieć jaka też jest najstosowniejsza głębokość dla zboża. I cóż się pokazało? Oto, tysiączek ziarn przykryty ziemią na półtora cala, wydał 5991 ziarn, a zaś przykryty ziemią na dwa cale, już cokolwiek mniej, bo 5953 ziarn. Odtąd im głębiej wpuszczano ziarna w ziemię, tem mniej wydawały, tak że tysiączek posadzony w głębokości półsiodma cala pod ziemią, wydał tylko 315 ziarn. A zatem pokazało się, że ziarna przykryte ziemią na półtora cala, wydały najwięcej ziarn.

Doświadczenia w różnych glebach, przy różnych zmianach powietrza, przez wiele wiele lat umyślnie czynione, okazały, że kto chce zebrać największy plon, powinien siać lub sadzić nasiona w takiej głębokości jak następuje:

Jeżeli grunt jest ciężki, glinkowaty, natenczas pszenicę, żyto, owies, jęczmień trzeba przykryć ziemią na trzy ćwierci cala; groch, bób i hreczkę na cal, wykę na cal.

Jeżeli grunt jest lekki: pszenica, żyto, owies i jęczmień powinny leżeć na półtora do 2 cale pod ziemią, groch, bób i hreczka na 2 cale do półtrzecia cala, wyka na półtrzecia do 2 cale pod ziemią.

Nakoniec jeżeli grunt jest piaskowaty, wtedy trzeba siać pszenicę, żyto, owies i jęczmień tak, aby ziarnka były przykryte ziemią na półtrzecia cala, groch, bób i hreczka na 3 cale, a wyka na 2 cale.

Już wielu doświadczonych gospodarzy przekonało się, że to dobra i pożyteczna rada, przeto ją wam podajemy z prośbą, abyście ją przy siewce przyszłej mieli w pamięci i z życzeniem, abyście, gdy tej rady posłuchacie, jak najwięcej zebrali.

Jak odpędzić ślimaki od grządek w ogrodzie?

Wiadomo że ślimaki po całych dniach siedzą w trawie a pod wieczór wychodzą na grządki ogrodowe, obsiadują i psują najdelikatniejsze rośliny. Aby się ich pozbyć, posypuje się około grządek plewy jęczmienne albo grube trociny. Kto to zrobi może być pewnym, że jego grządki będą już bezpieczne,

bo gdy ślimaki wloką się do grządki, oblepiają się plewami i trocinami, to ich bardzo kłuje i dlatego czemprędzej zwracają się z drogi i uciekają.

Podporki przy młodych drzewkach.

Jest to bardzo piękny zwyczaj sadzić drzewka około dróg. Czynią to u nas prawie wszędzie, ale często się zdarza, że młode drzewka, świeżo posadzone, nie długo potem usychają. To wczeŝne usychanie drzewek pochodzi z rozmaitych przyczyn a bardzo często usychają drzewka tylko dlatego, że im dano złe podpórki. Otoż jeżeli podpórka sięga aż pod samą koronę drzewka, wtedy młodziuchne gałązki, poruszane wiatrem, ocierają się o paliki, kora się psuje, a od tego drzewko więdnieje i nakoniec usycha. Możnaby temu zaradzić, trzebaby tylko przywiązać drzewko do palika tak mocno aby się ruszać a tem samem i obcierać nie mogło, ale i to bardzo zły sposób, bo takie ściskanie drzewka młodocianego jest także szkodliwe. Najlepiej jest gdy paliki nie są zbyt wysokie, i nie sięgają do samej korony drzewka. Powinny być tak zaciosane, aby się kończyły na ćwierć łokcia pod koroną. To samo rozumie się także o drzewkach owocowych.

Nieprzyjaciele śliw.

Często cieszy się gospodarz widząc z wiosny śliwy swoje obsypane kwieciem, bo się spodziewa, że w jesieni będzie miał piękny zbiór. Atoli nieraz się zdarza, że ledwie śliweczki do połowy swej wielkości urosną, zaczynają więdnąć, opada mnóstwo drobnego owocu i na drzewie, na którem tyle było kwiecia, ledwie kilka owoców dojrzewa zupełnie. Sprawcą tej szkody jest osa śliwkowa. Ona to, zwabiona wonią drzewa, jak tylko kwiat się rozwinie, przekłuwa dziurkę w spodzie kwiatka i składa jajko właśnie tam, gdzie się ma tworzyć owoc. Z tego jaja wylęga się wkrótce mała gąsieniczka, która póty świdruje, aż się dostanie do samego środka jądra i wygryza je, a wtenczas śliwka więdnie i na ziemię spada. Gdy już śliwka

spadnie na ziemię, gąsienica wychodzi z owocu, zagrzebuje się w ziemi, oprzęda się tam i później wychodzi znowu jako osa. Owoż chcąc się od tych os jeżeli nie na teraz, to przynajmniej na rok przyszły zabezpieczyć, trzeba wszystkie opadłe śliwki pilnie zbierać i niszczyć, nim z nich wyjdą gąsienice, a kto tego zaniedba, może się spodziewać, że na przyszły rok znowu się śliwek nie doczeka.

Dobra rada dla majstrów kowalskich.

Posłuchajcie pilnie kochani majstrowie co wam opowiem, a nauczycie się doskonałego sposobu hartowania lemieszy od pługów. Owóż bierze się cienki, wązki kawałek żelaza, trzyma się go w ogniu, w największem gorącu, póki się nie zacznie topić i kapać, wtedy kładzie się pod niego lemiesz okuty z miękkiego żelaza i tak trzyma, aby na niego kapały krople roztopionego żelaza, kropla po kropli, zwłaszcza na te miejsca, które się najprędzej od ziemi psują. Potem hartuje się lemiesz w wodzie, jak zwykle, i na tem koniec, bo już nic więcej robić nie trzeba, chyba obszlifować trochę tam gdzie się nakapało. Można tak samo i podkowy hartować a będą trwały daleko dłużej niż hartowane stalą.

O gospodarzach i gospodarstwach wiejskich w kraju węgierskim.

Błogosławiona to ziemia ta kraina węgierska; popytajcie wędrownika, popytajcie wojaków co tam byli, a pewnie każdy to samo wam powie. Ledwo przejdziesz Karpaty, bo jak wiecie, Węgry leżą za górami karpackiemi ku południowi, zaraz ujrzysz jaki to kraj szczęśliwy, jaki obfity, jak bogaty we wszystko. Dlatego też i lud wiejski jest tam bardzo zamożny, mieszka w wygodnych chatach, je smaczno i ubiera się pięknie.

W kraju węgierskim mieszkają ludzie rozmaitych plemion. Są tam Madiarowie i tych jest najwięcej, Słowacy, Niemcy, Wołosi, Żydzi i Cyganie. Madiarowie pochodzą z Azji, ale

osiedli tu od wielu, wielu wieków. Mówią oni swoim osobnym, madiarskim językiem. Lud to piękny! Każden Madiar chłop w chłopa rosły, barczysty, cery bladej, za to oczy ma ogniste jak dwa węgliki a włosy czarne, połyskujące, jakby pióra krucze. Nosi wąsy mocno nawoskowane, aby się dobrze trzymały; jest żywy, wesoły, prędko się zapala ale i prędko przebacza urazę, w boju waleczny, a w domu gościnny. Dumny z tego, że się Madiarem urodził, pogardza Słowakami a nienawidzi Niemców i Czechów, ale cesarza i rodzinę cesarską, choć to także ród niemiecki, Madiarowie kochają bardzo i swoje do nich przywiązanie okazują zawsze statecznie tak jak do praw swoich i zwyczajów odwiecznych.

Ponieważ nienawidzą Niemców, nie cierpią też i niemczyzny i choćby jaki Madiar najlepiej umiał po niemiecku, nie będzie mówił tym językiem, ale swoim rodowitym, nie tak jak nasi urlopnicy, którzy, skoro się tylko trochę przy wojsku nauczą po niemiecku, zaraz się z tem w domu jak sroki popisują.

Madiarowie ubierają się bardzo pięknie. Mężczyźni noszą kapelusze z szerokiemi kresami w górę podniesionemi, w zimie czapki futrzane bez daszków, koszule krótkie z szerokiemi rękawami, spodnie obcisłe, suto sznurkami powyszywane i ciżmy skórzane z różą ze sznurka na cholewie; nadto kamizela z granatowego sukna, wyszyta mnóstwem białych i żółtych guziczków, dalej kaftan czyli dołman sukienny siwy lub czarny, obcisły, z sznurkami i guziczkami. W zimie nosi Madiar bekieszę futrem podszytą, albo przynajmniej lamowaną i jeszcze suciej sznurkami ozdobioną, a gdy się zagrzeje, to tę bekieszę zdejmuje z rękawów i zawiesza jakby od niechcenia na lewem ramieniu. W lecie i zimie Madiar nosi wszędzie z sobą płaszcz z białego grubego sukna, wyszyty w kwiatki, a w silne mrozy ubiera się w kożuch barani.

Kobiety noszą krótkie, fałdziste bekiesze z półsukienka granatowe albo zielone, gorsety czerwone albo czarne, ze sznurkami i wstążkami, na głowie chusteczka, na nogach zgrabne buciki, czarne albo czerwone. Dziewczęta zwieszają z tyłu warkocze pięknie splecione, z wstążkami na końcu. W niektórych

miejscach noszą białogłowy futra bardzo stare, które mają po sto i więcej lat; te futra przechodzą z matek na córki i są w wielkiem poszanowaniu.

A teraz mili czytelnicy, radzibyście może dowiedzieć się, czem się też Madiar żywi? Owoż w kraju węgierskim lud wiejski jada chleb, groch, słoninę, kukurudzę i czosnek; ci którzy mieszkają nad rzekami albo jeziorami, jedzą dużo ryb. Wino i wódkę najbardziej lubią, za to piwa nie piją wcale. Wszystkie potrawy gotują tłusto i pieprzno, papryka jest najgłówniejszą przyprawą i bez niej się Madiar nie obejdzie. Narodową i najulubieńszą potrawą madiarską jest gulasz, mięso duszone z cebulą, pieprzem, imbirem i innemi korzeniami. Bardzo lubią także tytoń, palą go we fajkach i żują w zębach.

Domy we wsiach madiarskich są bardzo schludne, bardzo porządne. Mieszkanie składa się najczęściej z dwóch izb, kuchni i komory. A domy te nie tylko są stawiane z drzewa jak u nas, ale także i to najwięcej z cegieł wysuszonych na słońcu. Stawiają także domy z ziemi, a to tak, że kładą dwie deski, tak daleko od siebie jak mur ma być gruby, pomiędzy te deski sypią ziemię i bardzo mocno ubijają. Gdy już dobrze ubiją, natenczas podnoszą deski nieco wyżej, znowu sypią ziemię i ubijają, i to tak długo się powtarza, aż staną ściany pod dach. Domy są zwrócone drzwiami do gościńca, a przed każdym domem jest ładny ganeczek, jakby przed jakim pańskim dworkiem. W tym ganeczku siedzi sobie zwykle na ławeczce gospodarz, pali fajeczkę na krótkim cybuchu i wąsy wyciąga; posiedziawszy tak, idzie do izby, zje kawał słoniny, popije winem i znowu idzie siedzieć w ganeczku, palić fajkę i wąsa wyciągać. Dachy pokrywają czasem słomą albo trzciną, najczęściej gątami i taką cegłą co się zowie dachówką Stajnie, stodoły i inne budynki gospodarskie nie stoją nigdy na widoku, lecz są zawsze w głąb zagrody odsunięte, a kałuży i gnojówki przed żadnym domem nie ujrzysz, choćbyś ze świecą szukał. Wszystkie domy są porządnie i czysto utrzymywane, tak po wierzchu jak w środku często bielone, podwórko przed każdym domem zawsze pięknie zamiecione i wypielone z chwastu. Wejdźmy do izby, tam także

porządek aż miło popatrzeć. Na łóżkach pierzyny po powałę sięgają, nad stołem, przy którym się jada, ujrzysz rozwieszone dzbanki, flaszki, garnki i inne naczynia kuchenne, wszystko tak czysto wymyte, że aż połyskuje. Na innych ścianach wiszą obrazki Świętych w pięknych ramach. Gdy kto po raz pierwszy przyjdzie do jakiej wsi madiarskiej, to mu się zdaje, że do jakiego miasteczka zabłądził, bo też to tu i domy, i ulice, i sklepy, a do tego czasem i dwa i trzy kościoły w jednej wsi! tego u nas nieraz i w miasteczku nie ujrzysz!

Ale nie myślcie sobie, że Madiar do tak dobrego bytu przychodzi przez ciężką i ustawiczną pracę! Daleki on od tego! Tam ziemia tak jest rodzajna, że wszyscy choć bez pracy mają dosyć. Madiar lubi ujeżdżać konie na rozległych równinach, wypasać bydło na bujnych łąkach, polować i ryby łowić, do tego on jedyny, ale do ciężkiej pracy ma wstręt. Za to pełna szklanica, to uciecha dla niego, a gdy mu Cygan zagra Czardasza na skrzypcach, wtedy w miejscu ustać nie może, tak pod nim nogi skaczą. Z tego jakoteż i z waleczności i męztwa są Madiarowie bardzo do nas podobni i ztąd to urosła przypowiastka:

Węgier, Polak dwa bratanki,
Jak do szabli, tak do szklanki.

I dlatego to Polacy Węgrów a Węgrzy Polaków tak zawsze kochają. I wesela u Madiarów odbywają się bardzo wesoło i trwają nieraz przez kilka dni, a te kilka dni spędzonych na hulance i pijatyce mijają jak z bicza trzasł. Podczas uczty weselnej czterech albo sześciu muzykantów zasiadają na piecu, lub gdzie w kącie izby i otacza ich z dziesięciu albo więcej dzieciaków, którzy za każdą misą na stole postawioną wszczynają taki hałas, jakby strzelał z armaty. Pomiędzy potrawami musi być koniecznie na każdem weselu ozor z miodem, aby nowozaślubieni przez całe życie zawsze słodko do siebie przemawiali. Po uczcie zaczynają się tańce, więc najprzód czardasz, bo to narodowy i najulubieńszy taniec Madiarów, a potem taniec makowy, bardzo zabawny, w którym tańcujący tak rękami wywijać muszą jakby mak siali, zbierali, młócili i jedli; potem taniec koguci, w którym i muzyka i tańczący naśladują pianie koguta, a na ostatek taki taniec, w którym

jeden drugiemu kijami i prętami plecy okłada. Jest u Madiarów także taki zwyczaj, że gdy pannę młodą prowadzą po weselu do męża, wtedy każda z dziewcząt niesie w ręku zapaloną świecę, ale to sprawia smutny widok, bo przypomina pogrzeb.

Słowacy albo mieszkają pomiędzy Madiarami, albo mają swoje wsie osobne, w których wcale nie ma Madiarów. Mają język bardzo podobny do polskiego. Mężczyźni słowaccy noszą kamizole sukienne białe, spodnie granatowe sukienne, buty do kolan, kapelusz wysoki z szerokiemi kresami. Nadto wdziewają w zimie płaszcz z grubego, białego sukna. Białogłowy słowackie ubierają się tak jak i madiarskie. Dziewczęta chodzą zwykle z gołemi głowami, tylko na wielkie święto stroją głowę w pasek aksamitny czarny, złotem i srebrem przerabiany. Każda musi mieć bekieszę suto sznurami wyszytą i wielki to wstyd, gdy która nie może sobie zarobić na taką bekieszę. Noszą trzewiki, ale nie takie zgrabne jak Madiarki.

Słowacy jadają to samo co Madiarowie, mieszkania mają jeszcze przyjemniejsze i schludniejsze i przy każdym domu jest sad. Wesela odbywają się u nich także tak samo jak i u Madiarów; tańcują zaś tak, że najprzód kręcą się same dziewczęta, a potem z parobkami, niewiasty zaś zamężne siedzą na ławach i spiewają z całego gardła tak mocno, że się aż szyby trzęsą.

Ludność węgierska, to jest tak Madiarowie jak i Słowacy, trudnią się najwięcej rolnictwem, ale wiele pola leży tam odłogiem, bo ziemia jest bardzo rodzajna, wiele siać nie potrzeba a i tak dosyć się urodzi. Są takie wsie, gdzie nigdy roli nie gnoją a i tak zbierają plon obfity. W nizinach uprawiają pszenicę, Słowacy zaś sieją najwięcej żyta i jęczmienia na paszę dla bydła; sieją też i owies tak jak u nas. W południowych i wschodnich Węgrzech uprawiają wiele kukurudzy na paszę dla świń, a z mąki kukurudzianej pieką chleb. Miejscami uprawiają także hreczkę i proso. W niektórych wsiach próbowano uprawiać ryż i próba się udała. Ziemniaki, groch, bób itd. uprawiają także w całych Węgrzech. W ogrodach i na polach sadzą kapustę, szparagi (które także tu i owdzie dziko rosną), ogórki, chrzan, paprykę, kminek, koper, czosnek, cebulę, szafran, bu-

raki, melony, kawony, dynie. Melony i kawony u nas tylko panowie jadają, bo są drogie, tam zaś najbiedniejszy wyrobnik może ich jeść tyle, wiele mu się podoba, bo nie są droższe jak kapusta albo ziemiaki. Na Węgrzech udają się także doskonałe gatunki tytoniu i uprawiają go tam bardzo wiele, także mak, len, konopie, rzepak, chmiel, rośliny do farbowania i rozmaite trawy. Sady są tam bardzo piękne a w nich najśliczniejsze owoce, obok sadów winnice gdzie wino rośnie a wina najwięcej i bardzo dobrego rodzi się w kraju węgierskim. Wino węgierskie białe i czerwone rozchodzi się po całym świecie, bo go też co rok wywożą blisko dwadzieścia miljonów wiader; pomyślcie tylko wiele to miljonów dukatów za to wino przychodzi co rok do kraju. Gospodarze po wsiach miewają dość znaczne winnice, sami wyciskają wino i co sami nie wypiją to sprzedają do cudzych krajów.

Zachodnie i południowe Węgry obfitują w lasy, a we wschodnich mało jest lasów i tam ludzie palą zamiast drzewa gnojem, torfem, słomą, trzciną itd. W lasach wyrabiają smołę, maź, terpentynę. W środku węgierskiego kraju są rozległe stepy, takie równiny ogromne, piasczyste i urodzajne na przemian, w których ani drzewka nie ujrzysz jeno do koła tylko niebo i ziemię. Tam wsie są rzadkie, ale za to pastwiska są wyborne, tam więc siedzą tylko pasterze w szałasach i wypasają ogromne stada bydła i koni, i siedzą z bydłem w tych puszczach przez cały rok latem i zimą. Konie węgierskie są bardzo dobre, silne i rącze, a woły nawet sławne; po woły przyjeżdża bardzo wiele kupców z dalszych krajów i zakupują co rok po sto tysięcy sztuk. Chowają także w Węgrzech bardzo wiele świń, większą część na własną potrzebę, bo sami dużo słoniny zjadają, a resztę sprzedają. Świnie karmią najwięcej kukurudzą, ale także żołędzią i bukwią. Słowacy w górach chowają wiele owiec i robią wyborną bryndzę, która i do nas przychodzi.

Zresztą Węgrzy zajmują się także rybołostwem i pszczelnictwem, a są tacy co i jedwab umieją już robić; w każdej wsi są tkacze i nikt tam płótna nie kupuje jeno z własnego lnu albo konopi każe sobie robić tyle ile mu potrzeba.

W górach węgierskich kopią złoto, srebro, żelazo, miedź, sól, węgle, saletrę, ałun, marmury i drogie kamienie.

Ponieważ już wiecie, moi mili czytelnicy, że naród węgierski nie jest bardzo skory do pracy, nie będziecie się dziwić gdy wam powiem, że w tym kraju są drogi równie złe a często i gorsze jak u nas, ale za to jest tam wiele kolei żelaznych, a po Dunaju co środkiem Węgier płynie, krążą nieustannie statki czyli okręty parowe z różnemi towarami.

Pożegnanie.

Czytaliście nieraz w tym waszym „Dzwonku“ piękne powiastki, żywoty Świętych Pańskich, jako też rozmaite rady i przestrogi rozumne, podpisane na końcu literami *B. E.* Wszystkie te artykuły pisała dla was pewna bardzo zacna pani, która od wielu już lat rozumem swoim i sercem złotem służy biednemu ludowi wiejskiemu. Pobożna, litościwa, ani grosza, ani czasu nie pożałuje nigdy dla biedaka. Chorzy schodzą się do niej po radę, ubodzy po wspomożenie, dzieci wiejskie na naukę, a ona nikogo nigdy nie puści z gołemi rękami. Choremu daje leki i pouczy go dobrotliwie jak się ma zachowywać, aby prędzej do zdrowia przyszedł, żebraka wesprze według potrzeby i możności, dzieci uczy religji świętej, czytać i rachować. Ma ta pani i dom i gospodarstwo choć nie wielkie, więc i roboty dość koło swego, a przecie na wszystko starczy jej czasu; widocznie Bóg błogosławi poczciwym jej chęciom!

Zacna ta pani mieszkała od kilkunastu lat w Smerekowie pod Kulikowem niedaleko Lwowa wraz z mężem swoim, tak jak i ona bardzo kochanym przez całą gromadę; a kochanym słusznie, bo się nie mało zasłużył gromadzie: pełnił rozmaite urzędy gromadzkie, poważnionych godził, potrzebujących rady oświecał, a wszystko za darmo, li tylko dla chwały Boskiej i dobra swoich bliźnich.

Ale jak wielu innych ludzi szlachetnych i dobrych, tak i zacnych tych państwa nawiedził Bóg wielkiem nieszczęściem: oto dał im pięcioro dziatek ślicznych jak aniołki i po kolei

wszystkie pięcioro powołał znowu do siebie. Takim strasznym ciosem dotknięci nieszczęśliwi rodzice, nie szemrali jednak przeciwko Bogu, owszem z pokorą poddali się niezbadanym wyrokom niebios — a od tego czasu jeszcze bardziej zbliżyli się do biednego ludu, jeszcze gorliwiej pracowali na chwałę Boską i pożytek bliźnich, zaskarbiając sobie u ludzi miłość wielką i poważanie.

Wszyscy gospodarze w Smerekowie, ba i w dalszych wsiach przejęci wdzięcznością dla tych dobrych państwa, którzy im tyle łask świadczyli, przywiązali się do nich całem sercem i uważali ich jako aniołów przez Boga zesłanych na pocieszenie biednego ludu — to też łatwo sobie wyobrazić jaki smutek powstał pomiędzy nimi, gdy się rozeszła wieść, że państwo sprzedali swoją cząstkę w Smerekowie i przenoszą się w inne strony. Smutna ta wieść niestety wkrótce się ziściła. Państwo doprawdy wyjechali ze Smerekowa — owoż chciałbym wam opowiedzieć jak ich tam ludzie pożegnali, bo to doprawdy warto posłuchać.

Owoż w Smerekowie jest bardzo mądry i wszędzie szanowany proboszcz, już siwiuteńki staruszek. Gdy państwo, o których wam piszemy przybyli do tej wsi i tu osiedli, nie był on jeszcze taki sędziwy, a oni byli młodzi i niedoświadczeni. Pokochał ich zaraz i był z początku ich doradzcą i opiekunem a potem najserdeczniejszym przyjacielem. Ten ich poczciwy przyjaciel ogłosił nabożeństwo na ten dzień, w którym państwo *E.* mieli odjechać z Smerekowa. Na to nabożeństwo przybyła nie tylko cała gromada smerekowska, ale także i gospodarze z najbliższych wsi, z żonami i dziećmi. Kościół był napchany, a nikogo tam nie było, co by ze łzą w oku nie modlił się do Pana nad Pany o błogosławieństwo dla odjeżdżających. Po nabożeństwie i błogosławieństwie powstał płacz, lament, zawodzenie nie do opisania, jakiego przy żadnym pogrzebie nie doświadczono. Szanowny staruszek proboszcz, upominał, nawet karcił, aby tak ludzie nie zawodzili a sam zanosił się od płaczu; nic nie pomogło. Tak ich przez całą wieś wyprowadzali ludzie poczciwi i rzucali do powozu chleb, osełki masła, sera, jaja, a białogłowy upewniały panią, że te pięć

mogiłek, które zostawia na tutejszym cmentarzu, codziennie w świeże kwiatki przystrojone będą, dopóki kwiatków starczy na ziemi.

Nakoniec woźnica zaciął konie i tuman kurzawy wzniósł się za odjeżdżającymi, a lud rozżalony stał jeszcze smutny, z zapłakanemi oczyma i uspokoić się nie mógł.

Na takie u ludzi pożegnanie tylko wielką cnotą zasłużyć sobie można. Wy coście tam nie byli, coście nie znali tych poczciwych państwa, już z tego opisu poznacie jak oni dobrzy być musieli; westchnijcie więc i wy za nich pobożnie i proście Boga, aby im za tę ich cnotę błogosławił, aby ich ustrzegł od dalszych nieszczęść a pozwolił im długo jeszcze cieszyć się miłością i przyjaźnią ludzi poczciwych.

RÓŻNOŚCI.

Burze i ulewy. Ciągle i ciągle deszcze padają i w całym kraju zrządzają ogromne szkody. Z rozmaitych stron donoszą nam o tem smutne nowiny. Jesteśmy bardzo niespokojni, bo jeźli Pan Bóg w miłosierdziu swojem nie odwróci tej klęski, to cóż się z nami stanie? Ledwie się grady skończyły, co ludziom wiejskim tyle szkód narobiły, teraz znowu i to właśnie gdy się sianokosy pozaczynały, deszcze leją i leją, a biedny człowiek nie wie, kiedy się już skończą te wszystkie klęski.

Dobry posłaniec. Jeden wieśniak poszedł na robotę do pobliskiego miasteczka i siedział tam przez kilka dni, a jego żona została w domu z dziećmi. Zdarzyło się, że żydek z tej samej wsi miał iść do miasteczka do krewnych. Dowiedziała się o tem dobra kobiecina i prosiła żydka aby zaniósł jej mężowi sérek i kilkanaście groszy. Żydek podjął się chętnie, schował sérek i pieniądze i poszedł.

W trzy dni potem wieśniak wrócił. Jakże się zdziwiła jego żona gdy się dowiedziała, że ani sérka, ani pieniędzy nie odebrał. Pobiegła zaraz do karczmy ale tam jej powiedzieli, że Moszek jeszcze nie wrócił od krewnych. Czekała dni kilka, Moszek wraca.

— Moszek, a co ty zrobił z sérkiem? — zapytała go zaraz.

— Nu, ja jego zjadł — odpowiedział żydek spokojnie?

— A pieniądze?

— Aj waj! pieniądze! a mnie co za drogę? to wy myślicie, że ja za darmo będę dźwigał taki wielki ser? tak daleko? Aj waj! jaka mądra!

Kradzieże urzędników moskiewskich. Jakie ogromne kradzieże popełniają urzędnicy moskiewscy widać z tego, że w jednem mieście, które się nazywa Niżny Nowogród, zginęło w roku zeszłym tyle soli z magazynu, co wartała 840 tysięcy rubli srebrnych. Dopiero teraz wykryła się ta kradzież i pokazało się, że złodziejami byli urzędnicy od tego magazynu. Oni mieli pilnować, aby kto soli nie ukradł, a tymczasem sami kradli jakby i najlepszy złodziej nie potrafił.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Dowiadujemy się ludkowie kochani, że lubicie czytywać ten nasz „Dzwonek“ i chcecie, aby wam po staremu dzwonił, tak jak już przez tyle lat dzwoni to dla zabawy, to dla nauki poczciwych i pobożnych. Owoż kiedy tak, to donosimy wam, że to pismo będziemy dla was i nadal wydawać a w niem także jak dotąd będziemy umieszczać żywoty Świętych Pańskich i rozmaite historje święte, piękne powieści, nauczające bojaźni Bożej, która jest początkiem mądrości i różne ciekawe opowiadania z owych dawnych czasów, kiedy to jeszcze lepiej u nas bywało, i wiersze różne i pieśni pobożne, a dalej piękne przykłady cnoty i dobrych uczynków, rozumne rady i przestrogi tak gospodarskie, jak i waszemu i waszych dzieci zdrowiu na pożytek, i nie omieszkamy donosić o różnych przytrafunkach, skoro się co ważnego zdarzy. Oprócz tego będziemy wam dawać i inne opisy, których dotychczas nie bywało w „Dzwonku“, a osobliwie abyście się dowiedzieli jak też ludzie wiejscy w innych krajach gospodarzą, jakie mają zwyczaje, boć to wszystko człowiek rozumny wiedzieć powinien i kraj ten nasz polski opiszemy wam tak, że go znać będziecie, jakbyście byli w każdem mieście.

O małą tylko rzecz chodzi, a to, abyście nie zaniedbywali zapisywać się na „Dzwonek“, abyście się starali, by go dziatwa miała w każdej szkółce. Tej małej opłaty, ***jeden reński na pół roku*** a ***dwa reńskie na cały rok*** nie żałujcie. Nie jeden gospodarz, choć niebardzo zamożny, nieraz i więcej marnie puści z dymem, a tego nie żałuje, cóżby to było dopiero, gdybyście dla waszej nauki i pożytku w gospodarstwie a nawet i dla zbawienia dusz waszych żałować mieli tej małej ofiary, która się wam i dzieciom waszym stokrotnie powróci, bo to co dacie na „Dzwonek“ nie zginie, jeno i dla was i dla nich będzie z tego pożytek.

Życzymy wam zdrowia i oddajemy was Panu Bogu.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.